



***Ryzykowna przygoda i gorące porywy serc w powieści gwiazdy
romansu historycznego***

Piękna Lily ma prawdziwy talent do opróżniania cudzych kieszeni i jest dumna, że nigdy nie została schwytana. Cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz. Kiedy młody dżentelmen przyłapuje ją na kradzieży, dziewczyna jest przerażona - jeśli trafi do więzienia, kto zaopiekuje się jej małą siostrzyczką?

Jednak mężczyzna, zamiast oddać Lily w ręce policji, składa jej niezwykle i intrygującą propozycję...

*JULIE ANNE LONG weszła do grona najbardziej lubianych amerykańskich autorek romansów historycznych. Jej książki to m.in.: **Piękna i szpieg, Uroczą i nieznosna, Sekret uwodzenia, Nieuchwytny książę.***

Błyskotliwe powieści Julie Anne Long porywają wartką akcją, ekscytują niebezpieczną intrygą i czarują wdziękiem.

**JULIE ANNE
LONG**

Złodziejka serc

*Kenowi za niezwykłą cierpliwość w obliczu niepokojów,
związanych z powstawaniem drugiej z kolei książki.
Chyba powinnam Ci postawić kolację albo coś w tym rodzaju!*

Przyjeżdżaj natychmiast, Gideonie! Stryj Edward jest umierający.

Stryj Edward wiecznie był umierający.

- Jeśli ten człowiek nie zdecyduje wreszcie, żyć czy umierać - zwiernął się ponuro przyjacielowi Gideon Cole - chyba go uduszę!

Zmiał list w garści.

Nikt nie znał bliżej charakteru dolegliwości, trapiącej stryja Edwarda. Wiedziano tylko, że choroba przykuwa go do łóżka i że wymaga on nieustannej opieki. Dzięki owej przypadłości miejscowy doktor uskładał już niezły posag dla każdej ze swych pięciu córek. Od pięciu lat lord Lindsay był, doprawdy, najbardziej pogodnym cierpiętnikiem, jakiego Gideon kiedykolwiek widział. A ponieważ bratanek miał po nim odziedziczyć tytuł barona i niezwykle piękną posiadłość, Aster Park, starszy pan posyłał po niego, ilekroć trapiło go jakieś strzykanie czy rwanie. A wiecznie odczuwał jedno lub drugie.

I to w najbardziej nieodpowiednich momentach.

Gideon ściągnął kapelusz i nerwowo przegarnął palcami włosy. Dzień był upalny Przewalające się po Bond Street tłumy przytłaczały. Prawdę mówiąc, cała jego sytuacja życiowa była przytłaczająca.

Wcale nie tęsknił do powrotu na salę rozpraw w Westminster Court, by - wystroiwszy się w perukę i togę - wymownie bronić słusznej sprawy. Na szczęście rozprawę, która go dziś czekała, mógł wygrać bez wysiłku.

Kilmartin - a dokładniej mówiąc, Lawrence Mowbry lord Kilmartin - westchnął męczeńsko.

- Ależ oczywiście, jedź do stryja i zrezygnuj z balu u lady Gilchrist, Gideonie! Jestem pewien, że Jarvis z rozkoszą przetańczy wszystkie walce z Constance, jeśli tylko będzie miał po temu okazję.

- Nie powiem, żebyś mi pomógł tą przemową, Laurie!

- Bo nie zwracasz uwagi na to, co mówię! Nie możesz zniknąć ze sceny akurat teraz, gdy Jarvis urządza istną obławę na Constance! W odróżnieniu od ciebie ma już tytuł i fortunę. I bynajmniej nie jest odrażający!

Zazwyczaj niezwykła intuicja przyjaciela, w połączeniu z jego całkowitym brakiem taktu, działała na Gideona pobudzająco. Ale dzisiaj jego duma została urażona.

- Constance bardzo mnie lubi! - upierał się.

- Owszem, lubi. Ale przepada też za imponującymi rezydencjami, nowymi powozami, wytwornymi strojami i atencjami ze strony dżentelmenów.

- Witaj, Cole! Miło cię widzieć. Jak tam... A, to ty, Kilmartin.

Gideon i Kilmartin odwrócili się i ujrzeli nobliwie siwiejącego lorda Wolforda, który wesoło wywijał laseczką. W pierwszej chwili Gideon zeszywniał, potem jednak przypomniał sobie, że spłacił już Wolforda. Ojciec Gideona był niegdyś winien mnóstwo pieniędzy niemal wszystkim członkom Izby Lordów. Po jego śmierci Gideon metodycznie spłacał długi. W porządku alfabetycznym, prawdę mówiąc, gdyż wzięwszy pod uwagę ich mnogość, ten sposób regulowania należności wydał mu się jedynym słusznym rozwiązaniem. Według tej zasady lord Wolford należał do ostatnich spłaconych wierzycieli. Mimo to skwitował zwrot długu całkiem łaskawie: „Wygląda na to, mój chłopcze, że w tym wypadku jabłko padło daleko od jabłoni!” Dokładnie tak się wyraził. Czyli że Gideon wcale się nie wdał w ojca, Alistaira Cole'a, który pozostawił po sobie masę długów i niekończącą się kolejkę rozgoryczonych przyjaciół. Gideon uznał słowa Wolforda za komplement i starał się od tej pory na każdym kroku potwierdzać słuszność tej opinii.

- Gratulacje! Wygrałeś sprawę Griffitha, Cole! - Wolford energicznie trzepnął Gideona po plecach ręką. - Zaimponowałeś mi, słowo daję!

- Dziękuję, sir. To była dla mnie prawdziwa przyjemność.

Markiz rozcapierzył palce i zaczął wyliczać:

- Najpierw Shrewsbury i spór o majątek, potem paskudne kłopoty lorda Culpeppera z rządcą, a teraz Griffith! Zyskałeś sobie prawdziwą sławę, chłopcze! Shawcross szuka kogoś na posadkę w Ministerstwie Skarbu... Sam słyszałem, jak wymieniano twoje nazwisko, między innymi. Nigdy ci się nie marzyła kariera polityczna?

Gideon zauważył, że Kilmartin z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Chciał dać mu kuksańca, ale się opanował. Oczywiście, że miał zamiar zostać ministrem skarbu, co prawda dopiero w odległej przyszłości... Wspomniął o tym Kilmartinowi kilka (a może kilka tysięcy?) razy. Co się zaś tyczy Shawcrossa, markiza Shawcrossa, to był on ojcem Constance.

- Owszem, przemknęła mi taka myśl przez głowę - przyznał skromnie.

- Może mógłbym ci jakoś pomóc?

Mógłbyś spytać Shrewsbury'ego, Culpeppera i Griffitha, czy i kiedy zamierzają mi zapłacić! - pomyślał Gideon, ale nie powiedział tego na głos. Towarzystwo ceniło i szanowało Gideona Cole'a z wielu powodów, a dyskrecja była bez wątpienia jednym z nich.

- Będę o tym pamiętał, sir. Dziękuję bardzo.

- No cóż... Spieszę się, ale musimy kiedyś pogawędzić przy kieliszku u White'a. I to niebawem!... A, Kilmartin... hm... Zaproszenie oczywiście dotyczy i ciebie.

Wolford po ojcowsku poklepał Gideona po plecach i odszedł bez pośpiechu.

Kilmartin pokręcił głową, widząc, jak markiz niknie w tłumie.

- „A, Kilmartin... hm... Zaproszenie oczywiście dotyczy i ciebie!” - przedrzeźniał Wolforda. - Ileż on ma dla ciebie podziwu, staruszkule! Aż bierze mnie chętka zarabiać na życie tak jak ty!

W odpowiedzi Gideon uniósł tylko brew i bez słowa spojrzął na przyjaciela. Kilmartin starał się zachować powagę, ale pod przenikliwym, iście prawniczym wzrokiem Gideona okazało się to niemożliwe.

- No, dobrze! Wcale nie mam takich zamiarów. Ale mnóstwo osób gratulowało ci dziś rano wygranej w procesie Griffitha. Ciekawe, jak się człowiek czuje, gdy jest sławny?

Gideon prychnął pogardliwie.

- Jeśli cię to pocieszy, Laurie, przyznam, że wolałbym być bogaty niż sławny. A co więcej - dodał, zanim Kilmartin zdążył mu

przypomnieć, że jeśli nie jest jeszcze bogaty, to przede wszystkim z własnej, cholera, winy - gdybym był bogaty, nie znalazłbym się w obecnym... absurdalnym położeniu!

- No, Gideonie! - kontynuował przyjaciel łagodniejszym tonem. - Zdaję sobie sprawę, że jesteś przywiązany do stryja, ale doskonale wiesz, że daleko mu do umierania. Nie przyszło ci do głowy, że cierpliwość Constance ma pewne granice? Może chciałaby zdobyć utytułowanego męża, zanim się zestarzeje? A może nie jest pewna twoich intencji?

- Niepewna moich intencji?! Bzdura! Wszystko zaplanowałem, Laurie. Kupię dom. Ten na rogu Grosvenor Square, który tak się podoba Constance.

- Podoba się jej, bo to największa, najbardziej okazała rezydencja przy Grosvenor Square...

- Oczywiście! - bronił racji swojej damy Gideon. - Constance po prostu pragnie tego, co najlepsze!

- Włącznie z tobą, nieprawdaż?

Gideon uśmiechnął się, słysząc tę konkluzję. A uśmiech Gideona, leniwy i gorący, mógł podbić serce każdej kobiety, od ósmego do osiemdziesiątego roku życia.

- Oczywiście! - podjął gładko myśl, nie zważając na pogardliwe prychnięcie Kilmartina. - Kupię ten dom i ofiaruję go jej, wygłaszając przy tym kilka stosownych słów, na przykład: „Byłbym zaszczycony, Constance, gdybyś zechciała odtąd spędzać każdy londyński sezon wraz ze mną w tym domu. Czy zostaniesz moją żoną?”

- Bardzo romantyczne, mój stary - zauważył sucho Kilmartin. - Jest tylko jeden szkopuł, Jarvis też upatrzył sobie ten dom.

To sprawiło, że Gideon oprzytomniał.

- Skąd wiesz? - spytał ostro.

- Obawiam się, że wszyscy o tym wiedzą. A u White'a pojawiły się nowe wpisy w księdze zakładów. Ludzie stawiają niebagatelne sumy, że lord Jarvis zaręczy się z lady Constance Clary jeszcze przed końcem tego sezonu. Wygląda na to, że i on chciałby spędzić wszystkie następne sezony razem z Constance. Masz w nim poważnego rywala.

Gideon w milczeniu rozważał słowa przyjaciela. Tymczasem wokół nich rozbrzmiewała symfonia Bond Street: odgłos spieszących kroków,

brzęk uprząży, tupot kopyt, zgiełk podniesionych głosów. Cole odetchnął głęboko i oparł się pokusie zdarcia kapelusza z głowy. Jego ciemne włosy były nieco dłuższe, niż nakazywała moda - chyba właśnie po to, by w chwilach frustracji mógł wczepić się w nie palcami.

- A niech to wszyscy diabli! - wymamrotał w końcu posępnie. - Do-
tąd zakładali się tylko o to, kiedy Constance zaręczy się ze mną!

- Owszem, dawniej tak było.

- Ależ Laurie! Nie słyszałeś, co mówił Wolford? - Gideon dostrzegł w swym głosie rosnącą desperację i okropnie go to zirytowało. - Ojciec Constance wymienił moje nazwisko w związku z posadą w Ministerstwie Skarbu. Z pewnością dlatego, że jesteśmy z Constance tak blisko ostatecznego porozumienia!

- Wolford powiedział, że twoje nazwisko zostało wymienione między innymi. Kto wie? Może i o Jarvisie też wspomniano?

- Wątpię, by Jarvis przepracował w życiu choćby jeden dzień...

Gideon nie zdołał się opanować i w jego głosie zabrzmiała gorycz.

- Nie sądzę, by tym z Ministerstwa Skarbu specjalnie zależało na tytanie pracy.

Ta odpowiedź zirytowała Gideona jeszcze bardziej, gdyż lepiej niż przyjaciel zdawał sobie sprawę, ile w niej było prawdy. Tak jak zawsze, najbardziej liczyły się pieniądze i tytuły. A Jarvis je miał. Liczącą się rodzinę, majątek i tytuł. Gideon nie posiadał żadnego z tych atutów. Potrafił tylko zrobić jak najlepszy użytek z nielicznych zalet, które odziedziczył po ojcu. Należały do nich urok osobisty i powierzchowność, która cieszyła oczy od pierwszego wejrzenia, przy drugim zaś urzekała. Imponujący wzrost Gideona zazwyczaj sprawiał, że rzucano mu owo pierwsze spojrzenie. A jego twarz - bardzo ciemne oczy w połączeniu z czarującym nieregularnymi rysami, świadczącymi o sile, wrażliwości i o czymś jeszcze, co trochę niepokoiło - zniewalała ostatecznie.

Tak jak uroda i wdzięk Gideona otwierały mu każde drzwi, tak lata ciężkiej pracy, wyrzeczeń, żelaznej samokontroli i niezmiennego przestrzegania wszelkich reguł stały się szczeblami drabiny, po których pięł się coraz wyżej w wojsku, w środowisku prawniczym i w wielkim świecie. Miarą szacunku, jakim się cieszył w towarzystwie, było choćby to, że plotki o przypuszczalnych zaręczynach lady Constance Clary córki bogatego markiza i niekwestionowanej królowej sezonu, z Gideonem

Cole'em, byłym żołnierzem, adwokatem bez grosza przy duszy, spotykały się nie z szyderczym uśmiechem, lecz z łaskawym przyzwoleniem.

Co prawda smutny fakt, że Gideon nie posiadał prawie nic, pozostawał na razie tajemnicą.

Prawdą też było, że jeśli Cole nie dorobił się dotychczas majątku, to przede wszystkim z własnej winy.

Z drugiej strony, Janasowi wystarczyło być po prostu sobą, bogatym i utytułowanym, by uznano go za godnego zarówno Constance, jak i posady w Ministerstwie Skarbu. Ot, zwykła kolej rzeczy!

Gideon nie wytrzymał. Zerwał kapelusz i przecesał włosy palcami.

- Wystarczyłoby mi trzydzieści funtów, Laurie! Tyle wynosi pierwsza wpłata za ten dom. Radca prawny przysięgał, że to prawda! A potem wystarczy uiścić następne...

- Ten dom będzie kosztował co najmniej tysiąc funtów, Gideonie. Powiedz mi, ile masz w tej chwili pieniędzy?

Niech to szlag! Kilmartin znał go zbyt dobrze.

Kiedy Gideon uparcie milczał, Kilmartin znacząco uniośł brwi. Niestety, były jasne i prawie niewidoczne, co znacznie osłabiło ostateczny efekt.

- Mam przecież Aster Park! - Gideon się nie poddawał. - A Constance ostrzy sobie pazurki na tę rezydencję.

Na Aster Park miał chrapkę dosłownie każdy. Była to jedna z najpiękniejszych posiadłości w Anglii. Niestety wymagała ogromnych nakładów, mogła zaś zapewnić - w mięsie i wełnie - przychód zaledwie umożliwiającą zarządzanie majątkiem. Mimo to było prawdziwym szokiem dla wszystkich, kiedy parę lat po śmierci rodziców Gideona jego stryj, Edward, odziedziczył ten majątek po krewniaku tak dalekim, że prawie nic o nim nie wiedzieli.

- Aster Park nie należy jeszcze do ciebie - bezlitośnie przypomniał przyjacielowi Kilmartin. - Jeśli chcesz mojej rady, Gideonie, zostań lepiej w Londynie i idź na bal do lady Gilchrist. Choćby po to, żeby Constance mogła sobie przypomnieć, dlaczego właściwie tak bardzo cię lubi.

Gideon znów zamilkł, rozważając w myśli wszystkie „za” i „przeciw”. Ach, ten cholerny stryj! Był szczerze przywiązany do staruszka... Cóż by to było, gdyby tym razem naprawdę umarł?

I to w chwili, gdy bratanek okrąża w tańcu salę balową, trzymając piękną i posażną pannę w ramionach...

- Mógłbyś dać po łbie Janasowi - podsunął Kilmartin pół żartem, pół serio. - I wyeliminować go z gry.

Gideon parsknął niewesołym śmiechem.

- Nie załatwiam już porachunków w ten sposób, Laurie.

Kiedys istotnie tak postępował. Skłonność do bójek dała początek znajomości z Kilmartinem. Mniej więcej dziesięć lat temu, w Oksfordzie, Gideon rzucił się na dwóch drabów, którzy dręczyli małego grubaska. Godzinę później Cole zyskał siniaka pod okiem i przyjaciela na całe życie w osobie Kilmartina, który był owym małym grubaskiem. A cała czwórka otrzymała surowe upomnienie za bójkę, z czego Laurie był do tej pory bardzo dumny.

Ale Gideon nie załatwiał już spraw, odwołując się do pięści. Przede wszystkim dlatego, że dokładnie tak zachowywałby się jego ojciec.

Kilmartin nie był już mały ani gruby, nadal jednak musiał odchyłać głowę do tyłu, by spojrzeć Gideonowi w twarz. Robił to właśnie teraz, a jego jasne oczy mrużyły się od słońca, choć osłonięte były kapeluszem.

- A więc spójrz na sprawę nieco inaczej. Nawet jeśli capną ci sprzed nosa Constance, z pewnością znajdziesz na matrymonialnym targowisku dość panien. Jest w czym wybierać!

- Może i tak - przyznał Gideon. Nie miał w tej chwili ochoty na popisy fałszywej skromności. - Ale ja muszę mieć Constance!

Kilmartin odchrząknął ze zniecierpliwieniem.

- Dlaczego aż tak się dręczysz, Gideonie? Musiałeś zagiąć parol na najtrudniejszą do zdobycia spódniczkę?!

- Daj spokój, Laurie! Powinieneś wiedzieć, że zawsze wybieram najtrudniejszego przeciwnika!

Uśmiechnął się od ucha do ucha, próbując skłonić przyjaciela, by także się roześmiał.

Kilmartin jednak wcale nie miał na to ochoty. Zamiast tego bacznie przyglądał się Gideonowi. Po chwili zdał sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Niech to wszyscy diabli, stary! To ten twój genialny plan, co?

Gideon znowu zwlekał z odpowiedzią. Czasami było diablo niewygodne, że ktoś go zna aż tak dobrze jak Kilmartin!

- Pragnę Constance, Laurie - powiedział cicho. - Muszę ją mieć! Miał ochotę dodać, że zasłużył sobie na nią, ale nie zrobił tego, bo nie był pewny, czy Kilmartin to zrozumie. Laurie dziedziczył po ojcu tytuł wicehrabiego. Pochodził ze starego rodu i miał ogromny majątek. W odróżnieniu od Gideona, nigdy nie był świadkiem tego, jak ojciec jednym rzutem kości wynosi swą nikomu nieznaną rodzinę na niesłychane wyżyny w towarzystwie... tylko po to, żeby w ten sam sposób unicestwić ich wszystkich. Laurie nigdy nie widział, jak matka i siostra z dumnie uniesionymi głowami znoszą obraźliwe szepty i drwiny. Nigdy nie otrzymał wieści, że statek, wiozący rodziców do Indii na poszukiwanie nowej fortuny, został roztrzaskany przez sztorm.

Gideon skończył właśnie osiemnaście lat i nadal przebywał w Oksfordzie, gdy jego rodzice zginęli. Helen, jego siostra, miała lat siedemnaście. Oboje zostali prawie bez grosza. Sprzedali dom. Helen wyszła za bogatego farmera z Yorkshire, który się jej oświadczył. Wówczas wydawało się to rozsądną decyzją. Teraz Gideon wiedział, jak bardzo się pomylili.

Pewnej nocy w Oksfordzie, wypiwszy zbyt dużo, Gideon zwierzył się Kilmartinowi ze swoich wielkich planów i od tamtego czasu żałował wylewności. Nie był pewien, czy Laurie naprawdę zrozumiał, że potrzeba zapewnienia sobie i siostrze bezpiecznej przyszłości nie przypomina w niczym losu, jaki jego ojciec zgotował rodzinie - z wiecznymi wzlotami i upadkami zmiennej fortuny, od chlubnego wyniesienia do ostatecznej hańby.

Laurie był jednak dobrym przyjacielem. Po chwili z rezygnacją wzruszył ramionami.

- No cóż... może i zdołasz przekonać stryja, by pożegnał się z życiem, gdy Constance uda się na wieś, w odwiedziny do krewnych. Czy to nie u nich ma się odbyć przyjęcie za dzień lub dwa? A kiedy twoja luba pojawi się na balu u Braxtonów, przekona się, że jesteś już baronem i właścicielem Aster Park... Wówczas Jarvis straci dla niej cały urok.

Mimo woli Gideon się roześmiał.

- O, stryj Edward nie będzie aż tak uprzejmy! Raczej...

Nie potrafiłby wyjaśnić, co skłoniło go do odwrócenia się w tym właśnie momencie. Być może był to ten sam instykt, który pozwolił mu uniknąć kul pod Waterloo i wrócić do domu zdrowo i cało. Tak czy owak, się odwrócił.

I dzięki temu spostrzegł dziewczynę, która wsuwała drobną rączkę do kieszeni jego surduta. Gideon chwycił ją za nadgarstek. Oboje znieruchomieli, zszokowani. Oddychali z trudem i mierzyli się nawzajem wrogim spojrzeniami.

Jej przegub był szczuły jak u dziecka, skóra zdumiewająco jedwabista, a puls pod jego dotykiem bił na alarm. Miała wysokie, jasne czoło, niemal świetliste w popołudniowym słońcu. Różowe usta przypominały kształtem serduszko, a oczy - w niezwykłym kolorze wody morskiej pełne były strachu, a zarazem zionęły gniewem. A na dodatek jeszcze piegi, cała kolekcja drobniutkich złotych plamek na nosie! Niemal nieświadomie zaczął je liczyć: jedna, dwie, trzy, cztery...

- Uff!

Gideon zwałił się na kolana i z trudem chwycił oddech. Podczas gdy on liczył piegi, dziewczyna wymierzyła mu kolaniem cios w krocze.

Znikła, wchłonięta przez tłum, jakby była tylko cieniem, niczym więcej.

Lily biegła, podtrzymując spódnicę obiema rękami. Bose stopy uderzały mocno o brudną ulicę. Zwinnie przemykała się w tłumie, unikając zderzenia z mężczyznami, kobietami i końmi. Omijała kupy nieczystości. Biegła, aż jej płuca stały się rozpalone jak palenisko w kuźni, serce biło jak młotem. Biegła, póki nie znalazła się znów w St. Giles.

Różnica między St. Giles a Bond Street była równie widoczna jak między południem a zmierzchem. W St. Giles na ulicach leżały bezwładne ciała, od których buchało podłym dżinem. prostytutki opierały się o ściany domów albo wabiły klientów z okien. Po zaułkach wałęsały się bezdomne dzieciaki, a stare rudery chyliły się ku ziemi. Słychać było chrapliwy śmiech i głośne kłótnie. Usiłujący się przekrzywić wędrowni handlarze zachwalali towary. Nareszcie była w domu, Bogu dzięki! Po tym, jak omal nie wpadła na dobre na Bond Street, wszystko dokoła wydawało się jej niezwykle kojące.

Jej uwagę przyciągnęły włosy nieznajomego. Były dłuższe niż u tych modnych lalusiów i ciemne, ale z rudawym połyskiem. Kiedy ściągnął z głowy kapelusz, zaśniły czerwienią jak węgiel, który się jeszcze całkiem nie dopalił. Potem dostrzegła błysk złota w kieszeni szykownego surduta, gdy wsunął do niej rękę. Zegarek! - pomyślała od razu.

Był bardzo wysoki, wyższy niż większość mężczyzn w tłumie. Wydawał się zaniepokojony i zajęty rozmową z przyjacielem... Była pewna, że niczego nie zauważy.

Myliła się.

A te jego oczy...

Nie teraz! O oczach pomyśli kiedy indziej.

Skrecała w boczną uliczkę, przy której McBride miał swój sklep, gdy jakaś ręka chwyciła ją za ramię.

- Hej, Lily, daj no buziaka, złotko!

Lily energicznie dźgnęła chłopaka łokciem. Usłyszała stęknienie i kilka łagodnych przekleństw. Natarczywa ręka opadła.

- Zawsze taka niedotykańska! Jednego całuska, czy to jest czego żałować?!

- Ale z ciebie cholerna łamaga, Tom! - rzuciła przez ramię z triumfalnym uśmiechem.

Lily Masters znakomicie umiała posługiwać się łokciem. To wspinała broń! Niemal równie dobra jak kolano.

Chłopaki próbowali, jak to chłopaki, ale żaden z nich nie mógł jej złapać... Chyba że chciała, żeby ją któryś dogonił. A to się jej zdarzyło tylko raz. W pewnym sensie z winy McBride'a. Obdarował ją całkiem przypadkowo - jako że sam nie umiał czytać - egzemplarzem *Dumy i uprzedzenia* zbiorem opowiadań erotycznych w języku francuskim. I choć Lily była niemal pewna, że jej mama nie życzyłaby sobie, żeby pogłębiała znajomość francuskiego taką lekturą, jej samej ta książeczka wydała się bardzo interesująca. Zarówno w niej, jak i w powieści Jane Austen kontakty męsko-damskie zostały przedstawione w sposób znacznie bardziej skomplikowany i wytworny, niż miało to miejsce na wąskich uliczkach St. Giles. Książkowe opowieści nie miały też porównania z tym, co Fanny robiła na zarobku w pokoiku na piętrze. Lily postanowiła się przekonać, jak to jest naprawdę.

Chłopak nazywał się Nick. Miał niebieskie oczy i potrafił zgrabnie zażartować, a co do całusów usta miał jeszcze bardziej zręczne. Dobrze wiedział, jak się zabrać do rzeczy! Pocałunek, choć niezbyt długi, podzielał jak zapałka przyłożona do pęczka chrustu. Rozkoszne gorąco rozeszło się po całym ciele Lily. Poczuli nagle, że słabnie. I pragnie czegoś, nie wiadomo czego... Od razu położyła temu kres, odpychając od siebie Nicka. Zbyt wiele widziała dokoła nor, w których

gnieździły się głodujące kobiety i dzieci, i pomiaukiwały słabowite niemowlęta. Nie pozwoli, by ciekawość lub pragnienie pieśczoł skazały ją raz na zawsze na życie w takiej nędzy i brudzie! „Nigdy nie zdawaj się na łaskę i niełaskę mężczyzny, Lily!”, przestrzegła ją kiedyś mama.

A poza tym Nickowi daleko było do pana Darcy'ego.

Ale Lily nie żałowała eksperymentu. Dobrze wiedzieć, że coś tak niewiele znaczącego jak pocałunek może pozbawić cię sił! Pomyślała również, że już rozumie, jak jej mama, która była przecież prawdziwą damą w tych dawnych, dawnych czasach, mogła wyjść za kogoś takiego jak papa zostać z nim, choć pozbawił ją wszystkiego.

Kiedy Lily dotarła do sklepu McBride'a, przystanęła i zaczęła chwilę, by jej serce się uspokoiło. Potem otworzy drzwi.

McBride energicznie wycierał ładę ścierką. Pod wpływem gwałtownych ruchów smutne resztki szpakowatych włosów powiewały mu wokół głowy, niczym barwne wstążki wokół majowego słupa. Podniósł wzrok na dźwięk otwieranych drzwi, a gdy ujrzał Lily, jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem, ukazującym szczerbate zęby.

- Ach, Lily, mój aniołeczku, kiedy wreszcie za mnie wyjdiesz?

- Już kompletuję ślubną wyprawę!

- „Kompletuję ślubną wyprawę!” - Zachichotał z uznaniem. - Wygadana z ciebie dziewczuszka, Lily! Lubię słuchać, jak mówisz. Ależ ty masz głos!... Jak dymek z najlepszego cygara. Jak się go słucha, człowiek zapomina całkiem, co go gryzie, że się tak wyrażę.

- Skąd się tak znasz na cygarach, McBride? - droczyła się z nim Lily.

McBride zawsze zachwycał się jej niskim, wyrazistym głosem. Zapewniał, że to głos w sam raz dla „pirszokłaśnej kokoty”, a nie dla takiej smarkuli.

- Ach, na czym ja się dawniej nie znałem! - Jego oczy zamglily się od wspomnień. A może od dżinu, którego sobie nie żałował w porze lunchu? - Nie dotykaj lady! - ostrzegł pośpiesznie, gdy Lily zamierzała oprzeć na niej łokcie. - Rozlałem tu coś, od czego zlazłaby ci skóra!

McBride był - między innymi - aptekarzem. Specjalizował się w specyfikach usuwających przykre skutki nierozważnych romansów. Oferował również spory wybór środków dla tych, którzy nie byli zdolni do miłości. „Znajdzie się u mnie co trzeba, dla takich i dla owakich!”

utrzymywał optymistycznie. Jego klientela wywodziła się ze wszystkich klas społecznych, on zaś żądał bająnskich sum za swe eliksiry. Klienci byli zazwyczaj zbyt zrozpaczeni, by targować się o cenę, i zbyt upokorzeni, by zgłaszać pretensje, jeśli specyfik nie zadziałał tak, jak im obiecywano.

Lily spojrzała podejrzliwie na niepokojący obłoczek, unoszący się nad kałużą rozlanej na ladzie cieczy. Już na pierwszy rzut oka miało się wrażenie, że ten środek wytrawi zło z korzeniami!

- Lek na hemoroidy? - spytała domyślnie.

- Na france. Muszę jeszcze to i owo dopracować. Masz coś dla mnie, kochana?

McBride zarabiał również całkiem nieźle jako paser.

Lily sięgnęła do kieszeni fartucha i wyłożyła na ladę - w bezpiecznej odległości od dymiącej kałuży cudownego środka na francuską chorobę swój mizerny łup: łańcuszek od zegarka i dwa srebrne guziki.

- To ze złota? - spytała żywo McBride'a, gdy ten stukał palcem w dewizkę.

- Hm... bo ja wiem, kotku? Dam ci za to cztery szylingi.

- Cztery szylingi? - obruszyła się Lily. - Masz mnie za głupią czy co, McBride?

Oboje bardzo lubili się targować.

- Niech będzie cztery szylingi... i pół pensa.

- Pięć szylingów! - nalegała Lily.

McBride spojrział na nią ze świętym oburzeniem. Odpłaciła mu tym samym.

- No cóż... Niech będzie pięć szylingów - westchnął. - Nie masz sumienia, złotko!

Lily prychnęła pogardliwie i wyciągnęła rękę po pieniądze. Podejrzewała, że wykorzystuje dobre serce McBride'a. Nieraz pewnie dawał jej więcej pieniędzy, niż był wart jej łup, ale nigdy nie protestowała. Ona i jej siostra, Alice, musiały przecież jeść. A poza tym kwoty, jakich McBride żądał za eliksiry, były tak wygórowane, że aptekarz mógłby sobie chyba pozwolić na kupno domu przy St. James Square!

- I szylinga za guziki! - upomniała się jeszcze.

McBride westchnął i niechętnie wyliczył jej monety na dłoń, mamrocząc pod nosem, że dziewczyna obdziera go ze skóry. Zwróciła

mu więc szylinga z szelmowskim uśmiechem.

- Żebyś nie głodował, McBride!

Wziął monetę i skrzywił się w uśmiechu.

- Mam dla ciebie książkę, Lily.

Bardzo mu imponowało, że Lily potrafi czytać, toteż chował dla niej każdą książkę, jaka mu wpadła w ręce. W ten sposób nieświadomie pomógł jej zgromadzić niezwykle urozmaiconą kolekcję. W jej skład wchodziły encyklopedia zwierząt, mity greckie, dzieła Szekspira, *Duma i uprzedzenie* i francuski zbiór pikantnych opowieści.

- *Robinson Crusoe* - przeczytała na głos tytuł nowej książki. - Dzięki, McBride! To dla mnie prawdziwy skarb.

- No to dbaj o niego! - przykazał surowo, zażenowany nagle własną hojnością.

Lily się uśmiechnęła, wspięła na palce i przechyliwszy się przez ladę, ucałowała McBride'a w szczeciniasty policzek, po czym wybiegła ze sklepu.

Wychodząc z sali sądowej, Gideon wyraźnie kulał. Cholerna dziewczynka, wycelowała bez pudła! Ale z drugiej strony, był dziś jeszcze bardziej bojowy niż zwykle, gdy wygłaszał podsumowanie... Kto wie, czy nie powinien za to podziękować złodziejce?

- Gratulacje, panie Cole!

- To było imponujące, jak zwykle, panie Cole!

- Znakomite podsumowanie, panie Cole!

Gideon kiwał głową i dziękował zdawkowo kolegom po fachu, przebijając się przez tłum, by dołączyć do pozostałych adwokatów. Zawsze pozwalał sobie przez chwilę delektować się wygraną w sądzie, zanim znów wpadnie w łapy radców prawnych. A było ich tu pełno. Wypatrywali adwokatów, by obarczyć ich którąś ze spraw, jakie im powierzono, gdyż sami nie mogli występować przed sądem. Szczególnie zażarcie prześladował go jeden z nich... Dobry Boże, to on!

Dodge był niziutki i nieproporcjonalnie zbudowany - pokaźny tors mężczyzny wspierał się na dwóch patykowatych nóżkach. Kosmyki siwiejących włosów otaczały błyszczącą łysinę, a na spiczastym nosie, podobnym do ptasiego dzioba, opierały się okulary. Spoglądała zza nich para bystrych niebieskich oczu. Obiegały one teraz salę, najwyraźniej wypatrując ofiary, a konkretnie Gideona Cole'a.

Gideon stawiał niegdyś czoła hordom napoleońskim. Brał udział w niejednej walce na pięści. Raz nawet stoczył pojedynek, choć teraz nie pamiętał już, o co wtedy poszło.

Jednakże widok Dodge'a przejmował go prawdziwym lękiem.

Dodge dobrze wiedział o tej słabości.

Tak niepostrzeżenie, jak na to pozwalał jego pokaźny wzrost, Gideon kroczył po kroczyku wycofywał się w stronę drzwi.

- O, to pan, panie Cole!

Gideon ruszył niemal biegiem, zmuszając niepokąźnego prawnika, by truchtał za nim w zgoła niedystyngowany sposób.

- Panie Cole! Jedną chwileczkę, jeśli łaska! - wysapał Dodge, niezrażony lodowatą obojętnością adwokata.

- Poświęciłem już panu wszystkie wolne chwile, jakie miałem do stracenia, panie Dodge!

Dodge zdołał jakoś obieć dokoła potężną postać Gideona i zdecydowanie zagroził mu drogę.

- Mam sprawę, która powinna pana zainteresować! - oświadczył z determinacją, celując spiczastym nosem prosto w Gideona.

Ten jęknął i zasłonił twarz rękami. Interesujący przypadek - to było właśnie to, czego się lękał!

- Panie Dodge! Nie chcę więcej słyszeć o sierotach, które pozabawiono należnego im dziedzictwa, ani o żadnych podobnych tragediach!

- Ale tym razem wcale nie chodzi o sierotę!

Gideon ostrożnie zerknął na niego przez szparkę między palcami.

- To wdowa! - poinformował go Dodge z promiennym uśmiechem.

Gideon odskoczył raptownie.

- Niech pan mi da święty spokój!

- Ależ panie Cole...

- Mówię serio! Niech pan sobie znajdzie innego naiwniaka z miękkim sercem, żeby go dręczył!

- Obawiam się, że drugiego takiego jak pan nie znajdę, panie Cole - wyjaśnił Dodge z pewnym współczuciem. - A pan jest w tym taki dobry. .. Zawsze, ale to zawsze pan wygrywa!

- I nigdy, ale to nigdy nie mogę się doczekać zapłaty!

- Przecież takiemu dżentelmenowi jak pan nie brak pieniędzy, nieprawdaż? Zupełnie jakby drzewa w pańskim majątku sypały panu do nóg we banknoty zamiast liści!

Dodge usiłował wetknąć Gideonowi plik dokumentów. Akta sprawy.

- Bardzo zabawne. - Gideon omal mu nie wytrącił dokumentów z ręki. - Kim jest ta wdowa?

- Krawcową. Ciężko pracowała całe życie i założyła niewielki zakładzik krawiecki. A teraz brat jej zmarłego męża usiłuje pozbawić ją i tego. Utrzymuje, że jej dom zgodnie z prawem należy do niego.

- Czy ona ma jakieś pieniądze? - dopytywał się Gideon, niemal z rozpaczą. - Może jednak coś na tym zarobię?

Pan Dodge uśmiechnął się łagodnie.

- Na to niech pan nie liczy.

- Nienawidzę pana!

- Wiem, wiem - odparł Dodge, nie tracąc optymizmu. - Weźmie pan tę sprawę?

- Zastanowię się! - burknął Gideon.

Ale obaj wiedzieli, że Cole podejmie się tej sprawy. Co, rzecz jasna, uniemożliwi mu rozejście się za innymi, naprawdę lukratywnymi przypadkami.

I to był właśnie powód, dla którego Gideon jeszcze się nie wzbogacił. Wyłącznie z własnej winy!

- Jest pan dobrym człowiekiem, panie Cole - powiedział miękko Dodge.

Gideon prychnął pogardliwie i machnął ręką, jakby chciał odpędzić natrętne ptaszysko. Na twarzy jednak igrał mu lekki uśmiech. Dodge radośnie pokłusował w inną stronę, pogwizdując coś pod nosem.

Wdowy, sieroty, starcy... Gideon nie pojmował, dlaczego Dodge wybiera takich klientów! Ale radca prawny na skromnej posiadce nie musiał prowadzić życia dżentelmena z wyższych sfer! Nie wynajmował eleganckiej garsoniery ani nie uczestniczył w kosztownych imprezach. Poza tym Dodge był już żonaty. Nie ubiegał się o córkę markiza, której się marzyła rezydencja przy Grosvenor Square. No i radca - Gideon gotów się był założyć! - nie miał ambitnych planów na przyszłość.

Spoglądał posępnym wzrokiem na akta sprawy. Myślał o siostrze, Helen, mieszkającej w Yorkshire, i o ostatnim liście, jaki od niej

otrzymał. Pod przykrywką ostrożnych, pozornie pogodnych zdań kryła się ściskająca za serce prawda. Pomyślał też o Constance i o tym, jak zareagowałyby na wieść, że Gideon Cole nieodpłatnie poświęca czas biedakom, zamiast zdobywać w pocie czoła majątek, godny córki markiza. Zdumienie, konsternacja, jawna pogarda... Już sobie wyobrażał, że dostrzega wszystkie te uczucia w jej szarych oczach! Z pewnością czułaby się oszukana. I miałyby do tego pełne prawo.

Gideon oderwał wzrok od papierów i potarł ręką zmęczone oczy. Od pobytu w Oksfordzie minęło dziesięć lat, a on nadal rzucał się na ratunek pokrzywdzonym! Podejrzewał, że rozpierająca serce radość, jaką wówczas odczuwał, stała się niebezpiecznym nałogiem. Krawcowa... Cóż, chyba jednak będzie musiała sama walczyć o swoje prawa!

- Panie Cole, jeszcze jedno... Zapomniałem panu powiedzieć!

Znowu ten Dodge?! Gideon skierował na niego spojrzenie tak groźne, że pod kim innym ugięłyby się kolana, ale na Dodge'u nie zrobiło to większego wrażenia. Może gniewne spojrzenia odbijały się od jego okularów jak promienie słońca?

- Chodzi o pańskiego dawnego klienta, pana Wesleya...

Gideon nieco się rozchmurzył, choć nadal miał podejrzliwą minę. Wesley był hodowcą owiec. Gideon przeprowadził z nim wiele bardzo pouczających rozmów na temat leicesterów długowłosych, które można by z powodzeniem hodować w Aster Park.

- Jak się miewa?

- Z przykrością muszę panu oznajmić, że nie żyje.

Gideon poczuł przesywający smutek. Psiakrew! - pomyślał z goryczą. Co za pechowy dzień!

- Ale nie zapomniał o panu w swojej ostatniej woli, panie Cole - kontynuował łagodnym tonem Dodge. - „Z najwyższą wdzięcznością za uratowanie farmy”. O, proszę! Trzydzieści funtów.

Dodge wręczył zwitek banknotów Gideonowi, po czym znów oddalił się truchcikiem - zupełnie jakby nie był niewątpliwym wysłańcem niebios, tylko najzwyczajniejszym doradcą prawnym.

- Lily!

Alice, impulsywna jak zawsze, podbiegła do siostry, dopraszając się uścisków.

Co prawda Lily bardzo wyraźnie przykazała, by pod jej nieobecność nie wdawała się w pogawędki z nikim, z wyjątkiem pani Smythe i Fanny, ale za każdym razem czuła nieopisaną ulgę, kiedy po powrocie zastawała młodszą siostrę zdrową i całą, gdyż powściągliwość nie leżała w naturze Alice.

- Mamy dziś na kolację chleb i ser, kochanie. Pewnie jesteś już głodna?

W chwili gdy Lily przekraczała próg pokoju, porzucała gwarę z St. Giles. Matka Lily i Alice życzyła sobie, żeby córki wyrosły na damy. I choć od jej śmierci minęło kilka lat, obie rozmawiały ze sobą jak dobrze wychowane panienki. Lily w międzyczasie opanowała do perfekcji żargon St. Giles. Przykładała się do tego tak samo, jak do nauki francuskiego. Ale ta umiejętność była tylko częścią przebrania, umożliwiającego przetrwanie.

- O, tak! Pomagałam dziś pani Smythe w gotowaniu i sprzątanii - oświadczyła Alice z dumą. - Spójrz, dała mi pensa!

- Jestem bardzo z ciebie dumna, Alice! To nie lada wyczyn dostać pensa od pani Smythe. Czyżbyś rzuciła na nią jakieś czary?

Dziewczynka zachichotała.

- Nie! Powiedziała tylko, że jestem „robotna”. Bardzo mi przykro, ale nie potrafię czarować!

Robotna... Dziesięcioletnia Alice była robotna. Przecież dziewczynka w jej wieku powinna się bawić, a nie zarabiać grosiki i wręczać je siostrze, by mogła za to kupić jedzenie! Lily gwałtownie odsunęła od siebie takie myśli. Nie mogła sobie pozwolić na nierealne mrzonki.

- Chyba jednak jesteś cudotwórczynią. Przecież pani Smythe ścisła w garści każdego pensa, aż biedaczek piszczy!

Pani Smythe miała figurę podobną do dwóch baryłek, ustawionych jedna na drugiej, a jej twarz była twarda i kanciasta jak cegła. Alice i Lily nigdy nie widziały, żeby się uśmiechnęła. Surowość rysów łagodziło nieco kilka długich siwych włosów, wyrastających z brody. Fascynowały one Alice do tego stopnia, że Lily musiała jej ciągle przypominać, że nie wypada się tak na kogoś gapić.

Dominującą cechą pani Smythe była nieustępliwość. Bez względu na to, jak długo ktoś mieszkał pod jej dachem, bez względu na wszelkie inne okoliczności, wyrzucała lokatorów na ulicę, jeśli spóźnili się

z opłatą za czynsz. Zasady pani Smythe odstraszały najgorsze szumowiny, dzięki czemu jej „pensjonat” stanowił względnie bezpieczną przystań, aczkolwiek trzeba tu było płacić więcej niż gdzie indziej. Lily wciąż doskonaliła swe złodziejskie umiejętności, przede wszystkim z myślą o zaspokojeniu żądań pani Smythe.

Alice znowu zachichotała.

- Może sama o tym nie wiedząc, wypowiedziałam jakieś zaklęcie? Na przykład wtedy, gdy spytałam: „Czy mam teraz zamieść podłogę, pani Smythe?”

Lily pociągnęła siostrzyczkę za długi jasny warkocz.

- Od tej pory, ilekroć przyjdą trudne chwile, powiemy po cichu: „Czy mam teraz zamieść podłogę, pani Smythe?” I będziemy czekać na cud!

Alice się roześmiała, zachwycona pomysłem.

- „Czy mam teraz zamieść podłogę, pani Smythe? O, pani Smythe, czy mam teraz zamieść podłogę?” - podśpiewywała, skacząc po pokoju.

Matka, córka pastora, byłaby przerażona, że jej dziecię para się czarami, ale Lily zawtórowała siostrze, krojąc chleb i ser. Prosto od McBride'a poszła do piekarni, a potem do sklepu z nabiałem. Na koniec kupiła mały bukietek fiołków dla Fanny, która zawsze była dla nich dobra i nie szczędziła pożytecznych rad, na przykład jak posłużyć się kolanem czy łokciem. Sama z siebie Lily nigdy by nie wpadła na to, że można się obronić w taki sposób.

Wydała na te zakupy prawie wszystkie pieniądze. Jutro znów będzie musiała polować na dewizki i podkraść drobniaki.

- Jeśli nasza piosenka naprawdę ma czarodziejską moc, jutro powinien spaść z nieba deszcz pieniędzy! - stwierdziła między jednym a drugim kęsem.

- Kupimy sobie buciki! - powiedziała z rozmarzeniem Alice. - I będziemy miały wielki dom, tak jak w twojej bajce. Opowiedz mi jeszcze coś, Lily!

Lily zawsze poznawała świat wszystkimi zmysłami - oczami, uszami, opuszkami palców - a jej obserwacje przybierały formę baśni. Stara szkapa, ciągnąca wózek z kwiatami, przeobrażała się w jednorożca, pani Smythe stawiała się pożerającą dzieci olbrzymką, a McBride czarnoksiężnikiem, którego cudowne napoje wywoływały nieprzewidziane skutki. Lily snuła te opowieści wieczorami, aż

cały pokój pulsował magiczną aurą. Nadawała każdej ze stworzonych przez siebie postaci odmienne głos i gesty. Te niezwykle historie rozgrzewały im serca lepiej niż dżin. Lily doskonale o tym wiedziała, bo spróbowała kiedyś tego trunku. Paskudztwo, zupełnie jakby się łyknęło skwaśniałego ognia! Nigdy więcej nie wzięła dżinu do ust.

Z papą było, niestety, całkiem inaczej.

- Jaką bajkę mam ci opowiedzieć? Tę o wielkim domu, czy coś nowego?

- O wielkim domu.

- Niech będzie. Dawno, dawno temu dwie piękne księżniczki...

- Lily i Alice!

- Lily i Alice - potwierdziła Lily - mieszkały w wielkim domu, właściwie w pałacu z cegły i marmuru, w którym znalazłoby się dość miejsca dla wszystkich z St. Giles.

Alice zmarszczyła czoło.

- Ale chyba nie chcemy, żeby wszyscy mieszkali z nami? Nie pani Smythe!

- Oczywiście, że nie! Będziemy bardzo starannie dobierać sobie towarzystwo.

- Może weźmiemy McBride'a? - podsunęła wielkodusznie Alice.

- Z pewnością weźmiemy McBride'a - zgodziła się Lily i ciągnęła dalej: - Ich dom otaczały zielone trawniki, rozciągające się tak daleko, jak tylko wzrok sięga. I wszędzie rosły drzewa, biły fontanny i przechadzały się łabędzie oraz pawie.

- Opowiedz mi o pawiach!

- To wielkie lśniące ptaki z długimi ogonami z piór. O, takimi! - Lily powiewała ręką z tyłu i kręciła biodrami, żeby pobudzić Alice do śmiechu. - Zupełnie jak na obrazku w naszej książce.

- A czy można je jeść? - spytała krwiożerczo Alice.

- Ależ nie! W naszych kredensach nie zabraknie nigdy wołowiny ani sera, więc ani się nam będzie śniło jeść pawia.

- Ojej! - jęknęła z wrażenia Alice.

- Będzie tam również książkę - dodała nieoczekiwanie Lily.

- Książkę? - Alice była zaskoczona. - Nigdy dotąd nie wspominałaś o książce!

Bo nigdy dotąd nie spotkałam takiego mężczyzny! - pomyślała Lily i opowiadała dalej.

- To bardzo wysoki księżę o szerokich ramionach i gęstych, prostych, ciemnych brwiach, o takich! - Lily zakryła palcami własne delikatne brwi. - A policzki będzie miał takie! - Wessała je do środka, by podkreślić kości policzkowe i wytworną szczupłość twarzy. - I wydatny nos. I wcale nic będzie wyglądał jak fryzjerska lalka. A jego włosy będą jak ogień...

- Będą się palić?! - zaniepokoiła się Alice.

- Nie, głuptasku. Będą bardzo ciemne, ale w słońcu zaczną błyszczeć jak... jak rozżarzone węgle. I oczy będzie miał ciemne. I będzie nosił bardzo eleganckie ubrania. A jak cię chwyci w ramiona, to tak mocno... - dodała z odrobiną niechęci.

- Mocno?! - Alice nie bardzo wiedziała, o co siostrze chodzi. - Czy będzie przystojny?

Lily zawahała się, wspominając ciemne oczy, otoczone firanką rzęs tak gęstych, że aż kusiło, by musnąć je palcem... Spoglądał na nią z wielką pewnością siebie. I z zimną wściekłością. Bez wątpienia nie bał się niczego, a już na pewno nie jej! I nagle przez ułamek sekundy w jego spojrzeniu błysnęło coś innego... Zainteresowanie? Podziw? Wyczuła tę zmianę równie wyraźnie, jak ucisk palców na nadgarstku. Nagle zrobiło się jej gorąco, jakby wewnątrz niej zapłonęła lampa.

I zaraz potem walnęła go kolanem w krocze. Uśmiechnęła się słabo. To najpodlejsza sztuczka, jaką można spłatać mężczyźnie! Ale nie miała innego wyjścia.

- No tak... bardzo przystojny - przyznała.

- Niech będzie - zgodziła się niechętnie Alice. - On też może z nami mieszkać. A mama i papa mają taki dom w niebie! Prawda, Lily? Niebieskie oczy Alice były coraz bardziej senne.

Lily się zastanowiła. Z pewnością istniało jakieś miejsce, przeznaczone dla przystojnych nicponi, którzy żenili się z naiwnymi panienkami z dobrego domu i przepijali cały ich dobytek, a potem umierali, pozostawiając żonę i dzieci w skrajnej nędzy... Lily nie była jednak pewna, czy szli wówczas do nieba.

Kiedy papa umarł, dla mamy życie straciło sens, toteż obowiązek zapewnienia im chleba i dachu nad głową spadł na barki Lily. Próbowwała znaleźć pracę w sklepie albo nająć się do służby w jakimś

domu... Ale nigdzie jej nie chcieli. Zwędziła więc po raz pierwszy dewizkę od zegarka. Desperacja zagłuszyła w niej strach, a powodzenie dodało jej odwagi. Kiedy się przekonała, że jest naprawdę dobra w tym fachu, zaczęła się szczyć swoją zręcznością. I czuła prawdziwą satysfakcję na myśl, że potrafi zarobić na utrzymanie rodziny.

A mama, jeśli nawet się domyślała, w jaki sposób starsza córka zdobywa pieniądze, nigdy nie powiedziała ani słowa...

Ale Lily pamiętała i inne rzeczy, których siostra pamiętać nie mogła poprzedni dom, wygodniejszy i bardziej bezpieczny, beztroski śmiech rodziców... I nawet to, że sama grywała proste melodyjki na fortepianie, który później zniknął z ich życia, podobnie jak dawny dom i wszystko, co się w nim znajdowało. Pamiętała wyjazd nad morze. I to, że dawniej zawsze miała buty.

Lily spojrzała w szeroko otwarte, niebieskie oczy siostry, tak podobne do oczu mamy. Rzadko pozwalała sobie na myśli w rodzaju: Co się z nami stanie? Liczy się tylko dzień dzisiejszy, mówiła sobie i to dodawało jej ducha.

- Tak, mama i papa mieszkają w niebie w takim samym domu - zapewniła siostrę łagodnie.

- Ta mała złodziejka walnęła cię prosto w... w klejnoty!

Gideon oderwał wzrok od sali balowej w rezydencji lady Gilchrist, by zerknąć z ukosa na Kilmartina.

- Doprawdy, Laurie, nie musisz mi o tym przypominać.

- Na co polowała? Na zegarek?

- Na zegarek pradziadka. Złoty!

Prześladowały go oczy dziewczyny. Prócz strachu, dostrzegał w nich oburzenie, jakby próba zapobieżenia kradzieży cennej pamiątki rodzinnej była jawną bezczelnością z jego strony. Przez dobrych kilka godzin poruszał się z trudem. Pokręcił głową i się skrzywił. Kobiety! Cóż to za okrutne, niepojęte stwory!

Znów omiótł wzrokiem salę balową. W łagodnym świetle żyrandola szeregi tancerzy wiły się w szkockim reelu. Ten taniec zawsze wprawiał Gideona w zakłopotanie. Całe to klaskanie w ręce i wirowanie wokół własnej osi kłóciło się z postawą kogoś, kto miał grubo ponad sześć stóp wzrostu. Kiedy tylko mógł, wymigiwał się od tańca.

Jednak Constance reel sprawiał, jak się zdawało, wyjątkową przyjemność.

Czyżby dlatego, że jej partnerem był lord Jarvis? Jarvis, który posiadał już i tytuł, i majątek. I nie był ani trochę odrażający.

W gruncie rzeczy to całkiem sympatyczny mężczyzna, przyznał niechętnie Gideon.

Blondyn. Dobrze wychowany. Ogólnie rzecz biorąc, całkiem nieszkodliwy... gdyby nie to, że interesował się Constance.

Kilmartin spojrział w kierunku, w którym biegło posępne spojrzenie przyjaciela.

- Constance, czyli „stałość” - rozważał półgłosem. - Nie najlepiej dobrane imię, jeśli się nad tym zastanowić. Nie wygląda w tej chwili na zbyt stałą w uczuciach, nieprawdaż?

- Czyżbyś próbował mnie pocieszyć, Laurie? Jeśli tak, to wolałbym, żebyś dał temu spokój.

Kilmartin współczująco pokręcił głową i obaj przyglądali się w milczeniu tańczącym parom.

- Co też Constance w nim widzi?! - spytał wreszcie Gideon.

- Oprócz pieniędzy, tytułu i kilku posiadłości?

Gideon z wolna obrócił się ku przyjacielowi. Na jego twarzy malowało się osłupienie.

- Przepraszam, stary! - dodał pośpiesznie Kilmartin. - To też nie zabrzmiało pocieszająco, nieprawdaż?

Gideon w odpowiedzi uniósł tylko brew i powrócił do obserwowania Constance.

- Przynajmniej dziś tańczę z nią wszystkie walce... oprócz dwóch. Kilmartin westchnął.

- Gideonie, jako przyjaciel powinienem cię ostrzec. Twój dar konwersacji wyraźnie zanika ostatnimi czasy! Nie potrafisz już rozmawiać o niczym innym prócz pracy i Constance. A byłeś kiedyś taki zabawny!

- Zabawny?! - zdumiał się Gideon. - Nigdy nie byłem zabawny!

- Właśnie, że byłeś - stwierdził stanowczo Kilmartin. - Pamiętasz, jak wpakowałeś jaszczurkę Cunningtonowi do łóżka? Albo jak schowałeś wszystkim buty? A te wyścigi na mułach? Albo... Cóż za urocze wspomnienie! Tamten wieczór z baletnicami?

Ach, ten wieczór z baletnicami... Gideon pamiętał tylko ogromne ilości szampana i chichot dziewcząt, a potem gonitwę wokół kanapy i bardzo satysfakcjonujący finał na tymże meblu. Uśmiechnął się do siebie. Ten leniwy, słodki, niebezpieczny uśmiech potrafił sprawić, że trzepotały wszystkie wachlarze i rzęsy na sali balowej.

Kilmartin miał rację. Nic, tylko praca i Constance! Jego genialny plan zaczynał przypominać niekończące się strome, marmurowe schody. Ale na ich szczycie jaśniała Constance - jak gwiazda przewodnia. Co takiego, do jasnej cholery, szeptał teraz do niej Jarvis, że się tak zaśmiewała?! Jak można bawić się aż tak dobrze podczas szkockiego reela?

- Rozumiem twój punkt widzenia, Laurie, ale... spójrz tylko na nią!

Kilmartin posłusznie spojrział na Constance. Jak zwykle, jej suknia stanowiła ostatni krzyk mody. Pastelowa, powiewna, ze śmiałym dekoltem, trzymała się na ramionach jedynie dzięki wąskim paskom materiału. Constance - wysoka, złotowłosa, o mlecznej cerze - zaćmiewała wszystkich na sali, królowała jak słońce w zenicie.

Spoglądając na nią, Gideon często miał niepokojące wrażenie, że jest Ikarem.

- Żebyś nie wiem co mówił, Gideonie, ona mnie raczej zatrzaża - brzmiał cichy komentarz Kilmartina. - Jest taka... taka... niezwykle...

Ugrzązł na dobre, jak wóz w błocie.

- Dokładnie to samo usiłuję ci powiedzieć! - stwierdził Gideon z satysfakcją.

Wreszcie złota główka Constance pochyliła się w wytwornym ukłonie i lord Jarvis odprowadził damę na miejsce. Twarz mu pałała z dumy i ze zmęczenia. Wiele głów odwracało się za nimi. A kiedy Jarvis złożył ostatni ukłon i się oddalił, na horyzoncie pojawiły się trzy młode damy i otoczyły Constance. Damy dworu, jak je po cichu nazywali Gideon i Kilmartin. Krążyły wokół Constance niczym trzy księżycy, jakby sama natura stworzyła je do tego.

Kilmartin ruszył na poszukiwanie lady Anne Clapham. Zaraz jednak zatrzymał się i odwrócił. Rozważał coś głęboko.

- Wiesz, Gideonie, czego Constance naprawdę potrzeba? Rywalki! Jakiejś egzotycznej piękności, na tyle oryginalnej, że mogłaby ją pokonać w tej salonowej grze. To stanowczo zwiększyłyby twoje szanse!

Gideon parsknął niewesołym śmiechem.

- Jaka szkoda, że nie ma na świecie takiej istoty!

Kiedy nadeszła pora walca, Gideon poprowadził Constance. A może to ona jego poprowadziła? Niekiedy trudno dostrzec, jak się sprawy naprawdę mają! W każdym razie ruszyli wokół sali. Płynęła, niczym poły-skujący złotem galeon. Był świadom tego, że wszystkie oczy ich śledzą. Stanowili dobraną parę i Gideon wiedział, że ten taniec sprawia Constance tyle samo przyjemności, co jemu.

- Czy bardzo cię znudzę, jeśli powiem, że prześlicznie dziś wyglądasz, Constance?

Wymówił jej imię z pewnością siebie szczęśliwego posiadacza. Ciekawe, czy i Jarvis dostąpił już zaszczytu mówienia jej po imieniu?

- O, komplementy nigdy mnie nie nudzą, Gideonie.

- Ale przez cały wieczór wszyscy bez wątpienia powtarzają ci to samo, co ja!

- Ale nikt nie potrafi tego ująć tak zręcznie jak ty!

Odrzuciła główkę do tyłu i zerknęła na niego kokieteryjnie spod opuszczonych rzęs.

Gideon wyczuł wyzwanie w jej głosie i stawił mu czoło.

- No cóż... Stać mnie chyba na nieco bardziej oryginalny komplement - powiedział z uśmiechem. - Może coś w rodzaju: twoje oczy mają barwę nieba nad wrzosowiskiem, gdy zapada zimowy zmierzch...

Zbyt późno uprzytomnił sobie, że Constance nie lubi poetyckich metafor. Zawsze wołała to, co wyraźne i łatwo uchwytnie. Za jej anielską buzią kryła się konkretnie myśląca osóbką.

- Doprawdy, Gideonie, wrzosowiska?! Cóż za wymyślne porównanie! Powiedz mi lepiej coś miłego o mojej nowej kreacji. Ja jedna mam dziś na sobie suknię najmodniejszego kroju. Kosztowało mnie to wiele trudu, zapewniam cię!

- Ty jedna? To doprawdy imponujące osiągnięcie! Jak zdołałaś tego dokonać?

Constance zniżyła konspiracyjnie głos.

- Musiałam przekupić większość krawcowych, które szyją dla dam z naszej sfery! - Zachichotała triumfalnie. - I wszystko szło jak po maśle, póki się nie dowiedziałam, że panna Fortescue zamówiła sobie taką samą

toaletę jak ja! Powiedziałam jej więc: „Panno Fortescue, ma pani takie ślicznie zaokrąglone ramiona... ten nowy krój rękawa wcale by do nich nie pasował! Czy bufki nie byłyby znacznie odpowiedniejsze?” Wycofała oczywiście zamówienie. I założę się, że będzie paradować w bufkach do końca życia!

Gideon spoglądał na Constance nieco oszołomiony, co mu się często zdarzało w jej obecności. Traktowała sprawy stroju niezwykle poważnie.

- To musi być ogromna odpowiedzialność, wieść prym w dziedzinie mody wśród wszystkich młodych dam z towarzystwa, Constance - podział pół żartem, pół serio.

- Oczywiście! - odparła z całą powagą. - Ale bardzo ważne jest i to, żeby wygrać!

Gideon nie mógł zaprotestować. Przecież całe jego życie polegało na wygrywaniu! Nie zniżył się jeszcze do przekupywania krawcowych, ale kto wie, do czego byłby zdolny w niesprzyjających okolicznościach?

- No cóż... żadna inna młoda dama nie potrafi tak wspaniale jak ty uwydatnić zalet stroju. Ta suknia jest niezrównana!

Constance wydawała się dość zadowolona z komplementu, choć Gideon miał wrażenie, że powiedział jej tylko to, o czym sama dobrze wiedziała. Zaczął się głowić nad dalszymi komplementami, gdyż one były rękojmnią, iż rozmowa z Constance będzie przebiegała gładko. Przy odrobinie wysiłku zdoła może poruszyć także inne tematy.

- Jak się czuje twój stryj, Gideonie? - spytała nieoczekiwanie.

Jej pytanie go rozbroiło. Był wzruszony.

- Obawiam się, że nie najlepiej. Jak zwykle.

Milczała przez chwilę.

- Choruje od tak dawna... Można by pomyśleć, że będzie tak cierpiał w nieskończoność!

I nagle poczuł ukłucie w sercu. Nawiedziło go niemiłe podejrzenie.

„Może Constance chciałaby zdobyć utytułowanego męża, zanim się zestarzeje?” Tak powiedział Kilmartin.

- Stryj Edward w każdej chwili może umrzeć.

Był tak zbity z tropu, że wypowiedział te słowa bardziej sucho, niż zamierzał.

Constance nieco się rozchmurzyła.

- To doprawdy szkoda, że nie możesz w pełni cieszyć się swoją posiadłością. Mój papa zawsze podziwiał Aster Park.

Gideon doskonale wiedział, że to prawda. Wszyscy zachwycali się Aster Park, a zwłaszcza Constance. Pamiętał, jak szli obok siebie podczas jej pierwszych - i jak dotąd jedynych - odwiedzin w posiadłości, kiedy Kilmartin zdołał go namówić, by wydał tam przyjęcie. Constance prowadziła z nim lekką konwersację, ale taksowała wzrokiem każdą różę, każdy posąg. Nawet kuchenny warzywnik, a co dopiero sztuczne jezioro, fontanny, labirynty i drzewa! Oceniała je chłodnym, krytycznym spojrzeniem Wellingtona, dokonującego przeglądu regimentów. A Gideon dostrzegał w jej wzroku coraz większą chęć posiadania.

- Zawsze jednak byłam zdania, że te wysokie drzewa z Ameryki powinny być sadzone w większym porządku, a nie w takich wielkich kępach! Wiesz, Gideonie, mam wrażenie, że rozwinie się we mnie prawdziwe zamiłowanie do ogrodnictwa!

Wielkie kępy?

- Nie zdziwię się, jeśli ogrodnictwo okaże się jednym z twoich licznych talentów, Constance.

Roześmiała się na te słowa.

- Teraz sobie ze mnie żartujesz! Powiedz, wygrałeś dziś znowu w sądzie?

- Oczywiście.

Uśmiechnął się uspokajająco.

- I dostaniesz za to mnóstwo pieniędzy?

Constance nie miała większego zrozumienia dla subtelności systemu prawnego, co tym razem było Gideonowi bardzo na rękę.

- O, nie mogę się skarżyć - rzucił lekko. Nie było to właściwie kłamstwo. - Prawdę mówiąc... myślałem o kupnie domu przy Grosvenor Square. Tego na rogu.

- Och! - Szare oczy Constance się rozszerzyły. - Ale zdaje się, że Malcolm... to znaczy lord Jarvis, też jest nim zainteresowany... więc...

Gideon przyglądał się, jak rumieniec oblewa twarz Constance aż po brwi, gdy zorientowała się, ile mu niechący wypaplała.

Niech to szlag! A więc to już dla niej Malcolm?! Wyglądało na to, że wipy w księdze zakładów nie odbiegają zbyt od prawdy!

Skrzypce i wiolonczele odezwały się nieco głośniej, jakby podkreślały subtelnie moment pełen napięcia.

- Nie dziwię się, że lord Jarvis może być zainteresowany. Gideon wybrnął wreszcie gładko z przykrego milczenia. - To doprawdy piękny dom!

- O tak! - przytaknęła szybko Constance. - Zawsze myślałam, że to mógłby być cudowny prezent ślubny dla jakiejś szczęśliwej oblubienicy.

I roześmiała się dziewczęcym, jakby nieco zdyszonym śmiechem. Jej słowa miały wszakże jednoznaczną wymowę. Rękawica została rzucona. Gideon przyjął wyzwanie do wiadomości. Twarz mu nawet nie drgnęła, poczuł skurcz w żołądku i zamęt w myślach.

- Będiesz za mną tęsknił, kiedy wyjadę na wieś?

Constance zalotnie przechyliła główkę na bok.

Gideon wiedział, że się nie wymiga komplementami. Trzeba było obmyślić całą strategię. Jego prawniczy umysł pośpiesznie uporządkował fakty. Constance zawsze pragnęła tylko tego, co najlepsze. I najwyraźniej doszła do wniosku, że Jarvis ma jej do zaoferowania równie wiele, a może i więcej niż Gideon Cole.

Ale dlaczego lady Constance Clary niezmiennie pragnęła tego, co najlepsze? Ponieważ nie tylko bardzo lubiła wygrywać, ale po prostu musiała to robić. Przecież zawsze wygrywała! Kilmartin miał całkowitą słuszość - nie posiadając tytułu ani majątku, Gideon powinien koniecznie postarać się o godną rywalkę dla Constance. I to szybko! Taką, która zdołałaby ją przekonać, iż tylko o jedno warto walczyć. O Gideona Cole'a.

A jeśli owa rywalka nie zechce sama spaść z nieba? W takim razie Gideon musi ją wyczarować!

Rozejrzał się po sali i zauważył Kilmartina, przepływającego obok nich w ramionach lady Anne Clapham. Na jego twarzy - jak zawsze w takich okolicznościach - gościł wyraz błęgiego rozmarzenia. Dziwiło to nieco Gideona. W towarzystwie Constance odczuwał zawsze przyływ energii. Podziw, niepewność - te emocje budziły w nim czujność i potęgowały napięcie.

- Wybacz chwilę roztargnienia, Constance. Zobaczyłem Kilmartina i przypomniałem sobie, że ma kuzynkę, z którą chciałby mnie poznać.

- Kuzynkę?

W głosie Constance słyhać było niedowierzenie. To ona jako pierwsza oceniała nowych przybyszów. Jakim więc sposobem Kilmartin może mieć kuzynkę, o której jeszcze nie słyszała?

- Tak, kuzynkę. Nie pamiętam jej imienia... - Gideon z całym rozmysłem zawiesił głos i spojrział gdzieś w bok. Palce Constance zacisnęły się na jego ręce. Teraz już drżała z ciekawości!

Gideon znowu na nią spojrział.

- Ale oczywiście będę za tobą tęsknił, kiedy wyjedziesz, Constance.

I, rzecz jasna, pod jej nieobecność zadatkuje ten dom przy Grosvenor Square!

Walc już się kończył i Gideon spojrział Constance przeciągle w oczy. Pojawiła się w nim odrobina niepewności. Skłonił się, długo ścisnął jej dłonie i niechętnie ją puścił.

Przemyśl to sobie, Constance! Byłem żołnierzem, a teraz jestem adwokatem. Potrafię wygrywać!

2

Lily nie miała ustalonej opinii na temat tęgich mężczyzn. Co prawda przeważnie stanowili dla niej dobrą zwierzynę, jako że poruszali się wolniej. Niekiedy jednak ich ubrania bywały przyciasne i wsunięcie im ręki do kieszeni stanowiło nie lada problem.

Jednakże ten potężnie zbudowany mężczyzna, na którego Lily miała oko, przedstawiał się bardzo obiecująco. Gałka laski, którą zaciskał w pięści, wyglądała na złotą, a jego ubranie - a przynajmniej surdut i spodnie - było znakomicie uszyte i z pewnością nie za ciasne. A co najważniejsze, z kieszeni surduta zwisał obiecująco łańcuszek. Zegarek! Jeśli go zdobędzie, w pełni wynagrodzi jej to wczorajsze niepowodzenie.

Suknia Lily od dawna spłowiwała, miała teraz kolor pośredni między szarością a brązem. Było to pomocne, jeśli dziewczyna chciała wtopić się w tłum lub zniknąć w cieniu. Przeciskała się z pochyloną głową przez ciżbę do upatrzonej ofiary, póki nie znalazła się tak blisko, że mogła sięgnąć grubasowi do kieszeni. Serce biło jej gwałtownie, gdy wyciągała rękę. Dłonie zniknęła w jego ubraniu i zamknęła się na rozkosznie gładkiej, metalowej kopercie zegarka. Dotyk Lily był

fachowy, prawie niewyczuwalny, lekki jak powiew wietrzyka.

A potem...

Potem wydarzenia potoczyły się z niezwykłą szybkością.

Ktoś w tłumie potknął się i zaklął, potrącając przy tym grubasa. Ten zachwiał się na nogach i rzucił jakieś przekleństwo. Stąpnął niezgrabnie, chcąc odzyskać równowagę i popatrzył w dół...

Dokładnie w chwili, gdy Lily wyciągała rękę z jego kieszeni.

Palce tłuściocha zacisnęły się na ramieniu dziewczyny.

- Co ty wyrabiasz, u diabła?!

Ścisnął ją tak mocno, że krzyknęła z bólu. Jej dłoń sama się otworzyła, śliczny zegarek wypadł z niej i potoczył się po ziemi, połyskując w słońcu, grubas schylił się, żeby go podnieść. Pociągnął Lily za sobą; jego chwyt bynajmniej nie zelżał. Usiłowała się wyrwać i wierzgała nogami, ale było jasne, że mężczyzna bynajmniej nie zamierza jej puścić.

Z przerażenia zabrakło jej tchu.

Boże, ratuj! - modliła się w duchu. Potem zaś, całkiem bez sensu, przyszło jej na myśl dziecięce zakłęcie: „Pani Smythe, czy mam teraz zamieść podłogę?”

Za niespełna godzinę, dzięki trzydziestu funtom pana Wesleya, Gideon miał zostać właścicielem domu na rogu Grosvenor Square. Spojrzał na zegarek i przyspieszył kroku, jakby Jarvis już pędził z drugiego końca miasta, by w ostatniej chwili go w tym ubiec. Radca prawny właściciela nieruchomości zapewniał Gideona, że coś podobnego absolutnie mu nie grozi, a jednak...

Potężny ryk, a potem stek przekleństw sprawiły, że adwokat się zatrzymał. Dobry Boże, cóż za harmider! Gideon przepchnął się przez tłum, by zbadać przyczynę zamieszania. Coś, a raczej ktoś miotał się w uścisku potężnego grubasa, ten zaś wrzeszczał, ile wlezie.

Zwykła ciekawość i jakieś niepojęte przecucie kazały Gideonowi podejść jeszcze bliżej. Powiewająca na wietrze obszarpana spódnica wskazywała wyraźnie, że jeńcem grubasa jest kobieta. Niewysoka i drobnej budowy.

- Hej tam, o co tyle zamieszania? - spytał ostrym prawniczym tonem.

- Ta dziewczucha chciała mi ukraść zegarek! - ryknął z oburzeniem olbrzymi tłuścioch.

Dziewczyna nadal szamotała się rozpaczliwie, tak że trudno było jej się przyjrzeć. Grubas nie puszczał jej, jakby miał imadła zamiast rąk. W końcu złodziejka przestała się wrywać i tylko ciężko dyszała. W pewnej chwili spojrzała prosto na Gideona.

Dobry Boże! Te oczy... To była dziewczyna, która wczoraj próbowała go okraść!

- Stanowczo powinnaś zmienić fach - zwrócił się do niej oschłym tonem. - Wyraźnie się do tego nie nadajesz.

Wykrzywiła się tylko w odpowiedzi i znów próbowała kopnąć swego pogromcę. Niestety, dostępu do najwrażliwszych części ciała broniły zwały sadła. Olbrzymi grubas bez wysiłku trzymał ją w bezpiecznej odległości i potrząsał nią z całej siły jak terier, gdy pochwyci szczura.

Wściekłość sprawiła, że Gideonowi pociemniało w oczach. Dziewczyna mogła być złodziejką, ale ten osiłek, dwukrotnie od niej większy, z rozmysłem starał się wyrządzić jej krzywdę.

- Puść ją! - zawołał impulsywnie. - Więcej tego nie zrobi!

- Puścić ją? - zdumiał się tamten. - Nie ma mowy! To zegarek po dziadku! Newgate to jedyne miejsce dla takiej zarazy. Raz-dwa ją tam zaciągnę!

- Bardzo współczuję, ale doprawdy...

- Trzeba toto oduczyć złodziejstwa! - ryknął grubas, zapalając się na nowo.

Potrząsał dziewczyną. Głowa jej odskakiwała to w tył, to do przodu, jak u szmacianej lalki.

Gideon poczuł w gardle piekący, metaliczny smak. Wściekłość sprawiła, że na całym ciele wystąpiła mu gęsia skórka, płuca się zacisnęły, oddech stał się płytki. Z jaką rozkoszą trzasnąłby tego bydlaka w szczękę i powalił go na ziemię!

Ale przecież nie załatwiał już w ten sposób swoich porachunków.

- Dam ci pięć funtów, jeśli ją puścisz - powiedział obojętnym, pozabawionym wyrazu głosem.

Tamten na chwilę znieruchomiał, zaskoczony propozycją. Nadal jednak trzymał dziewczynę mocno za ramię. Jeszcze raz, bez przekonania, próbowała się wyrwać, ale skrzywiła się tylko z bólu.

Gideon nie mógł tego znieść.

- Nie, panie szanowny - odparł osiłek. - Nie wiem, czego pan od niej chcesz, ale dziewczucha pójdzie do więzienia. Ja to panu mówię!

- Dziesięć funtów!
- Za żadne pieniądze!
- Nawet za trzydzieści funtów?

Zapadło pełne napięcia milczenie. Olbrzymi grubas przez chwilę spoglądał na Gideona ze zdumieniem.

Odmów, do licha! - prosił go w duchu Gideon. Machnij ręką na moje szaleństwo, a będę mógł pójść swoją drogą!

- A masz pan tyle? - spytał zamiast tego tłuścioch.

Gideon spojrział na dziewczynę. Oddychała z trudem, przymknięte powieki lekko drgały. Chudziutkie ramię, pokryte zniszczoną sukienką, nosiło z pewnością ślady grubych paluchów osiłka. Powoli, jak w transie, Gideon wyciągnął z kieszeni bezcenne trzydzieści funtów.

Wielki grubas wyrwał mu pieniądze z ręki i popchnął dziewczynę prosto na niego.

- Za taką forszę rób pan z nią, co chcesz!
- I odszedł.

Kiedy Kilmartin otworzył drzwi mieszkania, ujrzał na progu Gideona Cole'a z twarzą jak gradowa chmura. Przyjaciel trzymał za ramię brudną, chudą dziewczynę.

- Możesz mi pogratulować, Laurie. Wygląda na to, że dorobiłem się złodziejki.

- Co u...! Coś ty...? - jękał się Kilmartin, gdy Gideon przepchnął się obok niego i wszedł do wnętrza, ciągnąc za sobą dziewczynę.

Gideon posadził energicznie złodziejkę na jednym z krzeseł w saloniku przyjaciela.

- Nie waż się stąd ruszać! - przykazał jej groźnie.

Spojrziała na niego z jawną wrogością, ale zastygła w bezruchu. Tylko pierś jej się wznosiła i opadała w szybkim oddechu. Głowę miała uniesioną, plecy wyprostowane. Dumna, jak na złodziejkę!

- Naprawdę! Kupiłem ją za trzydzieści funtów - Gideon zwrócił się znów do Kilmartina i parsknął nieco histerycznym śmiechem.

- Próbowala zwiędzić zegarek jakiemuś grubasowi. Uparł się, żeby ją zaciągnąć do Newgate. Dałem mu trzydzieści funtów, żeby zamiast tego oddał ją mnie. A na domiar złego... Uśmiejesz się, Kilmartin! To ta sama dziewczucha, która wczoraj omal mnie nie okradła!

- Ależ Gideonie - odezwał się Kilmartin łagodnym głosem, jakby mówił do szaleńca. - Dlaczego to zrobiłeś?

Gideon zdarł z głowy kapelusz i przegarnął nerwowo włosy.

- O Boże, żeby to ja wiedział! To był... impuls. Rozwścieczyło mnie, że ten olbrzym trzęsie dziewczuszką, która w żaden sposób nie może się obronić.

- Przecież to złodziejka - perswadował Kilmartin, siląc się na cierpliwość. - A ty jesteś prawnikiem!

- Wiem! - jęknął Gideon.

- Dlaczego po prostu nie dałeś mu po głębie?

- Skończyłem z tym raz na zawsze, Laurie!

- I dlatego obroniłeś ją i przyprowadziłeś do mojego mieszkania? Z pewnością ma pchły albo jakieś inne robactwo... Rozpełźnie mi się to po pokoju!

- Daj spokój, Kilmartin! Twoje mieszkanie tylko się ożywi, jeśli za gości tu kilka pcheł!

Kącikiem oka Gideon dostrzegł, że usta dziewczyny zadrgały lekko. Odwrócił się błyskawicznie, ale miała już twarz bez wyrazu. Może mu się tylko zdawało?

Obaj obserwowali teraz złodziejkę. Wielkimi oczami rozglądała się po pokoju.

- Zastanawiasz się, ile by ci dali za świeczniki? - warknął Gideon. Spojrzała na niego z poczuciem winy. A przynajmniej tak mu się zdawało. Po czym znów zapatrzyła się w przestrzeń. Ręce miała złożone na podołku. Gideon znowu ujrzał ogromną łapę, zaciśniętą na chudziutkim ramieniu. Z pewnością ma siniaki! Łagodniejszym już tonem spytał: - Zrobił ci krzywdę? Bardzo boli?

Oczy złodziejki rozszerzyły się ze zdumienia. Pokręciła przecząco głową.

- Wypuść ją po prostu jak schwytanego szczura! - podsunął Kilmartin z nadzieją w głosie.

- Kosztowała mnie trzydzieści funtów. Zostałem bez grosza. A za-
perzałem kupić ten dom przy Grosvenor Square! Miałem nadzieję, że to
będzie ślubny prezent.

Gideon rzucił się na kanapę i wyciągnął się na niej, bezsilny i pełen
gniewu.

- Może zamiast tego ofiarujesz Constance tę złodziejkę?

- Bardzo zabawne, Laurie! Wiesz, co mam teraz do zaoferowania
Constance? Dosłownie nic!

- A ja myślałem, że Constance kocha cię bezinteresownie, za przy-
mioty twego ducha!

Gideon cisnął w niego kapeluszem, Kilmartin się uchylił.

- Dobrze wiesz, że pożyczylbym ci pieniędzy, gdybym tylko mógł.
Niestety, ojciec nadal kontroluje każdy wydany przeze mnie grosz!

- Wiem, że pożyczylbyś mi, Laurie. I jestem ci za to wdzięczny Ale
nigdy bym cię nie prosił o pieniądze. Muszę je zdobyć sam!

- Samodzielność jest diabelnie przeceniana, mój stary!

- Myśl, co chcesz, Laurie. - Nastąpiła chwila ciszy. Gideon
w zamyśleniu zginał i prostował kolano. - Może znajdziemy dla tej
dziewczyny jakieś zajęcie...

- Czy ona w ogóle mówi?

- Dotąd nie wypowiedziała ani słowa. Zastanawiałem się już, czy to
niemowa. W każdym razie całkiem dobrze rozumie po angielsku.

- Ach tak? Kupiłeś zatem niemą złodziejkę! Muszę przyznać, że nie
uwzględniłem tego za najlepszą inwestycję.

Kilmartin podszedł do dziewczyny i zajrzał jej w twarz. Rzuciła mu
mordercze spojrzenie. Zaskoczony odsunął się pośpiesznie.

- Dobry Boże, Gideonie! Ależ z niej ślicznotka! Spójrz na te oczy.
Niesamowicie piękne, słowo daje! Nie miałeś chyba żadnych... niesto-
sownych zamiarów, kiedy ją kupowałeś?

Kilmartin odwrócił się do przyjaciela, trochę zaniepokojony
i zaintrygowany jednocześnie.

- Na litość boską! - Gideon był zdegustowany takim podejrzeniem.

- Lepiej nie przysuwaj się do niej zbyt blisko. Ona kopie!

- Potrafię też ugryźć, jeśli ktoś mnie sprowokuje!

Obaj na nią spojrzeli.

Przemówiła!

Zaskoczył ich nie tylko fakt, że potrafiła mówić... ale jej głos. Niski, śpiewny, aksamitny, niepodobny do żadnego innego, jaki Gideon kiedykolwiek słyszał. Jego brzmienie przyprawiło go o rozkoszny dreszcz, zupełnie jak pieszczotliwe muśnięcie karku językiem albo leciutkie przeciągnięcie paznokciami po plecach. Wypowiedziane takim głosem słowa „potrafię też ugryźć” miały posmak nie tyle pogroźki, co miłosnej obietnicy.

Gideon musiał odchrząknąć, zanim udało mu się coś powiedzieć.

- A więc umiesz mówić - zdołał wreszcie wykrztusić. - Dlaczego nie odzywałaś się do tej pory?

- Może nie byłam w nastroju?

Skrzyżowała ramiona na piersi nieco wyzywającym gestem.

Bezczelna dziewczucha! Ale ten głos... Nie było nic w jego tembrze ani w sposobie mówienia, co świadczyłoby o tym, że mówiąca jest dzieckiem londyńskiej ulicy. Tak przemawia nie tylko dorosła kobieta, ale dama! Znacznie bardziej zasługiwała na określenie „prawdziwej damy” niż większość panienek, hasających beztrudno na balach i przyjęciach, wydawanych przez śmietankę towarzyską.

- Kim jesteś? - dopytywał się Gideon. - Jak ci na imię?

Skrzyżowane ramiona nadal osłaniały jej pierś. Nie odezwała się. Jej spojrzenie było w dalszym ciągu posępne.

- Jeśli natychmiast nie powiesz, jak się nazywasz, będę się do ciebie zwracał w sposób, który z pewnością nie przypadnie ci do gustu!

- Z jakiej racji miałabym wyjawiać wam cokolwiek? - syknęła.

- Z takiej, panno Jak-ci-tam, że mogę cię wtrącić na resztę życia do Newgate, jeśli nie będziesz posłuszna. Kosztowałaś mnie trzydzieści funtów!

Dziewczyna przyglądała mu się uważnie. Można było dostrzec gołym okiem, jak niespokojnie bije tętno u podstawy jej szyi. Po chwili wyraz jej twarzy uległ pewnej zmianie. Widać potraktowała jego groźbę poważnie.

- Mam na imię Lily - odparła niechętnie.

Obaj przyjaciele milczeli. Gideon zastanawiał się, czy Laurie myśli to samo co on? Zdumiewające, jak imię „Lily” pasowało do niej, choć była brudna i obdarta!

- A nazwisko, Lily? Może nie wiesz, kto był twoim ojcem?

Zrobiła wściekłą minę.

- A pan wie, kto był pańskim ojcem, panie...?

- Cole. Oczywiście, że wiem.

- Spytałam - wycedziła Lily, pochylając się ku niemu jak w poważnej dyspucie - bo nigdy dotąd nie słyszałam o sukinsynu, który by znał swojego ojca!

Gideon usłyszał, jak Kilmartin gwałtownie wciąga powietrze. Poczul, że sam oblewa się rumieńcem. Lily odchyliła się na oparcie krzesła, wyraźnie zachwycona efektem, jaki wywarła zniewaga.

- Panno... ? - ponaglił ją łagodnie Gideon.

- Masters - poinformowała go niechętnie.

- Panno Masters, mniemam, iż nie docenia pani różnorodnych aspektów swojej obecnej sytuacji. Rozumie pani wszystko, co mówię, nieprawdaż? Każde słowo?

Nie starał się nawet ukryć ironii.

Lily spojrzała nań z nienawiścią.

- Przeciętny złodziej kieszonkowy nie zrozumiałby tego.

- Ale ja - stwierdziła Lily z naciskiem - nie jestem przeciętna!

- Bravo! - mruknął Kilmartin.

Gideon się odwrócił i spiorunował go wzrokiem, zanim poświęcił znów całą uwagę Lily.

- Jest pani wyjątkowo niezręczną złodziejką, panno Masters.

- Jestem wyjątkowo zręczną złodziejką, panie Cole!

- Została pani przyłapana na gorącym uczynku dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni. Nie ma się czym chwalić!

- Panie Cole, był pan kiedyś w wojsku? - spytała ze zniecierpliwieniem.

Gideon był zaskoczony tym pytaniem. Ciekaw, do czego dziewczyna zmierza, odparł szczerze:

- Tak.

- Gdyby nie trafił pan do tarczy dwukrotnie na sto strzałów, czy uważałby pan siebie za niezręcznego strzelca?

Kilmartin parsknął śmiechem, pełen uznania. Gideon groźnym spojrzeniem przywołał go do porządku.

- A zatem... - głos Gideona był wręcz jedwabisty - przyznaje się pani do popełnienia przynajmniej stu kradzieży, panno Masters?

To uciszyło Lily.

- Jestem prawnikiem, panno Masters. Występuję w sądzie.
Rozumie pani, co to oznacza?

- Że dręczy pan biedaków?

- Że posyłam do więzienia tych, którzy łamią prawo.

Złodziejka znów zamilkła.

- Gdzie pani mieszka, panno Masters? I dlaczego pani okrada ludzi?

- Mieszkam w St. Giles. To musi panu wystarczyć!

- Przecież mogłaby pani znaleźć sobie inną pracę. Choćby jako pomywaczka!

Chwila milczenia. Lily odwróciła wzrok.

- Mam swoje powody.

Gideon przyglądał się jej uważnie.

- Wyraża się pani wytwornie... Jak na złodziejkę, ma się rozumieć -
dodał. - Skąd ta umiejętność?

Odwróciła się od niego ze zniecierpliwieniem.

- Czy to pański interes?!

- Moje trzydzieści funtów sprawia, że wszystko, co dotyczy pani,
panno Masters, to mój interes! Czy pani matka miała kochanka z wyż-
szych sfer?

- Moja matka - syknęła Lily przez zaciśnięte zęby - była damą!

- Damą, powiada pani? - Głos Gideona ociekał sceptycyzmem. -
Bez wątplenia, nie byłaby z pani specjalnie dumna w tej chwili!

Twarz jej spochmurniała.

- Nie byłaby ze mnie dumna - odparła cicho.

W pokoju zapadło milczenie. Gideon spoglądał na Lily
w zamyśleniu, wystukując jakiś rytm palcami na udzie. Nagle przyszedł
mu do głowy pewien zabawny pomysł. Podał się tej pokusie.

- *Parlez-vous francais?* - burknął.

Kilmartin aż podskoczył.

- *Je parle francais un petit peu.*

Lily najwyraźniej zaskoczyły pytanie i własna automatyczna odpo-
wiedź.

Francuskie słowa wymawiane niskim, aksamitnym głosem Lily
brzmiały wprost urzekająco. Gideon i Kilmartin utkwili w niej oglupiałe
spojrzenia.

Dziewczyna wyrażała się wytwornie, liznęła nawet trochę francuskiego... Jakie inne właściwe damom talenty kryły się pod maską dzikuski? Gideon był - wbrew woli - coraz bardziej zafascynowany. Wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę. Potem zaś...

- Kilmartin! - Sam wyczuwał w swoim głosie zapowiedź czegoś niezwykłego. - Mam pomysł!

Kilmartin był wyraźnie zaniepokojony.

- Moim zdaniem wszystkie te twoje... To z pewnością nie najlepszy pomysł!

- Nie, nie, zaczekaj chwilkę! Posłuchaj, o co mi chodzi. Panno Masters, czy pani umie czytać?

- Oczywiście.

Dziewczyna znów uniosła dumnie głowę. Ależ była drażliwa! Zupełnie jakby nie ulegało wątpliwości, że ona, złodziejka, potrafi czytać!

- A tańczyć?

Prychnęła pogardliwie.

- Zakładam, że to znaczy „nie”. Ile pani ma lat? Czy pani to wie? Odwróciła wzrok.

- Przecież to chyba nie tajemnica, panno Masters!

- Dwadzieścia - odparła niechętnie.

Gideon przyglądał się jej uważnie. Niezwykle piękne oczy, wrażliwe usta w kształcie różowego serduszka... Choć wydawało się to nieprawdopodobne, Lily Masters mogła być wcale ponętna pod powłoką tych podartych łachmanów i brudu! Jej włosy, byle jak upięte, wydawały się gęste. Pod okropną spłowiałą kiecką nie mógł ocenić jej figury, bez wątplenia jednak była smukła. A na dodatek ten głos! Dobry Boże! Ten kontrast pomiędzy eteryczną sylwetką i głosem stworzonym dla kurtyzany mógł zwalić z nóg! Towarzystwo - Gideon był tego pewien - z pewnością nie znało nikogo podobnego do niej! Wyrażała się jak dama, znała nawet nieco francuski. Miała poczucie humoru i wiedziała, co to duma...

Nie, to szaleństwo! Ta dziewczyna była złodziejką, okradała nierozważnych przechodniów. Sama się do tego przyznała. Nie może przecież wpuścić lisa pomiędzy kury! A jednak to mogło się udać... Gideon miał niewiele do stracenia, a ileż mógłby zyskać! W pewnym sensie odzyskałby także te trzydzieści funtów.

Czuł, jak w jego wnętrzu kipi i rośnie coś, co ukrywało się tam od lat - upodobanie do ryzyka. Pewnie tkwiło w nim przez te wszystkie lata jak jedna z tropikalnych chorób, które drzemią utajone, by nagle wybuchnąć z całą siłą.

Okazuje się, że jest nieodrodnym synem swojego ojca!

- Laurie - zaczął niewinnym tonem. - Czy pamiętasz, jak mówiłeś, że Constance przydałaby się rywalka? Ktoś tak oryginalny, że byłby w stanie ją zaćmić? I że to przechyliłoby szalę zwycięstwa na moją stronę?

Kilmartin zmarszczył czoło, zbity z tropu. A potem na jego twarzy odbiło się zrozumienie.

I prawie natychmiast przerodziło się w panikę.

- Nie, Gideonie! Nie, nie, i jeszcze raz nie! Całkiem oszalałeś! To nigdy się nie uda!

- Spójrz tylko na nią, Laurie! - odparł w podnieceniu Gideon. - To naprawdę może się udać. Kilka lekcji dobrych manier i wprowadzimy ją do towarzystwa jako twoją kuzynkę z prowincji. Nawiasem mówiąc, wspomniałem już Constance, że masz kuzynkę i chciałbyś, żebyśmy się poznali. Powiedziałem to ot tak, żeby ją zaintrygować. Moglibyśmy nauczyć tę dziewczynę tańca, wytwornego obejścia i tak dalej... Ukrylibyśmy ją w Aster Park, u stryja Edwarda, póki Constance będzie na wsi...

Kilmartin był przerażony.

- Ukradnie srebrną zastawę i będzie się gzić z lokajami!

Gideon spostrzegł z zainteresowaniem głęboki rumieniec na twarzy Lily. Odwróciła pośpiesznie głowę i robiła takie wrażenie, jakby coś twardego utkwili jej w przetyku. A zatem dobrze rozumie, co to znaczy „gzić się”!

- Służba mojego stryja jest zbyt wiekowa, by interesowały ją takie rozrywki - uspokoił przyjaciela. - A naszą gwiazdę sezonu tak obciążymy zajęciami, że nie będzie miała czasu ani siły na kradzieże. Powiadam ci, Laurie, szykuje się wspaniała zabawa! A już się skarżyłeś, że zrobił się ze mnie nudziarz! Ta dziewczyna musi się tylko dowiedzieć tego i owego o towarzystwie, by móc w nim występować... Powiedzmy, przez miesiąc. I przez cały czas będziemy ją mieli na oku. A potem, gdy Constance już skapituluje, a ja się szczęśliwie zaręczę, wypuścimy egzotycznego ptaszka. Niech wraca do swojej dżungli!

- Zdaje się, że jesteś w desperacji, Gideonie! - stwierdził żałośnie

Kilmartin.

- Wiesz, jakie to ma dla mnie znaczenie. Byłem już tak blisko celu! To przecież mój...

- Wiem, wiem. Twój genialny plan! Wobec tego, żeby wszystko było jasne: chcesz ulokować tę złodziejkę w domu stryja i pod nieobecność Constance podszkolić ją, a potem wprowadzić na salony jako moją kuzynkę. Constance ma być o nią zazdrosna i prosić cię na kolanach, żebyś się nią ożenił. A wówczas damy panie Masters klapsa w pupę i wypuścimy na wolność? Czy tak wygląda najnowsza wersja twego genialnego planu?

- Nic dodać, nic ująć.

- Nie!

To Lily zgłosiła tak gwałtowny sprzeciw.

- Ma pani do wyboru: albo maskarada, albo Newgate - odparł bez troski Gideon. - Chyba że bardziej pani odpowiada zesłanie do Australii? Tyle interesujących możliwości!

- Nie! Nie mogę... nie możecie... Zrozumcie! Mam siostrę!

Duma i zuchwałość znikły bez śladu. Była przerażona. Zdumiewająca metamorfoza!

Gideon skamieniał na dźwięk tych słów. „Mam siostrę!” Dobrze wiedział, co to znaczy. Na myśl o Helen ogarniały go zawsze wyrzuty sumienia i ogromny żal.

Kilmartin westchnął.

- Będzie ich aż dwie?!

- Ile lat ma pani siostra? - spytał łagodnie Gideon.

Chwila ciszy.

- Dziesięć.

Nie unikała jego wzroku, ale wypowiedziała te słowa z przymusem. Najwyraźniej nie chciała wyjawić niczego, co dotyczyło siostry. Próbowała ją ochronić.

- Zabierzemy pani siostrę i jeszcze dziś po południu wyruszymy do domu mojego stryja.

Oczy Lily zaczęły biegać po całym pokoju, jakby szukała ratunku. Jakiegokolwiek możliwości ucieczki z mieszkania Kilmartina.

- Nie radzę próbować, panno Masters. Jest mi pani winna trzydzieści funtów!

- Nie prosiłam, żeby mnie pan ratował! Tylko do siebie może pan mieć pretensję!

Gideon się uśmiechnął.

- A jednak uratowałem panią i jest pani moją dłużniczką. A może złodzieje nie mają za grosz honoru? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

Te słowa odniosły skutek. Czuł, że tak będzie! Uniosła dumnie głowę i się wyprostowała.

- Podejrzewam, że to pan niewiele wie o honorze, panie Cole!

- Będzie pani miała okazję się przekonać.

Kilmartin pokręcił głową.

- Całkiem zwariowałaś, stary!

- Ale pomożesz mi, Laurie?

- No pewnie! - odparł pogodnie Kilmartin. - To może być niezła zabawa!

3

O rany! Ale kawał chłopca! W sam raz na twojego pierwszego, kochanieńka! Jejku! Patrzcie tylko na niego! Skądś go wytrzasnęła?!

Przyjechali tu wynajętym powozem. Lily cały czas czuła na sobie uważny wzrok swego prześladowcy. Cole ścisnął ją za ramię nie boleśnie, ale zdecydowanie. W końcu znaleźli się przed pensjonatem pani Smythe. Fanny wychylała się z okna na górze, a biust wylewał się jej ze stanika.

- To ciężki przypadek! - odparła sąsiadce równie głośno Lily. - W ogóle mu nie staje. Kompletna katastrofa! A nazywa się, uważasz sobie, Gideon Cole. - Lily jeszcze bardziej podniosła głos, by mogło ją usłyszeć jak największe audytorium. - Gideon Cole!

Ze wszystkich stron głowy ciekawskich sąsiadów odwróciły się w stronę Gideona. Nawet ci, co spili się na umór, usiłowali się podnieść z rynsztoka.

Gideon rzucił Lily nieodgadnione spojrzenie. Była bardzo zadowolona z siebie.

- Och, biedaczek! - gruchała współczująco Fanny. - Wpadnij kiedyś do mnie, kochasiu! Zobaczysz, że się ruszy ten niemrawiec, kiedy sobie razem ostro pojeździmy! Chyba że wolisz chłopców? - podsunęła, pełna najlepszych chęci. - Mamy tu od groma ładnych chłopcusiów w St. Giles!

Lily nawet się nie starała ukryć uśmiechu.

- Doprawdy taka katastrofa? - mruknął Gideon do Lily z czysto akademickim zainteresowaniem.

Cholerni arystokraci i ta ich cholerna poza! Wszystko takiego bawi! Myśli, że cały świat do niego należy. Szlag! - Lily kipiała w duchu ze złości.

Niemal usłyszała karcący głos matki: „Jak ty się wyrażasz, córeczko!”

- Znakomicie pani włada londyńską gwarą, panno Masters. Potrafi pani przeistoczyć się w jednej chwili w dziecię ulicy! - dodał Gideon.

Udała, że nie słyszy.

Kiedy otworzyła drzwi pensjonatu, dobrze znany zapach stęchlizny wybiegł im na powitanie jak wielki, przyjazny kundel. Lily z przykrością uświadomiła sobie ogromną różnicę między swoim domem a wytworną garsonierą Kilmartina. Przez krótką chwilę żałowała, że nie ma pcheł, żeby choć kilka z nich mogło się zadomowić wśród eleganckich mebli młodego lorda. Młodzi dandysi traktowali ją jak dziwoląga, wybryk natury! Miała ochotę groźnie warknąć.

Nagle pod jej nogami podłoga zaczęła drżeć, potem zaś zdeptane klepki zaklekotały rytmicznie. Łup, łup, łup! Zjawisko to zwiastowało rychłe pojawienie się groźnej pani Smythe.

Jej głos dotarł do nich, zanim jeszcze imponująca postać ukazała się ich oczom.

- Nie życzę sobie żadnych hałasów w moim domu, Lily Mas...

Urwała na widok Gideona Cole'a.

Stanęła jak wryta, zupełnie jakby natknęła się na niewidzialną przeszkodę. Potem dolna część jej twarzy zaczęła drgać, wyginać się dziwnie i w końcu - niesłychane! - pani Smythe się uśmiechnęła.

To było przerażające!

- A któż to nas odwiedził?

Dobry Boże, pani Smythe nie tylko się uśmiechała!

Ona wyraźnie flirtowała!

Gideon skłonił się czcigodnej matronie, która wykrztusiła bezradnie jakieś „Oo...”, dziwnie przypominające gruchanie gołębia.

- Alice! - wykrzyknęła Lily z desperacją. - Gdzie jesteś, Alice?!

Usiłowała oswobodzić ramię, ale Gideon jej nie puszczał. Wreszcie siostra pojawiła się w korytarzu. Biegła, a z tyłu za nią powiewał warkocz. Zatrzymała się raptownie tuż za panią Smythe i zerknęła z za jej

pleców na Lily. Oczy Alice, pełne zdumienia i strachu, zatrzymały się na Gideonie, by po chwili znów przenieść się na twarz siostry.

- Lily?

Głos jej drżał.

- Wybieramy się w podróż, kochanie - powiedziała Lily łagodnie, żałując, że nie może porozmawiać z siostrą sam na sam. - To pan Cole, Pojedziemy razem z nim. Będę u niego pracować... przez jakiś czas.

Gideon skłonił się grzecznie.

- Miło mi panią poznać, panno Alice!

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi oczyma, z kamienną twarzą, w kompletnym milczeniu.

I wówczas Gideon się do niej uśmiechnął. Lily widziała, jak rodzi się ten uśmiech - lekkie uniesienie kształtnych ust i tryskający z oczu strumień łagodnego ciepła. Nic nie mogła na to poradzić, nawet w niej serce zamarło na chwilę!

Na oczach siostry Alice stopniała jak wosk. Uśmiechnęła się do Gideona szerokim, szczerbatym uśmiechem z całego serca, zarezerwowanym dotąd wyłącznie dla Lily.

Zdrajczyni! - pomyślała starsza siostra.

- Muszę zabrać niektóre z moich rzeczy, panie Cole! - Lily nie miała ochoty, by Gideon Cole rozglądał się po jej ubożuchnym mieszkanku. - Sama je pobieram, jeśli pan pozwoli...

Bezskutecznie usiłowała wyswobodzić się z uchwytu ciepłych palców, obejmujących jej ramię. Że też mu ręka nie zdrętwiała! Jak długo można utrzymać ją w takiej pozycji?!

- O, jestem pewien, że zdoła pani wszystko zgromadzić, panno Masters. - Gideon był wyraźnie rozbawiony. - Mimo to udam się z panią do pokoju. Trzydzieści funtów! - dodał znacznie ciszej, by nie zapomniała o długu wobec niego.

Lily rzuciła mu mordercze spojrzenie i odetchnęła głęboko. To okazało się błędem. Poczowała wyraźnie zapach Gideona. Niekiedy silniejszy powiew wiatru od morza wystarcza, by oczyścić Londyn z niemiłych woni. Podobnie było z tym zapachem. Świeży dość ostry, wydawał się obdarzony magiczną siłą. Uderzał do głowy jak dzin. Wrogość Lily osłabła, odwaga ją opuściła.

Czuła się zbита z tropu w obecności tego mężczyzny.

Uniosła dumnie głowę i z wyzwaniem spojrzała prosto w ciemne oczy Gideona. Miała nadzieję, że zamaskuje to drżenie i niepewność. Jego oczy mogły być teraz pełne rozbawienia, ale widziała w nich zimną wściekłość, jak przy ich pierwszym spotkaniu, gdy przyłapał ją na sięganiu do jego kieszeni. Choć w tej chwili wydawał się niezwykle uprzejmy, był niewątpliwie człowiekiem, z którym lepiej nie zadzierać. Groził jej przecież więzieniem!

I choć tylko sam do siebie mógł mieć pretensję, że stracił trzydzieści funtów, Lily rzeczywiście potrzebowała wówczas pomocy. Nie brakowało jej poczucia honoru.

Ani wdzięczności.

No dobrze, ciekawości także miała w nadmiarze.

I wówczas pan Cole wprawił ją w zdumienie. Bez pośpiechu puścił ramię i spojrzał na nią z lekkim uśmiechem. To było wyzwanie: „Proszę pokazać, panno Masters, czy potrafi pani zachować się honorowo”.

Lily omal się nie uśmiechnęła w odpowiedzi. Potrafiła docenić ten gest! Postanowiła okazać nieco godności - zamiast walnąć go kolaniem w krocze i zwiać, uniosła dumnie głowę.

- Niech i tak będzie, panie Cole. Proszę za mną!

Gideon z ujmującym uśmiechem zwrócił się do właścicielki pensjonatu:

- Łaskawa pani wybacz...

Pani Smythe bez słowa odsunęła się na bok, jakby w uznaniu wyższości gościa.

Lily i Alice Masters spały przytulone do siebie na siedzeniu powozu na wprost Gideona. Postrzępione szarobure spódnice rozłożyły się wokół nich jak skrzydła pierzających się gołębi. Obie dziewczyny były chude - nadgarstki i kostki nóg nad brudnymi, bosymi stopami wydawały się tak kruche, że byle co mogłoby je złamać.

Teraz, gdy opadło już podniecenie, Gideon skłonny był uznać, że Kilmartin nie mylił się co do niego. Naprawdę oszalał!

Zaśmiał się cicho, niewesoło i pokręcił głową. Czy rzeczywiście był aż tak zdesperowany, że wszystko, z czym się stykał, łącznie z tą obdartą dziewczyną siedzącą naprzeciw niego, traktował jak środek, który mógł wykorzystać do własnych celów?!

A jednak w jego głowie odezwał się jakiś przekorny głosik: „Pomyśl tylko, jak zabawnie będzie spłatać takiego figla towarzystwu!”

Od lat Gideon nie popełnił żadnego głupstwa. Przekonał się, że jeśli ktoś nie ma ani tytułu, ani fortuny, jego zachowanie musi być bez zarzutu. Stłumił więc naturalne impulsy, okiełznał temperament i starał się zbudować przyszłość na trwalszych fundamentach niż ta, jaką jego błyskotliwy, nierozważny ojciec zgotował własnej rodzinie.

A jednak... Czy naprawdę lepiej mu się powiodło? Albo Helen?

Szczytne plany... Snuł je na ruinach rodzinnego szczęścia. Postanowił zdobyć nie tylko bogactwo i wysoką pozycję, ale zarazem bezpieczeństwo i stabilność. Odbudować to wszystko, co zniweczył ojciec. I to zanim stuknie mu trzydziestka! Cóż by to była za ironia losu, gdyby sztuczka - godna doprawdy jego ojca, ryzykanta i hazardzisty - przyczyniła się do zdobycia Constance i otworzyła mu drzwi do przyszłości, o jakiej marzył od dziesięciu lat!

Jeśli tym razem mi się powiedzie, nigdy więcej nie podejmę takiego ryzyka! - przysięgał w duchu.

„Ha!” To było wszystko, co przekorny głosik w jego mózgu miał na ten temat do powiedzenia.

Gideon odwrócił się do istoty, która natchnęła go tym szaleństwem. Do złodziejki, którą zamierzał przemienić w bezcenny klejnot. Długie, ciemne rzęsy Lily drżały lekko. Teraz, pogrążona we śnie, wydawała się równie niewinna jak jej siostra. A jednak Gideon nie mógł jakoś uwierzyć w tę niewinność!

Choćby jej podręczna biblioteka. Lily zabrała ze sobą sześć książek, jakby taki księgozbiór należał do rzeczy absolutnie niezbędnych - encyklopedia z rycinami rozmaitych zwierząt, tom mitów greckich, *Duma i uprzedzenie*, wybór dzieł Szekspira i *Robinson Crusoe*.

Oraz tomik bardzo frywolnych opowieści w języku francuskim.

Kiedy Lily i Alice zasnęły, Gideon przeczytał kilka stron z tej książki. A potem jeszcze kilka. I wreszcie, ponieważ nie mógł się temu oprzeć, przeczytał pół książki. Autor miał niewątpliwy talent - zmysłowe zachcianki, ciche jęki, subtelne pieścizoty, wymyślne pozycje... Wszyscy w tej książce, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, doznawali - jak się wydawało - niezwyklej przyjemności, baraszkując w fotelach na wprost wielkich luster.

I to bez końca!

Gideon zamknął francuską książeczkę i odsunął ją od siebie na bezpieczną odległość. Te historyjki były zbyt podniecające, zwłaszcza dla mężczyzny który od dawna nie folgował swojemu ciału.

Je parle francais un petit peu, oświadczyła Lily Masters, co znaczyło: Znam trochę francuski.

Jak wykorzystywała znajomość tego języka? Czyżby ta książeczka była dla niej czymś w rodzaju podręcznika? A jednak... „W sam raz na twojego pierwszego!” - zawołała do niej prostytutka. Pamiętał też, jak Lily zaczerwieńiła się w mieszkaniu Kilmartina. Jeśli więc została już przyjęta do starego jak świat cechu, to zapewne od niedawna.

Gideon znów niewesoło pokiwał głową. Naprawdę oszalał! Niech i tak będzie. Wiedział już, jak daleko może się zapędzić w swoim dążeniu do wygranej. W czym było to lepsze od przekupywania krawcowych?!

Włożył rękę do kieszeni, w której spoczywał zegarek dziadka i poczuł ulgę, odnalazłszy go tam.

Lily się poruszyła i otworzyła oczy. Siadła prosto i przesunęła się w stronę okna powozu, chcąc przez nie wyjrzeć.

Jechali aleją. Z obu stron widziała drzewa, wysokie i sztywno wyprostowane, jak żołnierze na warcie. Dostrzegła błysk czegoś czerwonego... Może cegły? A potem jej zdumionym oczom ukazał się niekończący się mur czerwonych cegieł i w popołudniowym słońcu zabłyśły rzędy okien. Zatrzymała wzrok na wielkim, ozdobionym kolumnami portyku - bursztynowym w promieniach słońca zbliżającego się już do zachodu. Na dziedzińcu tryskała pod niebo fontanna.

Lily uniosła rękę, by osłonić oczy od blasku, jaki bił od tej wspaniałej budowli. Serce jej wezbrało podziwem. Jakie to było piękne!

- To dom mojego stryja - powiedział Gideon. - Aster Park. Lily kiwnęła tylko głową, udając brak zainteresowania. Podejrzewała, że Newgate ani się umywa do Aster Park!

Lily i Alice, trzymając się mocno za ręce, stały w imponującym, wykładanym marmurowymi płytami holu. Oczy Lily zrobiły się po prostu ogromne. Usiłowała ogarnąć całą wspaniałość wnętrza, w którym się znajdowali. Gideon zauważył, że dziewczyna prostuje plecy i unosi

dumnie głowę, jakby ten stary dom był przeciwnikiem, którego zamierzała pokonać.

Przypomniła mu się pierwsza wizyta Constance w Aster Park. Piękna, spokojna i pewna siebie Constance, córka markiza ze znakomitymi koneksjami, wydawała mu się wówczas równie nieosiągalna jak gwiazda. Stała niemal w tym samym miejscu co teraz Lily i szarymi oczyma oceniała chłodno umeblowanie i zalety wnętrza. Na koniec padł werdykt, wygłoszony jakby od niechcenia: „Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby tu zamieszkać, panie Cole”. W uszach Gideona zabrzmiało to niczym błogosławieństwo.

W tamtej chwili narodziło się między nimi porozumienie. Ale dojrzało chyba nazbyt długo. Z trudem pokonał kolejną falę niepokoju.

- Zupełnie jak nasz pałac, prawda? - dał się słyszeć szept Alice.
- Istotnie, bardzo podobny - odparła Lily, równie cicho.
- W takim razie pan Cole jest księciem!
- Księciem? - obruszyła się Lily. - Nie ma żadnego tytułu!

I znowu - mimo woli - Gideon omal się nie roześmiał. Cóż za bezczelna dziewczucha!

Wysunął się do przodu, by zagadnąć majordoma.

- Jak się masz, Gregson? Musisz mi kiedyś zdradzić swój sekret... Jakim cudem nie starzejesz się ani trochę?

Starszawy lokaj, mocno przygarbiony, ale mimo to wyższy od Gideona, był wyraźnie rad z komplementu.

- Wielkie dzięki, sir. To z pewnością zasługa świeżego powietrza w Aster Park. Miło mi znów pana widzieć. Pański stryj będzie zachwycony!

- Czy stryj Edward jest w dalszy ciągu umierający?
- Tak jest, sir.
- Bardziej niż zwykle?
- Nie, sir. Tak samo jak zawsze.
- Znakomicie! Udaj się na górę, żeby się z nim zobaczyć, jak tylko ogarnę się trochę po podróży. A przy okazji, Gregson, to panna Lily Masters i jej siostra, panienska Alice. Kuzynki mego serdecznego przyjaciela, lorda Kilmartina, który zjawi się tu jutro. Zabawią przez

pewien czas w Aster Park jako moi goście. Czy będziesz tak dobry i zadbasz o to, by przygotowano dla nich pokoje?

Gregson spojrział w osłupieniu na dziewczęta - bose i w łańchmanach.

- Przydałaby się od razu woda na kąpiel dla nich obu, Gregson.

Wargi lokaja się rozchyliły. Bez wątpienia miał ochotę krzyknąć: „Jeszcze jak by się przydała, dobry Boże!” Odparł jednak:

- Tak jest, sir. Porozumiem się w tej sprawie z panią Plunkett.

- Będziemy też potrzebowali coś z ubrania dla panny Lily i panienki Alice. Miały... hm... wypadek podczas podróży. Niestety, wszystkie kufry z garderobą uległy zniszczeniu.

Gregson nawet nie mrugnął okiem.

- To doprawdy wyjątkowo niefortunne wydarzenie, sir. Z radością jednak dostrzegam, że żadna z młodych dam nie doznała szwanku. Pani Plunkett z pewnością znajdzie dla nich jakieś ubrania.

- Jesteś prawdziwym skarbem, Gregson! Serdeczne dzięki. Aha, jeszcze jedno. Pani Plunkett przelicza stołowe srebra każdego wieczoru, nieprawdaż? I zamyka je w bezpiecznym schowku na noc?

Gideon dosłownie czuł na sobie palące spojrzenie wścieklej panny Masters.

Leciułka zmarszczka zarysowała się na czole Gregsona.

- Tak jest, sir. Oczywiście, sir.

- Doskonale, Gregson. Możesz odejść.

Gregson odwrócił się na pięcie i skierował się do wyjścia.

- Ależ Lily, ja nigdy się jeszcze nie kąpałam! - szepnęła Alice. Lokaj niemal niedostrzegalnie zwolnił kroku, gdy słowa Alice ugodziły go między łopatki. Gideon stłumił śmiech. Gregson był ulepiony z twardej gliny, ktoś inny przynajmniej by się potknął, doznawszy takiego szoku!

Gideon zwrócił się do Lily.

- Gdyby was ktoś pytał, obie jesteście kuzynkami lorda Kilmartina i przyjechałyście z Sussex.

- I miałyśmy nieszczęśliwy wypadek podczas podróży, nieprawdaż?

- Ale pani bystra, panno Masters! Proszę mi powiedzieć, ile daliby pani za ten pozłacany zegar?

- Ani grosza, panie Cole! Mój paser ma całkiem dobry gust. Gideon się roześmiał. Dziewczyna znów go zaskoczyła!

- Proszę posłuchać, panno Masters. Wykąpiecie się, a potem zjecie obiad w swoim pokoju.

- A co będzie na obiad? - wtrąciła Alice, mimo że Lily próbowała ją uciszyć żartobliwym klapsem.

Gideon uśmiechnął się do dziewczynki.

- A co miałybyś ochotę zjeść?

- Pawia! - oświadczyła Alice.

Gideon zamrugał oczami.

- Ach, tak? No cóż... mamy w Aster Park pawie, ale są ozdobą parku i spacerują po trawnikach. Raczej nie podajemy ich na obiad. Może jutro chciałabyś na nie popatrzeć?

- Jeszcze jak! - Alice jęknęła z wrażenia.

Gideon spojrzał na Lily. Miała dziwny wyraz twarzy i niepokój w oczach, jakby toczyła jakąś wewnętrzną walkę.

- Doskonale! Postaram się, by któryś z lokajów zaprowadził cię rano do pawi. A na obiad będzie zapewne pieczeń wołowa na zimno.

- Lily mówiła, że będzie wołowina! - stwierdziła z satysfakcją Alice. Kiedy Lily wspomniała o wołowinie? Gideon popatrzył na nią pytająco. Odpowiedziała spojrzeniem bez wyrazu.

- Wkrótce muszę wracać do Londynu, ale zjawię się w Aster Park jutro koło południa.

- Niech się pan zbytnio nie spieszy ze względu na mnie! - mruknęła Lily.

Gideon skwitował jej przycinek ironicznym uniesieniem brwi.

- Lord Kilmartin przyłączy się do nas jutro. Spotkamy się z nim, żeby omówić pewne sprawy... związane z naszą umową. Śniadanie również zjecie w swoim pokoju. Mam nadzieję, że w międzyczasie nie zechce pani skrócić nagle pobytu w Aster Park, nie zacznie opowiadać jakichś niestworzonych historii ani nie opuści pokoju. Chyba że nie ma pani ani krzty honoru. I woli pani, że się tak wyrażę, mniej komfortowe zakwaterowanie.

Poznał po oczach Lily, że go zrozumiała. Wiedział zresztą, że tak będzie. Uczynił aluzję do Newgate głównie po to, żeby zobaczyć, jak jej

oczy rozbłysną gniewem. Zupełnie jakby na porannym niebie zapłonęła błyskawica... Co za efekt!

- Dokąd zresztą mogłaby się pani udać? Wokół w promieniu wielu mil nie ma żadnych siedzib ludzkich.

Lily otworzyła usta. Bez wątpienia miała już gotową miażdżącą replikę, ale w samą porę do pokoju weszła krzepka gospodyni.

- Pani Plunkett, oto panna Lily Masters i panienka Alice. Do jutra, moje damy!

Gideon skłonił się i pozostawił dziewczęta w doświadczonych rękach gospodyni.

Pani Plunkett wręczyła Lily szczotkę z długą rączką, kostkę białego mydła, które pachniało tak, jakby pochodziło prosto z nieba, oraz dwa puszyste ręczniki. Wielka miedziana wanna, pełna gorącej wody, została ustawiona na podłodze między nimi.

Od lat Lily sama czerpała wodę z ulicznej studni i ta odrobina, jaką zdołała donieść do pokoju w pensjonacie pani Smythe, starczała za ledwie na herbatę. Naczerpanie dostatecznej ilości wody na kąpiel było po prostu niemożliwe. Skąd zresztą wzięłaby wannę? Tak więc ona i Alice wycierały całe ciało ręcznikiem zanurzonym w miednicy, starając się jak najdokładniej zmyć z siebie brud bez pomocy lustra. Całkiem możliwe, że Lily kąpano niegdyś, gdy była mała. Nie zachowała jednak żadnych wspomnień na ten temat.

Wanna pełna gorącej wody była nieprawdopodobnym luksusem! Gospodyni, pani Plunkett, nie należała do osób gadatliwych.

- Wypadek w podróży? - spytała. - Kuzynki lorda Kilmartina?

- Chyba tak... - wymamrotała Lily, spoglądając tęsknie na wannę. - To znaczy... Tak, oczywiście. Miałyśmy wypadek w drodze.

Jeśli nawet panią Plunkett zastanawiało, jakim sposobem w wyniku uszkodzenia powozu obie panny Masters pokryły się grubą i pozornie niezmywalną warstwą brudu oraz jak ich ubrania mogły się przemienić w postrzępione łachmany, gospodyni powstrzymała się od wszelkich uwag.

- Alice pierwsza! - oświadczyła pośpiesznie Lily.

Pani Plunkett spojrzała na dziewczynkę z powątpiewaniem.

- Będzie pani, panno Lily, potrzebna druga wanna czystej wody. Zaraz postawimy ją na kuchni, żeby się zagrzała!
- Bardzo dziękuję, pani Plunkett - odparła słabym głosem Lily.

Lily obróciła się w wannie. Pachnąca woda z mydlaną pianką opływała łagodnie jej ramiona i piersi. I nagle, ku swemu zdumieniu, Lily poczuła piekące łzy w oczach.

Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni zbierało jej się na płacz. Mazanie się nie miało sensu! Ale teraz o mało się nie popłakała z powodu kąpieli! Zirykowało ją to. Wszystko przez tego cholernego Gideona Cole'a!

Sytuacja całkiem ją przerosła. Ten dom... bogactwo nieznanych przedmiotów wokół niej: piękne meble, pozłotki, marmury... Wszystko czyste i lśniące. I ta cisza. W St. Giles nigdy, ale to nigdy nie było cicho! Woda pieściła ją, obejmowała. Lily nie pamiętała, kiedy czuła równie kojący dotyk. Podeszwy stóp trochę piekły, gdy woda docierała do obolałych miejsc i drobnych skaleczeń - skutków biegania boso po ulicach Londynu.

Dzięki ci, mamó! - powtarzała w duchu gorąco jak modlitwę. To dzięki matce umiała mówić jak dama, jeśli nie liczyć paru „choler” albo „sukinsynów”. Mogła udawać, że zachowuje się jak dama i zaprezentować się w tym - nieco już sfatygowanym - rynsztunku Gideonowi Cole'owi.

Pachnąca woda kojąco pluskała wokół niej. „No, no, już dobrze... - zdawała się mówić. - Nie przejmuj się tak!”

Z trudem udało się skłonić nieufną Alice, by weszła do miedzianej wanny. A kiedy woda wyraźnie pociemniała, dziewczynka doszła do wniosku, że to ona rozpuszcza się w mydlinach. Lily ledwie zdołała stłumić wrzask przerażenia siostry.

Wkrótce potem Alice pluskała się już, szczęśliwa jak kaczuszka. Lily nauczyła ją, jak wyszorować się do czysta, namydliła jej włosy i szmatką delikatnie umyła buzię. Uwolniona od pokładów brudu, które uzbierały się w ciągu tylu lat spędzonych w St. Giles, Alice była po prostu piękna! Lily miała ochotę się rozpłakać.

Nagle usiadła prosto i próbowała się podnieść. Miała wrażenie, że woda ją przytrzymuje i nie pozwala się ruszyć. Musi przecież wyjść z tej kąpieli!

Niekiedy ogarniało ją podobne uczucie paniki, zwłaszcza gdy dokoła było cicho i spokojnie. Wtedy właśnie narastał w niej strach i ją przytłaczał. Nie był to lęk przed czymś konkretnym, od czego można uciec, jak kilka dni temu uciekła Gideonowi. Wystarczyło zaprawić kogoś kolaniem nogi! Ten strach był o wiele silniejszy. W dodatku nie wiedziała nawet czego się boi.

Na szczęście, chwil ciszy i spokoju było w St. Giles bardzo mało. A jeśli nawet czasami Lily budziła się w nocy zlana potem, z sercem tłukącym się o żebra, to Alice zawsze leżała obok niej i nietrudno było ją obudzić i nakłonić do rozmowy.

- Opanuj się, Masters! - upomniwała się surowo. - Jeśli dałaś sobie radę w Londynie, a co więcej, w St. Giles, to na pewno poradzisz sobie i z tym domem!

A może nawet z Gideonem Cole'em?

Pokój przypominał obitą pluszem jaskinię - aksamitne zasłony, ciemne meble i świece osłonięte pękatymi klosikami. Ciężkich kotar od lat nikt nie rozsuwał, ale okna czasami otwierano. Gideon przypominał to sobie jak przez mgłę. Chyba pani Plunkett nalegała na wietrzenie.

Pośrodku tego cichego, zaciemnionego pokoju znajdowało się łóżko. Lord Lindsey leżał na nim, niczym rozbitek, otoczony niezmiernym przestworem... co prawda nie mórz, ale wielkiego domu i rozległych włości.

Wszystkich, którzy znali i kochali stryja Edwarda, obowiązywało niepisane prawo - nikt nie dopytywał o przyczynę jego dolegliwości i nikt nie podawał w wątpliwość tego, że lord Lindsey istotnie jest chory. Służba, rzecz jasna, nigdy by się nie ośmieliła tego zrobić, a Gideon, który miał odziedziczyć tytuł tylko dlatego, że obaj synowie stryja zginęli na wojnie, czuł, że nie ma prawa do podobnych indagacji. Tak więc przez całe lata pobłażano kaprysom Edwarda, jak to się często zdarza w wypadku bogatych ludzi. Jeśli uznał, że jest chory, to był chory, i tyle.

A jednak lord Lindsey, chociaż spędzał całe dni w łóżku, nie przestał być osobą budzącą respekt.

- Stryju Edwardzie?

Żadnej odpowiedzi.

Od czasu, gdy stryj złożył skórę Gideonowi i obu swoim synom za podkradanie mu cygar, potem zaś nagle zmienił front i nauczył młokosów, jak palić cygara w odpowiedni sposób, minęło ponad dziesięć lat... Mimo to Gideon wiercił się niespokojnie jak nastolatek. Lord Lindley, nieubłagany i często skwaszony, stanowił przeciwieństwo swego młodszego brata, pełnego werwy i czarującego Alistaira, ojca Gideona... Nigdy nie puścił płazem żadnego przewinienia.

Gideon odchrząknął i spróbował raz jeszcze:

- Stryju Edwardzie?

- Jesteś nareszcie - usłyszał wreszcie pełen wyrzutu głos. - Ależ ci było spieszo do umierającego stryja!

- Zawsze mi spieszo do ciebie, stryju Edwardzie, dobrze o tym wiesz. Bardzo przepraszam za spóźnienie. Zatrzymała mnie ważna, urzędowa sprawa.

- Byłem umierający, Gideonie!

- Przecież wiecznie jesteś umierający, stryju!

Słowa wymknęły mu się z ust, nim zdołał je powstrzymać. Gideon był przerażony. Pełne napięcia milczenie, które zapadło nad łóżem boleści, sprawiało niemal komiczne wrażenie.

A potem, ku zdumieniu Gideona, lord Lindsey zachichotał.

- Spieszo ci do tytułu, co?

- Oczywiście, że nie, stryju Edwardzie!

- Może jednak troszkę?

Gideon się zawahał, potem zaś westchnął i przysunął sobie krzesło do łóżka chorego. Znowu go uderzyło, jak krzepko wygląda jego stryj. Były, oczywiście, wyraźne oznaki starości - jego gęste włosy całkiem posiwiały, a skóra zwiotczała i się pomarszczyła - ale oczy lorda Lindsey w dalszym ciągu spoglądały bystro. Trzymał się też całkiem prosto, nawet teraz, gdy siedział na łóżku.

- Córce pewnego markiza zależy chyba na tym tytule, stryju Edwardzie. Ale ja, z ręką na sercu, wolałbym, żebyś nigdy nie umierał!

Lord Lindsey znowu zachichotał.

- Otóż i mamy najlepszy przykład, w jaki sposób adwokacina może zdobyć córkę markiza: bezcennym darem wymowy! Jesteś bardzo podobny do ojca, wiesz? O Boże, ależ mi go brak, choć tak głupio zmarnował życie! Co to za dzierlatka? Ta wielka blondyna, córka markiza Shawcrossa?

Widziałem ją ostatnio dobrych kilka lat temu, ale wyobrażam sobie, że wyrosła na dorodną pannę. To żona w sam raz dla ciebie!

Gideon uśmiechnął się lekko, słysząc, jak stryj nazywa Constance „wielką blondyną”.

- Jest prześliczna i rzeczywiście wysoka... Króluje w towarzystwie.

Nie zamierzał opowiadać stryjowi o Jarvisie ani o zakładach, poczynionych na jego temat. Ani o tym, jak wielką chrapkę ma Constance na Aster Park.

- Masz dwadzieścia siedem lat, Gideonie. Możesz założyć rodzinę, nawet nie posiadając tytułu. I powinienes! A potem sprowadzicie się tu, do mnie, ze wszystkimi waszymi dziećmi. Ożeń się z tą dziewczyną! Niech przynajmniej jedno z Cole'ów zrobi dobrą partię!

Ostatnie słowa zabrzmiały dość ostro.

Gideon zeszytniał. Na szczęście lord Lindsey nie powiedział nic więcej. Stryj dawno temu wyraził bardzo dobitnie, bez ogródek, opinię na temat planów małżeńskich Helen. Był to do dziś drażliwy temat i obaj poruszali go nader rzadko.

- Wkrótce się to stanie, stryju - powiedział cicho Gideon. - Wszystko już sobie zaplanowałem.

- A prawda! Ty i twoje plany... - Stryj Edward był wyraźnie rozbawiony. - Shawcross zagarnął większą część Anglii... nawet więcej niż rodzina Kilmartinów. A jego poparcie z pewnością ci nie zaszkodzi! A propos, jak tam u ciebie z gotówką? W porządku?

- Oczywiście, proszę stryja - skłamał Gideon. - A stryjek jak się teraz czuje?

- O, jak najgorzej, mój chłopcze. Jak najgorzej! - brzmiała pogodna odpowiedź. - Doktor niebawem pewnie się zjawi z moim lekarstwem z najnowszymi ploteczkami.

- Czy udało mu się już wydać za mąż najmłodszą córkę?

- Coś mi się zdaje, że zagięła parol na ciebie, Gideonie. Ale wikary też ma pewne nadzieje, a ona spogląda nań dość życzliwie. Tak przynajmniej słyszałem.

Gideon się roześmiał. Życie i zabiegi matrymonialne były znacznie mniej skomplikowane na prowincji niż w wielkim świecie. Przelotnie nasunęło mu się pytanie: A może by tak? Jeśli jednak ktoś chce zostać ministrem skarbu, nie może się żenić z córką lekarza!

- No to jak, mój chłopcze? Pobędziesz u mnie dłużej, czy musisz wracać prosto do Londynu?

- Pomyślałem, stryжку, że chętnie bym tu spędził kilka dni. Kilmartin mógłby przyłączyć się do mnie jutro. Trochę byśmy postrzelali i poszukali innych wiejskich rozrywek, zanim sezon rozpocznie się na dobre.

Jeśli będzie wystarczająco ostrożny, stryj nigdy się nie dowie, że Lily i jej siostra mieszkały pod jego dachem.

- Powiniennem się wstydzić! - żartował stryj Edward. - Wiem, że ze mnie stary tyran, Gideonie. Ale jestem szczęśliwy, gdy mam cię u boku!

Stary tyran, pomyślał Gideon z czułym zniecierpliwieniem, to stanowczo zbyt łagodne określenie!

- Zawsze miło mi cię widzieć, stryжку Edwardzie. Jestem do twojej dyspozycji.

Pokój, podobnie jak wanna i reszta domu, przyprawiły Lily o irytację. Jakim prawem coś może być aż tak wspaniałe?!

Na podłodze leżał puszysty dywan z wzorem w splatające się zielone pnącza i spłowiałe róże. Lily zrzuciła pożyczone ranne pantofle i zanurzyła w nim stopy, rozkoszując się nieprawdopodobną miękkością. Krzesło z wysokim oparciem, obite różowym aksamitem, stało obok niewielkiego biurka. Lily ułożyła na nim swoje książki i doszła do wniosku, że prezentują się tam całkiem dobrze. Wielka dębowa szafa stała przy ścianie - zupełnie pusta, gdyż zabrano suknie jej i Alice. Na wprost szafy znajdowała się urocza toaletka.

Ogień trząskał wesoło na kominku i wcale nie dymił. Prawdziwy cud! Ileż się nawojowała z kominkiem u pani Smythe! „Stary kopciuch”, tak go przezywały, Alice i ona.

W okrągłym lustrze nad toaletką Lily ujrzała dziewczynę o wielkich oczach, zdumioną niezwykłym otoczeniem i tonącą w nocnej koszuli, pożyczonej od pani Plunkett. Lśniące, czyste włosy wydawały się znacznie bujniejsze niż zwykle. Jakby rozradowane tym, że pozbyły się wreszcie brudu, wiły się jak szalone wokół jej głowy i opadały na plecy.

Alice rzuciła się na łóżko, Lily przysiadła obok niej. Ono także okazało się niesamowicie wygodne. Obie siostry przez dłuższą chwilę prześcigały się w zachwytach.

Alice dostała zamiast nocnej koszuli coś, co było chyba kiedyś chłopięcą bluzą. Lily ujęła obrąbek w dwa palce i z zachwytem gładziła materiał. Był tak delikatny, że dostałaby za tę szmatkę niezły grosz od pani Bandycross, paserki, której specjalnością były ubrania. Potem wsunęła się obok Alice pod stertę koców. Były oczywiście puszyste i miękkie, z dobrej wełny.

- Bardzo tu cicho - rozmyślała na głos Alice, marszcząc nosek. - Przyjemniej by było zostać tu na zawsze. Jak myślisz, czy pani Smythe wynajmie nasz pokój komuś innemu?

- Zapłaciłam jej do końca miesiąca, więc chyba tego nie zrobi, bo wcale by się jej nie opłaciło - odparła Lily.

Pewność w jej głosie znacznie przewyższała ich realne szanse na zachowanie dawnego lokum.

- Jeśli wynajmie nasz pokój, może pan Cole ją zmusi, żeby nam go oddała? Mógłby jej sprawić porządne lanie...

- Lanie? - Lily odwróciła się od siostry. - Prędeż uśmiechnie się po mojemu, a pani Smythe zemdleje jak wielka... wielka...

- Krowa!

- Krowy nie mdleją, Alice!

- Na pewno by zemdlały na widok pana Cole'a!

Lily nawet nie próbowała się z nią sprzeczać.

- On wygląda zupełnie jak twój książę, Lily! Ma ciemne włosy i ciemne oczy...

- Połowa Londynu tak wygląda... choćby McBride.

Jej siostra była stanowczo za sprytna!

- McBride'owi została tylko resztką włosów. Pan Cole ma ich mnóstwo!

Owszem. Mnóstwo jedwabistych włosów, które w słońcu płoną jak rozżarzony węgiel.

- Lubię go - stwierdziła Alice sennym głosem. - A jutro zobaczę pawie!

Lily ścisnęło się serce. Czy Gideon Cole nie uświadamiał sobie, jakim okrucieństwem były te objawy przelotnej życzliwości w stosunku do małej dziewczynki? To niesprawiedliwe, dawać Alice wszystkie te cuda po to tylko, by pozbawić ją ich po kilku tygodniach!

A jednak... choć jej się udawało nakarmić Alice, ubrać ją i zadbać o to, by nie błąkała się po ulicach, nie mogła pokazać siostrzyczce pawia ani zapewnić jej na obiad pieczeni wołowej. Ani okryć jej do snu wspaniałymi wełnianymi kocami!

Mogła jej tylko opowiadać bajki.

- Nie zabawimy tu długo, Alice - ostrzegła siostrę. - Pamiętasz? Pan Cole zatrudnił mnie na krótki czas.

- Ale byłoby przyjemnie zostać tu na zawsze - powtórzyła Alice i ziewnęła.

- Tak, ale my... - Lily urwała i westchnęła. Żadne tłumaczenie nic teraz nie da, trzeba wrócić do tej sprawy innym razem. - Opowiedzieć ci coś?

- Tak, bardzo proszę!

Alice przytuliła się do niej.

Ponieważ wymyślanie historyjek było jej największym talentem, Lily poczuła się nieco lepiej. Znowu jest potrzebna siostrze! Zrobiła w myśli przegląd nowych obrazów, których nie poskąpił jej dzisiejszy dzień - drzewa stojące na baczność jak żołnierze, wysoki, choć zgarbiony Gregson, stoicko spokojny... I ten dom, w którym z powodzeniem mogliby mieszkać bogowie i boginie...

- Dawno, dawno temu żył sobie dobry, stary czarodziej. Na imię miał... - Lily zastanowiła się przez chwilę. - Na imię miał George. I musiał dźwigać cały świat na ramionach. Wkrótce tak się zgarbił pod tym ciężarem, że zaczął prosić bogów, by pozwolili mu odpocząć przez chwilę. Ale bogowie odpowiedzieli... - Lily zniżyła głos, by nabrał boskiego dostojęstwa. - „George, jesteś nam teraz potrzebny bardziej niż kiedykolwiek! Maszeruje ku nam właśnie wielka armia nieśmiertelnych wojowników...”

Niezwykła opowieść się rozwijała, a niski, kojący głos Lily działał na Alice jak kołysanka. Powieki siostry robiły się coraz cięższe i zanim ogień w kominku się dopalił, Alice pochrapywała już cichutko.

Co się z nami stanie?

Ta zdradziecka myśl wkradła się do głowy Lily, zwabiona ciszą i spokojem.

Nie myśl o tym! Liczy się tylko dzień dzisiejszy! Te słowa zawsze były dla Lily zaklęciem uśmierającym lęk. Powtarzała je teraz bez

końca, aż wreszcie - mimo ogłuszającej ciszy i nieznanego otoczenia - ona również zasnęła głęboko.

4

Gideon dosłownie rzucił się na Dodge'a, gdy tylko ten wściubił swój spiczasty nos do sali rozpraw Westminster Court.

- Szukałem pana wszędzie!
- Pan szukał... mnie, panie Cole? Czyżby świat stanął na głowie?!
- Bardzo pan dowcipny, jak zwykle, Dodge. A co się tyczy pańskiej klientki, tej krawcowej...
- Podejmie się pan jej obrony?
- Owszem...
- Znakomicie!

Dodge się rozpromienił i już zamierzał odejść, uznawszy temat za wyczerpany.

- Pod pewnym warunkiem, Dodge!

Mężczyzna zatrzymał się raptownie. Cole nigdy dotąd nie stawiał warunków!

- Pod warunkiem? - powtórzył nieco podejrzliwym tonem.
- Właśnie! Ta krawcowa, madame Marceau... A propos, czy to rzeczywiście Francuzka?
- Taka z niej Francuzka, jak ze mnie baletnica.

Po ustach Gideona przemknął uśmiech.

- Proszę więc powiadomić madame Marceau, że podejmę się obrony jej interesów. Ale honorarium chcę otrzymać w sukniach!

Bystre oczka Dodge'a zrobiły się wielkie jak spodki.

- Bardzo przepraszam... powiedział pan: „w sukniach”?
- Tak.
- W damskich sukniach?!
- A słyszał pan o męskich, Dodge?
- Chyba nie, sir...

- Chodzi mi o suknie dzienne i wieczorowe, okrycia i wszelkie niezbędne dodatki. I kilka sukienek w mniejszym rozmiarze. Potrzebne

mi są jak najszybciej. Chciałbym, żeby madame Marceau zjawiła się pojutrze po południu pod tym adresem... Oto wskazówki, jak tam dotrzeć. - Gideon wręczył Dodge'owi krótką notatkę. - Jeśli madame Marceau wyświadczy mi tę grzeczność, zajmę się jej sprawą.

- Mogę zaręczyć, że to znakomita krawcowa, panie Cole.

- Doskonale! Przede wszystkim jednak zależy mi na tym, by jak najszybciej uwinęła się z robotą. Aha, proszę ją jeszcze powiadomić, że najodpowiedniejsze będą wszelkie odcienie zieleni, błękitu i złota.

Odchrząknął, nieco zażenowany.

- Wszelkie odcienie zieleni, błękitu i złota... - powtórzył Dodge powoli z taką miną, jakby usiłował rozszyfrować kod wrogiego mocarstwa.

- I jeszcze jedno, Dodge!

Całkowicie otumaniony radca wpatrywał się bezmyślnie w trzymaną w rękę notatkę.

- Tak?

- Biorę urlop na kilka tygodni. Spędzę go częściowo na wsi, a częściowo w Londynie. Powiadomię pana, kiedy powrócę do normalnych zajęć.

Brwi Dodge'a uniosły się tak gwałtownie, że wraz z nimi powędrowały w górę okulary.

- Robi pan sobie urlop?! Przecież pan nigdy... Jak pan wytrzyma...?

- To będzie bardzo pracowity urlop, Dodge.

- O!

Radca odetchnął z ulgą.

Gideon prawie słyszał, co tamten myśli: A więc naturalny porządek rzeczy nie został - Bogu dzięki! - kompletnie zakłócony! Cole będzie pracował! To odkrycie przyprawiło Gideona niemal o szok. Co prawda miło mu było odegrać się na Dodge'u, ale najwidoczniej Kilmartin nie pomylił się w swej opinii co do niego, Gideona Cole'a. Istotnie, w głowie miał tylko pracę i Constance! Ta myśl podziałała na niego jak zimny prysznic.

- Bardzo panu dziękuję, Dodge. Niech pan za bardzo za mną nie tęskni, kiedy wyjadę!

Poradnik dla dam i dżentelmenów. Taki tytuł nosiła książka. Przyniesiono ją tego ranka razem z jajecznicą i grzankami dla Lily.

Panienska pozwoli ze mną, panno Alice! Dziewczynka nieco nieufnie popatrzyła na wyciągniętą rękę pani Plunkett. Potem obejrzała się na siostrę, czekając na przyzwolenie. Lily skinęła głową. Alice uśmiechnęła się od ucha do ucha i wsunęła rączkę w dłoń gospodyni.

- Zobaczę pawie! - zapiszczała radośnie.

I pobiegła na dwór, mała zdrajczyni!

Do książki wsunięto kartkę. Pismo było kanciaste i niecierpliwe jak osoba, która sporządziła notatkę.

Dla L.M.

Proszę do południa zapoznać się jak najdokładniej z tą książką. Nie opuszczać pokoju. Zwrócić szczególną uwagę na stronę 20.

G.C.

PS Trzydzieści funtów, panno Masters!

Lily otworzyła książkę na stronie dwudziestej. Była niemal pewna, że to, co tam znajdzie, doprowadzi ją do białej gorączki! Już pierwsze słowa utwierdziły ją w tym podejrzeniu.

„Przejawy złego wychowania, których młódź płci obojga winna się za wszelką cenę wystrzegać...”

Poniżej zamieszczono niezwykle pomocny wykaz niepożądanych zachowań:

„Rozpieranie się na krześle w nonszalanckiej pozie podczas rozmowy i wpatrywanie się uparcie w twarz rozmówcy bez uzasadnionej przyczyny.

Wszelkie objawy niezadowolenia, zwłaszcza po usłyszeniu komplementu.

Wyczynianie dziwacznych grymasów, strojenie min.

Szyderstwa wszelkiego rodzaju, ze złośliwości czy z braku rozsądku.

Nieustanny uśmieszek na twarzy albo mars na czole.

Wszelkie zachowania, które można by poczytać za brak delikatności...”

Lily nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Jakież to zachowanie można poczytać za brak delikatności? Pewnie miało to oznaczać, że puszczenie wiatrów w towarzystwie jest nie do przyjęcia!

Wykaz towarzyskich faux pas przedłużał się w nieskończoność. Autor poradnika głądził i głądził, jeśli można się tak wyrazić o słowie

drukowanym! A zatem, dumiała Lily, nie wolno mi robić min, uśmiechać się, dąsać, żartować, myśleć, oddychać, poruszać...

Zamknęła energicznie książkę. Mama dawno wpoiliła w nią zasady dobrego wychowania. Prawda, że ucierpiało ono nieco skutkiem długotrwałego przebywania w St. Giles... Ale prawdę mówiąc, któż chciałby się upodobnić do damy z towarzystwa?! Lily z dwojga złego wolałaby chyba wyłudować w Newgate! Miała ochotę bez ceremonii cisnąć poradnik pod łóżko, położyła go jednak troskliwie na narzucie. W końcu była to książka, czyli coś - mimo wszystko - cennego.

Lily ściągnęła przez głowę pożyczoną koszulę, w której zmieściłyby się dwie dziewczyny takie jak ona. Włożyła, również pożyczoną, workową suknię, prowizorycznie podpiętą szpilkami. Na koniec wsunęła stopy w zbyt duże ranne pantofle. Pani Plunkett postarała się dla niej nawet o brązową wstążkę do włosów. Lily nigdy nie miała własnej, a w każdym razie nigdy nie cieszyła się nią długo, gdyż wstążki były w St. Giles popularnym środkiem płatniczym. Niektórzy kieszonkowcy specjalizowali się we wstążkach i jedwabnych chusteczkach, za które paserzy zawsze chętnie płacili. Lily z konieczności polowała na przedmioty większe i cenniejsze. Musiała przecież regularnie płacić czynsz pani Smythe. Wzięła wstążkę i przesuwając ją między palcami, zachwycona, że atlasowy materiał prześlizguje się niczym wąż. Wreszcie z ciężkim westchnieniem odgarnęła gęste czyste włosy do tyłu i związała je na karku wstążką.

Zakończywszy w ten sposób toaletę, pozwoliła sobie na nieśmiały krok za próg sypialni. Co to komu szkodziło? Przeczyta przecież tę nudną książkę od Gideona Cole'a... Tyle że trochę później!

Cisza, która panowała w domu, była dziwnie niepokojąca. Ledwie dostyszalne skrzypnięcie drzwi czy odległa rozmowa - może między służącymi? - wprawiała Lily w popłoch. Miała wrażenie, że w tym idealnie cichym domu utraciła słuch. Ruszyła do przodu choćby po to, żeby usłyszeć własne kroki na marmurowych płytach.

Po chwili znalazła się pośrodku wykładanego marmurem holu. Ze wszystkich stron wznosiły się wysokie ściany, a miejsce ich zetknięcia z sufitem znaczył ozdobny gzyms. Kinkiety wisiały na ścianach w równej odległości od siebie. Tkwiące w nich świece miały starannie przycięte knoty. I były to woskowe świece, nie łójówki. Co za luksusy!

Chyba jakimś cudem trafiła do jednej ze swoich bajek!

Zachwyty połączony z niepokojem sprawił, że serce zabiło jej szybciej. Jeszcze tylko kilka kroków, myślała, a potem wróć do pokoju...

Przemierzyła znaczną część domu, nim odkryła coś w rodzaju galerii – całe rzędy portretów po obu stronach krętych schodów. Może przedstawiały przodków? Mężczyźni w perukach, kobiety w cudacznych, wielkich krezach. Ciemnooccy chłopcy figlujący z psami, mężczyźni uzbrojeni w muszkiety... Lily przyglądała się wszystkim, wspinając się po schodach coraz wyżej i wyżej. Tu i ówdzie ktoś przypominał wzrostem Gideona, ciemne oczy powtarzały się w tej rodzinie od niezliczonych pokoleń. Ale żaden z tych cholernych pradziadków nie był taki przystojny jak on! A poza tym, czy ktoś zdołałby odtworzyć na płótnie te światelka we włosach, taką głębię oczu?

McBride, myślała Lily, idąc krętymi schodami w górę, chyba by zemdlął z wrażenia, znalazłszy się w tym domu! Srebrny świecznik – a pełno ich tu było, nawet w miejscach mogących doskonale obyć się bez oświetlenia – zapewniłby jej i Alice dostatnie życie na całe miesiące, może nawet rok czy dwa. wystarczyłoby ukryć jeden w szerokim rękawie i...

I Gideon Cole zaciągnąłby ją za kark do Newgate! Na myśl o Gideonie poczuła wyrzuty sumienia. Może powinna wrócić do swego pokoju i do czytania tej okropnej książki? Ostatecznie, zasłużyła się u niego, w pewnym sensie, na trzydzieści funtów! Dotrę do końca tych schodów i zawrócę!

Przystanęła, by połaskotać po pulchnym tyłeczku rzeźbionego amorka. Setki tych smarkaczy baraszkowały na poręczy, wplątując się w pełne owoców pnącza winorośli. Lily wchodziła coraz wyżej i wyżej, mijając ustawione w niszach marmurowe popiersia. Przyprawiały ją o dreszcz te martwe oczy i głowy pozbawione ciała, więc przemykała obok nich jak najszybciej.

Jeśli same te cholerne schody wydają się zaczarowane, mogła sobie wyobrazić, jaka była reszta domu! Bez wątpienia rozległa i pogmatwana jak sieć londyńskich ulic i zaułków. Gdy porównała ten niezwykły dom z Londynem, od razu wydał się jej mniej straszny Przecież po Londynie poruszała się całkiem swobodnie. I w końcu to nie wina domu, że jest taki wspaniały!

Nigdzie, psiakrew, ani ździebełka kurzu! Przez chwilę Lily rozmyślała o tym, że całkiem chętnie by odkurzała i polerowała te

cudackie amorki. Zaraz by im wszystkim nadała imiona. „Hej, Denis, mogę ci odkurzyć pupę?” Zakryła ręką usta, tłumiąc chichot.

Kiedy wreszcie schody się skończyły, Lily znalazła się na wprost uchylonych drzwi, prowadzących do intrygująco zaciemnionego pokoju. Zatrzymała się, rzecz jasna, żeby do niego zajrzeć.

- Kto tam?

Lily cofnęła się w popłochu.

- Wiem, że nie należysz do służby, moja droga. I z całą pewnością nic jesteś moim bratankiem ani żadnym z jego przyjaciół.

Lily skamieniała, ogarnięta paniką.

- Skąd pan może to wiedzieć? - wykrztusiła w końcu.

- Poznając po krokach. Są lekkie, więc wiem, że mam do czynienia z młodą damą. Gregson kroczy zawsze jak za pogrzebem, a pani Plunkett sapie, jakby ugiwała się pod ciężarem, co powiedzmy sobie otwarcie, jest w pewnym sensie zgodne z prawdą.

Lily się roześmiała, oczarowana żarcikami.

- Ty zaś, moja droga, chodzisz tak szybko, jakbyś chciała czym prędzej stąd uciec. Z Gideonem sprawa wygląda podobnie, z niego też niespokojna dusza! Stąpa jednak znacznie mocniej i sady wielkimi krokami. Tak więc znów nasuwa się pytanie: Kim jesteś, moje dziecko? Prawie już weszłaś do pokoju, możesz więc równie dobrze podejść bliżej. Niech ci się przyjrzę!

Był to głos zdumiewająco pogodny i raźny, mimo że dochodził z tak mrocznego pokoju. Lily, zaciekawiona, zdecydowała, że wykona polecenie. Z pewnym wahaniem przekroczyła próg.

W łóżku siedział siwowłosy dżentelmen. W blasku świec w okrągłych kloszach, których mnóstwo migotało wokół niego, Lily mogła dostrzec, że twarz starszego pana jest pomarszczona, a skóra na podbródku obwisła. Przyglądał się jednak dziewczynie z żywym zainteresowaniem spod krzaczastych, siwych brwi.

- Aha, miałem więc rację! Nie siliłbym się na flirty z tobą, gdybym nie był przekonany, że jesteś śliczna. I to jak! Popatrz, popatrz. Jak to się czerwieni, kiedy ktoś jej powie, że jest urocza!

- Czy to ładnie tak flirtować? - przekomarzała się Lily, dostosowując do jego tonu.

Roześmiał się, wyraźnie zadowolony.

- Widzę, że lepsze z ciebie ziółko! Pozwól, że się przedstawię: baron Lindsey, do usług. Ale nie wyjawiaś mi jeszcze, z kim mam przyjemność. Podejdź bliżej! Chyba nie jesteś *chere amie* mego bratanka, co? Naprawdę by mu się przydał ktoś taki!

Mowa te zostały wypowiedziane tak przyjaznym tonem, że Lily ani myślała się obrażać. Nie podeszła jednak bliżej. Nasłuchiwała się niejednego o podstarzałych dżentelmenach, którzy lubili sobie poswawolić. A ten, mimo że leżał w łóżku, nie wyglądał na inwalidę.

- Nazywam się Lily Masters, milordzie. Jestem kuzynką lorda Kilmartina i pochodzę z Sussex.

Lord Lindsey się roześmiał.

- Wcale się nie zgorszyłaś moją wzmianką o *chere amie* Gideona... Niezwykła z ciebie młoda dama, Lily Masters! Dlaczego nosisz tę upiętą spinkami, workowatą kieckę? Wygląda wypisz wymaluj jak suknie pani Plunkett!

- Bo to jest suknia pani Plunkett! Miałam okropny wypadek w podróży, sir, i wszystkie moje ubrania są kompletnie zniszczone.

- Nawet pantofelki, Lily?

Spojrzała na ranne pantofle, pożyczone od gospodyni.

- Jakim sposobem zdołał pan zobaczyć moje stopy?! - zdumiała się.

- Odbijają się w lustrze stojącym na biurku, moja droga. No, podejdź bliżej i porozmawiaj ze mną! Jestem chorym i okropnie znudzonym staruszkiem... I zapewniam cię, że nie gryzę, choćbym miał na to nie wiem jaką ochotę!

- Żle by się to dla pana skończyło, bo i ja ugryzłabym z całej siły! - odparła żartobliwie Lily. I nagle zasłoniła ręką usta. Przecież to nie był McBride, tylko lord Lindsey, baron! Baronom nie mówi się takich rzeczy!

Ale lord Lindsey tylko się roześmiał, wyraźnie zadowolony.

- Cóż za aksamitny głosik, panno Masters! Można zatonać w tej miękkości. Jesteś doprawdy jedyna w swoim rodzaju! Powiedz mi, dziewczyno, że nikogo jeszcze nie poślubiłaś, żebym mógł z czystym sumieniem zakochać się w tobie! A propos, czy znam twoich rodziców?

Lily mierzyła go wzrokiem i rozważała sytuację. Jak dotąd na temat osoby, którą miała tu odgrywać, wiedziała tylko trzy rzeczy: że była kuzynką Kilmartina, że miała wypadek w czasie podróży i że pochodziła

z Sussex. A prawda, jeszcze jedno! Że nie było jej wolno hasać po całym domu!

- Nie jestem jeszcze zamężna, sir! I wątpię, czy znał pan moich rodziców. Zmarli dawno temu.

- Ach tak? - Na twarzy lorda Lindseya odbił się smutek. - Straciłem obu synów na wojnie. Ich matka zmarła wkrótce potem.

Smutek ogarnął barona zupełnie nagle, ale jego szczerłość nie budziła wątpliwości. Lily zdumiała się, jak głęboki był jego żal.

- Tak mi przykro z powodu pańskiej straty, milordzie! - powiedziała miękko.

- A ja boleję nad twoją, Lily.

Przez chwilę panowała cisza, pełna wzajemnego współczucia. Potem baron znów skinął na dziewczynę, żeby podeszła bliżej. Przysunęła sobie krzesło do jego łóżka.

- Na co pan choruje, milordzie?

Odwrócił się do niej i oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia. Milczał tak długo, że Lily się zaniepokoiła. Może nie wypada, by młode damy zadawały tak bezpośrednie pytania lordom, choćby nie wiem jak przyjaźnie nastawionym?

- Nikt tego nie wie, Lily. Doprawdy nikt - odparł wreszcie lord Lindsey ze smutkiem. - I nikt już nawet nie zadaje podobnych pytań. Doktor przyjeżdża, bada mi puls, daje jakieś lekarstwo, ale nie czuję po nim poprawy.

- Kiedy pan zachorował, sir?

- To musiało być... Niech no sobie przypomnę... Po zakończeniu wojny. Położyłem się do łóżka i od tamtej pory prawie z niego nie wstałem.

Ach, tak? Rozchorował się po śmierci synów. Z rozpaczony po ich stracie, bez wątpienia! Lily doskonale rozumiała pragnienie zatracenia się w ciemności, niczym we śnie bez marzeń. Nieraz ją kusiło, by to zrobić, zwłaszcza po śmierci mamy. Zawsze jednak była Alice, o którą musiała się troszczyć. Alice, stanowiąca cel jej życia. Ciekawe, czy lord Lindsey miał jakiś cel w życiu? A może, położywszy się przed wieloma laty do łóżka w przyływie dojmującego smutku, nie był teraz w stanie zerwać z tym zakorzenionym już przyzwyczajeniem?

- Czy coś pana boli? Brzuch albo głowa? Czy może pan chodzić?

- Dobry Boże, dziecko! Zadajesz mnóstwo kłopotliwych pytań...

O Jezu! Teraz Gideon z pewnością zaciągnie ją do Newgate! Obraziła przecież jego stryja! A ona tylko chciała pomóc...

- Dlatego tak się dopytuję - wyjąkała Lily - bo znam aptekarza z St. Giles, który potrafi znaleźć lekarstwo na wszystko! Zwłaszcza na francie.

Zaskoczony lord Lindsey ryknął śmiechem.

- Na fran...?! Na litość boską, panno Masters! Ależ z ciebie numer! Niestety, mój problem nie jest równie prosty. Mam zresztą całkiem dobrego medyka...

- Ale nie wyleczył pana do tej pory! Prawda, milordzie?

Na takie dictum lord Lindsey zaczerpnął głęboko powietrza i wyprostował się, o ile mógł tego dokonać, siedząc na łóżku. Przyglądał się bacznie Lily, a jego niebieskie oczy błyszczały, jakby miał przed sobą niezwykle okaz, który trzeba koniecznie ustrzelić, wypchać i zawiesić w widocznym miejscu na ścianie.

W ciszy, jaka zapanowała między nimi, Lily wyraźnie słyszała, jak zegar posępnie odmierza każdą sekundę.

- Nie, dotąd mnie nie wyleczył, panno Masters - przyznał w końcu lord Lindsey. - Ale podejrzewam, że ty mogłabyś tego dokonać!

Uśmiechnął się przy tym szelmowsko, a serce Lily fiknęło nagle koziółka. Nawet w tak podeszłym wieku lord Lindsey miał uśmiech uderzająco podobny do Gideona. A uśmiech Gideona był niebezpieczną bronią!

- Czy zechcesz zagrać ze mną w karty, Lily? Sprawić przyjemność umierającemu z nudów staruszkowi?

- Ma się rozumieć, milordzie! Ale w takiej ciemności nie odróżnimy jednej karty od drugiej! Zaraz rozsunę kotary...

- Nie, nie, Lily! To by...

Ale Lily już pociągnęła ciężkie draperie.

Światło wtargnęło nagle do pokoju, drobinki kurzu zawirowały w powietrzu. Lord Lindsey zasłonił oczy ręką.

W chwilę później ostrożnie odjął rękę od oczu. Uśmiechnął się, mrużąc niezbyt mądrze, jakby ktoś przyłapał go na płataniu figła.

- Panie święty, zapomniałem już, jakimi tyranami bywają kobiety! Niech ci będzie, Lily. Zagramy w karty w pełnym świetle. Nie masz nic przeciwko temu, żebym ci mówił po imieniu, prawda?

- Oczywiście, że nie, milordzie! Ale ostrzegam, bardzo dobrze grani w karty!

- Ja też, Lily, ja też! Mam nadzieję, że lubisz ryzykowną grę.

- A ja mam nadzieję, że nie przejmie się pan zbyt przegraną, sir!

Lord Lindsey wybuchnął śmiechem.

Gideon był w połowie drogi z frontowego holu do sypialni stryja, gdy jakiś odgłos sprawił, że stanął jak wryty. Było to bardzo charakterystyczne plaśnięcie karty o stół. Potem zaś, ku przerażeniu Gideona, dał się słyszeć gardłowy chichot.

Do wszystkich diabłów! Cóż to ma znaczyć?!

W kilku susach znalazł się w pokoju stryja.

Och! Nagła jasność go poraziła. Gideon zakrył oczy rękoma. Od kiedy to słońce miało prawo wstępu do stryjowskiej samotni?!

Nie ucieszył się wcale, gdy znów rozległ się kobiecy chichot, a zaraz po nim ochryply męski śmiech.

Gideon odsonił oczy i zamrugał, usiłując przywyknąć do jaskrawego światła. Po kolejnym mrugnięciu jego oczom ukazała się zdumiewająca scena.

Stryj Edward siedział na krześle. Przy stole! Naprzeciw niego zaś rozsiadł się psotny anioł, a może anielica, z bosymi nogami.

Włosy tej istoty, o barwie i połysku starego złota, związane były luźno wstążką. Wymykały się jednak spod niej, opadając w beładnym przepychu na plecy i otaczając twarz burzą niesfornych kędziorów. Niedawno wyszorowana skóra, zaczerwieniona od śmiechu, miała połysk i barwę pereł i róż. Kiedy niezemska istota odwróciła się, by spojrzeć na Gideona, w pełnym blasku słońca jej oczy były niemal przejrzyste... Jakby przeświecało przez nie niebo. Para o wiele za dużych rannych pantofli leżała na podłodze. Oczywiście zrzuciła je, by poczuć się swobodniej! Dziesięć różowych paluszków zanurzało się w puszystym dywanie, rozkoszując się jego dotykiem. Karty leżały rozrzucone na stole, a przed anielicą piętrzył się niewielki stosik monet. Brakowało jej tylko cygara, kieliszka koniaku... i aureoli.

Jak urzeczony, bez tchu Gideon wpatrywał się w niebiańską wizję. Lily Masters! Gdy tak się na nią gapił, poczuł, jak coś w jego wnętrzu,

licho wie co, zrywa się z uwięzi, zagrażając wyraźnie równowadze jego ducha.

- Wróciłeś już z Londynu, mój chłopcze? Masz zamiar stać tak z otwartą gębą jak jakiś wiejski głupek, Gideonie, czy ukłonisz się i powiesz grzecznie „dzień dobry”? Panna Lily Masters z Sussex pobiła mnie kretesem w faraona. A poza tym ma przyjaciela aptekarza, który mnie wykuruje. Tak przynajmniej twierdzi Lily. Napisałiśmy już do niego, zamawiając cudotwórczy eliksir.

Lord Lindsey mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny.

- Doprawdy? - wycedził Gideon. Lily nieco zaniepokoił ten ton. I całkiem słusznie! - Jestem niezmiernie rad, że podniosłeś się z łóżka, stryju Edwardzie.

Gideon usiłował zapanować nad głosem. Jego stryj! Siedzi przy stole. I gra w karty!

- Niezłe ziółko z tej panienki - ciągnął dalej stryj, jakby to, że nie leży w łóżku, nie było niczym nadzwyczajnym. - Pozwoliła łaskawie, bym mówił jej po imieniu. Nie wspomniałeś mi, że ona również zechce przyłączyć się do towarzystwa, podobnie jak lord Kilmartin.

- O, panna Masters jest... niezwykle łaskawa - Gideon wymówił ostatnie słowo z całą ironią, na jaką było go stać, i obserwował z satysfakcją, jak pochmurnieją pogodnie dotąd oczy Lily. - A jej wizyta miała być czymś w rodzaju... niespodzianki. Panno Masters, mieliśmy porozmawiać ze sobą dziś po południu, nieprawdaż?

Gideon zdołał zapanować nad głosem i mówił obojętnym tonem. Ale jego oczy ciskały błyskawice gniewu.

- Tak - odparła Lily słabym głosem. - Chyba tak.

- Od razu chcesz mi ją zabrać, mój chłopcze? - Lord Lindsey był wyraźnie rozczarowany. - No cóż, niech i tak będzie. Obiecuj, Lily, że jeszcze mnie odwiedzisz!

- Obiecuję - odparła tym samym słabym głosem i pośpiesznie wstała od stołu.

- Zapomniała pani o pantoflach, panno Masters - zwrócił jej uprzejmie uwagę Gideon.

- Is...istotnie.

Ukryła stopki w wielkich rannych pantoflach.

- Pomóż mi wrócić do łóżka, dobrze? I zasun kotary, Gideonie. Tej niemądrej dziewczynie zachciało się słońca. - Lord Lindsey się uśmiechnął. - Podaj mi łapkę, Lily, jak grzeczna dziewczuszka... I nie zapomnij odwiedzić mnie jutro!

Lily podała baronowi rękę i uśmiechnęła się do niego. Był to uśmiech szczery, ciepły, radosny i odrobinę przekorny. Ugodził Gideona w splot słoneczny jak miniaturowa kometa.

Pozostało po tym zderzeniu bezsensowne uczucie palącej zazdrości. Dlaczego ten uśmiech nie był przeznaczony dla mnie?!

- Nie zapomnij swojej wygranej, drogie dziecko!

Gideon przyglądał się, jak Lily zgarnia kupkę szylingów i pensów.

- Bardzo dziękuję, milordzie. Na pewno znów się spotkamy! Zerknęła z ukosa na Gideona.

Pomógł stryjowi położyć się do łóżka i zaciągnął kotary, by do pokoju nie wtargnęło znów słońce. Zupełnie jakbym wkładał ołowianego żołnierzyka z powrotem do pudełka! - myślał. Ale jego stryj nie był zabawką, z którą Lily Masters mogłaby igrać do woli!

- Idziemy, panno Masters? - spytał groźnym tonem.

Zaprowadził ją do salonu. Przed śmiercią stryjenki nazywano go błękitnym. Dywany, zasłony i obicia były tu niebieskie, w najrozmaitszych odcieniach, które nie zawsze harmonizowały ze sobą. W pokoju stały zabawne francuskie meble na cienkich nóżkach.

- Miała pani nie opuszczać sypialni, panno Masters.

Ku zdumieniu Gideona zrobiła wielkie oczy. Wydawała się zdumiona i ubawiona.

- I pan wierzył, że będę tam tkwiła?! Zresztą, oddaliłam się tylko o kilka kroków...

- Które zaprowadziły panią wprost do pokoju mojego stryja. Czy naprawdę sądzi pani, że zdoła uwieść chorego starca?

Lily się zdumiała.

- Uwieść?! - pisnęła z oburzeniem. - Ja nigdy... On nie mógłby przecieź...!

Policzki jej robiły się coraz czerwieńsze, zupełnie jakby ktoś dolewał wina do śmietanki.

- Czego pani nigdy, panno Masters? – W jego przesadnie uprzejmym brzmiało rozbawienie. - A mój stryj, czego by nie mógł?

Lily milczała przez chwilę.

- Dlaczego zadaje mi pan takie pytania? - spytała wreszcie nieco piskliwym głosem.

Gideon również nie spieszył się z odpowiedzią.

- Dobro mojego stryja bardzo mi leży na sercu. Pani zaś jest w posiadaniu pewnej niezwyklej książki, a co za tym idzie, zapewne nabrała ... szczególnych umiejętności. Kto wie, czy nie zechce ich pani wypraktykować? Uprzedzam, stryj jest stary i chory, ale mimo wspaniałości domu nie należy wcale do bogaczy!

- Niezwykła książka? - Lily wydawała się zdezorientowana. Po chwili jednak wykrzyknęła: - Och!

Na jej twarzy odbiło się zażenowanie, gdy zrozumiała, co Gideon miał na myśli.

- Właśnie, „och”!

- Dostałam ją w prezencie - wyjaśniła z pośpiechem.

- Od wielbiciela?

Dlaczego, u diabła, tak go to interesowało?!

Chwila ciszy.

- W pewnym sensie.

- Przejrzałam tę książkę, panno Masters. Jest bardzo... pouczająca.

- Doprawdy? Niewiele z niej zrozumiałam.

- Dlaczego więc pani się tak czerwieni?

Lily nie odpowiedziała. Spoglądała z nienawiścią na sprawcę swego upokorzenia.

- Ceni pani sobie tę książkę?

- Tak. To prezent, jak już mówiłam.

- A może - rozważał na głos Gideon - odbiorę ją pani i sprzedam?

Lili zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

- Bardzo sprytnie! Może mi pan wierzyć albo nie, ale dobrze wiem, że kradzież jest przestępstwem. Niekiedy jednak bywa... koniecznością.

- Koniecznością? Można znaleźć inne rozwiązanie, panno Masters! Mogłaby pani sprzedawać kwiaty albo...

- Albo siebie? Czy to miał pan na myśli? Uznałby to pan za lepsze rozwiązanie niż kradzież pańskiego zegarka?

Jej policzki pokryły się gniewnym rumieńcem.

Gideon popatrzył na jej zadziornie wysuniętą bródkę i na soczyste, pełne usta.

- Nie - rzekł cicho po chwili. - Nie uznałbym tego za lepsze rozwiązanie, panno Masters.

Lily zdumiała się jak ktoś, kto zamierzał wyważyć zaryglowane drzwi, ale spostrzegł, że w ostatniej chwili otworzyły się same. Uśmiechnął się ekko.

- Mimo to jestem przywiązany do tego zegarka. To pamiątka po dziadku. A pani zabrałaby mi ją, nie bacząc na sentymenty, nieprawdaż?

- Nie mogę sobie pozwolić na takie rozważania.

- Ponieważ wyrzuty sumienia przeszkadzają w złodziejskim fachu?

Lily milczała chwilę, po czym westchnęła głęboko.

- Czy ma pan siostrę? Albo brata?

Poczuł się tak, jakby dźgnęła go znieńska w otwartą ranę.

- Tak - odparł, gdy był już pewien, że głos go nie zawiedzie. - Mam siostrę, Helen.

- Kocha ją pan?

Głos Lily nieco złagodniał.

Nie odrzekł nic, ale chyba wyraz jego twarzy był wystarczającą odpowiedzią, gdyż Lily pokiwała głową, jakby potwierdziły się jej przypuszczenia.

- Czy zrobiłby pan dla niej wszystko?

Tym razem to on skinął głową, jakby przytakiwał jej w trakcie jakiejś ważnej debaty.

- Wiem, że istnieją inne rozwiązania - powiedziała. - Ale żadne z nich, prócz jednego, nie zapewniłoby dość pieniędzy, żeby wystarczyło na mieszkanie i jedzenie, i na to, bym mogła zatrzymać Alice przy sobie i uchronić ją od błąkania się po ulicach.

Wpatrywał się w nią bez słowa. Wiedział, że mieszkańcy St. Giles gniezdzą się po kilkanaścioro w jednej izbie. Wiedział też, że piją dla rozgrzewki dżin. Wiedział wreszcie o przemocy, chorobach i nędzy, które często bywały konsekwencją pijaństwa. Był niemal pewien, że Lily jest z nim w tej chwili szczerą.

- Ja próbowałam.

Głos jej załamał pod jego uporczywym spojrzeniem.

- Czego pani próbowała, panno Masters?

Próbowałam nająć się do służby w jakimś wielkim domu. Albo znaleźć pracę w sklepie. Nikt nie chciał mnie zatrudnić. Nie mam doświadczenia, rozumie pan, i nie jestem odpowiednio wykształcona. Zresztą, czy przyjąłby pan do pracy kogoś, kto wygląda tak, jak ja wyglądałam do wczoraj? - Mówiła spiesznie, jakby wolała nie słyszeć jego odpowiedzi. - A do służby bardzo rzadko biorą kogoś... kto ma pod opieką dziecko. No i w końcu...

Nie wiadomo dlaczego zależało mu na tym, by oszczędzić jej dumę.

- Byłaby pani fatalną służącą, panno Masters - zażartował. - Bardziej się pani nadaje na generała!

- Dziękuję za komplement!

Wydawała się szczerze uradowana.

Nie mógł się powstrzymać i znów się uśmiechnął.

- Opiekuję się siostrą od kilku lat, wie pan? - ciągnęła Lily. - I całkiem nieźle sobie radzimy!

W jej głosie brzmiała duma.

- Gdyby nie ja, panno Masters, zesłano by panią do Australii.

- Podobno jest tam całkiem ładnie o tej porze roku!

Nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Życie, jakie pani prowadzi, jest bardzo niebezpieczne!

- Wiem. Nie robię tego dla przyjemności.

Znów chwila ciszy.

- Mam wrażenie, że mimo wszystko sprawia to pani trochę przyjemności! - mruknął.

I wtedy się do niego uśmiechnęła. Był to uśmiech zuchwały, żywiołowy, przekorny, olśniewający i młodzieńczy. Taki piękny, że aż bolało! Gideonowi zaparło dech. Instynktownie się cofnął w niezrozumiałym odruchu.

- Trzydzieści funtów, panno Masters! Proponuję, żeby wróciła pani do swego pokoju i przestudiowała wskazaną książkę. Chyba że rzeczywiście pragnie się pani przekonać, ile uroku ma Australia o tej porze! A mój stryj to nie zabawka dla pani! Jeśli spróbuje go pani usidlić... albo okraść... Przysięgam, że się z panią policzę!

Ku ogromnej uldze Gideona, a także jego niepojętemu żalowi, uśmiech Lily znikł równie szybko, jak się pojawił. Okręciła się na pięcie, aż fałdy pożyczonej sukni zakotłosały się wokół jej kostek. Ruszyła do wyjścia. Boże wielki, jeszcze nigdy nie widział nikogo, komu by się tak spieszyło!

Przy samych drzwiach zatrzymała się jednak i znów odwróciła się twarzą do niego.

- Mam do pana pytanie, panie Cole. Dotyczące... honoru.

Gideon parsknął śmiechem.

- Chce mnie pani wciągnąć w filozoficzną dysputę?

- Nie. Chcę pana zapytać, czy jestem tu więźniem... Czy też mogłabym stąd odejść, gdybym zwróciła panu dług?

- Nie ma pani szans na zdobycie i zwrócenie mi trzydziestu funtów, panno Masters. W promieniu wielu mil wokół Aster Park nie znajdzie pani ani jednego pasera! Upewniłem się co do tego ze względu na panią.

Zignorowała prowokację.

- Gdybym jednak zdołała spłacić panu dług podczas mojego pobytu tutaj... Czy mogłabym stąd wyjechać?

- Jeśli zamierza pani wyłudzić od mojego stryja trzydzieści funtów... - Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Ręka Lily opadła na oparcie krzesła, obitego aksamitem. Zauważył, że jej oczy się rozszerzyły, a na twarzy odbiło się zaskoczenie. - Panno Masters, doprawdy nie sądzę, że byłby to honorowy sposób spłacenia długu! Wykorzystanie...

Jej palec sunął po aksamicie, gładząc materiał ledwie dostrzegalnym ruchem. Gideonowi zaparło dech. Ten bezwiedny ruch równocześnie wzruszał bezradnością i wywoływał erotyczne skojarzenia. Sprawiał, że Gideon pragnął obsypać ją wszystkimi skarbami Aster Park tylko po to, by ujrzeć, jak zmienia się wyraz jej twarzy.

- To jest... hm... wykorzystywanie chorego i starego człowieka... Zdawał sobie sprawę, że jego słowa brzmią dziwnie niezdarnie. Sunący po aksamicie palec niesłychanie go rozpraszał!

Ręka Lily znieruchomiała.

- Nigdy nikogo o nic nie proszę!

Uniósł brew.

- Oczywiście, że nie! Pani po prostu bierze, co chce!

Odrzuciła gniewnie głowę do tyłu. Już chciała rzucić ciętą odpowiedź, rozmyśliła się jednak. Zaciśnęła usta i przyjrzała się uważnie Gideonowi, marszcząc z lekka czoło. On z kolei mierzył ją nieugiętym, wyzywającym spojrzeniem.

A potem wydarzyło się coś zdumiewającego.

Z oporami, niechętnie, w tym samym momencie...

Uśmiechnęli się do siebie.

Przyznali się w ten sposób, że każde z nich mimo woli czerpie niespodziewaną przyjemność z tej utarczki.

Na Boga, ta dziewczyna była złodziejką, sama się do tego przyznała... Ale rozumowała jak adwokat! I miała więcej dumy i charakteru niż większość znanych mu mężczyzn! Gideon poczuł się absurdalnie uradowany, dostrzegając w jej oczach szczerą podziw dla niego.

- Doskonale, panno Masters - oświadczył nieoczekiwanie. - Jeśli podczas pobytu w Aster Park zdobędzie pani w uczciwy sposób trzydzieści funtów, może pani stąd odejść, dokąd tylko pani zechce!

Uśmiechnęła się.

- Czy ze swej strony przyrzeknie pani współpracować z nami przy wcielaniu w życie naszych planów? - Uśmiech Lily stał się wyraźnie łobuzerski. - I poświęci pani temu wszystkie siły?

- Zgoda.

- Nie mamy, rzecz jasna, żadnej gwarancji, że nasze przedsięwzięcie nie zakończy się kompletnym fiaskiem...

- W zupełności się z panem zgadzam. Ale na początek proszę to przyjąć! - Lily wcisnęła mu do ręki wygraną w karty. Zaskoczony Gideon odruchowo rozchylił dłoń. - Dwa funty. A zatem jestem panu winna już tylko dwadzieścia osiem funtów. Zapewniam, że lord Lindsey dowiedział się ode mnie jedynie tego, że jestem kuzynką lorda Kilmartina i pochodzę z Sussex. Baron wcale nie jest schorowanym starcem! Jest ogromnie znudzonym i samotnym starszym panem, który szuka jakiegoś pretekstu, żeby podnieść się wreszcie z łóżka!

Gideonowi odebrało mowę. Przyglądał się bez słowa, jak Lily po raz kolejny obraca się i zmierza zdecydowanym krokiem do drzwi salonu...

I znowu zatrzymała się na progu.

Jaka szkoda, że zepsuł jej efektowne wyjście rzeczową informacją.

- Schody, panno Masters, znajdują się po lewej, a pani pokój jest na drugim piętrze.

Wyprostowała szczupłe plecy, skierowała się w lewo i znikła na schodach. Podeszwy zbyt dużych rannych pantofli klaskały o marmurowe stopnie.

Gideon, z ręką pełną monet, stał oszołomiony w drzwiach przez dobrych kilka minut, choć odgłos jej kroków dawno już ucichł.

5

Pan Cole nie kłamał, tu naprawdę są pawie! Jakie one śliczne! I jak zabawnie skrzeczą! A Boone... Boone to ogrodnik. Powiada, że pawie potrafią strzec domu nie gorzej niż psy, chociaż...

- Mhm... Co ty powiesz?... Słowo daję!...

Lily urozmaicała od czasu do czasu potok słów siostry któryś z tych zwrotów, na wypadek gdyby Alice oczekiwała dowodów zainteresowania z jej strony. Wkrótce okazało się jednak, że był to raczej monolog niż wymiana zdań; Lily przestała zwracać uwagę na to, co siostra mówi. Przyglądała się jej tylko uważnie. Chuda buzia Alice jaśniała zdrowym rumieńcem po całym dniu spędzonym na słońcu i świeżym powietrzu.

- A ty co dziś robiłaś, Lily? - spytała na koniec Alice, okazując wreszcie zainteresowanie sprawami siostry.

- Czytałam książkę.

Znienawidzony poradnik, piętnujący „przejawy złego wychowania, których się winna wystrzegać młodź płci obojga”, leżał na biurku, prezentując się równie nieciekawie zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz. Po konfrontacji z Gideonem Lily posłusznie zajęła się studiowaniem tego dzieła, a dało to tylko taki skutek, że przez cały dzień miała wrażenie, iż ktoś ją strofuje.

Podczas tej lektury odkryła jednak coś interesującego, a mianowicie słowa „Własność Gideona Cole'a”, nagryzmołone chłopięcą ręką na wewnętrznej stronie okładki. Kto wie? Może właśnie ta książka tak mu spaczyła charakter, że stał się tym, kim był teraz! Cierniem w jej boku. Strażnikiem więziennym...

I obiektem jej coraz wyższej i coraz bardziej irytującej fascynacji!

Ktoś zastukał do drzwi, Lily otworzyła. Była to pokojówka, która przyniosła kolejną notatkę, zawierającą instrukcje „dla L.M.”:

Proszę zejść razem z Alice na wspólny obiad ze mną i lordem Kilmartinem o ósmej wieczór, do jadalni na parterze. Pożądanym wyglądem. Znajdź Pani talent do odkrywczych wypraw, mniemam, że trafi Pani do jadalni bez mojej pomocy. G.C.

- Masz dziwny wyraz twarzy, Lily!

Alice zrzuciła pantofle i dreptała po dywanie, trzymając się skomplikowanego wzoru ze splecionych pnączy.

Czy liścik był kolejną prowokacją, czy może Gideon tylko się z nią przekomarzał? Lily nie potrafiła rozstrzygnąć tej kwestii. Czuła, że oblewa ją fala gorąca. Ogarnęło ją zmieszanie, irytacja, rozbawienie... I dziwna, zapierająca dech radość...

Nie wiem, co myśleć o tym człowieku!

Ale przecież nieraz już zgłębiała różne sekrety...

- Jesteśmy zaproszone dziś wieczorem na obiad, Alice. Do jadalni na parterze.

- Na obiad? - zdumiała się siostrzyczka. - Pomyśleć tylko! Dwa dni pod rząd będziemy miały prawdziwy obiad!

Kilmartin i Gideon z lubością obracali kieliszki porto. W gruncie rzeczy było ono poobiednim napitkiem, ale ponieważ to Gideon ustanawiał wszelkie reguły, postanowili uraczyć się trunkiem jeszcze przed posiłkiem i cieszyli się z tego jak para smarkaczy.

- Jak sobie radzi nasza... protegowana? - chciał się dowiedzieć Kilmartin.

Gideon uniósł kieliszek i zapatrzył się w rubinową głębię, jakby mógł wyczytać z niej odpowiedź. Jak sobie radzi nasza protegowana? Być może były to skutki nadużycia porto, ale stanęły mu przed oczyma różowe stopki, zanurzone w puszysty dywan... palec sunący po aksamicie... i uśmiech Lily, nieoczekiwany i cudowny jak spadająca gwiazda.

I jego stryj. Siedzący przy stole i grający w karty w pełnym blasku słońca! A w dodatku - może znów pod wpływem porto - wszystkie te obrazki wydały mu się częstkami składowymi jednego wielkiego cudu.

- Kąpiel nieco poprawiła jej wygląd - udzielił w końcu odpowiedzi.

Z niewiadomego powodu unikał spojrzenia przyjaciela.

Kilmartin parsknął śmiechem.

- Jesteś pewien, stary, że nie chcesz zrezygnować z tego szaleń...

Zająknął się i zamilkł. Gideon podniósł wzrok. Lily Masters stała na progu jadalni z dumnie podniesioną głową, wyprostowana jak zwykle. Alice kręciła się niespokojnie u jej boku. Obie były czyściutkie i zaróżowione. I głodne, jeśli się nie mylił!

Gideon i Kilmartin, nadal wytrzeszczający oczy, wstali pośpiesznie, jak nakazywała grzeczność.

- „Kąpiel nieco poprawiła jej wygląd”?! - szepnął Kilmartin do Gideona. - Ależ z ciebie szelma, Cole!

Gideon zignorował tę uwagę.

- Dobry wieczór, panno Masters... panno Alice.

Lily zwlekąca nieco z odpowiedzią.

- Dobry wieczór, panie Cole.

Szczypta ironii w jej głosie pozwalała się domyślić, że dziewczyna czuje się tu raczej więźniem niż gościem.

- Przypomina sobie pani lorda Kilmartina?

- Dobry wieczór, milordzie.

Lily zwróciła starannie wyszorowaną twarz w stronę Lauriego.

- Dobry... dobry... - wyjąkał Kilmartin.

Gideon rzucił przyjacielowi spojrzenie, które mówiło wyraźnie: weź się w garść, stary!

- Pozwól, że cię przedstawię panie Alice Masters.

Alice spoglądała nieufnie na Kilmartina. Jej mała rączka - ta, która nie spoczywała w dłoni siostry - bawiła się nerwowo fałdami spódnicy.

- Jest bardzo przystojny, ale nie tak, jak pan Cole! - szepnęła w końcu do Lily, która ścisnęła ją za rękę zbyt późno, by udaremnić te wynurzenia.

Kilmartin pochylił się do ucha Alice.

- Wszyscy tak uważają! - oznajmił konspiracyjnym szeptem. Dziewczynka zachichotała.

Ach! — pomyślał Gideon, gdybyż dorosłe kobiety można było oczarować równie łatwo, jak małe kobietki!

- Może usiądziemy? - Wskazał zastawiony stół.

Lokaje wynurzyli się z cienia, by podać im krzesła.

- Siadajcie! - zakomenderował Gideon, a dziewczęta zrobiły, co kazał.

Wydawały się zaskoczone, gdy lokaje przysunęli ich krzesła do stołu. Alice zachichotała i Lily ją uciszyła. Zaciskała jednak usta, jakby sama z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Służący pojawili się znowu, niosąc półmiski nakryte srebrnymi pokrywami. Podnieśli je bardzo uroczyście. Ukazały się pieczeń z sarny, ryba, pieczone kurczę i zielony groszek. Zręcznie nałożyli spore porcje na talerze i znów się wycofali, stąpając bezszelestnie po puszystym dyle.

Gideon odchrząknął.

- A teraz, panno Masters, ponieważ jest pani naszym gościem...

Przerwał mu szcęk metalu o porcelanę. Lily i Alice przypuściły szturm na talerze.

Mięso, ryba i drób zniknęły błyskawicznie, podobnie jak kopiałe porcje groszku. Sos skapywał z widelców. Ręce poruszały się z nieprawdopodobną szybkością. Gideon i Kilmartin przyglądali się zafascynowani, jak Alice poluje na ostatnie ziarenka groszku, niczym niezmordowany myśliwiec na zwierzynę. Bezskutecznie usiłowała nadziać je na widelec. W końcu je zmiażdżyła i wsadziła do buzi z promiennym uśmiechem.

Gideon i Laurie równocześnie zwrócili wzrok na Lily. Oblizywała z rozmarzeniem ąbki swego widelca. Jej talerz lśnił, jakby nigdy nic na nim nie leżało.

Panowie nawet się zdążyli zabrać się do jedzenia.

Gideonowi ścisnęło się serce. Pojął wreszcie, jak rzadko obie dziewczyny mogły się najeść do syta.

- Może dokładkę? - zaproponował łagodnie.

Obie żywo przytaknęły.

- Obawiam się, że musimy dodać pozycję „Jak zachowywać się przy stole” do naszego planu zajęć! - mruknął Kilmartin.

Gideon westchnął.

6

Lily ściągnęła właśnie ogromniastą - oczywiście pożyczoną - nocną koszulę i włożyła równie obszerną suknię, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Otworzyła je z impetem i ujrzała panią Plunkett, dźwigającą tacę z jajkami i grzankami oraz kolejny liścik od Gideona Cole'a.

Lily uwolniła gospodynię od ciężaru i wymamrotała słowa podziękui.

- Idziemy, panienko Alice! - oznajmiła pani Plunkett.

- Hurra! Do zobaczenia, Lily!

Alice wspięła się na paluszki, pośpiesznie - ale z całej siły - uściskała siostrę i bez najmniejszego wahania wyszła ręką w rękę z gospodynią. Dziewczynka kręciła się, ogromnie podniecona, po pokoju od chwili, gdy otworzyła oczy. Miała dziś pomagać ogrodnikowi w sadzeniu kwiatów, a potem kucharce w wyrabianiu ciasta na chleb i pieczeniu ciasteczek.

Lily spojrzała tęsknie za wychodzącymi, po czym z westchnieniem siadła na łóżku. Zatopiła zęby w kromce chleba i rozłożyła kartkę od Gideona Cole'a.

Dla L.M.

Zechce się Pani zjawić w błękitnym salonie na drugim piętrze w celu omówienia czekających nas zadań. Punktualnie, zgodnie z umową. Zegarów tu nie brakuje i z pewnością dokonała już Pani ich przeglądu. Następnie czeka Panią partia kart z lordem Lindseyem, potem zaś spotkanie z krawcową.

G.C.

A więc zagra dziś w karty z lordem Lindseyem! Lily uśmiechnęła się na tę wieść. Widać baron nalegał.

Ale kiedy przeczytała notatkę po raz drugi, poczuła gniew. Mogła być diabli wiedzą kim - ni to andrusem z ulicy, ni to damą - mogła być winna Cole'owi trzydzieści... O, przepraszam! Tylko dwadzieścia osiem funtów! Gideon Cole zaś mógł być niewiarygodnie przystojny i stanowczo zbyt sprytny, ale słówko „proszę” należało, bez wątpienia, do słownika dżentelmena. Przejadł jej się rozkazujący ton jego liścików. Zwłaszcza że od lat nikt nie dyktował Lily Masters, co ma robić!

W porządku, będzie współpracować z Cole'em... w miarę możliwości.

Uśmiechnęła się do siebie. Nieco złośliwie.

- Jest pani nader punktualna. Dziękuję, panno Masters.

W tym pomieszczeniu, pełnym najrozmaitszych odcieni błękitu, oczy Lily zmieniły się w niewiarygodnie piękne żywe szafiry. Gideon od razu to zauważył.

Dziewczyna w odpowiedzi zdawkowo kiwnęła głową.

- Może nie zdaje pani sobie z tego sprawy, panno Masters, ale pozostawienie czyjejs uwagi bez odpowiedzi uchodzi za brak grzeczności. Krótko mówiąc, jeśli ktoś, na przykład ja, powie pani „dziękuję”, powinna pani odpowiedzieć: „proszę bardzo”.

Lily wywróciła oczami.

- Czy przeczytała pani uważnie książkę, którą pani przesłałem, pan-Masters?

- Tak, panie Cole.

- Nie znalazła tam pani żadnej wzmianki na temat przewracania oczami? - spytał łagodnie.

Lily zastanowiła się głęboko.

- Było tam coś o wykrzywianiu twarzy, o ile dobrze pamiętam. Ale nie przypominam sobie konkretnej wzmianki o przewracaniu oczami. - Specjalnie na użytek Gideona Lily się wykrzywiła i zrobiła zeza, po czym ze słodką minką zwróciła się do Kilmartina: - Dzień dobry, milordzie!

Lauriemu odjęło mowę.

Gideon westchnął. W obecności pięknych kobiet przyjaciel po prostu głupiał.

- Musisz stać się bardziej rozmowny, Kilmartin, inaczej niewiele z ciebie będzie pożytku. Weź się w garść!

- Racja, święta racja, stary! - zgodził się z pośpiechem. - Dzień dobry, panno Masters. Proszę usiąść!

Nawiasem mówiąc, sam objął w posiadanie błękitną kanapę.

Lily obdarzyła go lekkim uśmiechem i zdecydowała się na jedno z delikatnych jasnoniebieskich krzesłek.

Gideon przyjrzał się im i doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie się oprzeć o gzyms kominka.

- Proszę mi wyjaśnić, panno Masters, bo nic już nie rozumiem. Przypominam sobie naszą wczorajszą rozmowę o współpracy. Czyżby mi się tylko śniła?

Lily zwróciła oczy w stronę sufitu, na którym polatywały cherubiny w błękitnych szatach.

- Hm... No tak. Ja również przypominam sobie tę rozmowę. Wówczas jednak wydawało mi się, że rozumiem znaczenie słowa „współpraca”. Dziś rano przekonałam się, że jestem w błędzie.

Gideon skrzyżował ramiona i wpatrywał się w nią z rosnącą irytacją, a zarazem z ciekawością i z rozbawieniem.

Spojrzenie, jakim mu odpowiedziała, było zbyt niewinne, żeby mogło być prawdziwe.

- W porządku, panno Masters. Proszę przedstawić swój punkt widzenia.

Wydawała się nieco rozczarowana. Liczyła być może na to, że podrażni się z nim trochę. Dostrzegł znów mimowolny błysk szacunku w jej oczach. Bardzo mu to pochlebiło.

- No cóż... Myślałam, że słowo „współpraca” oznacza pewną wspólnotę, jedność celu. Może nawet wspólne działanie? Ale dziś rano otrzymałam niezwyklejszy rozkaz.

Gideon zmarszczył brwi.

- Rozkaz?

- Kazano mi „zjawić się punktualnie” - zacytowała Lily z pamięci. Widać było jej rosnącą irytację. - Żadnego „proszę”, kategoryczny nakaz! W całej tej cholerniej notatce nie było ani jednego „proszę”! Obiecałam współpracę, panie Cole. Ale proszę mną nie komenderować!

- Ma pani rację, panno Masters, Gideon lubi komenderować! - Kilmartin siadł prosto na kanapie, jakby nagle doznał objawienia. - Mnie też ciągle dyktuje, co mam robić. Smutne przyzwyczajenie z wojska, jak sądzę.

- Cholernie irytujące! - sarknęła Lily.

- Prawda? - zgodził się Kilmartin, wyraźnie nabierając rozpędu. - Przeważnie mu się to zdarza, gdy coś go nagli. A czasami...

- Bardzo wam dziękuję za pouczenia - przerwał Gideon tonem, którego zazwyczaj używał w sądzie, niby to cichym, ale doskonale słyszalnym. - Najmocniej przepraszam, panno Masters. Czy to wystarczy? Postaram się jak najczęściej używać słowa „proszę”.

Lily uśmiechnęła się lekko, bardzo z siebie zadowolona.

- Jak już wspomniałem wczoraj, panno Masters, nie jestem pewien, czy nasze przedsięwzięcie nie okaże się czystym szaleństwem. Ostatecznie celem naszych usiłowań ma być przeobrażenie pani w damę z towarzystwa. W dodatku taką, która zdoła zaćmić lady Constance Clary, klejnot najczystszej wody, córkę markiza!

Lily prychnęła pogardliwie.

- Dziękuję, panno Masters, za czarujące potwierdzenie moich wywodów! Nigdy jednak nie słyszałem, żeby lady Constance Clary prychała. Musimy więc prosić, by pani również zaniechała takiego zachowania. Lily zmarszczyła brwi i już otwierała usta... Gideon spiesznie mówił dalej.

- Na razie nie będziemy podawać w wątpliwość tego, czy istotnie została pani wychowana na damę. - Zauważył wyraz buntu na twarzy Lily. - Musimy się najpierw przekonać, czy wystarczy usunąć złe wpływy St. Giles, jakbyśmy zdrapywali pąkle z kadłuba statku. Dopiero potem stwierdzimy, że nasze zadanie jest wykonalne lub uznamy, iż jest to, jako się rzekło, czyste szaleństwo.

- Pąkle?

Kilmartin był wyraźnie urzeczony poetyckim obrazem, jaki się przed nim roztoczył.

Lily nie podzielała jego zachwyty. W jej oczach znów zamigotały błyskawice.

- Panie Cole! Moja matka, córka pastora, z pewnością wychowała mnie na damę! Nauczyła mnie wyrażać się, jak przystało dobrze wychowanej ...

- To doprawdy zastanawiające, panno Masters! Nie przypominam sobie, żeby jakakolwiek dama, prócz pani, nazwała mnie „sukinsynem”. Jestem pewien, że lady Constance Clary nie zna w ogóle tego słowa.

- Pąkle! - powtórzył radośnie Kilmartin. - Słowa tego rodzaju, panno Masters, są jak pąkle i należy je zdrapać!

Lily go zignorowała.

- W takim razie jestem bardzo ciekawa, jak bez użycia tego słowa lady Constance Clary zdołałaby pana scharakteryzować!

Gideon nie wytrzymał i znowu się uśmiechnął. Mój Boże, ależ ta dziewczyna ma refleks! Sprzeczka z nią działała na niego równie

ożywczo jak partia tenisa na trawie... Chyba nawet tenis nie sprawiłby mu aż takiej przyjemności!

- Panno Masters, jakie są pani ulubione zajęcia? - spytał nagle.

- Co takiego?

- W jaki sposób najczęściej spędza pani czas?

- No cóż... Obrobię kilka kieszeni, wpadnę do mego pasera, kupię coś na obiad dla siebie i Alice, jeśli zdobędę dość forsy... A potem czytam i opowiadam Alice różne historyjki. Czasami wpadnę na pogawędkę i partyjkę kart do Fanny... To ta prostytutka, co mieszka nad nami.

Kilmartin wydal jakiś zdławiony skrzek, który, niestety, spowodował atak kaszlu. Gideon westchnął i podszedł do kanapy, żeby walnąć przyjaciela w plecy.

Lily wydawała się bardzo z siebie rada.

- Może to panią zdziwi, ale nie są to zajęcia typowe dla młodej panny z towarzystwa. - Gideon przestał grzmocić Kilmartina po plecach. - Jakiego rodzaju historyjki opowiada pani Alice?

W oczach Lily błysnęła podejrzliwość.

- No cóż... rozmaite, panie Cole.

- Może o sercowych perypetiach pana Darcy'ego albo o księżciu?

Gideon zadał to pytanie jedynie po to, by zobaczyć, jak Lily się czerwieni, co istotnie się wydarzyło. Zjawisko to przypominało różaną poświatę wschodzącego słońca. Dziewczyna spojrzała na niego - na jej twarzy gniew zmagął się z zażenowaniem i niechętnym uznaniem dla rozmówcy.

- A co z robótkami ręcznymi, panno Masters? - wtrącił żywo Kilmartin. - Czy należą do pani ulubionych zajęć? Albo szkicowanie widoczków? A może strzelanie z łuku? Constance triumfuje we wszystkich zawodach łuczniczych. Nie wie, co to porażka! Może zdołałaby ją pani pokonać?

Gideon oprzytomniał.

- Nie zamierzam wyposażać panny Masters w łuk i strzały! Lily zrobiła zawiedzioną minę.

- Jestem całkiem zręczna, panie Cole!

- Tego się właśnie obawiam.

- Bo na fortepianie chyba pani nie grywa?

Kilmartina zabrzmiał raczej niepewnie.

- Ja... - Lily urwała. Gideon dostrzegł tęskny wyraz jej twarzy. Zaintrygowało go to. - Nie. Nie gram na fortepianie.

- A czy jeździ pani konno, panno Masters? - spróbował znów Kilmartin. W jego głosie brzmiała nutka desperacji. - Lady Clary jest znakomitą amazonką. Może na tym polu mogłaby ją pani wyprzedzić?

- Nigdy w życiu nie siedziałam na koniu - oświadczyła Lily z jakimś triumfem.

- Constance jest doskonałością pod każdym względem - odparł Gideon. - A panna Masters powinna raczej pokazywać się u mego boku w twoim faetonie, Laurie, niż na końskim grzbiecie.

- Spodoba się pani mój faeton, panno Masters! - zapewnił Kilmartin. Rzucił jednak przyjacielowi niespokojne spojrzenie. Nastąpiła chwila dość przynębiającej ciszy. Gideon przecesał włosy palcami.

- No cóż... Panna Masters nie musi koniecznie demonstrować wszystkim, jak wspaniale haftuje czy szkicuje. Może udałoby się napomknąć o jej grze na fortepianie, choć utalentowane młode damy od razu zaprasza się, by coś zagrały Na początek oznajmimy więc wszem, wobec, że panna Lily Masters jest kuzynką lorda Kilmartina i pochodzi z Sussex. Mieszka w pobliżu Wilmington. A jej ojciec jest niezwykle bogatym dżentelmenem, który posiada znaczne dobra, statki i...

- Czyja mam konia? - wyrwała się ni stąd, ni zowąd Lily, wyraźnie zainteresowana tą wyliczanką.

Gideon zamrugał.

- Co takiego?

- Konia! Powiedzmy, że panna Lily Masters z Sussex lubi konną jazdę. Powinna mieć własnego konia, prawda?

- Ustaliliśmy przecież, że pani nie ma pojęcia o końskiej jeździe, panno Masters!

- Ale Lily Masters z Sussex może przecież jeździć! Tyle że nie w Londynie.

- Doskonale. Panna Lily Masters z Sussex ma konia.

- Jak go ochrzczimy?

- Ochrzczimy?

- No tak! Jak będzie miał na imię?

Gideon wciągnął głęboko powietrze przez nos i, po chwili, wypuścił je ustami.

- Może go pani nazwać, jak się pani podoba. Byle przyzwoicie! Lily wydawała się zadowolona.

- W takim razie... McBride! Panna Lily Masters z Sussex ma konia o imieniu McBride.

McBride? Gideon postanowił na razie się o to nie dopytywać.

- Jak już mówiłem, panno Masters, możemy podać do ogólnej wiadomości, że pani ojciec jest wyjątkowo bogatym dżentelmenem. Posiada wielkie stajnie pełne koni, rozległe włości, liczne rezydencje, własne statki, udziały w eksploatacji kanału La Manche... Ogólnie rzecz biorąc, niemal wszystko w pobliżu Wilmington należy do niego. Jako dżentelmen nie ma oczywiście żadnego zawodu.

- Wiem, co oznacza słowo „dżentelmen”, panie Cole. Ale nieraz się zastanawiam, czy pan ma o tym jakieś pojęcie?

Kilmartin się roześmiał. Gideon posłał mu miazdzące spojrzenie.

- A do pani ulubionych zajęć należą długie spacery i... interesująca lektura.

Kiedy Lily zrobiła wielkie oczy i pośpiesznie wbiła wzrok w złożone na podółku ręce, Gideon pojął od razu, że obojgu im przyszło na myśl to samo, francuska książeczka, kusząca do złego.

Na chwilę odebrało mu mowę.

Kilmartin spoglądał na przemian to na Gideona, to na Lily, zaskoczony ich niepojętym milczeniem.

- To mi wygląda na cholerne nudziarstwo, jeśli mam być szczerą - odezwała się wreszcie Lily, w dalszym ciągu nie podnosząc oczu. - Nic tylko spacerowanie i czytanie, psiakrew!

- Znowu pąkle! - zasmucił się Kilmartin. - Słowa takie jak „cholera” czy „psiakrew” trzeba zeszkrobać jak pąkle, panno Masters!

Gideon poczuł się nagle wyczerpany do cna. Jak wyjaśnić zawilóści życia w towarzystwie dziewczynie, która znała tylko najbardziej zakazane zaułki Londynu i nigdy nie wypłynęła na pozornie gładkie, lecz w gruncie rzeczy równie niebezpieczne wody sal balowych? Dziewczyźnie, która mówi jak dama, a równocześnie - z rozbrajającą naturalnością - szafuje przymiotnikiem „cholerny”. Wiedziała pewnie o szczegółach technicznych miłosego aktu tyle, co przeciętna dziwka z St. Giles. Do-

wodem tego mogła być choćby ta francuska książka. Nie można przecież dopuścić do tego, by wyskoczyła z tymi rewelacjami na londyńskich salonach!

Kompletne szaleństwo! Powiniennem odesłać ją do domu! Gideon spojrzął znów na Kilmartina i dał mu znak, dyskretnie kręcąc głową.

I wówczas, całkiem nieoczekiwanie, Lily Masters odetchnęła głęboko i uniosła wojowniczo brodę.

- Założę się o dziesięć funtów!

- O czym pani mówi, panno Masters?

- Założę się o dziesięć funtów. Dowiodę wam, że zdołam tego dokonać!

- Czego mianowicie, panno Masters?

- Zakasować lady Constance Clary!

Gideon przez chwilę spoglądał na nią w oszołomieniu.

- Panno Masters... - zaczął łagodnie. - Lady Constance to córka markiza. Jest piękna i bogata, ubiera się niezwykle elegancko, jeździ najbardziej szykownych ekwipażach, odnosi zwycięstwa w turniejach łuczniczych, decyduje o tym, co modne, a co niemodne... Mógłbym tak wyliczać bez końca. Jest młodą damą najbardziej podziwianą w wielkim świecie. To nie ulega wątpliwości!

Ta wyliczanka zdawała się tylko utwierdzać Lily w uporze.

- Założmy się o dziesięć funtów, panie Cole!

Uśmiechnął się blado.

- Panno Masters...

- Nie wierzy pan, że mnie na to stać?

Zabrzmiało to nie jak pytanie, lecz stwierdzenie faktu. A zarazem wyzwanie. Dwie ciemnoróżowe plamy - oznaka urażonej dumy - wykwitły na policzkach Lily.

Gideon spoglądał na złodziejkę, tonącą w zbyt obszernej sukni. Siedziała z rękoma splecionymi na podołku, sztywno wyprostowana, z dumnie uniesioną głową. Była jak ostrze szpady - parowała każdy cios! Skąd w tej dziewczynie tyle wiary w siebie, bojowości, dumy?

Odpowiedź nasunęła się sama. Lily czerpała te zalety z tego samego źródła, z którego wyływała jego pewność siebie, zadziorność i duma. Cechy te zrodziły się w ogniu walki. Wyrobiła je w sobie - niczym muskuły - dzięki nieustannym zmaganiom. Jakże inaczej rzecz się miała

z Constance! Jej niewymuszona gracia, dar gładkiej konwersacji i spokojna pewność siebie były - rzecz można - dziedzicznym przywilejem. Ona nie oczekiwała wyzwań, bo któż by się ośmielił rzucić jej rękawicę?

A jednak najlepsze efekty w bitwie, o czym Gideon doskonale wiedział, dawała taktyka zaskoczenia!

Lily była mu winna dwadzieścia osiem funtów. On zaś okazał się mimo wszystko nieodrodnym synem ojca. Podjęcie jednego ryzyka zmuszało do podjęcia następnego. Gotów był zaryzykować dziesięć funtów, żeby się przekonać, na co stać tę dziewczynę!

- Jak pani zamierza pokonać rywalkę, panno Masters?

- Mój dług zmniejszy się o dziesięć funtów, panie Cole, jeśli pan uzna, że mi się udało?

Była bardzo spięta.

- Zgoda, panno Masters.

- Słowo honoru?

- Ma pani moje słowo - powiedział cicho.

Wyraźnie się odprężyła. Zwróciła się teraz do Lauriego:

- Milordzie, czy zechciałby pan wcielić się w lady Clary?

- Co takiego?!

- Czy zechciałby pan odegrać rolę lady Clary, która właśnie zawarła ze mną znajomość?

Kilmartin rzucił przyjacielowi błagalne spojrzenie. Gideon jednak, z szerokim uśmiechem, uniósł dłonie, powstrzymując się od wszelkiej interwencji.

- Będziesz znakomitą lady Clary, Laurie. Wał śmiało!

Kilmartin westchnął rozpaczliwie i zwrócił się do Lily.

- Jak się pani miewa, panno Masters? - zaszczębiotał.

- Dziękuję, doskonale. A pani, lady Clary?

- Po prostu znakomicie. Ma pani śliczną suknię!

- Bardzo dziękuję - odparła gładko Lily. - Ale ten uroczy komplement pasuje jeszcze bardziej do pani sukni!

Dwie pary brwi - Gideona i Kilmartina - uniosły się na znak podziwu. Była to zręczna i pełna wdzięku odpowiedź.

- Och, dziękuję! To pani pierwsza wizyta w Londynie? Z jakiej części hrabstwa Sussex pani przybywa?

- Mieszkam w pobliżu Wilbeyton.

- Wilmington! - podpowiedział Gideon scenicznym szeptem.

- Wilmington - poprawiła się Lily, ani trochę niespeszona. –
A w Londynie byłam przedtem tylko raz, jeszcze w dzieciństwie.

- No i jak podoba się pani nasza stolica?

Oczy Llily przybrały wyraz rozmarzenia.

- Och, Londyn jest po prostu boski! Te tłumy, gwar, podniecenie...
Tyle się tu dzieje, tak wiele można zobaczyć! I wszyscy są niezwykle mili! Ale chwilami tęsknię za Sussex i za McBride'em, moim kochanym konikiem. To chodząca słodycz... i ma taką milutką gwiazdkę, o tu! -
Wskazała na swoje czoło. - I sierść czarną jak noc! Nazwałam go po starym stajennym mojego papy, bo McBride miał taką długą, melancholijną twarz... Całkiem jak mój konik!

Gideon wpatrywał się w nią jak urzeczony. Lily igrała słowami, rozstrzygała je jak złotą przędzę. Nie było w niej teraz nic z dzikuski z St. Giles, która nie dalej jak wczoraj wrywała się ogromnemu grubasowi... A raczej nic prócz pewności siebie i tego, że trzymała się prosto, jak na paradzie. Twarz Lily, łagodna i śliczna, przypominała wiosenne kwiecie. Biedny Kilmartin wydawał się kompletnie urzeczony.

- A czym, prócz jazdy konnej, urozmaica sobie pani życie w Wilmington, panno Masters?

- Ogromnie lubię długie spacery! I pochłaniam wprost książki. Często czytam je na głos naszej sąsiadce Fanny, która ma, biedaczka, tylko jedno oko.

Kilmartin zamrugał nerwowo, wyraźnie zaskoczony.

- Cóż się stało z jej drugim okiem? - spytała „lady Gary”, gdy Laurie nieco oprzytomniał.

Lily pochyliła się ku swej rozmówczyni i szepnęła poufnie:

- To był wypadek podczas zawodów łuczniczych! Fanny uważano za najlepszą łuczniczkę w całym hrabstwie. Ale pewnego dnia podczas turnieju jakaś zbłąkana strzała przeszła jej oko na wylot... I uleciała, unosząc je ze sobą! A potem wbiła się w sam środek tarczy. Osoba, która wypuściła tę strzałę z łuku, wygrałaby zawody, gdyby nie... Pani pojmuje? Gdyby nie oko Fanny!

Kilmartin był zbulwersowany.

- Było niebieskie! - dorzuciła jeszcze Lily.

- Okropność! - wykrztusił po chwili Kilmartin.

- I właśnie dlatego, rozumie pani, całkiem mi przeszło zamiłowanie do łucznictwa. Każdy może ulec straszному wypadkowi, jak biedna Fanny... A tyle radości sprawia mi spoglądanie na świat parą zdrowych oczu!

Na Gideonie anegdota zrobiła ogromne wrażenie. Lily opowiedziała ją żywo, barwnie i niezwykle sugestywnie. Gideon był przekonany, że obraz szybującego w przestworzach oka jeszcze długo będzie go prześladował. Nie było obawy, że panna Lily Masters zostanie zaproszona do udziału w zarodach łuczniczych. Nawet lady Constance Clary po wysłuchaniu tej opowieści głęboko się zapewne zastanowi, nim weźmie udział w następnym turnieju!

- No cóż... na szczęście, ta biedaczka ma w pani wspaniałą przyjaciółkę - odezwała się znów „lady Clary”, gdy Kilmartin nieco doszedł do siebie. -Jakie książki czytuje jej pani najczęściej, panno Masters?

- Przeważnie dzieła Szekspira, ale czytamy również powieści. Fanny ogromnie je lubi! Skończyłyśmy właśnie *Dumę i uprzedzenie*. Ubóstwiam szczęśliwe zakończenia... nawet jeśli bohaterowie muszą cierpieć, zanim wszystko dobrze się skończy!

Spojrzała na Kilmartina przejrzystymi jak woda oczyma, pochylając główkę na bok.

Laurie zagapił się na nią, oczarowany.

Gideon chrząknął znacząco.

Kilmartin aż podskoczył.

- Tak, tak... istotnie -wyjąkał. - Czy pani... Czy pani była w Brighton, panno Masters?

Lily się zawahała.

- W Brighton? No, tak... A pani, lady Clary?

- Oczywiście! - odparł Kilmartin, z podstępnyim błyskiem w oku. - Ale chciałabym wiedzieć, co pani myśli o tej miejscowości. Przecież to tak blisko pani rodzinnych stron!

- No cóż... morze... - zaczęła z wahaniem, zerkając na Gideona, by upewnić się, że Brighton istotnie znajduje się nad morzem. Cole przytaknął. - Morskie powietrze jest takie... ożywcze! Papa zabiera nas tam każdego roku.

- A kim jest pani ojciec z zawodu, panno Masters?

O, Kilmartin był sprytny! To kolejne podchwytliwe pytanie. Można by je nawet poczytać za obrazę!

- Z zawodu, lady Clary? - Lily wydawała się niepomernie zdziwiona.
- Mój ojciec nie ma żadnego zawodu. Po prostu jest właścicielem rozległych włości. W ogóle posiada mnóstwo rzeczy: domów, koni, statków... Ma nawet udziały w kanale La Manche.

Podsumowała wywód, unosząc lekko jedną brew. Dawła w ten sposób do zrozumienia, że pytanie było nie na miejscu. Dżentelmeni przecież nie zwracają sobie głowy pracą. Wybaczyła wielkodusznie rozmówczyńni ten nietakt... Ale lepiej, żeby się nie powtórzył!

Kilmartin odwrócił się wówczas do Gideona i uśmiechnął tak szeroko jakby właśnie rozgromili wspólnego wroga.

- Jak więc zamierza pani wygrać nasz zakład? - zwrócił się Gideon do Lily, nieco oszołomiony.

- Dzięki moim historyjkom. Nie żadnym haftom, konnej jeździe czy strzelaniu z łuku. Moje historyjki wystarczą!

Rumieńce urażonej dumy zbladły i Lily wyglądała teraz... Może nie jak kot, który dobrał się do śmietanki, ale jak osoba wyraźnie zadowolona z siebie.

Gideon musiał przyznać, że wzbudziła w nim podziw. Bez trudu mógł sobie wyobrazić Lily w saloniku doktora, gawędzącą z jego córkami jak pierwsza lepsza dobrze wychowana młoda panna. No, nie taka znów pierwsza lepsza z tymi zachwycającymi oczyma, słodkimi ustami i...

Mimo to Gideon nie był jeszcze całkiem gotów przyznać, że Lily wygrała. Odsunął się od kominka i zaczął krążyć po pokoju, w zadumie pocierając brodę palcami.

- W porządku, panno Masters. Wygląda na to, że jest pani w stanie przekonująco odegrać rolę damy. - Lily zmarszczyła się, niezbyt zachwycona zwrotem „odegrać rolę damy”. - Jednak zadanie, które przed nami stoi, jest znacznie bardziej skomplikowane...

- On chce powiedzieć - wtrącił Kilmartin - że należy przekonać lady Constance Clary, iż warto wyjść tylko za niego, choć nie ma ani tytułu, żadnej posiadłości, ani bogactw. Ma tylko nie najgorszy wygląd!

Gideon spojrzał krzywo na przyjaciela.

- Musi ją pan bardzo kochać - powiedziała miękko Lily. Gideon nagle skamieniał. To słówko mogło być prowokacją. Jakże wyzywająco zabrzmiało w niewielkim pokoju! Lily wypowiedziała je tak

naturalnie... A Kilmartin, niech go diabli, spoglądał na niego wyczekująco, jakby i on chciał mieć pewność w tej kwestii.

- Naczytała się pani zbyt wielu romansów, panno Masters - stwierdził w końcu chłodno Gideon.

Lily nie mogła uwierzyć w to, czego się właśnie dowiedziała.

- Naprawdę nie ma pan pieniędzy? Przecież musi je pan mieć! To znaczy... ten dom jest taki wspaniały...

- Gideon wydał na panią ostatnie trzydzieści funtów, panno Masters - zapewnił ją Kilmartin.

Lily znieruchomiała. Wydawało się nawet, że nie oddycha.

Gideon poczuł, że twarz go piecze.

- A pański stryj... Nie mógłby pan poprosić stryja? - wyjąkała.

- Stryjowi też się nie przelewa. A poza tym nigdy nikogo o nic nie proszę, panno Masters!

Odrzucił jej niczym piłkę słowa, które sama wypowiedziała zaledwie wczoraj.

- Ach tak? - odcięła się. - Za to zmusza pan złodziei, żeby za pana odwalali całą robotę!

Gideon odwrócił się do niej porywczo. Kilmartin poruszył się niespokojnie na kanapie.

Przez chwilę w milczeniu Gideon i Lily mierzyli się wzrokiem.

A potem znów się to wydarzyło! Z ociąganiem dwa uśmiechy - równocześnie zadowolone i kwaśne - pojawiły się w tej samej chwili na ustach obojga. Jakby nadali sobie nawzajem podchwytliwe pytanie i oboje wyszli z tej próby zwycięsko.

Jednakże Gideon ciągle nie był gotów uznać wygranej Lily. Postanowił poddać ją jeszcze jednej próbie.

- A gdyby lady Clary powiedziała: „Panno Masters, ma pani takie śliczne, krągłe ramiona! Ten najmodniejszy fason rękawa zupełnie do nich nie pasuje. Czy nie lepiej prezentowałyby się pani w bufkach?”

- Czy ona naprawdę przywiązuje taką wagę do rękawów?!

Lily była wyraźnie zaskoczona.

Gideon w duchu zgadzał się z nią, że krój rękawa nie należy do najważniejszych w świecie zagadnień, ale przez lojalność dla Constance tego nie wyjawiał.

- Proszę mi wierzyć, panno Masters, kaprysy mody to niezwykle ważne zagadnienie dla ludzi z towarzystwa. A Constance na tym polu odnosi sukcesy równie wielkie, jak Wellington!

Lily dokładnie rozważyła sprawę.

- W takim razie odpowiedziałabym jej... - Pochyliła się do przodu, przemawiając słodko i poufnie: - Ma pani absolutną rację, lady Clary! Właśnie dlatego moja krawcowa projektuje całkiem nowy fason rękawa... specjalnie dla mnie!

I znów odpowiedź na piątkę! Rękaw zaprojektowany specjalnie dla kogoś innego doprowadziły Constance do furii!

- Panno Masters - oświadczył Gideon, ostatecznie pokonany, kręcąc ze zdumienia. - Uważam, że to znakomity pomysł. Niech pani paruje każdy cios! Inaczej mówiąc, proszę być po prostu sobą. Z dodatkiem, rzecz jasna, tych niezrównanych historyjek!

Lily uniosła dumnie głowę i pozwoliła sobie na triumfalny uśmiezek.

- Niech pani jednak nie zapomina, panno Masters - dodał żartobliwie Kilmartin - że musi być pani całkowicie zauroczona Gideonem, jeśli nasz cel ma zostać osiągnięty!

I wówczas Gideon zauważył, z ogromną satysfakcją, że gładkie policzki Lily różowieją, a jej pewny siebie uśmiech nieco przygasa.

- Mam nadzieję, że otrzymam jakieś wskazówki, bo doprawdy nie wiem, jak tego dokonać... - wymamrotała, spuszczaając oczy i wpatrując się w kolana.

Kilmartin się roześmiał.

- Wystarczy, jeśli zarumieni się pani w taki sposób, panno Masters! Ludzie od razu się zorientują, co w trawie piszczy! - Głos Gideona był miękki, pełen rozbawienia. Lily uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Z wyrazu jej twarzy poznał, że chce się jej śmiać, a równocześnie ma ochotę go udusić.

- No to chyba zostało nam już tylko zeszkrobanie reszty pąkli - rozważał głośno Kilmartin. - I wypolerowanie kadłuba!

- Ile teraz jestem panu dłużna, panie Cole? - dopytywała się Lily.

Ponieważ był w przekornym nastroju, ona zaś czekała z zapartym tchem, zwlekał jeszcze chwilę z odpowiedzią.

- Moje gratulacje, panno Masters! Jest mi pani winna tylko osiemnaście funtów.

I znów - mimo woli - uśmiechnęli się do siebie.

Niestety, Gideon uparł się, żeby zeskrobywanie pąkli zacząć od razu. Nazwał to „lekcjami dobrych manier” i orzekł, że powinny odbywać się w pomieszczeniu, gdzie meble są bardziej solidne i gdzie znajduje się mniej porcelanowych bibelotów niż w błękitnym salonie. Lily miała bowiem ćwiczyć wdzięczny chód, a Gideon nie chciał, by salonik obrócił się w ruinę. Tak przynajmniej to wyjaśnił. Pragnął również przekonać się, jak Lily radzi sobie z dyganiem.

- Mam się ćwiczyć w chodzeniu? Też coś! - pieniała się ze złości Lily. - Z pewnością w każdym tygodniu nachodzę się więcej niż wszystkie panny z towarzystwa razem wzięte!

- Owszem, ale chodzi pani złodziejskim krokiem, panno Masters - odparł na to Gideon.

I cóż to miało znaczyć?!

A wszystko to sama ściągnęła sobie na głowę, przez tę przeklętą dumę! Sposób, w jaki Gideon i Kilmartin popatrzyli na siebie, zdopingował ją do tego, że wyrwała się jak głupia i założyła się o te dziesięć funtów! Odniosła wrażenie, że obaj lada chwila zrezygnują z jej pomocy. Jakby z niej, Lily Masters, nie mogło być żadnego pożytku! Jej duma została zraniona, gdy piękne, ciemne oczy Gideona spojrzały na nią niemal z litością... Jakby nigdy nie była w stanie dorównać temu wzorowi cnót wszelkich, lady Constance Clary.

Ciekawe, czy ta damulka zdołałaby przetrwać w St. Giles!

Tak więc przenieśli się do sali balowej, wielkiego pokoju, gdzie kroki rozbrzmiewały echem, a z sufitu zwisały dwa ogromne żyrandole. Podłoga miała barwę miodu i błyszczała jak lustro. Lily czuła pokusę, by zrzucić pantofle i poślizgać się po niej na bosaka.

Gideon nie tracił ani chwili.

- Panno Masters, proszę nam pani pokazać, jak pani dyga!

Lily westchnęła. Chwyciła w garść fałdy pożyczonej sukni i pośpiesznie przykucnęła, po czym się podniosła.

Lord Kilmartin wybuchnął śmiechem, Gideon pokręcił głową z ubolewaniem.

- Panno Masters - powiedział z przesadną cierpliwością - nie każe-
my pani siadać na nocniku. Taki dyg to powitanie kogoś z przyjaciół lub
nowo poznanych osób. Powinna pani okazać przy tym wdzięk i dobre
wychowanie!

- Jak myślisz, stary... - odezwał się z wahaniem Kilmartin.

Przyjaciel zwrócił się do niego i spojrzał pytająco.

- Który z nas pokaże jej, jak się dyga?

Gideon stracił na chwilę władczy ton i wydawał się niemal zakłopotany. Lily była tym zachwycona i nie kryła rozbawienia.

- No cóż... Wolałbym, żebyś ty to zrobił, Kilmartin. Masz znacznie więcej kobiet w rodzinie niż ja.

- Ale to na tobie, jak mi Bóg miły, panienki ćwiczą najpiękniejsze dygi!

- Jesteś... bliższy wzrostem pannie Masters, Laurie.

- Za to ty masz znacznie więcej gracji!

Gideon westchnął potężnie.

- Na litość boską, Kilmartin! Dygniemy obaj. I koniec! Udawaj, że jesteś młodą damą. Na przykład lady Constance Clary, jak poprzednio, jak poprzednio. A ja będę lady Anne Clapham.

- Dlaczego, na miłość boską, wpakowałem się w coś podobnego?! - sarknął Kilmartin. Wstał jednak posłusznie i, ściskając w dłoniach brzegi surduta, bez pośpiechu ugiął kolana i pochylił krzepką postać w bardzo eleganckim dygu.

- Dzień dobry, lady Clapham.

- Dzień dobry, lady Clary. - Gideon, czyli lady Clapham, podobnie ujął skraj surduta i wykonał dyg tak bezbłędnie, że Kilmartin uniósł brwi z podziwu. - Czy wolno mi przedstawić moją znajomą, pannę Lily Masters?

Lily doszła niemal do wniosku, że warto było zostać porwaną i zawleczoną przemocą do Aster Park, by zobaczyć dwóch dygających dżentelmenów! Stanowili interesujący kontrast. Kilmartin był blondynem z twarzą bladą i kwadratową, krótko przystrzyżonymi włosami i jasnoniebieskimi oczyma w bezbarwnej oprawie. Gideon wydawał się kanciasty, mimo to pełen elegancji. Wszystko w nim było ciemne - gęste brwi, włosy o czerwonym połysku, oczy... Tylko cerę miał jasną.

Zwrócił się teraz do Lily z najpoważniejszą w świecie miną. Widać to dyganie było sprawą bardzo istotną!

- Panno Masters, kiedy będzie pani dygać przed lordem Kil..., to znaczy przed lady Clary, niechże się pani tak nie spieszy! Proszę sobie wyobrazić, że jest pani... - Zastanowił się przez chwilę, wznosząc

w zadumie oczy do sufitu. - O, właśnie! Niech pani sobie wyobrazi, że jest wierzwą, chylącą się pod powiewem wiatru.

Kiedy Kilmartin prychnął pogardliwie, Gideon spojrzął na niego nieco zażenowany, jakby ten poetyczny opis był czymś równie niestosowny jak beknięcie w towarzystwie. Lily jednak to porównanie przemówiło do wyobraźni. Wierzba chyląca się pod powiewem wiatru... Jak wierzba witałaby swoich przyjaciół? Lily nie pamiętała, czy widziała kiedyś prawdziwe wierzby, ale czytała o nich. Bez trudu mogła sobie wyobrazić delikatno zielone gałązki, kołyszące się na wietrze.

W porządku!

Zebrała luźne fałdy spódnicy i ugiąwszy nogi w kolanach, opadła powoli, pochylając przy tym głowę tak, że Gideon i Kilmartin ujrzeli wyraźnie przedziałek w jej ciemnozłoty włosach. A potem się wyprostowała.

- Znakomicie, panno Masters! - Kilmartin aż klasnął w ręce. - Tak dygnać można choćby przed królem!

Lily uśmiechnęła się do niego, odruchowo jednak zwróciła się po aprobatę do Gideona. Nic nie mogła na to poradzić! Gideon przyglądał się jej w milczeniu. Szukała u niego - do cholery, dlaczego właśnie u niego?! - uznania, ale jego spojrzenie było nieodgadnione.

- Tak - powiedział wreszcie miękko. - Tak właśnie powinna pani dygać za każdym razem, panno Masters!

- No to jeszcze jedną pąklę mamy za sobą! - stwierdził z satysfakcją Kilmartin.

Niestety, lekcja chodzenia okazała się znacznie mniej udana niż lekcja dygania. Lily przekonała się, że cierpliwość Gideona Cole'a ma swoje granice.

I że wyczerpuje się w bardzo krótkim czasie.

- Dokąd pani tak spieszo, panno Masters? Do piekła?!

Gideon i Kilmartin zdjęli surduty i powiesili je na stojących w sali balowej krzesłach. Kilmartin nawet się położył, zestawivszy kilka z nich. Był okropnie spocony. Gideon w bezsilnej złości targał ręką włosy. Popołudniowe słońce znalazło jakoś drogę do sali balowej i nieciło ciemnoczerwone iskry w jego czuprynie. Lily zaczęła w duchu wyliczać kolory, jakie w niej dostrzegła: rdzawy, brązowy, miedziany...

- Panno Masters, niech się pani wreszcie skupi!

Jakiż on cholernie przystojny, ten wstrętny tyran!

- Nie ucieka pani przed policjantem ani przed rozwścieczonym prawnikiem, któremu właśnie próbowała pani opróżnić kieszenie! - ciągnął ironicznym tonem. - Wchodzi pani do sali balowej albo do salonu. Nie musi pani brać nóg za pas! I brodę niżej, na litość boską! Nie jest pani bokserem!

- Chodzenie - syknęła Lily przez zaciśnięte zęby - to po prostu przenoszenie się z miejsca na miejsce. Nie rozumiem, po jakiego diabła mam tę czynność przeciągać!

- Ma pani rację, panno Masters. Ale chodzenie jest również sposobem okazywania innym, kim się naprawdę jest. - Gideon machnął gwałtownie ramieniem. - Od tego zależy, jak będziemy postrzegani w świecie. Pani postawa i ruchy mówią innym bardzo wiele, podpowiadają, co o pani myśleć. Niech pani słucha, bo to niezwykle ważne!

Lily obserwowała bacznie Gideona, mimo woli zafascynowana jego radami. Prawdę rzekłszy, wiedziała, że miał rację. Przecież właśnie obserwując ludzi, decydowała, kogo okradnie!

Kilmartinowi zaburczało w brzuchu. Był to odgłos pośredni między warknięciem a jękiem.

- Jeśli masz zamiar upajać się własnym głosem, Gideonie - wycedził Laurie - chyba rozejrzę się za jakąś przekąską.

Podniósł się i zaczął wkładać surdut.

Gideon przerwał wystąpienie w połowie gestu. Westchnął i jakby trochę się przygarbił.

- Doskonale. Idę z tobą, Laurie! Panna Masters ma się zresztą spotkać z lordem Lindseyem. Chwileczkę, panno Masters, jeszcze słówko! Czy po konferencji z krawcową byłaby pani tak uprzejma - cedził ironicznie - wrócić tu na lekcję tańca?

Lily walczyła ze sobą, by nie wykrzywić się w odpowiedzi. Co za irytujący, cholerny...

- Z przyjemnością, panie Cole.

Przestał gadać, ale spoglądał na nią kwaśno, jakby rozważał, czy nie warto czegoś dodać. No i dodał!

I jeszcze jedno, panno Masters. Niektórzy ludzie przechadzają się także dla przyjemności.

- Pan też, panie Cole?

Gideon otworzył usta i zamknął je z powrotem. Pośpiesznie odwrót się plecami do Lily i schylił po swój leżący na krześle surdut.

- Wie pani oczywiście, gdzie można znaleźć stryja, panno Masters! - dorzucił na odchodnym.

Obaj panowie skłonili się, a Lily - ku własnemu zdumieniu - wykonała w odpowiedzi wdzięczny dyg. Kiedy się wyprostowała, stwierdziła, że Gideon nadal się w nią wpatruje. Mogłaby przysiąc, że coś zaiskrzyło pomiędzy nimi. Błysnęło i zgasło... Może to było zresztą tylko złudzenie.

- Gdzie nauczyłaś się grać w karty aż tak dobrze, moja panno?

Kiedy Lily zjawiła się w apartamencie lorda Lindseya, zastała go w gustownym szlafroku, siedzącego przy stole. Karty były już przygotowane, miniaturowe kanapki piętrzyły się na półmisku obok imbryka z herbatą, a wszystkie migoczące tu przedtem świece zostały pogaszone. Kotary rozsunęto w dyskretny sposób, wpuszczając do pokoju łagodne światło zamiast powodzi słonecznych promieni, którą wywołała poprzedniego dnia Lily. Dziewczyna się uśmiechnęła, dostrzegając ten kompromis.

- Jest pan pewny, milordzie, że to ja gram dobrze? Czy to nie pan przypadkiem pozwala mi znów wygrać?

Zbliżyła się do upragnionej wolności o kolejne dwa funty.

Lord Lindsey się roześmiał.

- Ależ z ciebie szelma! Słowo daję, że dziś naprawdę starałem się wygrać, a mimo to pokonałaś mnie. Przyznam ci się zresztą, że nie jestem wielkim amatorem kart. Z kim grywasz w domu?

- No cóż... Często grywam z moją sąsiadką Fanny. Ma sporo wolnego czasu między jednym a drugim kli... - Pohamowała się w ostatniej chwili i zerknęła pośpiesznie na lorda Lindseya. Przyglądał się jej uważnie, ale chyba nie podejrzliwie. Po prostu interesowało go to, co mówiła.

- Ma dużo czasu... odkąd jej dzieci dorosły.

Kłamstwo przyszło Lily bez trudu i zabrzmiało całkiem przekonująco, nawet w jej własnych uszach. Kłamiesz, kradniesz. Mama byłaby z ciebie dumna, co?

Na szczęście lord Lindsey skinął tylko głową i zdecydował się na inną kartę.

- Jakie zajęcia znalazłaś sobie w Aster Park, moje dziecko?

Lily pomyślała o okropnej książeczce w brązowej okładce.

- No cóż... czytanie...

- Czytanie? - Lord Lindsey był wręcz przerażony. - Młoda dziewczyna miałaaby czytać w taki piękny dzień?! Powinnaś składać wizyty, chodzić na przechadzki, zwiedzać miejscowe osobliwości... może jakieś ruiny?

- Nie mam... Nie mam jeszcze wizytowych ani spacerowych sukien, milordzie. Ale dziś po południu spotykam się z krawcową.

- A prawda! Wybacz mi, dziecinko! Nieszczęśliwy wypadek w podróży i tak dalej... Dla mnie wyglądasz uroczo nawet w tej workowatej kiecce, ale co taki staruszek jak ja wie o modzie? A zatem, co czytasz?

Koszmary tytuł wypalił się na wieki w mózgu Lily.

- *Przejawy złego wychowania, których młódź płci obojga winna się wystrzegać.* Odkryłam tę książkę w moim pokoju i uznałam ją za... niezwykle interesującą. Nie mogłam się od niej oderwać!

Ściśle rzecz biorąc, nie pozwolono mi się od niej oderwać, pomyślała niechęcią.

Lord Lindsey opuścił brodę i unióśł brwi z wyraźnym niedowierzaniem. Nic jednak nie powiedział.

Lily wybrała kartę.

- Znalazłam w tej książce wpis „Własność Gideona Cole'a” - dorzuciła z pozorną nonszalancją.

- A, więc o tę książkę chodzi! - Lord Lindsey z posępną miną odchylił się na oparcie fotela. - Zanim Gideon, syn mego brata Alistaira, stracił rodziców, był z niego uparty chłopak, zawsze skory do psich figli. Jednak po śmierci rodziców zdobył skądś tę książeczkę i wczytywał się w nią z jeszcze większym nabożeństwem niż nasz wikary w Biblię! No i lektura poskutkowała, nie da się zaprzeczyć. Gideon cieszy się teraz najlepszą opinią.

O dziwo, lord Lindsey wypowiedział te słowa raczej z żalem niż dumą.

Lily przypomniały się ciemne oczy Gideona, miotające iskry, i jego ręka, wymachująca gwałtownie. „To niezwykle ważne, panno Masters!” - zapewniał ją, zirytowany.

Przez grubą warstwę antypatii przebiła się odrobina współczucia dla pełnego życia chłopca, który po stracie rodziców w książeczce zawierającej zasady postępowania próbował odnaleźć sens świata,

gdy ów świat został - tak nagle i boleśnie - wszelkiego sensu pozbawiony. Lily mogłaby wyjaśnić temu młodzieńcowi Gideonowi, że snucie wszelkich planów na przyszłość jest bezcelowe, a żaden zbiór zasad nie ocali go od złośliwych igraszek losu. Ona sama nauczyła się kierować w życiu jedną zasadą: Liczy się tylko dzień dzisiejszy!

Ta zasada służyła jej całkiem dobrze... dopóki nie przybyła do Aster Park.

- Ale dlaczego, moje dziecko, tracisz czas na czytanie tej książki? - mówił dalej baron. - Moim zdaniem, byłaby dla ciebie raczej przeszkodą niż pomocą!

- No właśnie! - przytaknęła posępnie.

- O, znowu wygrałaś, Lily! Widać straciłem do cna wycucie, jeśli chodzi o karty.

- Niechże pan nie opowiada takich rzeczy, milordzie! Po prostu miał pan głowę zaprzątniętą czym innym.

- A więc taka była pani strategia, panno Masters? Odwrócić moją uwagę?!

- Jaki pan sprytny, milordzie. Przyłapał mnie pan!

Z miną niewiniątka podniosła filiżankę do ust.

Starszy pan się roześmiał.

- Przyznaj się. Masz zamiar wyjść za swego kuzyna?

Lily zakrzuszyła się herbatą i zbyt gwałtownie odstawiła filiżankę na spodek. Porcelana brzęknęła.

- Co... co takiego?!

Lord Lindsey zachichotał, bardzo z siebie rad.

- A widzisz! Nie tylko ty potrafisz kogoś skonfundować. Może naprawdę powinnaś wyjść za Kilmartina? To dobry chłopak. Troszkę nudny, ale pieniędzy mu nie brak, więc nie musi błyszczeć intelektem. Byłby dla ciebie dobrym mężem. A może i ty wniosłabyś w jego życie wiele dobrego?

Lily nie wiedziała, śmiać się czy płakać.

- Nie ma mowy, sir! Lord Kilmartin i ja nie zamierzamy się pobrać.

- Doprawdy? Czyżbyś miała kogoś innego na oku, Lily? Ale się zaczerwieniłaś! Aż dziw, taka przecież z ciebie szelmeczka! Nie szkodzi, znajdziesz w Londynie niejednego wielbiciela. A właściwie to oni znajdą ciebie z pewnością! Gideonowi też by to dobrze zrobiło,

ale się przyczepił do takiej wielkiej blondyny, córki markiza. Może to i lepiej. To dla niego znakomita partia.

Nawet nie ma pan pojęcia, jak się do niej przyczepił! - miała ochotę wykrzyknąć. Nagłe przypomnienie, w jakim właściwie celu została sprowadzona do Aster Park, zepsuło jej humor.

Przyciągnęła do siebie wygraną. O trzy funty bliżej do wolności!

W drzwiach pojawiła się pani Plunkett.

- Panno Masters, przybyła krawcowa i chciałaby się z panią widzieć.

- No cóż, jeśli chcesz mieć nowe sukienki, Lily, chyba musisz się z nią spotkać. Zobaczymy się jutro? - spytał baron z nadzieją w głosie.

Lily zarumieniała się z radości.

- Oczywiście, milordzie!

Baron wstał z krzesła i wyprostował się, po czym - powoli i z pewnym trudem - złożył jej ukłon.

Lily ogarnęła nagła radość, że może odpowiedzieć mu wdzięcznym dygnięciem.

7

Twarz madame Sabinę Marceau była jak żywcem wzięta z portretów dynastii Plantagenetów - długa, owalna, z wydatnym nosem - niezaprzeczalnie angielska jak londyńska Tower! Jej figura natomiast stanowiła kwintesencję współczesnej, kosmopolitycznej elegancji. Świadczyła o tym niezbitcie także jej spacerowa suknia z płowobrunatnego żakonetu: rękawy z bufkami u góry, dalej obcisłe; na samym dole falbana; z tyłu niewielka, gustowna tiurniura. Włosy madame, ciemnoblond, były starannie ufryzowane i ozdobione słomkowym kapelusikiem, ozdobionym mnóstwem sztucznych kwiatów.

Krawcowa zdjęła nakrycie głowy i odrzuciła je na wolne krzeselko.

- Bogu dzięki, że jest pani ładna! - Takie były jej pierwsze słowa. - Strasznie nudno ubierać same brzydule!

No, no! W ciągu ostatnich dwóch dni już po raz drugi słyszę, że jestem ładna, pomyślała Lily. Kto wie, może to i prawda?

- Naprawdę mogę się podobać? - spytała.

Madame Marceau poklepała ją po policzku.

- Zabawne z pani stworzonko! „Mogę się podobać?” - powtórzyła cienkim głosem, po czym roześmiała się wesoło.

Lily z niejaką trudnością powstrzymała się od zmarszczenia brwi w odruchu irytacji. Wybuch śmiechu krawcowej nie był żadną odpowiedzią na pytanie, które zadała! Wiedziała, że jest dość ładna jak na St. Giles. Ale tam, po kilku głębszych, każdy wydawał się ładny. Być może była nawet wystarczająco ładna dla lorda Lindseya, który wzrok miał całkiem bystry, jak na swój wiek. Ale czy była dostatecznie ładna, żeby zadawać szyku w Londynie? Wystarczająco ładna... dla Gideona Cole'a?

Gideon użył słowa „piękna”, opisując lady Constance Clary. Lily wolałaby być piękna niż ładna. Miała jednak zbyt wiele dumy, by zmuszać madame Marceau do bliższych wyjaśnień w tej materii.

Drżała w przepastnej pożyczonej koszuli, gdy krawcowa krążyła nad nią jak drapieżny ptak, cmokając i mamrocząc pod nosem uwagi w rodzaju: „Tak, tak... oczywiście”, „Raczej nie...” albo „Hm...”

- Ma pani zgrabną figurę, panno Masters, a w dodatku ładny biust, więc obejdzie się bez poduszczek. I co za wspaniałe koloryt! Te włosy, te oczy! Mogę z pani zrobić coś... coś... nadzwyczajnego! - piała triumfalnie madame Marceau.

Żywo, gdyż wszystkie jej ruchy były pełne życia, wymierzyła różne części ciała klientki. Zrobiła to tak rzeczowo, że Lily nie poczuła nawet zażenowania, że stoi w samej koszuli przed zupełnie obcą osobą. Potem madame Marceau odstała o krok i oceniła z tej odległości efekt ogólny.

- Nie będziemy przesadzać z falbankami! Jest pani szczuplutka, ale marszczenia i hafty wystarczą w zupełności. Myślę, że kołnierz w ząbki a la Van Dyke będzie bardzo odpowiedni. Krezy często się teraz nosi do dziennej sukni, no i w Paryżu to ostatni krzyk mody... ale przesłoniłyby pani ładniutką szyjkę. Wobec tego musi nam wystarczyć rurkowy żabot!

Madame Marceau z równym powodzeniem mogłaby się zwracać do niej po chińsku.

- Ależ oczywiście! Ząbki a la Van Dyke i rurkowy żabot - przytaknęła sarkastycznie Lily.

Modystka uniosła brwi do góry.

- Wyjaśnię pani zalety kołnierza a la Van Dyke, panno Masters, i całej reszty, kiedy pani garderoba będzie już gotowa. Powinna pani znać się na tym. Bez dwóch zdań! Już widzę tę suknię, delikatna siateczka na bladoniebieskim spodzie... Mam atlas, który będzie znakomicie pasował! Na dole marszczenia, rękaw prościutki... I duży dekolt, żeby wyeksponować ten śliczny biust. Czy dał już pani perły?

Lily była zdumiona.

- Perły?

- Naprawdę ma pani szczęście, panno Masters, że znalazła pani opiekuna. I to tak miłego jak pan Cole! A w dodatku ma dobry gust!

- Opiekuna? - powtórzyła Lily, nie wierząc własnym uszom. - Miłego?

- Czyżby pani uczyła się dopiero angielskiego, panno Masters? Powtarza pani po mnie jak papuga! Może pani być ze mną całkiem szczerą, moja droga. Nie ma się czego wstydzić! Wyjątkowo przystojny z niego mężczyzna. Jeśli ktoś zasługuje na to, by sobie poswawolić z kobietą, to z pewnością pan Cole! I wybrał taką obiecującą dziewczuszkę!

„Poswawolić”, cóż za urocze określenie! Lily omal się nie uśmiechnęła. Zaraz jednak, z winy nazbyt bujnej wyobraźni, objawił się jej całkiem wyraźny obraz. Gideon pochyła się nad nią, jego płonący wzrok trzyma ją na uwięzi... Ramię powoli opasuje jej kibić, jego usta są coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie...

Dotykają jej ust. Rozchyła wargi pod ich naporem.

Lily brutalnie odpędziła od siebie natrętne widziadło. Mimo to policzki jej pałały i czuła się dziwnie osłabiona, jakby zapadła na jakąś chorobę.

- Ależ... Ja jestem kuzynką lorda Kilmartina i pochodzę z Sussex - wyrecytowała słabym głosem.

- Tak, tak... Oczywiście, moja droga! - Madame Marceau znowu ją poklepała i wywróciła oczyma. - Też mi o tym opowiadał. Nieważne! Powinna pani być dumna. To wspaniały, zapalony adwokat! Pomógł tyłu biednym ludziom. I to całkiem bezinteresownie, o ile mi wiadomo!

- Zajmuje się tym wyłącznie po to, żeby wygrać - mruknęła Lily. - Uwielbia wygrywać!

- No i wygrywa! Powinna go pani kiedyś zobaczyć na sali sądowej, panno Masters! - mówiła dalej madame Marceau z wyraźną satysfakcją.

- Taki postawny i taki wymowny... Stoi przed Wysokim Sądem i pożera, że się tak wyrażę, na surowo swoich przeciwników! Wygrał sprawę dla mojej kuzynki. Omal nie zemdlałam z wrażenia, proszę sobie tylko wyobrazić...

Lily wcale nie chciała sobie tego wyobrażać, ale trudno jej było się powstrzymać. Gideon z oczyma utkwionymi w Wysokim Sądzie, ze swym zabójczym uśmiechem na ustach... Jego dźwięczny głos to wznosi się aż do krzyku, to znów ścisza do łagodnej perswazji. Przeciwnicy nie mają, najmniejszych szans!

Madame Marceau paplała bez przerwy.

- Dorobiłby się do dziś pięknego majątku, gdyby nie podejmował się obrony biedaków, takich jak ja - oświadczyła. - Jestem szczęśliwa, że mogę służyć mu pomocą. Zwłaszcza że pewnie go nie stać na to, by obsprawać cię jak należy, moje dziecko! I w dodatku twoją siostrzyczkę. Będziecie miały nową garderobę najpóźniej za tydzień. Zagonię wszystkie moje dziewczęta do roboty!

Alice też postanowił ubrać? Lily poczuła, jak zalewa ją fala rozkosznego gorąca. Pomyślał również o Alice! Od niepamiętnych czasów nikt nie zatroszczył się o nie tak życzliwie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ujrzę panią, moje dziecko, w atłasach i aksamitach. Albo w białej muślinowej sukni spacerowej ze stanikiem przybranym kolorową krepą...

Oparła ręce na ramionach Lily i obróciła ją do ściennego lustra.

Lily ujrzała w nim tę samą dziewczynę, która spoglądała na nią z lustra nad toaletką. Drobnutkie złote pęgi odznaczały się bardzo wyraźnie na tle mlecznej skóry.

Wygląda na bardziej wystraszoną niż ja, pomyślała półprzytomnie Lily. A może to ja jestem bardziej wystraszona, niż mi się zdaje? Tylko czego się tak boję? Przecież nie nowych sukien...

Może Gideona Cole'a i tej zdradzieckiej słabości?

- Sugerował różne odcienie zieleni, błękitu i złota - mruknęła madame Marceau. - I chyba miał słuszość, aleja dodałabym do tego biel. W bieli będzie pani zachwycająca!

Lily poczuła ukłucie jakiegoś nieznanego bólu. Zaparło jej dech. Gideon dobierał odpowiednie kolory do jej oczu, cery i włosów... Naprawdę?!

Madame Marceau obrzuciła fachowym okiem postać Lily, od góry do Dołu.

- Potrzebuje pani, oczywiście, kapeluszy, pantofli, rękawiczek i trzewiczków. Zajmę się tym! Pan Cole zgodził się pomóc mi, choć nie miałam mu nic do zaoferowania. A potem poprosił o pomoc w skompletowaniu dla pani całej garderoby. Dobrze wiedział, jakie to może mieć dla mnie znaczenie. Bardzo możliwe, że zyskam większą klientelę, kiedy towarzystwo ujrzy panią w moich kreacjach! Takich ludzi jak on ze świecą szukać, panno Masters! A teraz proszę wyciągnąć ręce do przodu...

Zieleń, błękit i złoto... Lily półprzymtomnie wyciągnęła ręce. Centymetr madame Marceau owinął się wokół jej ciała jak wąż.

- Proszę się nie ruszać, panno Masters, bo mogłabym niechcący ukłuć panią szpilką!

Lily nie miała nic przeciwko temu. Wszystko, byle wyrwać się z tego osobliwego odrętwienia, które ogarnęło ją za przyczyną Gideona Cole'a!

- Proszę odwrócić się do mnie, moja droga... I nie ruszać się!

Lily, która jeszcze dwa dni temu nie zgodziłaby się, żeby ktoś nią komenderował, odwróciła się posłusznie i pozwoliła wziąć z siebie miarę, pragnęła bowiem - Boże, zlituj się nad nią! - jak najszybciej wystroić się w zieleń, błękit i złoto.

Cholera jasna! Gdzie, u diabła, jest sala balowa?! Lily puściła się pędem, przypomniała sobie jednak, że damie nie wypada biegać, i zwolniła kroku. Jej pantofle wybijały na marmurze pełen skruchy rytm: „Spóź-nio-na! Spóź-nio-na! Spóź-nio-na!”

Nareszcie! Odnalazła w końcu salę balową i spóźniła się tylko o pięć minut. Gideon i lord Kilmartin stali pośrodku. Dwie głowy - ciemna i jasna - pochylały się ku sobie. Rozprawiali o czymś po cichu. Prócz nich znajdowali się tu jeszcze Gregson, pani Plunkett i podkuchenna Molly, zbici w małą grupkę. Ich twarze pozbawione były wszelkiego wyrazu. Obecność służby zaskoczyła Lily.

Gideon podniósł na nią wzrok.

- Jakże się cieszę, panno Masters, że zechciała się pani do nas pofatygować!

Spojrzał znacząco na zegarek. Ten sam, który próbowała mu zwędzić kilka dni temu. A potem złożył jej przesadny, ironiczny ukłon.

Spóźniłam się tylko głupie pięć minut, przeklęty despoto!

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Cole.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nastąpiła chwila ciszy.

- Ojej! - bąknęła, przypominając sobie o dygnięciu.

Kącik ust Gideona wyraźnie drgnął. Z trudem powstrzymał uśmiech.

- Mam coś dla pana!

Wysypała na dłoń trzy funty, dopiero co wygrane od lorda Lindseya. Gideon wziął od niej pieniądze i bez sprzeciwu włożył je do kieszeni jakby to była normalna transakcja między ludźmi interesu.

- Widzę, że mój stryj znów pozwolił pani wygrać.

- Pozwolił mi wygrać?!

Gideon uśmiechnął się krzywo, ubawiony jej oburzeniem.

- Jestem panu winna jeszcze piętnaście funtów! - powiedziała cicho, ale nie aż tak, żeby nikt nie mógł usłyszeć.

Nie zwrócił na jej słowa najmniejszej uwagi.

- Doszliśmy do wniosku, że zaczniemy od reela i kadryla, panno Masters, ponieważ te tańce mają dość skomplikowany układ. Za kilka dni przejdziemy do walca. Pan Gregson, pani Plunkett i Molly zgodzili się łaskawie uczestniczyć w naszych lekcjach.

Gregson, pomyślała Lily, nie ma zbyt szczęśliwej miny! Choć trzeba przyznać, że się stara. Zapewne jednak nie miał w tej sprawie nic do gadania... Podobnie jak ja!

- Kilmartin będzie nam akompaniował na fortepianie. Radzi sobie z tym całkiem niezle, choć trudno się tego domyślić, patrząc na niego.

- Diabło podejrzany komplement! - stwierdził beztrząsco Kilmartin, zajmując miejsce przy fortepianie.

Lily spojrzała na instrument i znów powróciło gorzko-słodkie wspomnienie. Jest małą dziewczynką i siedzi przy fortepianie. Nogi jej dyn-dają w powietrzu, gra jakąś prostą melodyjkę. Mama pochyla się nad nią i uśmiecha z dumą.

Przestań, upomniała się stanowczo. Życie wspomnieniami jest jeszcze głębsze niż życie przyszłością. Liczy się tylko dzień dzisiejszy!

Odwróciła wzrok od fortepianu i ze zdumieniem spostrzegła, że Gideon znów się w nią wpatruje. Jakby się domyślił - diabli wiedzą skąd - że przebywała myślami w przeszłości, i czekał cierpliwie, aż stamtąd powróci.

- A zatem reel, panno Masters - zaczął przemowę, wychodząc na środek sali i dając Lily znak, by szła za nim - to taniec składający się z rozmaitych figur, czyli ruchów wykonywanych przez tancerzy. Może to być przykład obrót albo kilka kroków do przodu i do tyłu, albo ukłon. Można stworzyć nieskończenie wiele wariacji takiego układu. Nauczymy się również tańca zwanego sir Roger de Coverley.

Mój Boże, jak doskonale leżą na nim te spodnie! Miały płowy kolor i przylegały do nóg od samej góry aż do miejsca, gdzie znikają w cholewkach wysokich błyszczących butów. Czysta rozkosz obserwować, jak te długie nogi poruszają się, niosąc go po pokoju, choć Gideon jest pochłonięty bez reszty swoim wykładem.

- Panno Masters, słucha mnie pani?

Czy ten drań naprawdę się z niej śmieje, czy tylko jej się tak wydaje?

- Jaki znów sir...?

Sir Roger de Coverley. Jest to taniec wykonywany zazwyczaj na zakończenie wieczorku tanecznego albo balu. Musi więc pani koniecznie go poznać.

- A jaki w ogóle sens - spytała uprzejmie Lily - mają tańce? Gideon zmarszczył lekko brwi.

- Jaki sens, panno Masters?

- No tak. - Lily zdziwiło jego zdumienie. - Po co się w ogóle tańczy? Dlaczego to takie ważne?

Gideon wydawał się nieco zbity z tropu.

- Nikt się nad tym nie zastanawia. Ludzie po prostu tańczą i tyle.

- Jeśli należą do towarzystwa?

- Tak.

Lily rozpromieniła się pojąwszy, w czym rzecz.

- To pewnie tak, jak z pawiami!

- Z pawiami, panno Masters?

- Pawie wykonują coś podobnego do tańca w okresie godowym. Rozkładają ogony, stroszą pióra i tak dalej.

W sali balowej zapadła przytłaczająca cisza. Zdezorientowana Lily zerknęła w stronę służących. Spoglądali na nią w niemej fascynacji, połączonej z odrazą.

Kilmartin przerwał milczenie, wybuchając śmiechem.

- Utrafiła pani w sedno, Lily! Cały nasz wytworny światek to pawie! A zwłaszcza lady Constance Clary!

Lily zwróciła się do Gideona. Cholernego Gideona, który znów się w nią wpatrywał! Miał dziwny wyraz twarzy, jakby rozbawienie walczyło w nim z chęcią zbesztania jej. Było też coś jeszcze, jakies cieplejsze uczucie, którego nie umiała bliżej określić.

- Niech się pani nie zastanawia, dlaczego się to robi - powiedział na koniec, całkiem łagodnie. - Wystarczy wiedzieć, jak się to robi. Zresztą, tancerze przeważnie bawią się doskonale.

- Pan też, panie Cole?

Gideon otworzył usta, zamknął je znowu i zmarszczył czoło.

- Traci pan mnóstwo czasu na robienie rzeczy, które nie sprawiają panu przyjemności! - burknęła Lily.

Gideon się zawahał, jakby chciał jej odpowiedzieć. Ale po chwili zwrócił się do Kilmartina:

- No, Laurie, pokaż, co potrafisz!

Był to niewątpliwy rozkaz, by zaczął grać. Kilmartin zabrał się do dzieła. Zabrzmiały skoczne dźwięki, a pani Plunkett, Gregson, Gideon i Molly skłonili się, dygnęli i pomaszrowali dziarsko po gładkiej podłodze koloru miodu, zbliżając się do swych partnerów. Tup, tup, tup!

Po czym ruszyli do tyłu, oddalając się od siebie.

Z twarzami bez wyrazu, jak żołnierze na warcie, posuwali się to naprzód, to znów do tyłu, ujmowali ręce osoby stojącej naprzeciw nich i obracali się wraz z nią. I znów do tyłu, do przodu...

I wszystko jeszcze raz od początku.

Boże święty! Ależ to było głupie! Twarz Gideona przypominała oblicze męczennika, dzielnie znoszącego tortury. A kontrast pomiędzy kwaśną miną Gregsona i skoczną melodią...

Wystarczy powiedzieć, że nowe aspekty edukacji Lily okazały się niezwykle zabawne.

Jednak - o dziwo - pod wpływem muzyki nogi same zaczęły jej podrygiwać. Po kilku taktach Lily doszła do wniosku, że nie ma nic przeciwko temu, żeby nauczyć się reela. Było to z dwojga złego lepsze od liczenia barw migoczących we włosach Gideona, gdy igrało na nich światło. Albo od obserwowania, jak mięśnie jego szerokich ramion poruszają się pod surdudem, kiedy obracał się dokoła z Molly... Szczęśliwą Molly!

Taniec dobiegł wreszcie końca i mężczyzna, o którym rozmyślała, porzucił grupę tancerzy, wyraźnie zadowolony, że to już koniec. Lily nie przeoczyła tęskiego spojrzenia, jakie pośłała za nim Molly, gdy podchodził do Kilmartina.

- Czy zapamiętała pani układ tańca?

I nagle dostrzegł wyraz twarzy Lily.

- Chyba nie zamierza się pani zakładać o pięć funtów, panno Masters?!

- Chciałam zaproponować trzy, ale kiedy sam pan o tym wspomniał... Gideon przechylił głowę na bok, rozważając problem.

- Nie może się pani wiecznie zakładać o pieniądze, które jest mi pani winna!

- Ale pan, panie Cole, chyba to lubi?

Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał.

- Prawdopodobnie - odparł tonem pozbawionym emocji, nie licząc lekkiego rozbawienia. - Niech więc to będzie coś naprawdę ekscytującego, zgoda? Pani dług zmniejszy się o pięć funtów, jeśli już za pierwszym razem przetańczy pani reela bez najmniejszego, powtarzam, najmniejszego potknięcia.

- A jeśli mi się nie uda?

- To będzie mi pani winna o trzy funty więcej.

- Ooo! - Lily aż sapnęła. Przemyślała sprawę raz jeszcze ale, rzecz jasna, nie mogła się oprzeć pokusie. - Zakład stoi, panie Cole!

Zajęła miejsce Gideona w niewielkim czworoboku. Cole dał sygnał Kilmartinowi i znów usłyszeli skoczne tony reela.

Lily w pośpiechu skłoniła się, kiedy powinna była dygnąć. Jej głowa zderzyła się z twardą czaszką Gregsona. Cholera jasna! Przez takie głupstwo straciła trzy funty!

Potarła czoło i tańczyła dalej. Mimo głośnej muzyki dotarł do niej wyraźnie śmiech Kilmartina i Gideona. To z niej się śmiali, potwory! Na szczęście Gregson, choć nieco oszołomiony, nie odniósł, zdaje się, żadnych obrażeń. Miał widocznie czaszkę znacznie wytrzymalszą niż ona!

Lily ujęła się honorem i przetańczyła reela do końca bezbłędnie... No, nie licząc jednej czy dwóch pomyłek, kiedy niechcący zaimprovizowała całkiem nowy układ kroków, zaskakując Gregsona.

Tak czy owak, wszystko szczęśliwie dobiegło końca.

Gdy muzyka umilkła, Gideon dał znak tancerzom, żeby powtórzyli cały taniec jeszcze raz od początku. Kilmartin z poświęceniem pochylił jasną głowę nad klawiaturą i skoczna muzyka ponownie wypełniła salę balową. Lily była pewna, że ta melodia będzie jej się śnić po nocach.

Spostrzegła, że Gideon ją obserwuje. Prawie nie spuszczał z niej oczu. Jego usta wygięły się w uśmiechu, gdy wykonywała taneczne kroki, a fałdy zbyt obszernej sukni objęły się jej o kostki podczas obrotów. No cóż przynajmniej miał dobrą zabawę! Ale ten badawczy wzrok sprawił, że zapragnęła mu zaimponować. Pokazać, jak niewielkie wyzwanie stanowi taki głupi reel dla kogoś z St. Giles! Wykonała więc kolejny obrót z jeszcze większym impetem.

Niestety, skutkiem tego ciężka suknia objęła się o jej nogi zbyt gwałtownie, a Lily trąciła bokiem panią Plunkett, która wpadła na Molly, ta zaś zderzyła się z Gregsonem... W końcu wszyscy tancerze objęli się o siebie jak bilardowe kule. Na szczęście można było bez obawy wpaść na pulchną panią Plunkett. Zderzenie z kościstym Gregsonem było znacząco mniej przyjemne.

Od strony fortepianu znów doleciał ją serdeczny śmiech. Mężczyźni to potwory!

Tancerze wyplątali się jakoś z zamieszania na parkiecie. Kiedy zaś wykonywali taniec po raz trzeci - trwało chwilę, nim Kilmartin opanował się na tyle, by zagrać raz jeszcze tę melodię - Lily całkiem zapomniała, że Gideon ją obserwuje. Bawiła się wyśmianicie. Żałowała niemal, gdy po raz ostatni zabrzmiał żywy, wesoły finał.

Gideon uniósł rękę do góry.

- Serdecznie dziękuję wam wszystkim, pani Plunkett, Gregsonowi i Molly! Zapewne znowu poprosimy was o pomoc, ale na razie możecie wracać do swoich obowiązków.

Biedny Gregson miał taką minę, jakby obietnicę ponownego zaproszenia na tańce uznał za groźbę. Jednak pani Plunkett i Molly były zarumienione i wyraźnie zadowolone z nieoczekiwanego urozmaicenia codziennych obowiązków. Służący skłonili się lub dygnęli i opuścili pokój spieszenie, ale w należytym porządku.

Gideon zwrócił się do Lily:

- Nie najgorzej pani poszło jak na pierwszą lekcję tańca, panno Masters. Wpadła pani na biednego Gregsona zaledwie dwa razy.

I wymyśliła pani całkiem nowy układ kroków... Bardzo ambitne zamierzenie!

Przekomarzał się z nią! Iskierki w jego oczach wyraźnie o tym świadczyły.

- Kto wie? Może naprawdę wymyślę nowy taniec? - odparła wyniośle. - Czy lady Constance Clary kiedyś się to udało?

Gideon nie odpowiedział od razu.

- Kiedy lady Constance Clary tańczy, nikt nie może oderwać od niej oczu.

To nie była odpowiedź. Zabrzmiało to raczej jak poezja. Kilmartin niech mu Bóg da zdrowie! - prychnął pogardliwie ze swego miejsca przy fortepianie.

- Na szczęście, panno Masters, będzie pani miała więcej okazji, by praktykować tę umiejętność - mówił dalej Gideon, nie zwracając uwagi na Kilmartina.

- O, to istotnie niesłychane szczęście!

Powiedziała to bardziej zgryźliwie, niż zamierzała.

Gideon popatrzył na nią i Lily przez chwilę się zastanawiała, czy go rozgniewała. Wyglądał tak, jakby toczył jakąś walkę.

- Wdzięczność - odezwał się w końcu dość łagodnym tonem - jest bardzo ujmującą cechą u młodej damy.

- Niech pan uważa, panie Cole! - odgryzła się. - Któregoś dnia stanie się pan naprawdę dowcipny i mnie rozśmieszy!

Kilmartin znów się roześmiał. Jakie to wspaniałe, że przynajmniej on potrafił ją docenić!

Gideon nawet się nie uśmiechnął. Zamiast tego na jego twarzy odbiło się przelotnie jakieś uczucie. Czyżby to był podziw?

- Osiemnaście funtów, panno Masters - powiedział tylko. - Do zobaczenia przy obiedzie.

- Lily! Lily! Lily!

Alice wpadła do sypialni i uściskała siostrę z całej siły.

Lily się uśmiechnęła i przytuliła siostrzyczkę. Robiła to setki razy, ale dziś wrażenie było zaskakująco odmienne. Alice nie pachniała wcale jak Alice! Jej ładniutka pożyczona sukienka była jeszcze nagrzana słońcem, sama dziewczynka niosła ze sobą woń mydła i świeżego

powietrza, trawy, ziemi i dziecięcego zdrowego potu. W St. Giles Alice z konieczności większość dnia spędzała w ich mieszkanku i... No cóż, siostra, podobnie jak Lily, pachniała po prostu St. Giles...

Lily poczuła, że coś twardego wpija się jej w biodro. Chwyła Alice za ramiona, przesunęła ją nieco i odkryła, że była to porcelanowa piąstka niewielkiej lalki, którą siostrzyczka ścisnęła pod pachą. Lalka utraciła sporo włosów, a te, które pozostały, nie trzymały się zbyt mocno głowy.

- Alice, skąd masz tę lalkę?

- To Zebra!

Dziewczynka odsunęła się od siostry i utuliła lalkę w ramionach.

- To przecież lalka, Alice, nie zebra!

- Tak ma na imię. Wybrałam je z tej wielkiej książki o zwierzętach, bo jest takie śliczne.

- A, w takim razie wszystko w porządku. To rzeczywiście śliczne imię. Skąd masz Zebkę?

- Pan Cole się o nią postarał.

Lily zeszywniała.

- Jak to „postarał się o nią”? Co to ma znaczyć?

- Pani Plunkett wytłumaczyła mi, że pan Cole powiedział sąsiadom, iż jest u niego dziewczynka, która bardzo by chciała mieć lalkę, a oni przysłali mu Zebkę. Czy nie jest piękna? Dziś rano zaprowadziliśmy ją, Boone i ja, do ogrodu. I wszyscy ubrudziliśmy się trochę ziemią...

Boone, pani Plunkett, pan Cole, ogród, pawie... Świat Alice stawał się coraz większy. Jej wrodzona serdeczność, z konieczności trzymana w ryzach w St. Giles, w Aster Park mogła się pogłębić i rozkwitnąć.

- Tak, jest piękna. Twoja Zebra jest naprawdę piękna!

Lily poczuła nagle, że ma trudności z oddychaniem. Znowu nawiedziło ją wspomnienie. Jest małą dziewczynką i stoi na brzegu morza obok matki, przygląda się, jak fale głaszczą piasek, podpływając coraz bliżej do jej bucików. Mama tłumaczy, że fale ukształtowały przybrzeżne skały takim właśnie delikatnym, nieustannym podpływaniem i głaskaniem.

Lily czuła, że dopóki pozostaną w Aster Park, będzie poddana wpływom, którym nie zdoła się oprzeć. Gideon Cole zniszczy jej bariery ochronne. Bała się, że osłabnie, że zrodzi się w niej niemądra nadzieja, która - w połączeniu z historią pana Darcy'ego i opowiestkami z fran-

cuskiej książki - może zabić w niej dumę... Zwłaszcza że w jej sytuacji wydawała się po prostu śmieszna. A Gideon, dobry, piękny... zamierzał się ożenić z córką markiza.

„Nigdy nie zdawaj się na łaskę i niełaskę mężczyzny, Lily”. Nie podejrzewała, że wyobraźnia może okazać się nie tylko sprzymierzeńcem, ale i groźnym nieprzyjacielem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mogła to być jedynie pani Plunkett.

- Panno Masters, pan Cole i lord Kilmartin proszą, by zechciała pani zjeść obiad w ich towarzystwie - oznajmiła gospodyni. - Panienska Alice zje w kuchni razem z nami. Zaprowadzę ją.

Alice brała teraz panią Plunkett za rękę tak swobodnie, jakby to była dłoń Lily. Starsza siostra poczuła lekkie ukłucie zazdrości. To niegodne! - ofuknęła się w myśli. Przecież Alice wie, że pozostaniecie tu jedynie przez krótki czas! A jednak Lily obawiała się, że dziecko przywyknie do tutejszych wspaniałości i będzie tęsknić za Aster Park, gdy stąd wyjadą. Byłoby jej bardzo trudno patrzeć na lzy Alice.

Jeszcze tylko osiemnaście funtów i znów będzie dysponować swoim życiem! Nie zabraknie w nim niebezpieczeństw, ale będzie to jej własne życie, proste i nieskomplikowane.

Chociaż trochę żal, że nie założy nigdy zieleni, błękitu i złota...

- Bardzo dziękuję, pani Plunkett.

Lily nie była pewna, czy wypada dygać przed gospodynią, ale dygnęła i tak. Z pewnością pani Plunkett zasługiwała przynajmniej na to. Musiała, biedaczka, znosić obecność pana Cole'a przez te wszystkie lata!

- Przede wszystkim powinna pani zrozumieć, panno Masters - powiedział Gideon łagodnie, gdy krzesło Lily zostało przysunięte do stołu - że na balach i rautach jedzenia jest obrzydliwie dużo! Można by jeść bez końca i nigdy by go nie zabrakło. Panią domu ocenia się, między innymi, po jakości podanych potraw, toteż każda stara się jak może, żeby goście wstawali od stołu dwa razy ciężsi niż wówczas, gdy do niego zasiedli.

Kiedy to mówił, na twarzy Lily malowało się powątpiewanie, zdumienie, a na końcu wyraźny sprzeciw. Policzki jej poróżwiały i bródka uniosła się pod wojowniczym kątem, gdy w pełni dotarło do niej, co Gideon Cole starał się jej powiedzieć - żeby nie rzucała się na jedzenie jak wygłodzony wilk.

Gideon nie mógł patrzeć na upokorzenie dziewczyny. Nikt nie winien wstydzić się tego, że stale był głodny! Pośpiesznie mówił więc dalej:

- I choć nieraz byłoby rozsądniej pośpieszyć się z jedzeniem, w towarzystwie należy jeść powoli. Obiad powinien być raczej okazją do miłej konwersacji z sąsiadami przy stole niż zaspokajaniem głodu. Prawdę mówiąc, choć brzmi to absurdalnie, pozostawianie na talerzu resztki jedzenia uchodzi za przejaw dobrego wychowania.

Lily w milczeniu chłoneła te informacje, bawiąc się nerwowo śnieżnobiałą serwetką, leżącą obok nakrycia. Gideon spostrzegł, że gorący rumieniec znika powoli z jej policzków, gdy nad wstydem wzięła gór duma. Bez wątpienia Lily uznała opisanę przez niego zachowanie za jeden z niepojętych obyczajów wielkiego świata.

Kilmartin również przysłuchiwał się wywodom przyjaciela z pewnym zainteresowaniem.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy spojrzeć na to pod takim kątem!

- A mnie przyszło - odparł krótko Gideon i kontynuował: - Obecnie, panno Masters, w towarzystwie najczęściej każdy z gości sam nabiera potrawy z półmiska. Niekiedy jednak wyręcza go w tym służba, jak było choćby wczoraj. Nie mam pojęcia, w ilu proszonych obiadach przyjdzie nam uczestniczyć, ale z pewnością przynajmniej na jednym z nich zetknie się pani z lady Constance Clary; czy to w roli pani domu, czy to w charakterze gościa. Założę się również, że będzie pani miała do czynienia z mnóstwem wybornych potraw.

Lily zerknęła na niego i uśmiechnęła się filuternie.

- Nie powiem, żeby to było takie wielkie nieszczęście!

Poczuł, że jego mózg nagle rozmiękł i przypomina konsystencją owsiankę. Te niespodziewane uśmiechy Lily były równie groźne jak latające w powietrzu kartacze!

- Może lepiej, żeby panna Masters poćwiczyła nabieranie potraw z półmiska? - zaproponował Kilmartin w głuchej ciszy, która nagle zapadła.

Gideon odchrząknął.

- Doskonale! Zacznijmy od mięsa. Za każdym razem nabieramy jeden lub dwa kawałki, nie więcej, panno Masters - ostrzegł. - I bardzo proszę, żadnych gwałtownych ruchów!

Stół był zastawiony wieloma lśniącymi półmiskami. Lily sięgnęła, a raczej rzuciła się na duży srebrny widelec, oparty o półmisek pokrojonej pieczeni wołowej. Gideon zdławił w sobie jęk. Ruchy Lily zawsze były szybkie, choć niepozabawione wdzięku. Był to jednak naturalny wdzięk wygłodniałego ptaszka, charakteryzujący się oszczędnością i celowością ruchów.

Proszę się nie spieszyć, panno Masters... I nie wywijać rękawem nad płomieniem świecy. Stanowczo nie wypada na proszonym obiedzie usmażyć się na befsztyk!

Lily zachichotała. Był to czarujący, szczery, spontaniczny śmiech. Gideon zapragnął nagle, by nie przestawała się śmiać. Zupełnie jakby chciał słuchać bez końca ulubionego utworu muzycznego.

- Przypomina mi pani chwilami Dodge'a, panno Masters - powiedział żartobliwym tonem.

- A któż to taki?

- To radca prawny, który wiecznie depcze mi po piętach. Niepozorny człeczyna, ale szybki jak wróbelek! Zmusza mnie, żebym bronił w sądzie jego klientów, a ja nie potrafię się od tego wykręcić...

Gideon nagle urwał. Cóż on wyrabia najlepszego?! Nigdy by mu nie przyszło do głowy opowiadać Constance o kłopotach z Dodge'em! Mógł sobie bez trudu wyobrazić kompletny brak zrozumienia, gdyby w rozmowie poruszył ten temat. Dlaczego Gideon zanudza mnie takimi sprawami?! - pomyślałaby pewnie.

Lily jednak czekała na wyjaśnienia, przechylając ciekawie główkę na bok.

- Jak wygląda pan Dodge?

Gideon się zawahał. Zainteresowanie, które dostrzegł w jej oczach, skłaniało go do dalszych zwierzeń. Był pewien, że Lily Masters postrzega świat jako ogromną kolekcję przeróżnych oryginałów. A Dodge z pewnością się do nich zaliczał! Gideon poddał się więc pokusie opowiedzenia jej o nim.

- To mały, łysy człowieczek. Ma najbystrzejsze w świecie niebieskie oczy. Trochę przypomina z postury gołębia: napuszona pierś i nóżki jak patyki.

Lily się roześmiała, ubawiona tym barwnym opisem. W oczach miała zadumę, jakby w jej umyśle kształtował się właśnie obraz Dodge'a. Nagle prozaiczny świat, w którym obracał się Gideon, nabrał kolorów i blasku.

- A dlaczego go panu przypominam?
- Chyba dlatego, że jest taki zwinny. Ruchy ma błyskawiczne, tak samo jak pani. Nigdy nie zdołałem przed nim umknąć, zawsze mnie dopadł!

- A więc nazwisko* ma nieco przekorne! - zauważyła z zadowoleniem Lily.

Spontanicznie uśmiechnęli się do siebie, w równym stopniu zainteresowani bezpretensjonalną historyjką.

- Zupełnie jak moi rodzice! - zauważył od niechcienia Kilmartin.

- O czym mówisz, Laurie? - zwrócił się Gideon z uśmiechem do przyjaciela.

- Wyglądaliście zupełnie jak moi staruszkowie. Ojciec coś tam rozprawia o interesach, matka go wypytuje... A potem śmieją się razem. Przyjemnie na coś takiego spojrzeć, słowo daję! - dodał z odrobiną nostalgii.

Uśmiech nagle zastygł na twarzy Gideona. Wpatrywał się w przyjaciela bez słowa, nie mogąc zrozumieć, dlaczego poczuł się... Osaczony.

- Trochę rostbefu, Gideonie? - zagadnął przyjaźnie Laurie i podsunął mu półmisek.

Alice pochrapywała cicho obok siostry, tuląc do siebie niewielką, podniszczoną lalkę. Lily nie mogła zasnąć. Była objedzona rostbefem, zmęczona kontrolowaniem każdego ruchu i gestu... Na dodatek cisza panująca w całym domu przytłaczała ją jak ciężka kopuła.

Może zapalić świecę i coś poczytać?

Prawdę mówiąc, najchętniej by pobiegała, żeby wyładować energię. Nie była przyzwyczajona do przebywania w zamkniętym pomieszczeniu. Drażniło ją to i potęgowało niepokój. Uśmiechnęła się lekko, wyobrażając sobie zdumienie służących, gdyby przyłapali pannę Lily Masters z Sussex, kuzynkę lorda Kilmartina, na bieganii po korytarzach w zbyt obszernym szlafroku! Może na twarzy pani Plunkett odbiłyby się wreszcie jakieś żywsze emocje?

**Dodge* (ang.) - uskoczyć, wykręcić się (przyp. red.).

Wyślizgnęła się z łóżka, otuliła pożyczonym szlafrokiem i zapaliła świecę. Osłaniając płomyk dłonią, nacisnęła klamkę, wymknęła się z pokoju na bosaka pobiegła bezszelestnie po schodach na górę, do biblioteki. Chłód marmurowych stopni pod stopami przyprawił ją o lodowaty dreszcz.

Zajrzała do biblioteki. Ogień na kominku powoli dogasał, oświetlając łagodnym blaskiem i rzucając na nie dziwaczne cienie. Zaraz... powinni przed nocą zagasić dopalający się ogień! Lily zatrzymała przy drzwiach, nasłuchując pilnie. Nic nie usłyszała, weszła więc do środka.

I wówczas go ujrzała. Siedział na fotelu w niedbałej pozie, z rozstawionymi nogami. W ręku miał niewielką książeczkę w czerwonej oprawie. Wydawał się pochłonięty lekturą. Dla wygody rozpiął koszulę pod szyją i można było dostrzec ciemne kędzierzawe włoski, porastające pierś. Blask ognia złocił jego skórę, uwydatniał szczytliwość policzków i czerwone lśnienie rzęs i włosów.

Nawet gdy odpoczywał, było w nim jakieś napięcie i wyczekiwanie, jakby ustawicznie miał się na baczności. Lily miała chęć przemówić do niego łagodnie, jak do zaniepokojonego zwierzęcia. Niezwykle silnie odczuwała jego bliskość i urok. Jak można być aż tak pięknym?

Gideon podniósł wzrok i, ujrawszy ją, zamarł.

Ich spojrzenia zwały się ze sobą na nieprawdopodobnie długą chwilę. Nie odczuwali żadnego skrępowania. Na twarzy Gideona odbijało się to samo łagodne zdziwienie, jakie odczuwała Lily.

A potem, jakby otrząsnąwszy się ze snu, powoli podniósł się z fotela.

- Panno Masters...

- Proszę nie wstawać, panie Cole! - wyjąkała. - Tak mi przykro, że panu przeszkodziłam. Zaraz wracam do...

- Nie, nie! - zaprotestował pośpiesznie. - Proszę nie odchodzić, panno Masters! Naprawdę, nie musi pani...

Lily milczała. Gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, pomyślałaby, że Gideon jest szeszony!

Usiadł z powrotem i, zamknąwszy książkę, którą czytał, położył ją sobie na kolanach.

- W tej bibliotece nie znajdzie pani nic cennego, panno Masters. Radziłbym spróbować szczęścia w gabinecie stryja. Zdaje się, że przechowuje tam kilka złotych drobiazgów.

- Nie uważa pan, że książki też mają swoją wartość, panie Cole?

- Niektóre z pewnością - zamilkł i przyglądał się jej w zamyśleniu - Lubi pani rozmaite historie, panno Masters? Można je czytać, opowiadać...

- Tak.

- Skąd to upodobanie?

- Zapewne dlatego, że przeważnie są interesujące.

Gideon przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Wie pani, dlaczego ja je czytuję? – W jego głosie brzmiała lekka ironia, jakby Lily rozczarowała go odpowiedzią. - Czytam je, gdyż pozwalają uciec od brudu i utrapień codziennego życia. Czynią je bardziej znośnym.

Skonsternowana Lily gwałtownie zaczerpnęła powietrza i poczuła, że twarz jej zalewa gorący rumieniec. Czyżby Cole z niej drwił?

Kiedy znów się odezwała, ton - chłodny i oficjalny - wskazywał na to, że taki właśnie charakter zamierza nadać dalszej konwersacji. Jednak jej głos drżał lekko i była z tego powodu zła na siebie i rozmówcę.

- Panie Cole, wykorzystując okazję, że spotkaliśmy się przypadkiem, chciałabym porozmawiać z panem o Alice.

- To urocza dziewczynka.

- Wiem o tym. Postarał się pan dla niej o lalkę.

- Czyżby była pani o to zazdrosna? Mam zdobyć drugą taką samą dla pani?

- Bardzo zabawne, panie Cole! Przyznaję, że to niezwykle miłe z pańskiej strony, iż zatroszczył się pan o Alice. Ale to tylko dziecko i łatwo może się przyzwycząić do luksusów, a sam pan wie, że w St. Giles nie ma na nie miejsca.

W milczeniu wpatrywał się w nią niezgłębionymi oczami. Czowała, jak opuszcza ją pewność siebie. A jego następne słowa, choć brzmiały łagodnie, nie poprawiły sytuacji.

- Czy przypadkiem nie boli panią najbardziej to, że sama nie może jej pani zapewnić takich „luksusów”?

Oddech Lily stawał się coraz szybszy. Była o krok od paniki. Trzeba przyznać, że Cole jest piekielnie dobrym adwokatem!

- Dotąd wszystko układało się jak należy! - syknęła. - Alice i ja całkiem nieźle sobie radziłyśmy, zanim pojawił się pan z tymi cholernymi trzydziestoma funtami!

- Ach tak? Całkiem nieźle? - powtórzył sceptycznym tonem. - A gdyby tak przytrafiło się pani coś złego, panno Masters, podczas jednej z wypraw na miasto? Co by się stało z Alice? Nic to pani nie obchodzi?

Poczuła się tak, jakby ugodził ją pięścią w brzuch. Była o krok od furii, gdy Gideon zaskoczył ją kompletnie.

- Przepraszam, panno Masters. - W jego głosie brzmiała prawdziwa skrucha. W zamyśleniu pocierał ręką czoło, jakby chciał odegnać myśli, które popchnęły go do wypowiedzenia nieprzemyślanych słów. - Przyznaję, że to było niewybaczalne! Wiem, jak bardzo kocha pani siostrę. Prawdę mówiąc, należą się pani gratulacje, wspaniale ją pani wychowała! Chciałem tylko... uświadomić pani, że należałoby pomyśleć o przyszłości. Nie każdy, kto przyłapie panią na gorącym uczynku, będzie skłonny sypanąć groszem, byle nie trafiła pani do więzienia!

Nie przemawiał protekcjonalnym tonem, ale jego słowa i tak rozwścieczyły Lily.

- O przyszłości, panie Cole? Może pan planować wszystko na zapas, ale nikt nie potrafi zapewnić sobie bezpiecznej przyszłości! Mimo rozpaczliwych starań i genialnych planów... I pańskich cholernych trzydziestu funtów!

Zmienił się na twarzy. Rysy mu stężały. Słowa Lily trafiły w czułe miejsce. Kształtne, długie palce Gideona wpiły się w poręcz fotela.

- Zresztą... Co to pana obchodzi?! - dodała, bliska łez, co rozżłościło ją jeszcze bardziej.

Polano, niemal całkowicie wypalone, osunęło się w dogasające płomienie. Lily wyczuwała chłód posadzki pod bosymi nogami i nieświadomie pocierała jedną stopą o drugą.

Milczenie się przedłużało.

Gideon poruszył się niespokojnie w fotelu. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

- Nie wiem, dlaczego mnie to obchodzi, panno Masters - przyznał cicho. Wydawał się szczerze zdumiony. - Ale tak jest.

Mówiąc to, uśmiechnął się. Był to tylko smutny grymas autoironii, uniesienie kącika ust, ale objawiła się w nim cała jego bezradność.

I - Boże, zlituj się! - ten krzywy uśmiech poruszył serce Lily i sprawił, że omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Cały gniew z niej wyparował. Wpatrywała się w Gideona, on zaś odwzajemniał się jej tym samym. Serce Lily zgubiło rytm. Coś nawiązywało się między nimi. Przypominało to chwile wahania na progu mrocznego pokoju, zanim oczy oswoją się z ciemnością i kontury staną się wyraźniejsze. Lily bała się powiedzieć coś więcej, zrobić krok naprzód w obawie, że się z czymś zderzy.

Mogłabym zatracić się w jego oczach, pomyślała, i radośnie zatonać na zawsze w ich głębi...

Gideon odchrząknął i odezwał się, jakby chciał uprzedzić następne słowa Lily:

- Jakiej książki pani szukała, panno Masters? Może mógłbym coś doradzić?

- Ooo... - Ta troskliwość przyprawiła Lily o rumieniec zmieszania.

- Naprawdę mogłabym wziąć coś do czytania?

- Od tego przecież jest biblioteka. - W głosie Gideona brzmiało lekkie rozbawienie. - Czy lubi pani powieści? A może... - zawahał się ledwie dostrzegalnie - poezje?

Dziwne! Zupełnie jakby się obawiał, że zaraz się wyrwie z jakąś nieprzystojną propozycją!

- Nie bardzo się znam na poezji, choć mam wybór dzieł Szekspira.

Gideon uśmiechnął się lekko, potem odrzucił głowę do tyłu i utkwiał wzrok w tonącym w mroku suficie. Blask ognia złocił zarys jego szyi.

- „Słońce to złodziej, magnetyczną siłą przywabia przestwór morza...”

Serce Lily podskoczyło ze zdumienia, gdy usłyszała dobrze jej znane słowa w takich okolicznościach, wypowiedziane jego głosem... Czekala przez chwilę, najwidoczniej nie zamierzał mówić dalej.

- „Luna też jest złodziejką, bo swe blade ognie kradnie słońcu...”

- odpowiedziała cicho.

Mogłaby zadeklamować wszystko, ale pragnęła słuchać dalej jego głosu.

Gideon oderwał wzrok od sufitu i spojrzał ze zdumieniem na Lily.

- Umie pani cały ten fragment na pamięć?

Skinęła głową.

- Jest piękny - przyznał Gideon po chwili milczenia,
Powiedział to prawie nieśmiało.

Lily za nic nie chciała zniszczyć nastroju, ale nie mogła przemilczeć tego, co według niej było najistotniejsze:

- I mówi o tym, że wszystko w świecie opiera się na kradzieży!

Gideon, zaskoczony, roześmiał się, a Lily, chcąc nie chcąc, mu zawtórowała. Śmiał się tak cudownie! Zupełnie jak chłopiec, którym był niegdyś... Jaka szkoda, że nie rozumował już tak jak on! Ich oczy znów się spotkały. Lekki uśmiech pojawił się na ich ustach a Lily - o dziwo zabrakło słów...

Jakby ośmielony śmiechem, mrokiem i blaskiem ognia wzrok Gideona powędrował w dół. Przesunął się po obnażonej szyi Lily, po rozpuszczonych włosach, spływających jej na pierś. Musnął talię, opasaną dwukrotnie ozdobnym sznurem szlafroka. Oczy Gideona bardzo powoli suwały się po wypukłości jej bioder, po udach i łydkach, aż sięgnęły stóp, dotykających podłogi. Były to rozmyślne, dokładne i jawne oględziny.

Lily miała takie uczucie, jakby to jego dłoń przesuwała się po jej nagiej skórze. Poczowała gęsią skórkę na całym ciele. Zalała ją fala gorąca, oddech stał się szybszy. Znów miała wrażenie, że wewnątrz jej ciała zapłonął ogień, od niego zaś rozgorzała w niej krew.

A przecież Gideon tylko na nią patrzył.

Gdy jestem z nim, tracę grunt pod nogami...

Przyciągał ją do siebie niczym magnes od chwili, gdy na Bond Street zacisnął rękę na jej nadgarstku. Dobrze wiedziała, że Gideon Cole to nie Nick, którego mogła pocałować z ciekawości, a potem odepchnąć i zapomnieć o wszystkim. Gdyby Gideon chciał teraz sięgnąć po nią, nie broniłaby się przed nim. Sama by się do niego przytuliła... i raz-dwa byłoby po wszystkim. To okropne, jak szybko porywy ciała mogą zatriumfować nad dumą i rozsądkiem!

Gideon wpatrywał się w jej twarz. Odwzajemniła się tym samym, ale nagle zrozumiała, że gdy myśli Gideona były w największym zamęciu, wyraz jego twarzy wydawał się nieodgadniony.

We francuskiej książce wyczytała pewną opowiadankę. Mężczyzna i kobieta kochali się, nieprzytomni z rozkoszy, obserwując się nawzajem lustrze...

Tak bym pragnęła ujrzeć twarz Gideona w chwili, gdy będzie się ze mną kochał, pomyślała. Zobaczyć, jak zmienia się wyraz jego oczu. Sprawić, że zatraci się w rozkoszy...

Odetchnął głęboko.

- Panno Masters, powinna pani czym prędzej wrócić do pokoju.

Ton jego głosu mówił wyraźnie, że żadne z nich nie jest bezpieczne, przebywając tu dłużej.

Lily, zgadzając się z nim w zupełności, bez słowa obróciła się na pięcie i pośpiesznie wyszła z biblioteki.

8

Kiedy Lily wreszcie usnęła, nękały ją dziwaczne sny. Gideon stał za ladą McBride'a i pichcił jakieś wywary, a ona usiłowała mu sprzedać jego własny zegarek. Domagała się od niego pięciu szylingów. Gideon uśmiechnął się do niej - brakowało mu jednego zęba - i mruknął: „Daj całuska, kochana!” Pochylała się właśnie ku niemu, by spełnić jego życzenie, gdy...

- Obudź się, Lily!

Alice szarpała ją za ramię, a ktoś uparcie stukał do drzwi. Półprzutomna Lily narzuciła szlafrok i powlokła się, by je otworzyć.

Na progu ujrzała panią Plunkett ze śniadaniem na tacy oraz liścikiem i jakąś tajemniczą paczką, owiniętą w papier. Lily spojrzała pytająco na gospodynię. Jeśli sądziła, że wyczyta coś z jej twarzy, zawiodła się kompletniej

Pani Plunkett zabrała podskakującą Alice, Lily zaś - odgarnąwszy włosy za uszy - usiadła na łóżku, żeby przeczytać list.

Dla L.M.

Plan zajęć w dniu dzisiejszym:

10.00 Lekcja dobrych manier

11.30 Ćwiczenia w konwersacji

13.00 Piknik

Jaki znów piknik?!

15.30 Partia kart z lordem Lindseyem

16.30 Lekcja tańca

18.00 Obiad

Tak, panno Masters, udamy się na piknik. Przekona się Pani, że niektórzy ludzie spacerują dla przyjemności.

G.C.

P.S. Proszę uważać, bo Willoughby gotów zastąpić Darcy'ego w pani snach!

Z bijącym niespokojnie sercem Lily zdarła papier z paczki. Były w niej książka... i para grubych, miękkich, wełnianych pończoch!

Książka nosiła tytuł *Rozważna i romantyczna*. Napisała ją ta sarna autorka, która powołała do życia pana Darcy'ego. Lily uśmiechnęła się leniwie i czarujący rumieniec zabarwił jej policzki. Ale dlaczego przysłał jej pończochy?!

I nagle sobie przypomniała. Ubiegłej nocy w bibliotece usiłowała rozgrzać zziębnięte stopy, pocierając jedną o drugą. Ten człowiek niczego nie przeoczy!

Ogarnęło ją radosne uniesienie, a równocześnie rozkoszny dreszcz strachu przebiegł jej po plecach. Książka i pończochy wydały jej się cenniejsze od klejnotów. Dwa niewątpliwie wybrane z rozmysłem podarki, stanowiące aluzję do krótkiego sam na sam w oświetlonej blaskiem ognia bibliotece. Czy to możliwe, by - po raz pierwszy w życiu - ktoś zabiegał o jej względy?

O jakie względy?

Lily nie była pierwszą naiwną. Dobrze wiedziała, że dzentelmeni nie zabierają dobrze wychowanych młodych panien na piknik bez przyzwoitki! Ale może zabierają... złodziejki?

I po co potem?

Prawdę mówiąc, chociaż jej matka z pewnością by tego nie pochwałała, Lily nie mogła się doczekać chwili, kiedy się tego dowie.

Kilmartin obudził się późno, toteż Gideon postanowił zjeść śniadanie sam, jedynie w towarzystwie porannego słońca, które zalało blaskiem jadalnię, krzątającej się w milczeniu służby oraz własnych, bardzo przyjemnych myśli. Niewielki stosik korespondencji czekał obok talerza. Charakter pisma na jednym z listów był znajomy. Gideon natychmiast otworzył kopertę.

Muszę przyznać, Gideonie, że trochę się boję. Ale nie mów nic stryjowi Edwardowi, bardzo Cię proszę! Jestem pewna, że wszystko się dobrze skończy...

Jakaś zimna dłoń zacisnęła mu się wokół serca.

Oczywiście, na modłę wszystkich kobiet z ich rodziny - a raczej wszystkich Cole'ów z ich przekłętą dumą i wisielczym humorem - zakończyła swój list stwierdzeniem:

*Jeśli zniostam Twoje wybryki, to zdołam chyba wytrzymać wszystko!
Twoja kochająca siostra Helen.*

W ciągu ostatnich kilku miesięcy w jej listach nie brakowało podobnych aluzji, zrozumiałych tylko dla brata. Gideon żywił już pewne obawy od czasu ostatniej wizyty u siostry, ale nie podzielił się nimi z nikim, nawet z Kilmartinem.

Helen nawet w dzieciństwie była nieustraszona. Nigdy nie przyznała się do tego, że się czegoś boi. Nadmierna duma była ich rodzinnym kalectwem. Co prawda dzięki niej Helen i matka zachowywały się z godnością nawet wówczas, gdy ich fortuna rozsypała się w proch i pył, ale ta sama duma nie pozwoliła rodzeństwu zwrócić się do kogokolwiek z prośbą o pomoc.

Teraz zaś... Nagły niepokój legł mu kamieniem na sercu.

„Może do ciebie przyjadę, kiedy będziesz już miał własny dom, braciszku - powiedziała mu Helen, gdy widzieli się po raz ostami. - Ale chyba nie zdołam spojrzeć w twarz stryjowi Edwardowi!”

Gideon odłożył widelec. Apetyt nagle znikł. Naprawdę staram się, jak mogę, Helen! Ręka z listem opadła mu bezradnie, on zaś niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń.

Co z niego za mężczyzna, jeśli nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa tym, których kocha?

10.00 Lekcja dobrych manier

- Nie, nie, i jeszcze raz nie! - Tego ranka w głosie Gideona Cole'a było więcej zniecierpliwienia niż zwykle. Krążył po przytulnym błękitnym saloniku jak tygrys w klatce. - Mniejsze kroki, panno Masters! Owszem, powinna się pani trzymać prosto, ale nie tak, jakby połknęła pani kij! I niech pani tak nie wysuwa brody! Ma pani zamiar rzucić się na kogoś z pięściami albo napluć mu w twarz?!

Lily stała na środku pokoju i spoglądała na Gideona ze zdumieniem. Narastał w niej bunt. Gdzie się, u licha, podział ten mężczyzna o łagod-

nym spojrzeniu, który deklamował wiersze i rozbierał ją zachwyconym wzrokiem? Ten, który przysłał jej pończochy i książkę? Czyżby tylko jej się przyśnił? Nic w zachowaniu Gideona tego ranka nie wskazywało na to, że należy mu się podziękowanie za te prezenty albo że był świadom tego, co nawiązało się między nimi w bibliotece. Wydawał się taki niedostępny i okropnie prozaiczny!

- Panna Masters powinna pospacerować z książką na głowie - podsunął Kilmartin. - Mojej siostrze bardzo to dobrze zrobiło.

- Możecie sobie wsadzić tę cholerną książkę... wiecie gdzie! - oświadczyła dobitnie Lily.

Najwyraźniej Gideonowi brakowało także poczucia humoru.

- Jeśli chodzi o tę ostatnią uwagę, panno Masters, to nic podobnego nie może się powtórzyć! Doprawdy, muszę pani przypominać o naszych zamierzeniach i o pani długu?! Lady Constance Clary to ucieleśnienie dobrego wychowania, a więc i pani zachowanie nie może wywoływać innych komentarzy. Chyba że będą to komplementy.

Kilmartin zmierzył Gideona krytycznym wzrokiem ze swego stałego miejsca na kanapie.

- Coś mi się zdaje, że wstałeś dziś lewą nogą, staruszk. Gideon przestał krążyć po pokoju i odetchnął głęboko. Po chwili był już nieco mniej spięty.

- Bardzo przepraszam - powiedział dość sztywno, ale szczerze. - Mam ostatnio wiele na głowie.

Wymownym spojrzeniem ciemnych oczu dał Lily do zrozumienia, że przeprosiny odnoszą się także do niej.

- Naturalnie, masz pracę i Constance! - domyślił się Kilmartin.

- Oczywiście, pracę i Constance - potwierdził Gideon po sekundzie wahania.

Nie, nie! Tu chodzi o coś innego, pomyślała nieoczekiwanie Lily, mocno zaintrygowana.

Króciutkie wahanie Gideona i niemal niedostrzegalne napięcie mięśni na jego twarzy zdradziły, że martwi go coś jeszcze.

- Panno Masters! - zwrócił się do niej nieco bardziej opanowanym tonem. - Nie zamierzam kwestionować, że wychowano panią, jak należy. Z czasem jednak przywykła pani do używania pewnych słów i wyrażeń, które zdradziłyby od razu, że tylko udaje pani damę, gdyby posłużyła się pani nimi w towarzystwie. Dobrze wychowana młoda

panna nie zna nawet podobnych zwrotów! A lady Constance Clary nie wymknęłoby się coś takiego... Choćby kula armatnia ugodziła ją w duży pale u nogi!

- Pora na zdrapywanie pąkli! - stwierdził z entuzjazmem Kilmartin

- Cóż to za słowa? - Lily zrobiła śmiertelnie poważną minę i uniosła oczy ku niebu, jakby rozważała coś głęboko. - Czy chce pan powiedzieć, że nie powinnam, na przykład, zwracać się do pana: „Panie Cole, ale z pana cholerny sukinsyn”?

I spojrzała na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami, jakby oczekując pochwały za trafny domysł.

Za plecami Gideona zaskrzypiała kanapa, gdy Kilmartin poruszył się niespokojnie.

- A może... - Lily ciągnęła rozważania, mimo że Gideon milczał, co nie wróżyło nic dobrego. - Może nie powinnam mówić: „Ale z pana tyran i bydlak”?

- Panno Masters - odezwał się bardzo spokojnie Gideon.

- Słucham?

- Skończyła pani te wywody?

Westchnęła.

- Chyba tak.

Gideon Cole uśmiechnął się lekko i Lily uświadomiła sobie, że próbowała go rozśmieszyć, by złagodzić napięcie, widoczne na jego twarzy.

- Nie rozdziawiaj ust tak szeroko, Kilmartin. - Gideon zwrócił uwagę przyjacielowi, któremu szczęka opadła z wrażenia. - Widzi pani, panno Masters, jaki to był szok dla biednego Kilmartina? Całkiem mu odjęło mowę.

- Tak się mówi w St. Giles! - burknęła.

- Nie wolno pani w żadnym wypadku wspo...

- ..minąć o St. Giles? Niech i tak będzie. A co wypada zrobić, jeśli kula armatnia trafi mnie akurat w palec u nogi?

- Może wrzasnąć? - podpowiedział Kilmartin ze swej cichej przystani na kanapie. - Tak, najlepiej krzyczeć, ale bez słów!

Lily poczuła pokusę, by wypróbować skuteczność jego rady. Do licha! Oczy Gideona błysnęły tak wesoło, jakby wyczytał ten zamiar z jej twarzy.

- Jeśli znowu nawiedzi panią pokusa, by wykrzyknąć „cholera jasna!”, radzę zamiast tego westchnąć „O mój Boże...”

- Wiem, że to się nawet nie umywa do cholery - Kilmartin był pełen zrozumienia dla Lily, ale nie ma rady! Takich właśnie delikatnych wyrażen oczekuje się od młodych panien.

Lily poczuła mimowolne współczucie dla tych biedaczek. Kto wie? Może uda się jej zaprowadzić w towarzystwie modę na przekleństwa?

11.30 Ćwiczenia w konwersacji

Analiza zalet i wad zwrotu „cholera jasna” w sposób całkiem naturalny doprowadziła ich do lekcji konwersacji. Pozostali w błękitnym pokoju, gdzie pani Plunkett przyniosła im herbatę. Kilmartin prawie się nie wzbraniał, gdy go poproszono, by znów odegrał rolę lady Constance Clary. Lily podejrzewała, że parodiowanie tej damy sprawia mu przewrotną radość. Gideon miał ponownie wcielić się w lady Anne Clapham. Wydawało się to całkiem sprawiedliwe.

Wątpliwe tylko, czy lady Anne Clapham kiedykolwiek krążyła tak zawzięcie po pokoju jak Gideon.

Lily usiadła obok Kilmartina na kanapie. Wyprostowała plecy, ale nie przesadnie, a minę miała słodką i przyjazną, gdy zwróciła się do Lauriego, z góry przygotowana na to, że zwyczajnie towarzystwa znowu wprawia ją w oszołomienie.

- Proszę mi powiedzieć, panno Masters... - Lord Kilmartin, w roli lady Clary, pochylił się poufnie ku swej rozmówczyni. - Co pani sądzi o lady Clapham?

Lily zerknęła na lady Clapham, czyli na Gideona.

- Dawno nie widziałam takiej cho...

- Panno Masters! - pośpieszył Gideon z groźnym ostrzeżeniem.

Lily skryła uśmiezek i spróbowała raz jeszcze:

- Można z nią wytrzymać.

Gideon uniósł ostrzegawczo rękę.

- Jeśli lady Clary lub inna dama zada pani podobne pytanie, należy odpowiedzieć: „Jest bardzo sympatyczna”. To bezpieczne określenie, kulturalne i godne damy. Gdyby bowiem lady Clary kiedykolwiek zadała podobne pytanie na temat lady Clapham, znaczyłoby to, że chce się bawić w plotki lub próbuje wyciągnąć od pani coś, co mogłoby

skompromitować zarówno panią, jak i lady Clapham.

- Ależ to okropne!

Lily była zbulwersowana.

- Takie już jest towarzystwo - odparli zgodnym chórem Gideon i Kilmartin.

- A gdybym nie mogła znieść tej baby?

- W eleganckim świecie nie ma mowy o czymś podobnym, pani Masters! Proszę o tym pamiętać, a rychło sama pani zostanie zaakceptowana i uznana za sympatyczną osobę.

Lily była coraz bardziej przekonana, że nigdy nie polubi lady Constance Clary.

- A poza tym - dodał nieco obrażonym tonem Kilmartin - wszyscy przepadają za lady Anne Clapham!

- Oczywiście, Laurie - łagodził sprawę Gideon. - Ona jest naprawdę urocza!

Lily była już całkiem zdezorientowana.

- Czy w towarzystwie nikt nie mówi tego, co myśli?!

- To przecież eleganccy ludzie, panno Masters - tłumaczył łagodnie Kilmartin. - Proszę sobie wyobrazić, jakie by powstało zamieszanie, gdyby zaczęli mówić, co naprawdę myślą!

- Ale gdyby to powiedzieć w odpowiedni sposób...

- Panno Masters - wtrącił Gideon - może pani mówić, co pani myśli, ale nie wolno zdradzić wszystkiego, o czym się myśli. Na przykład, może pani spokojnie oświadczyć: „Uważam, że *Duma i uprzedzenie* to znakomita powieść”. Ale w żadnym wypadku nie należy się zwierzać: „Pan Darcy śni mi się po nocach i budzi we mnie niepokojące pragnienia...”

Kilmartin spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem i rozbawieniem.

Lily poczuła, że pieką ją policzki.

- Pan Darcy wcale mi się nie śni po nocach!

W rzeczywistości śniła o nim, i to nie raz.

Po krzywym uśmiešku Gideona poznała, że domyślał się prawdy.

- Pojmuje pani różnicę, panno Masters?

Westchnęła i zgarbiła się nieco, godząc się z przegraną.

- Chyba tak.

- A jeśli kiedykolwiek nie będzie pani wiedziała, co odpowiedzieć, wystarczy zrobić tajemniczą minę. Przekona się pani, że rozmówca będzie skonfundowany i natychmiast zmieni temat.

Kilnartin znowu spojrzął na przyjaciela z rozbawieniem.

- W taki sposób wykręcasz się od odpowiedzi?

- To skutkuje - odparł lakonicznie Gideon. - Potrafi pani zrobić tajemniczą minę, panno Masters?

Jak się okazało, Lily poradziła sobie całkiem nieźle, choć takie sztuczki nie leżały w jej charakterze. Odkryła, że należy w tym celu zamknąć się w sobie i myśleć o czymś zupełnie innym. O kotletach z jagnięcia, pawiach... O ciemnych oczach i zmysłowych ustach... Taka tajemnicza mina, doszła do wniosku Lily, może się bardzo przydać w dalszych kontaktach z Gideonem! Jemu ten niezgłębiany wyraz twarzy pomógł zapewne wytrzymać w towarzystwie... Niezbyt to przyjemny sposób życia, ukrywać się wiecznie za taką czy inną maską!

Kilmartin wstał i wyciągnąwszy z kieszeni zegarek, sprawdził godzinę.

- Bardzo mi przykro, stary... Przepraszam, panno Masters. Choć miło spędzam czas, muszę wracać do Londynu i przekonać ciocię Hester, żeby zechciała udzielić nam gościny i wprowadzić pannę Masters do towarzystwa. Niełatwe to będzie zadanie, zapewniam was!

- Ciocię Hester? Czy to nie hrabina... zapomniałem tytułu.

- Owszem, hrabina Avery. Cioteczka jest wdową, ma, z grubsza licząc, sto lat i łatwo wpada w złość. Mówię to, żebyście docenili w pełni ofiarę, jaką ponoszę.

- Twoja ofiara jest jak najbardziej doceniana, Laurie - odparł Gideon całą powagą. - Ale przyznaj sam, że gdyby nie my, twoje życie byłoby znacznie nudniejsze!

Kilmartin się skłonił i uśmiechnął krzywo.

- Do zobaczenia jutro koło południa, chyba że zdarzy się coś nieoczekiwanego. Na przykład ciocia Hester pobije mnie laską!

13.00 Piknik

Spotkali się koło fontanny, żeby udać się na piknik. Gideon rzucił tylko okiem na podejrzliwą minę Lily i omal nie wybuchnął śmiechem.

Nie mógł mieć do niej pretensji, przez cały ranek zachowywał się wobec niej okropnie!

- Panno Masters, wybiera się pani na piknik, a nie na szubienicę. Pikniki uchodzą za miły sposób spędzania czasu.

Lily wykorzystała jego własne słowa przeciwko niemu.

- Bardzo interesujące, panie Cole! Mam wrażenie, że wszystko czym się pan zajmuje, uchodzi za coś tam. Nic nie jest po prostu takie lub owakie!

Gideona uderzyła trafność tej obserwacji i odebrała mu mowę. Dziewczyna ma słuszość, stwierdził z mieszaniną irytacji i rozbawienia. Niemal wszystko, co robił ostatnimi czasy - od tańca do konwersacji podczas obiadu - wykonywał z obowiązku i z myślą o swoich szczytnych ambicjach.

A jednak... niektórzy ludzie naprawdę spacerowali dla przyjemności, jak oznajmił Lily nieco protekcyjnym tonem. Zupełnie jakby był ekspertem w tych sprawach! „A pan, panie Cole?” - spytała wówczas, Rzuciła mu te słowa niczym rękawicę.

Zastanowił się nad nimi. Jeśli miał być szczerzy, nawet pierwszego spaceru z Constance po terenie Aster Park nie zaliczyłby do przyjemności. Oczekiwał jej opinii na temat posiadłości niczym werdyktu sądu - z taką samą niecierpliwością i poczuciem doniosłości wydarzenia.

Żeby odnaleźć wspomnienie o przechadzce dla przyjemności, musiał cofnąć się jeszcze o dziesięć lat. W końcu jednak je znalazł - dzień, gdy po raz pierwszy wędrował samopas po Aster Park.

Miał wrażenie, że zakradł się do rajskiego ogrodu!

Nie zmienił się jeszcze całkiem w sztywnego, świętoszkowatego nudziarza! Piknik z Lily był tego najlepszym dowodem. Doskonale wiedział, że Kilmartin musi wyjechać po południu do Londynu. Jak każdy zdrowy, normalny młody człowiek, który zdumiewającym trafem znalazł się sam na sam w mrocznej bibliotece z ponętną, skąpo odzianą młodą damą, Gideon natychmiast zaczął się zastanawiać, czy udałoby się znowu spotkać się z nią bez świadków? Kiedy Lily się wykręciła na pięcie i wypadła z biblioteki, gorączkowo szukał pióra i papieru, żeby zmienić plan zajęć na następny dzień. Posłał jej nawet prezent, na litość boską! Jakże wdzięczny był pani Plunkett za cechujący ją niewzruszony spokój i powstrzymywanie się od komentarzy. Nie mrugnęła nawet okiem, gdy o świcie wyżebrał u niej parę pończoch.

Rano jednak, dosłownie w ostatniej chwili, ocknęły się w nim szlachetniejsze instynkty i poczuł się głupio na myśl o nagłej zmianie planu dnia i podarunkach. Zupełnie jakby wspominał ze wstydem pijacką hulankę. Wyrzuty sumienia nie męczyły go jednak aż tak bardzo, by zrezygnować całkowicie z pikniku. Poprosił tylko panią Plunkett, żeby o właściwej porze przyprowadziła do nich Alice.

- Pani siostra zaraz do nas dołączy - obwieścił Lily.

- Z pewnością będzie zachwycona - odparła, ale dostrzegł na jej twarzy cień zawodu i poczuł czysto męską satysfakcję.

W chwilę później podbiegła do nich Alice, uzbrojona w wielki sękaty kij. Lily objęła ją czule ramieniem i spytała:

- Po co ci ten kij, Alice?

- To muszkiet - oświadczyła dziewczynka. - Dla obrony przed dzikami w parku!

- Nareszcie będę się czuł bezpiecznie - oświadczył z powagą Gideon.

Alice spojrzała na niego z politowaniem.

- Przecież to wcale nie jest muszkiet, panie Cole, tylko kij! Ja się tak tylko bawię!

Oczy Gideona spotkały się z oczyma Lily. Tańczyły w nich wesołe iskierki.

- Ma pani całkowitą rację, panno Alice. To kij! Teraz widzę to wyraźnie. Być może przydałyby mi się okulary...

- McBride też nosi okulary - oznajmiła ni stąd, ni zowąd Alice.

- A któż to taki?

Alice w swej nieświadomości stanowiła bez wątpienia cenne źródło informacji na temat życia Lily.

- Wiesz, Alice - wtrąciła starsza siostra. - W tym koszu jest piknikowe jedzenie. Dam głowę, że są tu również jakieś pyszne ciastka!

Alice natychmiast podjęła nowy, bardziej atrakcyjny temat.

- A ja pomagałam w kuchni piec ciastka!

- Pewnie tylko pomagałaś je pałaszować - przekomarzał się Gideon.

Alice zachichotała; Gideon także się roześmiał. Doprawdy, trudno o coś bardziej radującego serce niż śmiech dziesięciolatki!

Zerknął na Lily i pochwycił jej spojrzenie w chwili, gdy uciekało już od niego. Czyżby dostrzegł w nim nieco zyczliwości?

- Idziemy? Planowałem wyprawę na skraj końca parku, tam jest doskonałe miejsce na piknik. To będzie spacer dla przyjemności, panno Masters!

- Tak jak to robią w towarzystwie! A dla mnie będzie to oczywiście lekcja!

Było to proste stwierdzenie faktu, ale w oczach Lily jak zawsze czaiło się wyzwanie.

- Oczywiście! - przytaknął lekkim tonem.

Wziął kosz i ruszyli w drogę.

Szli w milczeniu na przełaj przez olbrzymi trawnik. Było to zdecydowanie przyjazne milczenie. Alice biegła przodem, siekąc kijem urojonych wrogów, udając, że strzela do dzika, lub beztrąsko goniąc za puchem dmuchawców, unoszonym przez lekki powiew wiatru. Niebo przybrało odcień intensywnego błękitu, nie było na nim ani jednej chmurki. Można by pomyśleć, że są jedynymi mieszkańcami ziemi.

Gideon spodziewał się, że spojrzenie Lily zacznie błędzić po roztaczających się wokół wspaniałych widokach, ale ona uparcie spoglądała przed siebie, jak akrobata kroczący po linie.

Aster Park został zaprojektowany przez samego Capability Browna i stanowił idealne połączenie pogodnej harmonii z dziką przyrodą. Wyspane kamykami ścieżki wiły się pośród stworzonego z rozmysłem barwnego chaosu kwiatów i bujnych, nieregularnych kęp starych drzew - buków, dębów, klonów i kasztanowców, spośród których wiele należało do odmian zagranicznych, nawet amerykańskich. Pełno też było wszędzie zwykłych, polnych kwiatów, które na odpowiednio dobranym tle zadziwiały swym szlachetnym pięknem. Rozległe trawniki połyskiwały niczym zielone jeziora w tej zawierusze liści i kwiatów.

Gideon znał tu niegdyś każdy zakątek, każdy mały światek w tym wielkim zaczarowanym świecie. Kamień przypominający kształtem śpiącego kota leżał obok ścieżki, wiodącej do kolekcji rzeźb ogrodowych. Ogromny stary dąb, który podobno pamiętał czasy Wilhelma Zdobywcy, sterczał z ziemi jak nieugięta ręka, zaciśnięta w pięść. Ukryty przed okiem zwykłych gapiów strumyk - istny raj dla ważek, małych ptaszków i strzelistych lilii, skłaniających łaskawie kwietne głowy. Gideona interesowały również sprawy bardziej praktyczne. Nawet teraz, zmrużywszy oczy mógł dostrzec stado dobrze

utrzymanych owiec, przypominających puszyste kulki dmuchawca. Znał też dobrze rozległe, urodzajne ogrody warzywne, pachnące żyzną ziemią i soczystą zielenią. Dawały tyle jarzyn i owoców, że wystarczyło nie tylko dla mieszkańców dworu, ale i pobliskiego miasta. Gdyby nie to, że Gideon został adwokatem i zamierzał piastować funkcję ministra skarbu, byłby bardzo szczęśliwy, uprawiając tę ziemię.

Constance nazwała tutejsze zagajniki potężnych drzew „wielkimi, nieporządnymi kępami”. Na skutek niemądrego impulsu, który skłonił go do wykupienia złodziejki z rąk sprawiedliwości, Gideon mógł teraz złożyć u stóp Constance jedynie Aster Park, a raczej nadzieję, że w bliżej nieokreślonej przyszłości posiadłość ta stanie się ich wspólną własnością.

Tylko Aster Park... i własną czarującą osobę.

Poczuł zniecierpliwienie. Ależ go wtedy podkusiło! Ciekawe, czy Jarvis kupił już tę londyńską rezydencję?

- Jak się panu podoba sposób, w jaki się poruszam, panie Cole?

Ironiczne pytanie Lily przerwało jego rozmyślenia.

Popatrzył na nią.

- Dostrzegam niewielką poprawę, panno Masters. Co prawda trudno byłoby pani pomykać jak złodziejaszek, brodząc w długiej sukni wśród traw...

- O, chyba zdołałabym tego dokonać! - rzuciła niedbałym tonem, potem jednak zwołała kroku. - Prawdę mówiąc...

Zatrzymała się nagle i odwróciła do niego.

- Dziesięć funtów, panie Cole!

- Słucham?!

- Założę się o dziesięć funtów, że prześcignę pana, jeśli pobiegniemy do tamtych drzew!

Wskazała kępę buków, oddaloną od nich o jakieś pięćdziesiąt jardów i zmierzyła Gideona bezczelnym spojrzeniem, unosząc wyzywająco brwi. Gideon wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Mielibyśmy się ścigać?! Niechże pani nie mówi głupstw, panno Masters! Damy nie...

- Boi się pan, że pana prześcignę? - powiedziała słodko, ze współczuciem. - No tak... Wiem, że nie znosi pan przegrywać.

Z żalem pokręciła głową i poszła dalej.

Gideon stał jak wryty i spoglądał w stronę bukowego zagajnika, rozkładającego się niczym wielki bukiet na granicy jego pola widzenia. Dzika natura Cole'a, którą z rozmysłem ujarzmił i trzymał w karchach aż do tej chwili, ocknęła się nagle i niczym znarowiony koń waliła kopytami w ściany więzienia.

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć...

Lily wytrwale szła dalej, z rękoma założonymi do tyłu, rozglądając się dokoła z miną profesora Oksfordu, który zamierza właśnie rozpocząć wykład. Gideon w trzech susach zrównał się z nią.

- Wie pani, panno Masters, że nie grozi mi przegrana!

Znowu się zatrzymała. Mierzyli się wzrokiem w milczeniu, każde przeświadczone o własnej wyższości.

- A więc założy się pan o dziesięć funtów, panie Cole?

- Dziesięć? To rozbój na prostej drodze! Najwyżej pięć.

- Dziewięć!

- Osiem. To moje ostatnie słowo!

I znowu cisza. Kilka jardów przed nimi Alice wyrzuciła swój kij w powietrze niczym włócznię i pokłusowała, żeby go odzyskać.

I wówczas Gideon, sam nie mogąc w to uwierzyć, postawił piknikowy kosz na trawie.

- Liczę do trzech!

Lily zacisnęła usta z determinacją. Zrzuciła pantofle i podkasła spódnicę, odslaniając kostki. Gideon ściągnął surdut i położył go na ziemi, złożony najpierw starannie.

- Raz... - wycedził - dwa... trzy!

Puścili się biegiem.

Co za niesamowite uczucie!

Powietrze wdarło się do jego płuc. Odetchnął nim z rozkoszą. Biegł pod wiatr, który rozwiewał mu włosy. Po chwili wszelkie pętające go rygory i zasady, do których dostosował swe życie, opadły. Był teraz po prostu żywą istotą, biegnącą wyłącznie dla radości z pędu.

No i dla wygranej!

Bukowy zagajnik był coraz bliżej. Gideon triumfował w duchu, choć wiedział, że to postawa niegodna dżentelmena. Był jednak pewien, że wygra w tym wyścigu. Zerknął w stronę Lily.

Psiakrew, wyprzedziła go! Dobry Boże, ta dziewczyna biegła jak dzikie zwierzę - nisko pochylona pędziła z całym zapamiętaniem! Wstażka jej się rozwiązała i uleciała w powietrze. Złocisty snop włosów powiewał za nią jak ogon komety.

Nie da się pokonać żadnej dziewczynie!

Wyciągał nogi, jak mógł, sadył wielkimi krokami, jego buty uderzały twardo o ziemię, ale nic nie pomogło. Stracił wprawę, Lily zaś była wprost stworzona do biegania. Pod koniec raz jeszcze przyspieszył, ale ona dotarła już do drzew i zaklepała swoje zwycięstwo na pniu jednego z nich. Zgięta wół z trudem chwytała oddech. Jej triumfalny śmiech rwał się po forsownym biegu.

A potem miała czelność stanąć i postukiwać nogą, póki nie dobiegł do celu i nie dotknął tego samego drzewa. Żeby jego upokorzenie było kompletne, Alice także już tam dotarła. Klaskała w ręce i skakała jak pchła.

- Brawo dla Lily!

Usłyszał jej zachwycony głosik, choć szumiało mu w uszach i sapał jak miech.

- Lily jest szybka jak wiatr! - dodała dziewczynka, pochylając się ze współczuciem nad zgiętym wół Gideonem i spoglądając w jego zaczerwienioną twarz.

- I mam więcej wprawy - przyznała Lily.

Nie była już nawet zdyszana.

Gideon podniósł głowę, choć nadal był zgięty, ale długo trwało, nim zdołał wydobyć z siebie głos.

- To dobra... odpowiedź... panno... Masters... - Miał ochotę zwalić się na ziemię, konwulsyjnie chwytając ustami powietrze. Ale popełniłby raczej samobójstwo, niż zbłaźnić się tak wobec niej! - Taka... wielkoduszna...

- Ile jeszcze jestem panu winna, panie Cole? Niech się pan nie spieszy z odpowiedzią, zanim nie wróci panu oddech!

Próbował się roześmiać, ale i na to nie starczyło mu tchu. Lily była czerwona jak wisienka i spocona, jej włosy przypominały splątany gąszcz, uśmiech miała jak słońce! Cieszyła się zwycięstwem, ale na szczęście nie chełpiła się niezdolnie wygraną.

Kiedy płuca Gideona nie przypominały już sfatygowanych miechów, wyprostował się.

- Lepiej przyniosę kosz zjedzeniem - oświadczył dziewczętom, odzyskawszy trochę dawnej godności.

Powędrował, utykając nieco, do miejsca, w którym pozostawił kosz. Po drodze wypatrzył wśród traw smużkę połyskliwego atłasu - wstążkę Lily. Podniósł ją i przesuwając w zadumie między palcami, rozkoszując się jej gładkością. Miał ochotę zachować ją na pamiątkę. Odnalazł także pantofle dziewczyny, a raczej pani Plunkett, i podniósł z ziemi surdut, po czym pokuśtykał z całym tym bagażem do dziewcząt.

- Wszystko przez to, że nie zdjąłem butów! - wyjaśnił po powrocie.

- Oczywiście - przytaknęła pojednawczo Lily. - Z pewnością dlatego pan przegrał!

Uśmiechnęła się przekornie.

Jej uśmiech był równie zaraźliwy jak dżuma, toteż Gideon odwzajemnił się szerokim, niezbyt mądrym uśmiechem.

Potem, gdy jego oddech i wszystkie zmysły wróciły całkiem do normy, zrobiło mu się jakoś głupio. W żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić Constance zaczerwienionej i spoconej po forsownym biegu. Bez trudu natomiast mógł sobie wyobrazić jej minę, gdyby ujrzała swego wielbiiciela, Gideona, wykwintnego światowca, zgiętego wespół i pozbawionego tchu po przegranym wyścigu z dziewczyną!

Twarz mu widocznie spochmurniała, bo z oczu Lily także zniknął blask.

- Znalazłem pani wstążkę.

Oddał zgubę dziewczynie. Wzięła ją do ręki i w zadumie przesuwając ją w palcach. Twarz miała odwróconą, nie mógł więc dostrzec jej wyrazu. Potem związała na powrót włosy. Nie wyglądała dzięki temu ani trochę porządniej.

Ani mniej ponętnie.

Podał jej także pantofle. Upuściła je na trawę i wsunęła w nie stopy.

- I co dalej, panie Cole? Co będziemy robić?

Ton jej głosu znowu był obojętny.

- Będziemy jeść! - zawołała Alice.

Zabrzmiało to raczej jak natarczywe żądanie niż łagodna sugestia.

- Doskonały pomysł, Alice! Rozłóżmy najpierw koc na ziemi, dobrze? Gideon otworzył kosz piknikowy i wyjął złożony w kostkę koc. Rozwinął go z największym staraniem... w taki sposób, że koc

wylądował na głowie Alice, ku ogromnej radości dziewczynki. Udawała, że za nic nie może się z niego wyplątać i chichotała jak szalona. Gideon wtórował jej, niepodobna było powstrzymać się od śmiechu.

Uśmiechnięta znowu Lily pomogła im rozłożyć koc na trawie, a gdy zasiedli w koło w cieniu buków i dębów, Gideon rozpakował kosz, robiąc wokół tego wiele hałasu.

- Cóż my tu mamy? - zastanawiał się głośno, zaglądając do środka. - Och! Wielkie nieba, toż to kurczę na zimno!

- Hurra! - entuzjasmowała się Alice, klaszcząc w ręce.

- A dalej... Czyż to możliwe?! Cytrynowe ciasteczka!

Teraz już obie panny Masters chichotały.

- A tu... doprawdy, ledwie wierzę naszemu szczęściu! To istotnie ser.

Skąd się u niego wzięła taka skłonność do błazenady? Nigdy jeszcze nie zależało mu tak na rozmieszeniu dwóch istot płci żeńskiej. Ale śmiech Lily brzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

Rozłożył zatem przysmaki i wszyscy troje się na nie rzucili. Zwłaszcza dziewczęta miały apetyt jak szarańcza! Gideon czuł, że powinien pouczać Lily i dawać jej cenne rady w stylu: „Panno Masters, absolutnie nie wypada sięgać po jedzenie obiema rękami naraz!”

Może zrobi to nieco później... Podwinął rękawy koszuli i poczuł ciepło słońca na nagich ramionach. Ogarnęło go miłe rozleniwienie. Pewnie dlatego unikam rozrywek na świeżym powietrzu, pomyślał. Rozleniwiają człowieka ze szczętem!

Kilka pszczoł zainteresowało się ich ucztą - pobrzęczały i odfrunęły. Po nich przyleciał z wizytą motyl i wzbudził zachwyt wszystkich trojga.

- Tak właśnie wygląda niebo! - poinformowała Gideona Alice, pałaszując chleb z serem. Zatoczyła ręką szeroki krąg, wskazując, że ma na myśli cały Aster Park. - Lily tak powiedziała. A nasza mamusia mieszka w domu zupełnie takim jak ten. - Tu wskazała widniejący w dali wielki dom z czerwonej cegły. - Razem z naszym papą!

Gideon zwrócił się do Lily.

- A zatem, według pani, panno Masters, tak wygląda niebo?

Zauważył, że wzięła głęboki oddech, jakby chciała dodać sobie odwagi i spojrzała na pokrytą trawą rozległą przestrzeń, po której dopiero co biegły. Powiodła wzrokiem po kępach drzew i chwijających

się na wietrze barwnych główkach kwiatów, dostrzegła białe punkciki odległych fontann.

Twarz jej coraz bardziej promieniała z zachwytu. Gideon poczuł, że i jemu udziela się to uczucie, uderza mu do głowy jak czarodziejski trunek. Miał wrażenie, że znów po raz pierwszy podziwia Aster Park.

- Tyle rodzajów... - szepnęła Lily jakby do siebie.

- Rodzajów? - spytał zdezorientowany Gideon.

- Rodzajów zieleni. Nie miałam pojęcia...

Zamilkła i kręciła tylko głową ze zdumieniem.

- Który z nich najbardziej się pani podoba? - zagadnęła impulsywnie. Nie musiała się długo zastanawiać.

- Ten! - wskazała na młody listek na drzewie, które ich osłaniało. Nie był jeszcze w pełni rozwinięty. - Jest taki delikatny, niemal przezroczysty... Człowiek aż się lęka dotknąć tego kruchego, niemowlęcego cudu!

Jej słowa dziwnie go wzruszyły. Kruchy, niemowlęcy cud...

- A pan ma swój ulubiony rodzaj zieleni, panie Cole?

- Chyba tak - przyznał.

Nigdy dotąd nie rozmawiał z nikim o podobnych upodobaniach.

- Ten! - wskazał liść dębu, prześwietlony popołudniowym słońcem. - To już całkiem dorosły liść, ale gdy słońce tak przez niego prześwieca. ..

- Wygląda, jakby dopiero co został stworzony!

Lily wyraźnie spodobała się ta myśl. Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach.

- Najbardziej lubię przyglądać się im tuż przed zachodem słońca - mówił dalej Gideon niemal z lękiem, jakby wstępował na dotąd niezbadany i być może niebezpieczny grunt.

- Rozumiem... Światło o tej porze dnia jest takie przyjazne! - przytaknęła Lily. - Powleka wszystko złotem, wydaje się wtedy, że cały świat jest piękny. Nawet St. Giles — dodała ze smutnym uśmiechem.

Gideon wpatrywał się w nią i nagle poczuł dziwny zawrót głowy, jakby po raz pierwszy od lat odetchnął pełną piersią. Ogarnęła go nagła chęć pokazania Lily kamiennego kota, starego dębu, strumyka, owiec... Tylko po to, żeby usłyszeć, co o nich powie i zobaczyć, jak zmienia się wyraz jej oczu.

- Ale niebo tak właśnie wygląda, prawda, Lily? - obstawała przy swoim Alice.

- Tak, oczywiście - zapewniła ją siostra.

I zrobiła surową minę, jakby nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości.

Nieco znudzona towarzystwem dorosłych, Alice postanowiła pójść – ze swym nieodłącznym kijem - na sam brzeg jeziora i przekonać się, co też w nim pływa. Pozostawiła Gideona i Lily na kocu, obok resztek piknikowej uczty. Słońce przebiło się przez baldachim liści i nieciło maleńkie tęcze we włosach Lily. Gideon odkrył, że jego myśli biegną w coraz bardziej niebezpiecznym kierunku. Blask ognia na mlecznej skórze, burza lśniących włosów...

Ubiegłej nocy, gdy się jej przyglądał, wyobrażał sobie, że wyciąga rękę i powoli, bardzo powoli rozwiązuje pasek zbyt obszernego szlafroka, z rozmysłem opóźniając i potęgując zapierającą dech rozkosz, jaką przejmie go widok jej nagiego ciała...

Jego rozmyślenia zmąciło jakieś łaskotanie. Spojrzał na rękę. Maleńki czarny owad przedzierał się przez dzunglę włosków na przedramieniu.

Lily pochyliła się i delikatnie dotknęła go palcem.

Było to zaledwie muśnięcie, ale parzyło Gideona żywym ogniem. Zaparło mu dech, zmysły w nim zapłonęły. Co ona...?

Lily ratowała owada. Malutkie stworzonko wdrapało się na jej paznokieć; przeniosła je na trawę z leciutkim uśmiechem satysfakcji. A potem spojrzała Gideonowi prosto w twarz.

- Całkiem się zaplątał! - wyjaśniła miękko.

Ich oczy się spotkały. Gideon nie był w stanie wykrztusić słowa. Przeszył go jakiś nieznany ból. Nie mógł oderwać wzroku od Lily. W końcu to ona odwróciła oczy, na jej twarzy odbił się niepokój. Gideon, czując, że się ośmieszył, usiłował ujarzmić zbuntowane myśli i zmysły.

- Lily! Panie Cole! Zobaczcie, co mam!

Alice wyłowila z jeziora coś długiego, ciemnego i pokrytego błotem, co wyglądało jak zgnilizna korzenia.

- Nie dotykaj tego, Alice! - krzyknęli oboje.

Spojrzeli na siebie i zaraz się odwrócili, jakby w poczuciu winy.

Alice posłusznie wrzuciła zdobycz z powrotem do jeziora i wywijając kijem, zaczęła się rozglądać za jakimś innym, równie odrażającym lub intrygującym obiektem, wartym bliższego poznania.

- Od jak dawna samodzielnie wychowuje pani Alice, panno Masters? Co się stało z pani rodzicami?

Lily spojrzała mu w twarz, usiłując odgadnąć, dlaczego zadał jej to pytanie... A może szukając pretekstu, by pozostawić je bez odpowiedzi?

- Mogłabym naopowiadać panu niestworzonych rzeczy o moich rodzicach, a pan i tak nigdy by się nie dowiedział, że pana okłamałam!

- Ale powie mi pani prawdę - stwierdził z przekonaniem.

Lily zwlekała jeszcze chwilę z odpowiedzią; w końcu wzruszyła ramionami.

- Mama była córką owdowiałego pastora i po jego śmierci odziedziczy niewiele pieniędzy. Papa... wiódł, jak to mówią, urozmaicone życie. Przez jakiś czas służył, zdaje się, w wojsku. Przede wszystkim jednak był nałogowym hazardzistą i pijakiem - zakończyła i uśmiechnęła się niewesoło.

- Co się z nimi stało?

- Oboje nie żyją. Mama zmarła trzy lata temu, papa kilka lat wcześniej. - Po twarzy Lily przemknął cień. Dawny ból znowu w niej odżył jak dopalający się ogień, gdy ktoś nagle poruszy pozornie wygasłe węgielki.

Trzy lata opieki nad małą siostrą bez niczyjej pomocy. Trzy lata uprawiania ryzykownego procederu na londyńskich ulicach. Ciekawe, jak Constance dałaby sobie radę w St. Giles, zdana tylko na własne siły? Przywykła do tego, że zawsze gra pierwsze skrzypce, urodzona arystokratka! Czy tytuł i prezencja skłoniłyby przechodniów, żeby z własnej woli oddawali jej zegarki?

- Ja również byłem bardzo młody, kiedy straciłem rodziców. Miałem wtedy siedemnaście lat. - Te słowa zabrzmiały jakoś dziwnie w uszach Gideona. Od lat nie wypowiadał ich na głos. Z początku cierpienie nie pozwalało na takie wynurzenia, potem nie chciał o tym mówić nawet z Helen, żeby dojmujący ból znów się nie odezwał. Teraz jednak, lichy wie czemu, zapragnął, by panna Masters zrozumiała, że i on wie, czym jest strata najbliższych. - Rodzice wybrali się w podróż morską, zerwał się sztorm... Ze statku, na którym płynęli, nie zostało nic. Byłem wówczas w Oksfordzie, potem opiekowałem się moją siostrą. Mój ojciec - uśmiechnął się gorzko - też dobrze wiedział, co to hazard.

I nagle, diabli wiedzą czemu. Gideon zatęsknił za ojcem, który wierzył, że życie składa się wyłącznie z ekscytujących niespodzianek!

Lily spojrzała mu prosto w oczy. Wyczytał w jej wzroku prawdziwe zrozumienie, nie to natrętne i przesłodzone uczucie, przed którym chciałoby się, uciec. Naprawdę podniosło go to na duchu. Przez jakiś czas oboje w milczeniu przyglądali się Alice, która klęczała nad wodą i zanurzała w niej rękę.

Jakiś skrzydlaty owad krążył uparcie wokół nich. Gideon odpędził go machnięciem ręki.

- Czy ma pani krewnych, panno Masters?

- Nikogo, o ile mi wiadomo. Zresztą, nie wiedziałabym nawet, gdzie ich szukać.

- Musiało być pani bardzo trudno opiekować się Alice przez tyle czasu, bez niczyjej pomocy. Czy nie marzyła pani czasem o tym, żeby ktoś na odmianę zaopiekował się panią?

- Czy mówiąc o tym „ktośiu”, nie miał pan przypadkiem na myśli mężczyzny?

Na ustach Lily pojawił się krzywy uśmiezek.

Gideon nie odpowiedział, gdyż dokładnie o to mu chodziło.

- Ach, ci mężczyźni! - mknęła, obejmując rękami kolana. Zbyt obszerna suknia rozchyliła się na biuście. Gideon zmusił się do odwrócenia oczu i wpatrywał się w gęstwą dębowych liści. Ciekawe, jak panna Masters będzie się prezentowała w nowej garderobie? - Większość mężczyzn nie potrafi dać sobie rady nawet ze sobą, jeśli wierzyć temu, co Fanny opowiada o swoich klientach - ciągnęła Lily. - Papa z pewnością nie był dla nas żadną podporą! Nigdy nie będę taka głupia, by zdać się na łaskę i niełaskę jakiegoś mężczyzny. Stokroć wolę sama dbać o siebie i o Alice, przynajmniej mam wtedy wolną rękę!

- Ale to ogromna odpowiedzialność!

Zmarszczyła brwi, zaskoczona.

- Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób. Po prostu takie jest życie. Takie jest życie. Prostota i siła tego stwierdzenia zrobiła na nim wielkie wrażenie.

Spojrzał w stronę pięknego domu, znajdującego się na drugim końcu ogromnego trawnika. Domu, który w przyszłości miał należeć do niego. I do Constance, która zostanie jego żoną, jeśli wszystko ułoży się

zgodnie z planem. Constance nigdy nie będzie biegać jak szalona. Jej sportowe zamiłowania ograniczały się do łucznictwa, konnej jazdy i tańca, które dawały jej okazję do popisania się gracją i dostojeństwem. Gideon bardzo wątpił, czy Constance choćby raz w życiu się spociała. Była damą w każdym calu. Dlatego właśnie tak ją podziwiał.

Czyżby?

- Jeśli już zadajemy sobie nietaktowne pytania, panie Cole...

- Słucham, panno Masters?

- Dlaczego tak uparcie przestrzega pan tych wszystkich reguł, całkowicie sprzecznych z pańskim charakterem?

Odwrocił raptownie głowę i spojrzał na Lily. W jej uśmiechu była szczypta złośliwego triumfu. Dostrzegł jednak również odrobinę współczucia.

Mógł zignorować to pytanie albo się oburzyć. Poczucie sprawiedliwości kazało mu jednak udzielić odpowiedzi.

- Te reguły zostały ustanowione nie bez powodu, panno Masters. I jeśli pani matka była damą, dobrze wiedziała, czemu służą. Jest dla nas pewnym wsparciem świadomość, że wszyscy przedstawiciele naszej klasy przestrzegają tych samych zasad i obyczajów. W chwilach radości i bólu dobrze wiedzieć, jak człowiek powinien się zachować, jak...

- Jak ożenić się z córką markiza? - dokończyła ironicznym tonem Lily.

Gideon nie odpowiedział. Był skrępowany, odwrócił wzrok. Czuł dziwny ucisk w piersi.

- Mój ojciec stracił wszystko, co należało do naszej rodziny, panno Masters. Bardzo ciężko pracowałem, by zdobyć pozycję. Zawarcie jak najlepszego małżeństwa jest celem, do którego każdy powinien dążyć.

Lily w zamyśleniu skinęła głową, jakby przyznając mu rację pod tym względem.

- Owszem. Ale według mnie wszystkie te reguły przypominają tapetę, którą się przykleja, by ukryć pod nią własną osobowość, wszyscy dokoła wydają się przyjaciółmi, ale w gruncie rzeczy są sobie obcy i nie mają żadnego zrozumienia dla... kaprysów losu.

Kaprysów losu? Takich, jak zmarnowanie trzydziestu funtów dla ratowania złodziejki?

- Te reguły to podstawa, na której cywilizowani ludzie budują związki trwałej przyjaźni, panno Masters. I dzięki temu łatwiej im znieść kaprysy losu.

Lily przypoglądała mu się uważnie, czuł na sobie jej spojrzenie.

- Naprawdę? - spytała, znowu z nutką ironii.

Gideon nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek prowadził z kimś, zwłaszcza z kobietą, podobną rozmowę. Nie był przyzwyczajony do sondowania własnej duszy i czuł w niej teraz poboлевania i skurcze jak w nodze czy ręce, która ścierpła i budzi się znów do życia.

- Poddaj się! - doleciał do nich znad strumienia gromki okrzyk Alice. Celowała z kija w jakieś nieszczęsne drzewo, odgrywające bez wątpienia rolę francuskiego żołnierza.

Odwrócili się, by spojrzeć na dziewczynkę. Na twarzy Lily widoczne były troska, miłość, irytacja - uczucia dobrze znane wszystkim siostram. W gruncie rzeczy jednak Lily była dla tej małej raczej matką niż siostrą. Gideon podejrzewał, że matkowała jej jeszcze za życia rodziców.

- Gdzie jest teraz pańska siostra, panie Cole?

Nie odwracając głowy, odparł:

- W Yorkshire.

Trudno o bardziej lakoniczną odpowiedź!

Alice znów coś wykrzyknęła. Zabrzmiało to jak: Do ataku!

Zaraz potem rozległo się energiczne uderzenie. Biedny buk został niechybnie zgładzony.

- Wygląda na to, że nie różnimy się tak bardzo od siebie, panie Cole - ośmieliła się powiedzieć Lily, gdy Gideon nie dodał już ani słowa. - Oboje wiemy, czym jest strata kogoś bliskiego. I czym jest odpowiedzialność. Uśmiechnęła się, obserwując poczynania Alice. - Wiemy też, jeśli się nie mylę, ile kłopotów miewa się z siostrami!

Narastający w nim niepokój sprawił, że Gideon nagle wstał.

- Ma pani umówione spotkanie z moim stryjcem, panno Masters! Bardzo proszę, niech się pani postara w drodze powrotnej iść jak dama, zamiast brać nogi za pas jak złodziejaszek. A jeśli z dzisiejszych wydarzeń chce pani wyciągnąć jakiś wniosek, to chyba ten, że prawdziwa dama nigdy nikogo nie namawia do zabawy w berka!

Lily spojrzała na niego i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, zanim się odezwała. Kiedy to uczyniła, jej słowa zmroziły go jak płatki śniegu.

- Wątpię, czy prawdziwy dżentelmen dałby się do tego namówić.

Wstała z gracją, nie zważając na jego wyciągniętą rękę i odeszła, by skłonić Alice do powrotu.

- Już tylko dziesięć funtów, panie Cole - rzuciła mu przez ramię. - A przy okazji, dziękuję za pończochy i książkę.

15.00 Partyjka kart z lordem Lindseyem

Kiedy Lily stawiała się na spotkanie, zastała barona ubranego - i to nie w szlafrok, ale w surdut, spodnie i buty. Wszystko to było niemodne, ale w najlepszym gatunku i znakomicie uszyte. Lily miała pewne rozeznanie w męskiej garderobie, gdyż od lat uważnie obserwowała dżentelmenów na ulicach Londynu. Dzięki temu potrafiła odgadnąć, który z nich - sądząc z ubrania - może mieć złoty zegarek.

- Jesteś dziś małowówna, drogie dziecko! Dobrze się czujesz?

- Niechże pan będzie cicho, milordzie! Dobrze wiem, że stara się pan mnie zagadać, żebym nie myślała o kartach! Nie zamierzam przegrać także i tej partii. Proszę napić się herbaty!

Lord Lindsey się roześmiał i posłuchał jej rozkazu. Przeglądając karty, Lily słyszała, jak starszy pan pije herbatę. Brzęk porcelany upewnił ją, że filiżanka została odstawiona na spodek.

- Przegrałaś przed chwilą, moje dziecko, ponieważ już jesteś zaprzętnięta czymś innym. I taka zarumieniona! Czyżbyś spacerowała po parku bez czepka?

Lily spojrzała na starszego pana nieco zbity z tropu. To bardzo miłe, że tak się o nią troszczył, ale spacer bez czepka był niczym w porównaniu z bieganiem na bosaka, co przez ostatnich kilka lat było dla niej czymś normalnym. Nie miała jednak zamiaru zdradzić się z tym przed lordem Lindseyem.

- Tak. Byłam na pikniku - odparła krótko.

- I dobrze się bawiłaś, Lily?

- W Aster Park jest tak pięknie!

Nie była to, co prawda, odpowiedź na pytanie barona, ale szczerze mówiąc, Lily nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć. Czy dobrze się bawiła? Trzeba przyznać, że sprawiło jej wiele przyjemności samo patrzenie na Gideona. Zwłaszcza gdy podwinął rękawy i leżał na wznak, z ramionami pod głową i twarzą zwróconą do słońca.

Ale nie trwało to długo! Wkrótce znowu zaczęły się ta nieustanna obserwacja i docieklive pytania. A jeszcze później stał się chłodny i zamknięty w sobie. Z pewnością chciał jej dać do zrozumienia, żeby się nie spoufalala!

Była jednak chwila, ta, kiedy uratowała małego, czarnego owada... Gideon leżał bez ruchu i wpatrywał się w nią tak, że serce jej się obijało o żebra, jakby chciało uciec z jej piersi do niego.

Nie wyczytała na jego twarzy pożądanego. Były w niej tylko oszołomienie i tęsknota.

Jeśli tak, to możemy sobie podać ręce, panie Cole!

Zainteresowanie owadem nie było z jej strony wyłącznie aktem miłosierdzia. Czuła, że musi dotknąć Gideona, tych miedzianych, kędzierzawych włosków na ramieniu. Potem się zmieszala i była jeszcze bardziej skrępowana i niespokojna. Niebezpieczne życie w St. Giles wydawało się jej prostsze, bardziej przewidywalne, a nawet w jakimś sensie bardziej niewinne niż to niepojęte zagrożenie, które tu wyczuwała. Łatwiej mogła sobie poradzić z usiłującymi ją pochwyć łapskami i zaczepkami w rodzaju: „Lily, daj całuska, kochana!” niż z tą bezlitosną siłą, która ciągnęła ją do Gideona.

Na szczęście musi zdobyć już tylko dziesięć funtów, żeby móc stąd wyjechać!

Ale park... żadne słowa nie potrafią tego wyrazić! To prawdziwy raj! Z pewnością żadna istota ludzka nie mogła stać się posiadaczem Aster Park! To Aster Park oczarowywał ludzi i uzależniał ich od siebie.

- Wygrałem Aster Park w karty - rzucił od niechcenia lord Lindsey.
- Niemożliwe!
- Oczywiście, że nie! - Uśmiechnął się szelmowsko. - Ale z prawdziwą przyjemnością wymyśliłem przed chwilą to kłamstewko.
- Jest pan niepoprawny, milordzie!
- Święta prawda - przytaknął z roztargnieniem, wpatrując się w karty. - Szczerze mówiąc, odziedziczyłem tę posiadłość i tytuł po dalekim krewnym... Całkiem niespodziewanie.

Zdecydował się wreszcie, którą kartę wyłoży.

- Boże wielki! Nietrudno sobie wyobrazić, jaki to był szok!

Lily też wyłożyła swoją kartę i lord Lindsey uniósł brwi z rezygnacją, przyznając się do porażki. Lily z satysfakcją przyciągnęła do siebie wygraną.

- To była zmiana, co się zowie! Przeniosłem się z rodziną, Beatrice i chłopcami, z niewielkiego domku na wsi do tej wspaniałej rezydencji. Niestety, nie odziedziczyłem wraz z nią pieniędzy. Aster Park jest dość kłopotliwym darem losu, czymś w rodzaju białego słonia. Ale zawsze daje pewien dochód, w wołowninie i wełnie, rozumiesz. Od jakiegoś czasu bez większego trudu wiążemy koniec z końcem.

- Pańscy synowie z pewnością kochali Aster Park! - powiedziała impulsywnie Lily i zaraz pożałowała, że nie odgryzła sobie języka. Nie chciała, by na twarzy lorda Lindseya pojawił się znów ten straszny ból!

Jednakowoż, ku jej ogromnej uldze, baron zadumał się tylko.

- O, chyba tak - odpowiedział. - Ale tak naprawdę to Gideon wszystkim się tu interesował. Pokochał to miejsce od chwili, gdy ujrzał je po raz pierwszy. I mógłbym przysiąc, że zna tu każdy zakątek. Przebywał w Oksfordzie, gdy Aster Park przeszedł w moje ręce. A potem zginęli jego rodzice, no i Helen wyszła za tego hreczkosieja z Yorkshire. Byłem absolutnie przeciwny temu małżeństwu! Zmarnowała się taka wspaniała dziewczyna. Nie znam równie upartych dzieciaków, jak ona i Gideon! Ale, tak czy owak, niewiele dotąd było pikników w Aster Park. Dobrze pomyśleć, że ten chłopak znów ma trochę przyjemności z życia, jak dawniej!

- Doprawdy?

Lily starała się nie okazywać zainteresowania, ale była niesłychanie zaciekawiona.

- Nie myślałem, że coś go zdoła oderwać od pracy, słowo daję! Od śmierci rodziców pracował jak szalony. I dostawał niezłe ciągi za swoje trudy! - dodał baron lekkim tonem.

Lily zrobiło się słabo.

- Cięgi?

- No cóż, ten chłopak nigdy się nie poddawał. Młokosy w tym wieku to prawdziwe potwory! Gideon groszem nie śmierdział, więc wszyscy ci pozłacani panicze z Oksfordu uwzięli się na niego. On się im odgryzał, a oni na niego huzia! To szacowne tradycje uczelni, rozumiesz. Ale duma Gideona sprawiła, że obrywał jeszcze bardziej, niż to było konieczne. Wracał do domu na wakacje z podbitymi oczami.

Lily nie mogła wprost uwierzyć, że baron mówi o tym tak niefrasobliwie.

- Ależ to... to przecież okropne!

- Takie jest życie, panno Masters! - burknął lord Lindsey, znów przeglądając karty, by ocenić wartość tych, które mu tym razem przypadły. - Gideon wiedział, co go czeka, gdy postanowił kontynuować studia w Oksfordzie. Miał jednak ambitne plany, a w Oksfordzie spotyka się ludzi, którzy mogą kiedyś pomóc w ich realizacji.

Wielkie plany... Zostać sławnym adwokatem. Poślubić córkę markiza.

- A poza tym był jeszcze ten twój kuzyn, Lily. Uwzięli się także na biednego Kilmartina, bo był nieśmiały i zbyt tęgi. Niełatwo być w Oksfordzie nieśmiałym grubaskiem! Gideon dostawał cięgi z powodu Kilmartina. Ten chłopak gotów rzucić się na każdego w obronie jakiegoś prześladowanego nieszczęśnika! Ale odkąd Gideon i Kilmartin zostali przyjaciółmi, ta paskudna banda odzepiła się od nich. Dam głowę, że zaimponowało im zachowanie Gideona! Do dziś jest taki sam - dodał baron z dumą w głosie. - Tylko teraz walczy w obronie swoich klientów... No i przyjaciół.

Niech to diabli! Lily nie chciała rozczulać się nad Gideonem ani badać przyczyn jego postępowania. Nie chciała zastanawiać się nad tym, dlaczego po twarzy Gideona przemknął ból, gdy rozmawiali o jego siostrze. Nie chciała czuć znowu tego zdradzieckiego osłabienia, pożądania ani czułości... Nie chciała...

Nie chciała go nawet lubić!

- Teraz pan bierze kartę, milordzie!

Lord Lindsey wziął kartę, odchrząknął i powiedział:

- Może zdołasz namówić Gideona na kolejny piknik. Ten chłopak powinien mieć trochę przyjemności!

- Myli się pan, milordzie. On już nie jest chłopcem. To z całą pewnością mężczyzna!

Ciekawe, czy lord Lindsey zachęcałby nas do dalszych pikników, gdyby wiedział o spotkaniu w bibliotece przy blasku ognia, o pończochach i poezji... I o tym spojrzeniu pełnym tęsknoty?

18.00 Obiad

Gideon przesłał przez panią Plunkett wiadomość, że tego wieczoru panowie zjedzą obiad sami.

Porto, cygara, męska rozmowa o koniach i polityce. Zanim wieczór dobiegnie końca, powinien całkiem wrócić do siebie.

Przez cały dzień po prostu miotał się z kąta w kąt!

Po obiedzie przeszli z Kilmartinem do dużego salonu i zasiedli na wygodnych fotelach, wybranych - bez wątpienia - przez jego stryja lub jakiegoś rozsądnego przodka, żywiącego zrozumiałą awersję do mebli o patykowatych nóżkach, które panoszyły się w pozostałych pomieszczeniach.

Na kominku wesoło trzaskał ogień. Gideon pochylił się i przypalił od niego cygaro. Wciągnął w płuca bogaty aromat i przez chwilę obserwował igraszki płomieni - bursztynowych, pomarańczowych, gorąco czerwonych. .. Odblask ognia na mlecznej skórze, rozpuszczone lśniące włosy, które aż się proszą, by zanurzyć w nich ręce...

- A zatem, Gideonie, zamierzasz ciągnąć to dalej, czy myślisz zrezygnować?

Zaskoczony Gideon podniósł wzrok na przyjaciela.

- Zrezygnować...?

- Z tego projektu. Panna Lily Masters kontra lady Constance Clary. Chodzi o twój genialny plan! Słuchaj tego, co mówię! A może wlałeś w siebie za dużo porto?

- Nie! - odparł z pośpiechem Gideon.

- Nie wypiełeś za dużo czy nie zamierzasz zrezygnować?

- I jedno, i drugie! Ani myślę wycofywać się z tego.

- Dobrze się czujesz, stary?

- Jestem trochę roztargniony, Laurie. Myślę o...

- Możesz nie kończyć, wiem. O pracy i o Constance.

Gideon się uśmiechnął.

- Zgadłeś!

- Muszę przyznać, że panna Masters to nie lada odkrycie! Nabrałem niemal ochoty, by udać się do St. Giles i zreformować całą tamtejszą społeczność!

- Nie przetrwałbyś w St. Giles ani jednego dnia - stwierdził Gideon bez ogródek.

Przez chwilę Kilmartin był urażony, ale potem westchnął:

- Chyba masz rację!

Zaciągnął się dymem z cygara, żeby poprawić sobie nastrój i, wyciągnawszy jak najdalej nogi, skrzyżował je w kostkach.

- A poza tym mógłbym przysiąc, że drugiej takiej jak panna Masters znajdziesz!

- W takim razie miałeś szczęście, że to ciebie próbowała okraść. Szczęście? Gideon nie zaprzeczył. Poprawił się w fotelu i zaczął bębnić palcami po poręczy.

- Nie lubisz Constance, prawda, Laurie? - spytał nagle.

Kilmartin spojrzał na niego badawczo.

- No cóż... - zaczął ostrożnie. - Nie chodzi o „lubienie”. Chciałem powiedzieć, że nikt nie zwierza się na prawo i lewo: „Przepadam za boginią Ateną!”

Gideonowi drgnęły usta.

- W takim razie o co chodzi?

- Bo ja wiem? To piękność, z pewnością. Od razu rzuca się to oczy. Ma doskonałe maniery i świetne koneksje. Pewnie będziesz się czuł dobrze z taką żoną. Mnie ona raczej przeraża. Ale o tym doskonale wiesz. Po prostu nie chciałem cię obrazić, Gideonie.

- O co chodzi?

- Wolalbym, żeby jej bardziej na tobie zależało.

Kilmartin wydawał się nieco zaambarasowany swoją szczerością. Gideon skinął głową w zadumie.

- Myślisz, że jej na mnie nie zależy?

- O, w pewnym sensie tak, oczywiście! Ale jej przede wszystkim zależy na sobie.

- Nie uważasz, że to nawet wygodne, Laurie? Zakładając oczywiście, że polubi mnie na tyle, żeby za mnie wyjść.

- O, widzę, że stajesz się sarkastyczny! Nie powinieneś być o to pytać, a ja odpowiadać. Może i masz rację. Bez wątpienia, będziesz z nią bardzo szczęśliwy

Gideon westchnął.

- Przepraszam, Laurie! Zapomnij o tym.

Wciągnął dym z taką energią, że koniuszek cygara rozżarzył się ogień.

- Może Constance przekona się, jak bardzo zależy jej na tobie, kiedy zobaczy, że panna Masters ma do ciebie słabość - uspokajał go Kilmartin.

Gideonowi serce wywinęło koziołka.

- Panna Masters ma do mnie słabość?

- Czyż nie na tym polega twój plan, Gideonie? Panna Lily Masters z Sussex ma zaćmić Constance i udawać, że świata za tobą nie widzi. A to doprowadzi do twoich oficjalnych zaręczyn z Constance, i tak dalej.

- No tak... Oczywiście. - Gideon znów poruszył się niespokojnie na fotelu, a co gorsza, poczuł, że twarz go piecze, i to nie od ognia. - A zatem. .. czy mamy protektorkę, która wprowadzi ją w wielki świat? Opiekunkę, przyzwoitkę czy jak tam chcesz, dla panny Masters?

- Owszem. Ciocia Hester zgodziła się zaprosić nas do swego domu w Londynie. To prawdziwe szczęście, że mamy tylu krewniaków! Cioteczka nie nabrała żadnych podejrzeń z powodu nagłego pojawienia się panny Masters. Wszyscy troje zatrzymamy się więc u cioci przynajmniej na jakiś czas. Co zapewne oznacza: póki się nie zaręczysz albo nie dasz za wygraną. Albo dopóki panna Masters nie okradnie kogoś z gości w trakcie balu. Choć oczywiście, jestem przekonany, że tego nie zrobi! - dodał pośpiesznie. - Zmieniła się bardzo na korzyść. Dzielną z niej osóbką, nieprawdaż?

Kącik ust Gideona uniósł się w krzywym uśmiešku.

- Nasza złodziejka!

Znowu zapatrzył się w ogień.

Kilmartin zamilkł na tak długo, że Gideon spojrzał wreszcie na niego ze zdumieniem. Przyjaciel przyglądał mu się, marszcząc czoło.

- O co chodzi? — spytał z irytacją Gideon.

- Czy wiesz, że wymówiłeś słowo „złodziejka” niemal pieszczotliwie?

- Co takiego?!

- „Moja kochana!”, „nasza złodziejka!” - wyjaśnił Kilmartin. - Zupełnie ta sama intonacja.

Gideon, zaskoczony, odwrócił się pośpiesznie. Był spięty, czuł to, Rozwarł zaciśnięte szczęki, rozluźnił pięści, poruszył karkiem, który też mu zeszywniał.

- Upiłeś się, Laurie! - oskarżył przyjaciela.

Kilmartin zaśmiał się cicho.

Gideon sięgnął po kieliszek. Lepka słodycz porto sprawiła, iż miał wrażenie, że skosztował własnej krwi.

- Czy to, że obaj zamieszkamy nie u siebie, lecz u twojej ciotki, żeby mieć oko na pannę Masters, pozostanie naszą tajemnicą?

- Oczywiście!

- A lady Anne Clapham nie będzie miała pretensji, że zanedo nadskakujesz swojej kuzynce?

Kilmartin uśmiechnął się z rozmarzeniem.

- Lady Anne wie, co do niej czuję. Na pewno nie będzie miała pretensji.

Kilmartin bywa niesłychanie irytujący, pomyślał Gideon, szczególnie kiedy się rozmarzy!

- Nie przeszkadza ci, że ją oszukujesz? - dopytywał się, choć czuł się jak zrzęda.

- Po prostu opowiem jej całą tę historię, kiedy będziemy już starzy i siwi. Ale się wtedy uśmiejemy! - Kilmartin wstał. - Idę spać. Wypij sam resztę porto, Gideonie! Dobrze ci robi. Gideon uśmiechnął się z przymusem.

- Dobranoc, Laurie!

Kilmartin się mylił. Porto wzmagало jeszcze pokusy i Gideon wreszcie im uległ. Zapatrzył się w ogień i zatracił się w marzeniach, które stały się coraz wyraźniejsze i coraz bardziej drażniące. Niestety!

Żałował teraz, że się wczytywał w tę francuską książkę.

W marzeniach Gideon rozwiązał pasek szlafroka i ściągnął go z ramion Lily. Materiał opadł na ziemię. I oto stała przed nim naga - smukłe białe ciało ozłoczone blaskiem ognia, usta rozchylone z pożądania. Długie lśniąco włosy osłaniały wstydliwie jej piersi, sięgały aż do kolan... Nie, to mu nie wystarczało! Wyciągnął rękę i uniósł jedwabistą kurtynę włosów. Powoli, powoli osuwał się przed dziewczyną na kolana, aż przycisnął wargi do atlasowej wypukłości jej brzucha. Sunął potem ustami coraz niżej i niżej, i w końcu jego język wtulił się...

Gideon porywczym ruchem chwycił kieliszek i chlusnął jego zawartością do ognia. Porto zasyczało... i uleciało smuzką dymu jak pokonany demon.

Zdrapywanie pąkli i polerowanie kadłuba trwało nadal - lekcje dobrych manier i konwersacji co rano, nauka tańca przed obiadem, dla zaostrzenia apetytu, i gra w karty z lordem Lindseyem w połowie dnia, jako miły wypoczynek od zajęć. I choć nie był to proces całkiem bezbolesny, dawał rezultaty. Lily zaczęła nabierać poloru. Właściwie miała go już wcześniej, tyle że był niewidoczny pod pąklami. Lily umiała teraz całkiem zręcznie prowadzić rozmowę o niczym. Jadła z apetytem, ale nie rzucała się już na jedzenie. Odpowiadała również na wszelkie pytania dotyczące jej życia w Sussex z pewną znajomością rzeczy i z dużą dozą pomysłowości i wyobraźni. Cisza, panująca w Aster Park, wydawała się jej teraz mniej przytłaczająca i niepojęta. Nie kręciło się jej także w głowie ze zdumienia, gdy regularnie, trzy razy na dzień, na stole pojawiały się sute posiłki.

Każdy dyg Lily był istnym dziełem sztuki, ale sposób chodzenia nadal doprowadzał Gideona do rozpacz.

Nie pomagały żadne pouczenia, groźby, pochlebstwa ani gryząca ironia. Być może pośpiech oraz uparte wysuwanie brody do przodu stanowiły cechę wrodzoną. Lily przedstawiła tę hipotezę Gideonowi, ale on spojrział tylko na nią z niedowierzaniem i z rozbawieniem.

Czwartej nocy po pikniku Lily leżała bezsennie obok pochrapującej Alice, zapatrzona w sufit. Zastanawiała się, czy Gideon spędza wieczory w bibliotece, przesiadując w fotelu obok kominka. Nie sprawdzała tego. Może zawiodła ją odwaga, może rozsądek pośpieszył z pomocą, tak czy owak nie odwiedziła ponownie biblioteki.

Na razie.

Za to piątego dnia, gdy brakowało jej już tylko pięciu funtów do odzyskania upragnionej wolności, Lily zaczęła przegrywać w karty. I to raz za razem.

- Co się stało, moje dziecko? - dopytywał się lord Lindsey, gdy Lily zareagowała jedynie wzruszeniem ramion na kolejną przegraną. - Straciłaś dryg do kart, czy też do tego stopnia nabrałem wprawę?

- Z pewnością to drugie, milordzie.

Lily przeprosiła za fatalną grę i pośpieszyła na popołudniową lekcję tańca - tym razem kadryla - z pustymi rękoma.

Z początku Gideon przekomarzał się z nią z tego powodu, ale gdy za trzecim razem spojrzął na jej puste ręce, a potem prosto w twarz...

Uśmiechnął się tym leniwym, nieodpartym uśmiechem, od którego zamierało w niej serce.

Dobrze wiedział, co w trawie piszczy. Potwór!

Madame Marceau wtargnęła do Aster Park z energią marcowego wiatru. Służący dźwigali za nią paki, paczki i paczuszki wszelkich kształtów rozmiarów.

- Lily, Lily! Lily! Chodźże tu, dziecko! Zaręczam, że zemdlejesz z wrażenia. Nie mogę się już doczekać, kiedy cię ujrzę w moich kreacjach! Zrzuć w tej chwili tę starą kieckę! Możecie już odejść. - Spojrzała wyniośle na służących.

Lokaje zostawili paczki i wymknęli się z pokoju. Madame Marceau odpakowywała coraz to inną suknię z ogromną pieczołowitością, jakby dobywała bezcenne klejnoty. Dobierała do każdej z nich odpowiednie rękawiczki, pantofle i kapelusze, i układała całe zestawy na fotelach i kanapie. Na koniec odstaąpiła do tyłu, gestykułując z wielkimżywieniem.

Lily zabrakło tchu. Połyskliwe jedwabie i atłasy, cieniutkie welenki, zwiewne muśliny i batysty... Suknie wieczorowe i spacerowe, a do nich pantofle z najcieńszej skórki, rękawiczki i pończochy. Większość ze strojów utrzymana była w różnych odcieniach błękitu, zieleni i złota, zgodnie z sugestią Gideona, który chciał ujrzyć Lily w barwach morza, nieba i słońca.

Ręce Lily zaczęły drżeć, gdy spoglądała na leżące przed nią skarby. Nie ośmieliła się nawet ich dotknąć. Jak mogłaby włożyć na siebie coś tak doskonale pięknego?! Takie arcydzieła należało oprawić w ramki i powiesić na ścianie. Albo zamknąć w skarbcu i przeliczać uważnie co wieczór, to czyniła pani Plunkett ze stołowym srebrem.

Madame Marceau uśmiechnęła się łagodnie, pełna zrozumienia.

- Ich walory tylko się uwydatnią, gdy włożysz je na siebie, moja droga. Słowo honoru! Najpierw przymierzmy tę toaletę. To ostatni krzyk mody, w Paryżu za tym szaleją!

Wybrała kreację w niezwykłym odcieniu błękitu. Atlasowa suknia przelewała się jej przez ręce jak mdlejąca dziewczica.

- To na twój pierwszy bal! Coś takiego każda z nas przeżywa tylko raz w życiu... Zdejmuj te majtadały natychmiast!

Podobnie jak w trakcie poprzedniej wizyty madame Marceau była tak rzeczowa i stanowcza, że Lily nie próbowała nawet opierać się jej rozkazom. Posłusznie zdjęła pantalony i podniosła ręce do góry, a modystka włożyła jej przez głowę błękitną suknię. Atlas spłynął po ciele Lily, lekki i chłodny jak woda. Madame Marceau krążyła wokół niej, zręcznie ściągając sznurówkę z tyłu. Następnie chwyciła miękkie białe rękawiczki i nałożyła je Lily na ręce, jedną po drugiej. Na koniec, zaskakując klientkę, modystka uniosła do góry bujne włosy Lily i zwinawszy je umiejętnie w kok, upięła fryzjerskimi szpilkami, które miała przygotowane w kieszeni. Potem zaś obróciła Lily twarzą do lustra.

- Spróbuj mi teraz wmówić, kochana - oświadczyła groźnie - że nie jesteś klejnotem najczystszej wody!

Lily otworzyła usta, ale zabrakło jej słów. Istota, która spoglądała na nią z lustra, nie mogła mieć przecież z nią nic wspólnego! Jej oczy roz błysły jeszcze bardziej i miały ten sam prześliczny kolor co suknia. Połysk atlasu sprawiał, że jej karnacja stała się wprost olśniewająca. Delikatne rysy i smukłość postaci uwydatniły się dzięki wysokiej fryzurze i fasonowi sukni. Zapominając na chwilę o obecności krawcowej, Lily wyciągnęła rękę i dotknęła ostrożnie palcem lustrzanej tafli.

Madame Marceau zaśmiała się, rada z siebie.

- Po prostu cudownie! Leży jak marzenie. A teraz zdejmujemy ją i przymierzemy... Jakie masz plany na popołudnie, kochanie?

- Mam lekcję tańca - odparła Lily słabym głosem.

- W takim razie włożymy to!

Modystka wzięła do rąk kreację z białego muślinu, tak delikatnego, że był niemal przezroczysty. Suknia miała głęboki dekolt i zapinała się z tyłu na maleńkie guziczki. Na samym dole i w taliu była przybrana pastelowo niebieską wstążką.

- Pan Cole nie będzie mógł oderwać od ciebie oczu!

Lily się zarumieniła. Wiedziała, że to beznadziejne, głupie... Przecież chciał się ożenić z córką markiza! A jednak... Nawet gdy nie było jeszcze tych cudownych sukien, rzadko kiedy odrywał od niej wzrok. Ciągle tylko patrzył na nią i patrzył...

13.00-15.00 Pierwsza lekcja walca

Lily zjawiła się punktualnie w sali balowej. Zegar wybijał właśnie pierwszą. Przez chwilę stała na progu, onieśmielona cieniutką nową suknią i pantofelkami z miękkiej skórki. Czowała chłodny powiew na szyi i ramionach - miała wrażenie, że jest wystawiona na ludzkie spojrzenia i dziwnie bezbronna. Prawdę mówiąc, rozstawszy się z ogromniastą suknią pani Plunkett, czuła się po prostu naga.

Lustro w przymierzalni powiedziało jej, że jest piękna. Madame Marceau też jej to powiedziała. Uwierzy im, jeśli znajdzie potwierdzenie w oczach Gideona! Dżentelmeni rozmawiali po cichu, oparli o fortepian, pochyleni nad nutami. Gideon powiedział coś zabawnego, Kilmartin się roześmiał, wtedy Gideon odwrócił się do drzwi.

I ujrzał ją.

Powoli się wyprostował... i zastygł w bezruchu.

Serce podeszło Lily do gardła.

„Nie będzie mógł oderwać od ciebie oczu!”

Gideon trzymał ją jak na uwięzi płonącym wzrokiem. Zdawało się, że wkłada w to spojrzenie całą duszę. Lily nie była w stanie się poruszyć ani odwrócić od niego oczu.

A więc była piękna!

W końcu przypomniała sobie o dygnięciu i zaraz tego pożałowała, gdyż właśnie w tym momencie Gideon zdołał oderwać od niej rok.

Kilmartin też się na nią gapił.

- Wygląda pani doprawdy uroczo, panno Masters. Ta nowa suknia... - Zapomniał o wytwornej powściągliwości i wybuchnął entuzjazmem: - Boże wielki! Przepięknie ci w tej sukni, Lily! Jesteś niezemska!

Lily odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo dziękuję... Laurie.

Dygnęła raz jeszcze. Znów po mistrzowsku.

- No, Kilmartin, dość już tego! - Gideon zbeształ łagodnie przyjaciela.

Uparcie unikał spoglądania na Lily, udając, że przekłada nuty na fortepianie.

- Dzisiaj, panno Masters, nauczy się pani najważniejszego, choć najprostszego z tańców. - Wziął głęboki oddech i zwrócił się twarzą do niej - Walca.

Lily, jak zwykle, miała już gotowe pytanie.

- Dlaczego walc jest taki ważny?

- Może dlatego, że jest niezwykle... śmiały. Prawdę mówiąc, uchodził niegdyś za nieprzyzwoity, gdyż kobieta i mężczyzna, tańcząc, są w nieustannym kontakcie. Można by powiedzieć, że... - urwał zażenowany, odchrząknął i dokończył: - Trzymają się w objęciach.

Wpatrująca się w niego Lily zaczerwieniła się po uszy. Gideon spojrzął na nią, unosząc wyzywająco brwi.

- Ja tam wolę tańczyć reela! - stwierdziła z nonszalancją, jakby znała wszystkie tańce od urodzenia.

- Ach tak? No cóż, walc istotnie wymaga największej gracji. - W głosie Gideona brzmiało lekkie politowanie. - Jeżeli więc pani nie czuje się na siłach...

Lily westchnęła. Gideon doskonale wiedział, jak sobie z nią radzić, A ona nie potrafiła się oprzeć jego sztuczkom.

- Spróbuję. Jak się tańczy walca?

- Po pierwsze, musi mi pani podać rękę.

Pomachał zachęcająco palcami. Lily ostrożnie wsunęła w nią osłoniętą rękawiczką dłoń, on zaś objął ją delikatnie.

Zerknąwszy z ukosa na dziewczynę, stwierdził, że odwraca od niego głowę.

- Musi pani podejść nieco bliżej, panno Masters - powiedział cicho.

- Muszę? - spytała słabym głosem.

- Obawiam się, że tak.

Lily przybliżyła się o kilka cali.

- Jeszcze bliżej, Lily! - szepnął.

Splonęła ciemnym rumieńcem, ale posłusznie przysunęła się bliżej tak, że niemal się dotykali. Czuł teraz wyraźnie woń jej ciała - subtelną kompozycję zapachów, pikantną i słodką zarazem. Słyszał wyraźnie jej przyspieszony, płytki oddech.

Serce waliło mu w piersi. Jego oddech również stał się nieregularny.

- A teraz muszę dotknąć ręką pani talii... O, tu!

Z niepokojącą powolnością przybliżył dłoń do miejsca, gdzie talia przechodziła w smukłe biodra.

Lily była napięta jak struna, poznał to po sztywności drobnej rączki, którą obejmował.

W końcu poczuła na plecach miękkiego dotyk jego dłoni.

Była taka szczupłutka, niemal mógł objąć rozpostartą ręką jej plecy. Przez delikatny materiał jej nowej sukni wyczuwał - mimo że był w rękawiczkach - zarys jej kręgosłupa. Widział też, jak w takt niespokojnego oddechu wznoszą się i opadają piersi dziewczyny. Przez chwilę stał bez ruchu, przejęty zachwytem.

Potem się pochylił, by spojrzeć na nią z bliska. Rzęsy Lily rzuciły drżące cienie na jej policzki. Odblaski żyrandola połyskiwały na smukłym karczku i migotały w maleńkich guziczkach z tyłu sukienki.

Można by je było rozpiąć jednym zręcznym ruchem palca...

Ogarnęło go nagle tak gwałtowne pożądanie, że omal się nie potknął.

Stał bez ruchu, oddychając cicho, jakby obawiał się zmącić nieostrożnym ruchem tę niezwykłą chwilę.

Nie był przygotowany na to, że aż takie wrażenie zrobi na nim dotknięcie Lily, jej bliskość, jej zapach...

Upłynęła prawie minuta, nim zdołał wydobyć z siebie głos.

- Lily... - powiedział chrapliwie. - Spójrz na mnie! Popatrzyła na niego. Jej twarz nadal była mocno zaczerwieniona, spojrzenie niespokojne.

Gideon zdobył się na lekki uśmiech.

- Nie trzeba odnosić się do partnera z taką obawą, panno Masters!

- Nie? - spytała słabym głosem. - A jak mam się do niego odnosić?

Jej zdławiony głos sprawił, że Gideona przeszył dreszcz. Przyszło mu na myśl kilka odpowiedzi: „z czułością”, „z pożądaniem”. Ale żadna nie była trafna.

Pomyśl o Constance, powiedział sobie twardo. O złocistej, pewnej siebie Constance, której skóra przypomina nagrzaną słońcem brzoskwinie. O Constance, która płynie w tańcu dumnie jak bojowe okręty Nelsona, która jest córką markiza. W jaki sposób Constance odnosiła się do niego, gdy razem tańczyli walca? A on do niej?

- Partnera w tańcu należy traktować z uprzejmym zainteresowaniem - rzekł na pytanie Lily. I to była właściwa odpowiedź, przyznał w duchu z pewnym zdziwieniem. Tak właśnie odnosiła się do niego Constance, a on do niej. - Powinna się pani do niego uśmiechać, ale nie za często. I żadnego marszczenia brwi, chyba że ktoś poważnie panią by obraził, co raczej się nie wydarzy na żadnym z londyńskich bali. No i należy – dodał, uśmiechając się do niej łagodnie - spoglądać na partnera. A nie na własne nogi, jak to pani teraz robi!

- Dobry Boże, Cole! Zaczniecie wreszcie tańczyć, czy nie?! – zawołał Kilmartin, wyraźnie zde gustowany. - Palce mi przyrosną do klawiatury.

- Wybacz, stary. Niech pani pozwoli się prowadzić, Lily! Wiem, że nie lubi pani dostosowywać się do nikogo - dorzucił kwaśno - ale tym razem muszę objąć prowadzenie! Przy walcu jest to konieczne. Wytrzyma to pani?

Lily uniosła dumnie głowę.

- Zagraj nam walca, Laurie! - Gideon poprosił przyjaciela.

Palce Kilmartina zaczęły biegać po klawiszach i rozległy się tony francuskiego walca, wolniejszego i bardziej majestatycznego niż wiedeński. Gideon z pewnym wahaniem wykonał pierwszy krok, Lily poruszyła się sztywno. Przypominało to nie tyle prowadzenie damy w tańcu, co wyciąganie topielca z Tamizy.

- Lekko i posuwicie, Lily!

Starła się, jak mogła, ale nie wypadło to ani lekko, ani posuwicie. Jak na takie drobne dziewczątko stawiała niezwykły opór!

Przedłużanie tej sytuacji nie miało sensu. Jak jej wytłumaczyć specyfikę walca?

- Lily, wyobraź sobie, że jesteś ptakiem. Ta muzyka to powiew wiatru, który cię unosi. Ja będę parą skrzydeł, którym powinnaś zawierzyć. Zaufaj mi i poszybuj w powietrzu!

Brzmiało to idiotycznie, nawet dla samego Gideona. Ale Lily spojrzała na niego z podziwem i na jej ustach pojawił się uśmiech zrozumienia. Przymknęła na chwilę oczy.

Gdy znów je otworzyła, była lekka jak piórko w jego ramionach.

Lekko, posuwicie - i obrót... Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy...

Zjednoczeni, w zdumiewającej harmonii i bez wysiłku zataczali niespieszne kręgi po parkiecie. Po chwili także i Gideon poczuł, że przewyciężył siłę ciężenia.

- Ależ to cudowne! - zaśmiała się radośnie Lily, spoglądając na niego. Twarz jej promieniała. Zapomniała już całkiem o poprzednim skrępowaniu. - Zupełnie jakbym fruwała!

Gideon także się roześmiał. Taniec z Lily uderzył mu do głowy. Zapatrzeni w siebie wirowali po parkiecie, zjednoczeni wspólnie przeżywanym cudem - jakby ktoś przypiął im skrzydła! Obawiali się tylko jednego, że ktoś odbierze im ten niezwykle dar. Właśnie tak, myślał niebotycznie zdumiony Gideon, wpatrując się w jaśniejącą twarzyczkę Lily, dokładnie tak powinno się tańczyć walca! Dopiero teraz to rozumiem!

I nagle pojął coś, co zaparło mu dech w piersi. W ten sposób powinno się nie tylko tańczyć, ale żyć!

Zatrzymał się nagle jak rażony piorunem i puścił rękę Lily. Potknęła się, zaskoczona.

- Na śmierć zapomniałem o ważnym spotkaniu, Laurie! - Gideon podniósł głos, żeby Kilmartin mógł go usłyszeć. - Wybacz, stary. Do jutra!

Walc urwał się nagle, w pół taktu. Laurie odwrócił się i spojrzał z niedowierzaniem na przyjaciela.

Gideon wielkimi krokami zmierzał ku drzwiom. Zatrzymał się tuż przed nimi. Wyciągnął z kieszeni zegarek po dziadku i w zamyśleniu ważył go w dłoni. Zaczekał, aż Lily spojrzy na niego i z całą premedytacją postarał się o to, by cała promienność znikła z jej oczu, a została jedynie beznadzieja.

- Chciałem się tylko upewnić, że jeszcze go mam, panno Masters!
I pośpiesznie opuścił salę balową.

10

Gideon przemierzał korytarz wielkimi susami, nie dostrzegając niczego wokół siebie. Słyszał, jak jego kroki dudnią na marmurowej posadzce, ale zegary, portrety, wazony i kinkiety zlewały się w jedną niewyraźną plamę. Wcale nie uciekam! - powtarzał w duchu. A jednak nie mógł się powstrzymać i szedł dalej i dalej. Przy każdym oddechu czuł ból, jakby przełykał coś kolczastego. Nie, to nie gniew go dławił! A raczej nie

tylko gniew. Przede wszystkim dręczyło go poczucie, że zawiódł... zdradził...

Kogo?

Siebie.

Jeśli tak, to sam się o to prosił, może nie? Nie mógł winić nikogo prócz siebie i doprowadzało go to do furii.

Całe swe życie podporządkował ambitnym planom, zakładając, że ich urzeczywistnienie zapewni mu szczęście. Zawsze się wyróżniał - jako student, żołnierz, adwokat - i sądził, że na tym właśnie polega szczęście. Tańczył z Constance Clary, córką markiza, i to również uważał za szczęście. Miał odziedziczyć po stryju piękną posiadłość i ludził się, że to kolejne szczęśliwe zrządzenie losu.

Teraz jednak znał prawdę. Jedyne prawdziwe szczęście, jakiego zaznał przez krótką chwilę, przeżył na sali balowej w domu stryja, gdy trzymał w ramionach Lily Masters. A dla takiego szczęścia... Dla Lily nie by to miejsca w wytyczonej przez niego przyszłości.

Sam się skazał na te niewypowiedziane męki.

Dokąd właściwie szedł? Do głównego wyjścia? Przed chwilą miał wrażenie, że minął kogoś, chyba służącą. Mglisto zamajaczyła przed nim sylwetka kobiety z otwartymi ustami i oczyma rozszerzonymi strachem. Dobry Boże, cóż tak straszliwego malowało się na jego twarzy? Zapewne żądza mordu.

Na koniec zderzył się z Gregsonem, który trzymał w ręku jakąś paczkę.

- Co tam taszczysz, do wszystkich diabłów?! - warknął na niego Gideon.

- To przesyłka dla jego lordowskiej mości, sir.

Gideon wyrwał lokajowi paczkę.

- Apteka McBride'a - przeczytał głośno napis na przesyłce. Znów ten McBride? Kimże on był dla Lily?!

To już nie miało znaczenia. Ścisłej rzecz biorąc, to nie powinno mieć znaczenia. Gideon przymknął na chwilę oczy w obawie, że rozpacz ogarnie go z kretesem.

Gdy je otworzył, spostrzegł, że Gregson mu się przygląda i marszczy brwi z wyraźnym niepokojem.

- Wszystko w porządku, sir?

- W zupełnym porządku, Gregson. - Po głosie Gideona można było poznać od razu, że wcale tak nie jest. - Sam zaniósę stryjowi tę paczkę. Dziękuję ci. I bardzo przepraszam, że tak na ciebie warknąłem.

- Pan miałby warknąć, sir? Skądże znowu!

Gideon niemal się uśmiechnął.

Lily i Kilmartin zamarli na chwilę, przytłoczeni posępnym milczeniem i wpatrzeni w drzwi, przez które wypadł z sali Gideon.

- Straszny z niego raptus - bąknął w końcu Kilmartin, próbując usprawiedliwić niewybaczalne zachowanie przyjaciela. - Ma czasem takie wyskoki. - Zmarszczył brwi. - Wygląda na to, że tym razem opętało go jeszcze bardziej niż zwykle!

Twarz Lily nadal płonęła rumieńcem. Bolały ją rozmyślne okrucieństwo Gideona i sposób, w jaki odtrącił ją tak nieoczekiwanie. A przecież obejmował ją, krążyła po sali w jego ramionach, wszystko w niej kipiało radością. Nareszcie! Nareszcie! Nareszcie! Nawet teraz czuła żar we krwi, paliło ją ciało, spragnione dotyku jego rąk...

- Jak pan może z nim wytrzymać?! - wypaliła bez ogródek.

- Z Gideonem? - Kilmartin wydawał się zaskoczony. Potem usiadł na taborecie, zastanowił się i pokręcił głową. - Pewnie dlatego, że z nim nigdy nie bywa nudno. To genialny przyjaciel! Głowę ma nie od parady! A poza tym wyjątkowo lojalny. I dobry, aż do przesady! No... przeważnie dodał z niezbyt mądrą miną. - Ale jeśli człowiekowi na kimś zależy... Pani to rozumie, panno Masters? - urwał nagle, przez chwilę zdawał się borykać z jakimś problemem, po czym wzruszył ramionami, odsunął się od fortepianu i wstał. - Chyba wytrzymuję z Gideonem głównie dlatego, to najporządniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Nieraz ma z tego powodu kłopoty, ale któż ich nie ma?

Lily wiedziała, że to prawda. Czuła, że tak jest w istocie. Jednak - jak to sformułował Kilmartin - jeśli człowiekowi na kimś zależy...

Kilmartin przyglądał się jej uważnie. Dobry chłopak, martwił się o nią! Lily uśmiechnęła się słabo.

- Jestem pewna, że on powiedziałby to samo o panu! Laurie spojrzął w zadumie na drzwi, za którymi zniknął przyjaciel.

- Bardzo bym pragnął, żeby Gideon był szczęśliwy. I chciałbym wiedzieć, co go podkuśiło...

Urwał i pokręcił głową, po czym zwrócił się do Lily i uśmiechnął się, by dodać jej otuchy. Jego twarz nie odznaczała się wybitną urodą, ale im lepiej się go poznawało, tym bardziej wydawała się sympatyczna.

- Jest pani dobrą dziewczyną, panno Masters - powiedział. - Lepiej pójdę i go poszukam. A pani przez resztę popołudnia może robić, co tylko zechce.

Sklonił się, na co odpowiedziała dygnięciem, i odszedł, pozostawiając ją samą w sali balowej.

Lily doszła do wniosku, że świeże powietrze powinno ostudzić jej palące policzki i wygonić z głowy wszelkie myśli o Gideonie. Jeśli świeższe powietrze tego nie dokona, to chyba już nic innego nie pomoże!

No dobrze, trzeba przyznać, że nie wyzwoli się tak szybko spod uroku Gideona, ale tak czy owak przyjemnie będzie poczuć na twarzy rześki powiew.

Do spotkania z lordem Lindseyem pozostało sporo czasu. Może spędzi go z siostrą? Alice była dziś bardzo podniecona, gdyż miała zawrzeć znajomość ze świnką i prosiętami. Lily pomyślała, że z przyjemnością będzie jej towarzyszyć. Jednakże, rozważała, spoglądając na swą piękną, nową suknię i białe rękawiczki, chyba nie powinna składać wizyt świnkom w balowej toalecie! Lepiej wybrać coś bardziej odpowiedniego spośród nieprzebranego mnóstwa strojów, które wisiały teraz w szafie.

Zajrzała do niej, czując się jak pokojówka, grzebiąca ukradkiem w garderobie znamienitych gości. Suknie spacerowe, balowe, wieczorowe, domowe. .. I tyle rodzajów przeróżnych okryć: narzutki, szale, fartuszki...

Czy nie powinno być specjalnych sukien... na przykład do siedzenia i dumania? Albo do czytania? Omal się nie roześmiała na tę myśl. Kto wie, może zaprowadzi taką modę, zupełnie jak ta niezrównana lady Constance Clary? „Ona decyduje o tym, co modne, a co niemodne” - powiedział o niej Gideon. Jakby to było osiągnięcie porównywalne ze wzniesieniem książęcego pawilonu w Brighton!

Zdołała bez niczyjej pomocy rozpiąć guziczki na plecach - nie było to nic wielkiego dla jej zwinnych, złodziejskich paluszków, wybrała suknię, która wydała się jej najodpowiedniejsza na odwiedzin w chlewiku - w dyskretnym odcieniu brązu, niemal pozbawioną ozdób i osłaniającą ją skromnie od stóp do głów. Gotowe! A teraz, jeśli umiała

trafić wszędzie w Londynie, a także i tu, w tym wielkim dworze, z pewnością znajdzie drogę do zabudowań gospodarskich!

Znalazła siostrę siedzącą na ogrodzeniu, otaczającym zagrodę dla świń. Z tej wysokości Alice przyglądała się maciorze i całemu mnóstwu prosiąt, walczących ze sobą o dostęp do matczynego mleka. Sukienka Alice była na dwa cale od dołu uszargana w jakimś paskudztwie, a dziewczynka wydawała się równie zadowolona z życia jak cała świńska rodzina.

Obok Alice stał wyjątkowo brudny człowiek, który uważnie słuchał wywodów dziewczynki. Mówił niewiele, co małej bynajmniej nie przeszkadzało. Na szczęście większość ludzi z przyjemnością słuchała jej paplania.

- Witaj, moja gąsko! - powiedziała Lily. - Pomyślałam, że dotrzymam ci dziś towarzystwa. Jak ci się podobają prosiątka?

- Ach, Lily! Czy one nie są cudowne? Nadałam wszystkim imiona: Daisy, Phillip, Margaret, Fanny, to ta, co głośno kwiczy, i Lily. Nazwałam ją tak na twoją cześć!

Lily popatrzyła na swoją imienniczkę. Różowa skóra prześwitywała spod szorstkiej białej szczecinki. Świnka miała czarne łatki na zadku i bezbarwne rzęsy. Była bardzo ładna jak na prosię i niezwykle wojownicza. Co Lily stwierdziła z satysfakcją.

- Ogromnie mi to pochlebia, Alice. Są naprawdę śliczne!

- A niebawem będzie z nich bardzo smaczne danie - zauważyła Alice ze stoickim spokojem.

Lily aż zamrugnęła oczami. Zerknęła na brudnego mężczyznę, który stał w pobliżu. Oczy błysnęły mu wesoło.

- No cóż...

- Ostatecznie każdy lubi dobrze zjeść. Ja też - zauważyła Alice filozoficznym tonem. - I tak się właśnie patrzy na te sprawy w gospodarstwie wiejskim. Każde zwierzę powinno się na coś przydać!

Lily powstrzymała uśmiech.

- Wiele się dowiedziałaś o gospodarstwie, prawda?

- O, tak! Boone i Dawson... To właśnie jest Dawson! - Mężczyzna kiwnął jej głową i Lily odwzajemniła się tym samym. - No więc Boone i Dawson uważają, że mam zadatki na dobrą gospodynię. Szybko się uczyć - dodała z dumą.

- Zawsze byłeś bystra!

Lily pociągnęła siostrę za warkocz.

Ale jej uśmiech znikł, gdy sobie uświadomiła, co to wszystko znaczy. Nowe, ambitne plany Alice znacznie się różniły od jej poprzednich dziecięcych marzeń o wielkim domu i o codziennym noszeniu bucików. Alice zaczęła myśleć - całkiem realnie - o przyszłości. Wróci do St. Giles z głową pełną wiadomości o hodowli prosiąt!

Niestety, w St. Giles nie było świń ani pawi. Nie było bezkresnych zielonych trawników ani wysokich, rozłożystych drzew. Nie było sztucznych jeziorzek ani fontann. Uprzedzałam ją, że to długo nie potrwa, ale Alice i tak będzie miała do mnie żal, kiedy stąd wyjedziemy, myślała Lily.

Gdy przyglądała się z góry świńskiej rodzinie, uświadomiła sobie prawdę, której dotąd nie chciała dostrzec. Niech go diabli, Gideon Cole miał rację! Od początku, psiakrew, miał rację. Nie mogła zostać w St. Giles na zawsze, ze względu na siebie i na Alice! Trwała w bezruchu, zbierając na odwagę, i nie uciekała już przed pytaniem, które najbardziej ją trwożyło: Co z nami będzie?

Co tak naprawdę umiała robić? Czy zostanie właścicielką pensjonatu, jak pani Smythe? A może prostytutką, jak Fanny? Będzie przygotowywać niezawodne eliksiry lub trudnić się paserstwem? Zjawiła się w Aster Park - takie ni to, ni sio; trochę dama, trochę londyński ulicznik, stanowczo zbyt dumna. A co się z niej zrobiło w ciągu ostatniego tygodnia?

Lily podejrzewała, że do końca życia pozostanie istotą wewnątrznie rozdartą. Sama nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce - na salonach czy na ulicy? Chciała stąd uciec, żeby spędzać dni po swojemu, kierować swoim życiem, być znowu wolna...

A równocześnie pragnęła tu pozostać i bez względu na to, co Gideon mógłby zrobić lub powiedzieć, chciała zobaczyć, jak się to wszystko skończy.

Gideon zastał stryja w łóżku, ale zasłony były rozsunięte i promień słońca padał prosto na nogi starszego pana. Były też i inne znaki świadczące o tym, że lord Lindsey wstał dziś z łóżka i nie próżnował. W kącie pokoju znajdowały się sztalugi, a obok leżała paleta z zaschniętymi farbami. Niedokończony obrazek przedstawiał pejzaż,

widoczny z okna jego pokoju. Stryj Edward malował dawniej akwarelami. Dziś, korzystając ze słonecznej pogody, wrócił widać do ulubionego zajęcia.

Jego lordowska mość oderwał wzrok od książki, którą przeglądał. Była to, należąca do Lily, *Encyklopedia historii naturalnej*, otwarta na stronie poświęconej antylopom.

- A, to ty, Gideonie. Wejdz, jeśli chcesz!

Stryj powiedział to z jakimś roztargnieniem, ledwie unosząc głowę znad książki. Antylopy najwyraźniej go zafascynowały.

- Ileż w twych słowach entuzjazmu, stryju!

Lord Lindsey zdawał się nie dostrzegać ironii bratanka. Przyprowadziłeś ze sobą tę małą szelmę? Słowo daję, Lily Masters jest jak powiew świeżego powietrza!

- Przecież ty nie przepadasz za świeżym powietrzem, stryju! – burknął Gideon jak stary zrzęda.

Zaskoczony baron spojrział uważnie na bratanka i coś w wyglądzie Gideona go zaniepokoiło.

- Masz dziwny wyraz twarzy. Podejdz no bliżej, mój chłopcze! Gideon się zawahał.

- Bliżej! - ponaglił go lord Lindsey.

Gideon podszedł bliżej, a oczy stryja rozszerzyły się z niepokojem.

- Wielki Boże! Co z tobą, chłopcze? Co się stało? Chodzi o pieniądze? A może przegrałeś sprawę? Nie przejmowałbyś się chyba do tego stopnia jakąś tam kobietą? Czy to Constance zalaża ci za skórę? Siadaj i mów!

- Przyniosłem paczkę zaadresowaną do ciebie, stryju.

- Mniejsza z tym! Coś cię gryzie i wątpię, czy ma to jakiś związek z tą paczką!

Gideon opadł ciężko na fotel, stojący obok łóżka. Żałował, że w ogóle tu przyszedł. Powinien był wyjść frontowymi drzwiami i wyruszyć na piechotę do Dover czy gdziekolwiek indziej. Doszedł do wniosku, że lepiej się odezwać.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, stryju. Ale jestem wdzięczny za troskę.

- Bzdury, mój chłopcze! Spójrz mi prosto w oczy. Jesteś w kłopotcie? Zaraz to naprawimy!

Gideon uśmiechnął się blade.

- Nie, stryju, to nic poważnego, słowo daję. Nerwy mnie trochę poniosły. To tylko zły nastrój, zaraz minie.

- Masz kochankę, Gideonie?

- Stryju Edwardzie!

- Stanowczo jesteś zbyt poważny. I pracujesz za ciężko. Jeśli nie zamierzasz ożenić się w najbliższym czasie, weź sobie kochankę! Kobieta z pewnością zdoła rozproszyć złe nastroje!

Gideon przyglądał się bacznie stryjowi.

- Miałeś kiedyś kochankę, stryju Edwardzie?

- Oczywiście! - Lord Lindsey uśmiechnął się łobuzersko.

Gideon wpatrywał się w niego w milczeniu.

- No, no, bez obawy. Pytaj, o co chcesz!

- Nawet wtedy, gdy byłeś już mężem stryjenki Beatrice?

- No cóż... kochałem twoją stryjenkę, Gideonie.

- To żadna odpowiedź, stryju Edwardzie!

- Pozwól mi skończyć. Kochałem Beatrice. Było nam dobrze razem, dochowaliśmy się wspaniałych chłopców... Ale Therese, widzisz...

Zamilkł i jakiś cień przemknął po jego twarzy - może wspomnienie dawnego bólu, a może niezapomnianej radości?

- Therese była moim życiem.

Gideon czuł, że szczytem egoizmu byłoby naleganie, aby stryj wyjawiał mu coś więcej. Nagle jednak pojął, że po prostu musi dowiedzieć się wszystkiego!

- Czy kochałeś stryjenkę Beatrice, kiedy się z nią żeniłeś?

Stryj przez chwilę spoglądał na niego w zadumie. Zastanawiał się, jak odpowiedzieć na pytanie czy raczej jak wykręcić się od odpowiedzi? Gideon wstrzymał oddech.

- Beatrice i ja byliśmy do siebie bardzo przywiązani, Gideonie. - Głos barona drżał lekko, jakby nigdy dotąd nie dzielił się z nikim podobnymi refleksjami, - wspólne życie, razem spędzane dni, te same radości i smutki, z tego właśnie wzrosła nasza miłość. Tak bywa z większością małżeństw. Ale z Therese widywałem się tak często, jak tylko mogłem.

- Kochałeś ją, stryju? Czy była to tylko...

Lord Lindsey odetchnął głęboko.

- Jak się powiedziało „A”, trzeba powiedzieć „B”. Chyba lepiej będzie, jeśli wyjawię ci wszystko. Kochałem Beatrice, Gideonie. Ale,

widzisz, w Therese byłem na zabój zakochany Nieraz bywało to niewygodne, ale nie traktowałem jej jak miłości bez znaczenia.

Gideon chłonał każde słowo. Nie był aż tak zaszokowany, jak można by się tego spodziewać.

- Co się z nią stało? - spytał cicho.

- Z sobie tylko znanych powodów postanowiła wyjść za mąż. Za farmera. Wiele lat temu przeniosła się do Devonshire i kategorycznie odmówiła dalszych spotkań ze mną. Omal mnie to zabiło.

Słowa pełne głębokiego uczucia zawisły w ciszy pokoju. Gideon i stryj siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach.

- Po niej nikogo już nie było - dorzucił z pozornym chłodem lord Lindsey

- Stryju Edwardzie... - Gideon odetchnął głęboko. - Nigdy nie żałowałeś tej decyzji?

- Decyzji? - Baron wydawał się zdumiony. - A cóż tu było do decydowania? Młody człowiek z towarzystwa nie żeni się z kochanką! Miałem szczęście kochać i być kochanym przez dwie naprawdę dobre kobiety. A z jedną z nich łączyła mnie głęboka namiętność.

Gideon znów pożałował, że nie opuścił pokoju, by zostać sam na sam z myślami i przeanalizować swoje uczucia. Poruszył się niecierpliwie.

- Wątpię, czy przyszedłeś tu po to, żeby wypytywać mnie o romantyczne przeżycia, Gideonie. A może tak było? Mam nadzieję, że powiedziałem coś, co ci się przyda. Dobry z ciebie chłopak! Poblążyłeś moim kaprysom aż zanadto, i to nie po to, by odziedziczyć tytuł. Kochałem moich chłopców, jak dobrze wiesz. Ale jestem z ciebie dumny, Gideonie... ciebie także uważam za syna.

Boże święty! Ten stary puchacz doprowadzi mnie do łez!

Gideon wyciągnął rękę. Lord Lindsey chwycił ją i uścisnął całkiem mocno jak na człowieka stojącego nad grobem. Potem poklepał bratanka po dłoni i ją puścił.

- Dość sentymentalnych bredni! Co jest w paczce?

- Zaadresowano ją do ciebie, stryjku Edwardzie.

Lord Lindsey rozdarł papier jak niecierpliwie dziecko w poranek Bożego Narodzenia. W paczce były dwie brązowe butle o szerokich szyjkach oraz kartka papieru.

Baron przeczytał na głos treść notatki:

- „Szanowanko od McBride'a”.
- Co to ma znaczyć, u diabła?! - nasrożył się Gideon.
- O! - Lord Lindsey był wyraźnie podniecony. - Mam wrażenie, to uproszczona wersja dobrze znanego ci zwrotu: „Z wyrazami szacunku”.

A McBride to chyba przyjaciel Lily, aptekarz.

Baron podał jedną z butli Gideonowi. Ten odkorkował ją, powąchał i aż się zatoczył.

- Dobry Boże! Zdaje się, że to czysty dżin! - Zerknął do wnętrza butelki. - Nie! To dżin, w którym pływają jakieś śmieci!

Oddał butelkę stryjowi, który z uznaniem powąchał jej zawartość.

- O, teraz wierzę, że to prawdziwy eliksir! Spróbujemy?
- Naprawdę uważasz, stryju, że powinieneś to pić?
- To będzie końska kuracja, Gideonie. Albo mnie uleczy, albo zabije, Nie mam nic przeciwko żadnej z tych ewentualności. Zadzwoń, żeby podano nam kieliszki!

Ni stąd, ni zowąd zalanie się w trupa eliksirem McBride'a - w dodatku w środku dnia - wydało się Gideonowi znakomitym pomysłem. Zadzwoił po służbę.

Lily stawiała się na codzienną partyjkę kart i miała właśnie przekroczyć próg apartamentu lorda Lindseya, gdy do jej uszu dotarło coś w rodzaju gromkiego parsknięcia, a zaraz po nim seria cichszych odgłosów, przypominających sapanie.

Zupełnie jakby cały miot prosiąt walczył o matczyne mleko!

Lily uznała, że najrozsądniej będzie wejść do pokoju z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Zajrzała najpierw do wnętrza.

Gideon i Kilmartin - bez butów i w koszulach z podwiniętymi rękawami - leżeli jak rozpuszczone szczeniaki w poprzek łóżka, na którym spoczywał baron. W całym pokoju cuchnęło dżinem i męskim potem.

Mężczyźni chrapali w zadziwiająco różnorodnych tonacjach i rytmach. Istna symfonia oddechowa!

Lily na paluszkach weszła do pokoju i spostrzegła na stole dwie duże brązowe butle. A więc McBride otrzymał list od niej! Ktoś najwidoczniej przeczytał mu tę epistołę, gdyż przygotował zamówiony eliksir. Wzięła do ręki leżącą obok butli kartkę.

- „Szanowanko od McBride'a" - przeczytała szeptem.

Było to jak serdeczne pozdrowienia z rodzinnych stron, gdzie ten i ów po prostu dobrze jej życzył i gdzie życie było mniej skomplikowane, i znacznie bardziej ryzykowne.

A potem przyszło jej do głowy, że oto nadarza się niezwykła sposobność napatrzania się do woli na Gideona, bez obawy, że zwróci tym jego uwagę.

Podkraśla się niemal do samego łóżka. Odskoczyła, gdy Kilmartin poruszył się przez sen, mruknął coś i machnął ręką. Z sercem tłukącym się boleśnie o żebra Lily wpatrywała się w leżących pokotem mężczyzn.

Rzęsy Gideona, prawie tak gęste jak u dziewczyny, drgały, rzucając na wysokie kości policzkowe. Widać był we śnie równie niespokojny, jak na jawie. Jego brwi natomiast były ogromnie męskie, groźnie nastroszone, jakby większą część popołudnia przespał z twarzą ukrytą pościeli i dopiero niedawno przewrócił się na wznak. Silnie zarysowane piękne usta były lekko rozchylone. Ciemny zarost zaczął już kiełkować, podkreślając szczupłość policzków. Włosy miał odrzucone do tyłu, tak że widoczne były błękitne żyłki na białej, dziwnie bezbronnej skroni.

Widać całkiem straciła dla niego głowę, jeśli wydawał się jej pociągający nawet teraz, gdy się spił jak bela!

Nie tak dawno ten człowiek z całym rozmysłem sprawił jej ogromną przykrość. „Jesteś złodziejką, Lily, niczym więcej!" - to przecież miała znaczyć jego uwaga o zegarku. A jednak w jego słowach i czynach widoczny był ból i strach. Jakby próbował obronić się przed nią!

Jakież mogła stanowić dla niego zagrożenie?!

A może - jak bardzo chciałyby w to wierzyć - dokładnie takie samo, jakie on stanowił dla niej?

- Ma pani na niego dobry wpływ.

Lily aż podskoczyła. W drzwiach stała pani Plunkett, przyglądając się mężczyznom z obojętną miną kogoś, kto nie takie rzeczy już widział, i to nie raz!

Gospodyni wymknęła się z pokoju i Lily słyszała jej kroki na korytarzu - ciężkie stąpanie, z którego kiedyś żartował sobie lord Lindsey. Lily podbiegła do drzwi.

- Proszę pani! - zawołała. - Dla kogo mam ten dobry wpływ?

- Na kogo - poprawiła ją gospodyni. I nie odwracając głowy ani nie zwalniając kroku, zniknęła w głębi korytarza.

Tego wieczoru obiad przyniesiono im do pokoju, co bynajmniej nie dziwiło Lily. Wątpiła, by którykolwiek z dżentelmenów, przebywających obecnie w Aster Park, był zdolny do jakiegokolwiek wysiłku. Z wyjątkiem - być może - uporczywych torsji. Tak więc Lily i Alice zjadły posiłek razem. Alice przez cały czas paplała o ogrodzie i świnkach. A także o służących, którzy - jak się okazało - wiedli zdumiewająco barwne życie.

Lily wyszczotkowała starannie włosy siostry, gdy szykowały się do snu.

- Za dzień czy dwa, Alice, wyjadę razem z panem Cole'em i z lordem Kilmartinem. Nie będzie mnie przez jakiś czas, ale niezbyt długo.

Alice przetrawiała tę informację.

- Mogę pojechać z wami?

- Widzisz, to taka wyprawa dla dorosłych, kochanie. Okropnie byś się wynudziła. Pomyśleliśmy, że będziesz woląła zostać tu z panią Plunkett i Boone'em. Pomożesz im opiekować się domem i ogrodem pod naszą nieobecność. Dawsonowi też się pewnie przyda pomoc przy świnkach!

Lily nigdy dotąd nie rozstawała się z Alice. Podejrzewała, że ta rozłąka będzie dla niej jeszcze boleśniejsza niż dla młodszej siostry.

- Lily?

- Słucham?

- Czy wyjdiesz za pana Cole'a?

Lily zastygła ze szczotką w ręku.

- Nie, Alice.

Znów przeciągnęła szczotką po splątanych włosach siostrzyczki. Nie wiadomo dlaczego, wymawiając te słowa, odczuła taki ból, jakby połykała odłamki szkła.

- A powinnaś wyjść! Może ja go poproszę, żeby się z tobą ożenił? Au! To boli, Lily!

- Alice?

- Słucham, Lily?

- Musisz mi obiecać, że nic podobnego nie zrobisz!

Alice zmarszczyła brwi.

- Ale jestem pewna, że on nie miałby nic przeciwko temu! A wtedy moglibyśmy wszyscy mieszkać tu razem. I urządzać pikniki, i...

W tym momencie Lily bliska była nienawiści do Gideona. Kiedy ten wielki plan dobiegnie końca i Gideon zaręczy się wreszcie z lady Constance Clary, to na nią - Lily - spadnie obowiązek wytłumaczenia Alice, że nigdy go już nie zobaczą.

A jednak, w pewnym sensie, była to jej wina, że Alice znalazła się Aster Park.

- Przeżyjemy wiele innych przygód, kochanie! - powiedziała wreszcie do siostry zdławionym głosem.

Alice wydawała się zaskoczona, ale nie upierała się przy swoim. Siostra, Bogu dzięki, nigdy nie grymasiła!

11

Stukanie rozległo się o zwykłej porze i Lily, która obudziła się znacznie wcześniej, podskoczyła ku drzwiom. Odebrała tacę od pani Plunkett. Jajka, chleb, kawa i...

Gdzie liścik od Gideona?

Poczuła w brzuchu skurcz lęku. Spojrzała na panią Plunkett, mając nadzieję, że gospodyni nie wyczyta w jej oczach niepokoju.

- Ma pani zaraz po śniadaniu udać się do sali balowej, panno Masters. A potem przez cały dzień może pani robić, co tylko zechce. Panowie... mają na dziś inne plany.

Ani chybi, przez cały dzień będą rzygać!

- Lord Lindsey także?

Pani Plunkett zawahała się i... Czy to możliwe, by po jej ustach przemknął leciutki uśmiech?

- Jego lordowska mość zamierza przespać całe popołudnie. Bardzo żałuje, że nie będzie mógł się z panią spotkać. A obiad, panno Masters, zostanie dziś przyniesiony do pani pokoju.

- Doskonale. Dziękuję pani.

Głos Lily był ledwie dosłyszalny ze zdenerwowania.

Alice wyszła w podskokach razem z panią Plunkett. Lily słyszała, jak siostrzyczka mówi coś do milczącej gospodyni, jakby się spodziewała, uzyska od niej odpowiedź.

W sali balowej czekał na Lily mężczyzna. Nie był to jednak ani Gideon ani lord Kilmartin. Jegomość w okularach, niepozorny, o kędzierzawych krótko przyciętych włosach, stał nieśmiało obok fortepianu. Ubrany był w surdut z granatowego sukna z mosiężnymi guzikami, zdecydowani mniej szykowny niż wszystko, co nosili Kilmartin czy Gideon. Być moi nie przywiązywał aż tak wielkiej wagi do mody, panującej w eleganckim świecie.

- Czy mam przyjemność z panną Masters?

Skłonił się, Lily dygnęła. Zdumiewające, jak naturalne wydawało się jej teraz takie powitanie!

- Istotnie, panie...?

- Paul - odparł miłym, łagodnym głosem.

- Chciałam poznać pańskie nazwisko, sir!

- Najmocniej przepraszam, panno Masters! - wyjąkał nieznajomy. - Nie miałem zamiaru aż tak się poufalić! Paul to moje nazwisko.

Lily była zbita z tropu.

- Nazywa się pan... Paul Paul?

- Nazywam się Geoffrey Paul, panno Masters. Nauczam gry na fortepianie.

- O! - Lily zmarszczyła brwi, zaskoczona. Potem zaś, gdy dotarło do niej w pełni znaczenie jego słów, powtórzyła raz jeszcze, cichutko, niemal nabożnie: - O!... Czy przybył pan tu...

- Na lekcję muzyki? Owszem.

A więc Gideon zauważył! - myślała, bojąc się niemal uwierzyć we własne szczęście. Pragnęła dotknąć fortepianu od chwili, gdy ujrzała w Aster Park ten instrument.

Nie było rzeczy, której Gideon by nie zauważył! Z takim człowiekiem można zwariować!

Miała wrażenie, że serce jej pęka - jak pączek, który nagle przeistoczył się w kwiat.

- Czy grała pani kiedyś na fortepianie, panno Masters? - odezwał się pan Paul, gdy stało się jasne, że Lily się nie odezwie.

- Nie. To znaczy... tak, ale byłam wtedy bardzo mała. Znałam tylko proste melodyjki, wątpię zresztą, żebym je zachowała w pamięci.

- Wszystkie melodie są proste, kiedy się je dobrze pozna, panno Master. - Uśmiechnął się do niej. - A pani palce mogą jeszcze sprawić pani niespodziankę. Kto wie, jak wiele pamiętają do dziś!

W rękę pana Paula zaszeleściły nuty. Układał je na fortepianie.

- Umie pani czytać z nut, panno Masters?

- Nie, proszę pana.

Usiadła ostrożnie na taborecie stojącym przy fortepianie i spojrzała na klawiaturę. Wszystkie te klawisze... i wszystkie melodie, czekające na to, by się z nich wydobyć! Jak mogłaby trafić na te właściwe? Skąd kompozytor wie, które mają przemówić, by zabrzmiała jego melodia?

Z wahaniem rozstawiła palce powyżej środkowego C, przymknęła oczy i dotknęła jednego, potem drugiego klawisza... Kiedy otworzyła oczy i popatrzyła na ręce, jej palce od razu straciły odwagę i całkiem się pogubiły. Odwróciła więc od nich wzrok i pozwoliła im robić, co chciały. Powolutku, z częstymi potknięciami, zaczęła wyłaniać się jakaś melodia...

Lily skończyła grać i obejrzała się ze zdumieniem na pana Paula. Nie mogła pojąć, jakim cudem jej ręce były w stanie coś zagrać! Pan Paul uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Może mi pani uwierzyć albo nie, panno Masters, ale rozpoznałem tę melodię! To *Rosa na płatku róży*. Rodzaj kołysanki. Przecwiczymy ją?

- O tak! Bardzo proszę!

- Doskonale. Może zaczniemy od razu?

- Dlaczego nie? - przytaknęła rozradowana Lily.

Od dłuższej chwili stał w uchylonych drzwiach i się jej przyglądał. Był świadkiem tego, jak próbowała zagrać piosenkę ze swego dzieciństwa - po raz pierwszy, a potem drugi i trzeci. Widział, jak Lily śmieje się rozkosznie z pomyłek i zwraca rozpromienioną twarz do pana Paula, prosząc go o pomoc.

Obserwując lekcję muzyki, Gideon doszedł do wniosku, że mógłby całymi godzinami przyglądać się Lily, bez względu na to, co by robiła. Mogłaby dłubać wykałaczką w zębach albo czytać książkę, albo jeść - choćby nawet obiema rękami naraz!

„To miłość sprawia, że gest najzwyklejszy staje się pięknym”.

Spłoszył się na tę myśl jak na widok szczura, który nagle przebiegnie po nodze. Ciekawe, kto był autorem tej sentencji? Pewnie jakiś cholerny wierszokleta! Powinien skończyć z czytaniem poezji. Od tego tylko tępieje umysł, a dla prawnika niezbędna jest bystrość!

Ból - skutek eliksiru McBride'a - nadal rozsadał mu skronie. Prawdę mówiąc, to brzdąkanie na fortepianie omal go nie wykończyło. Stryj Edward, niech go diabli, wyszedł z tej popijawy bez szwanku. Tyle tylko, że postanowił przespać jeszcze jeden dzień. Poza tym był w doskonałym humorze, chyba nawet lepszym niż zwykle. Z Kilmartinem sprawy przedstawiały się całkiem inaczej. Nadal, biedaczysko, wymiotował do nocnik w sypialni na górze. Tak, obaj z Lauriem byli dziś kompletnie straceni dla świata. On sam marzył tylko o mocnej herbacie i zaciemnionym pokoju,

Co prawda rankiem oprzytomniał na tyle, by wysłać kilka słów do pana Paula, szanowanego w całej okolicy nauczyciela muzyki. Ten pomysł kiełkował zapewne od pewnego czasu w jego mózgu. Elixir McBride'a odegrał jedynie rolę katalizatora.

Po namyśle postanowił skorzystać z pomocy pana Paula także podczas jutrzejszej lekcji tańca. Paul będzie grał walca, Kilmartin - obtańcowywał Lily, a on znajdzie sobie w tym czasie jakieś inne zajęcie.

Nie odważy się dotknąć ponownie tej dziewczyny!

Kiedy nieskończenie cierpliwy pan Paul odszedł, Lily miała mnóstwo czasu dla siebie. Postanowiła więc udać się do biblioteki. Zbliżała się do niej z drżeniem... a nuż zastanie tam Gideona?

Nie było go tam. Wyczuwała jednak jego obecność z taką siłą, jakby stał tuż obok. Jej spojrzenie padło na fotel koło kominka. Pamięć podsunęła Lily obraz Gideona recytującego Szekspira w blasku ognia. Później mierzył ją wzrokiem od stóp do głów i zaraz potem jego oczy stały się znów nieodgadnione.

Próbowała spojrzeć z ironią na swoje emocje, związane z Gideonem. To całkiem proste, Lily! Po prostu chce cię dostać w swoje łapy, ma na ciebie chrapkę! Ale ta jego cholerna duma wzdraga się na samą myśl o tym, że ciągnie go do jakiejś tam złodziejki z St. Giles. I tyle!

Jednak wszystko, co do niego czuła, było zbyt wzniosłe, promienne

i przesłonięte zwiewną mgiełką. Cyniczne uwagi nie pasowały do takich uczuć, tak jak nie pasowałoby zwykle ludzkie ubranie, gdyby ktoś chciał okryć nim promień światła!

Przysłał jej książkę, pończochy i nauczyciela muzyki.

I powiedział: „Nie wiem, dlaczego to mnie obchodzi, panno Masters, ale tak jest!”

Lily pokręciła głową, starając się odgonić od siebie podobne myśli. Usadowiła się w fotelu. Pachniał jeszcze leciutko Gideonem. Przymknęła oczy, wyobrażając sobie przez chwilę, że on naprawdę tu siedzi. Jego ramiona ją otaczają, ona zaś odrzuca głowę do tyłu, by mógł całować ją w szyję, by jego ręce mogły dosięgnąć...

Też coś! Nieraz żałowała, że w ogóle zajrzała do tej francuskiej książeczki. Zawarte w niej opowieści ostatnimi czasy często jej się przypominały, podniecając jej i bez tego już rozpaloną wyobraźnię.

Otworzyła znowu oczy i spostrzegła gruby tom, spoczywający na niewielkim stoliku obok fotela. *Podstawy angielskiego prawa*. Mniej więcej środkiem książki było wyraźne wybrzuszenie, coś tkwiło między stronami. Gideon wsadził tam zakładkę, bez wątplenia. Może czytał właśnie o karach dla kieszonkowców? Uśmiechnęła się leciutko, potem jednak ogarnął ją niepokój. Przecież istotnie mogło tak być! Otworzyła więc książkę w miejscu zaznaczonym zakładką. Ale okazało się, że Gideon nie zainteresowany żadnym fragmentem tego prawniczego dzieła. To, co tkwiło pomiędzy stronami, nie pełniło funkcji zakładki. Była to mała, ha czerwono oprawiona książeczka. To ją właśnie piastował na kolanach tamtej nocy, gdy zaskoczyła go w bibliotece! Nie miała co do tego wątpliwości.

Zbiór poematów Johna Keatsa.

Pomyśleć tylko, że Gideon Cole czytuje poezję! Ukrył tomik wierszy między kartami księgi, którą - jak sądził - powinien był studiować!

Lily podwinęła nogi pod siebie i z czułością otworzyła małą książeczkę, jakby otwierała serce Gideona. Wszystkie strony były podniszczone od częstego czytania. Na jednej z nich widniała wyblakła czerwona plama. Czyżby porto? Lily postanowiła zacząć od tego właśnie wiersza.

O nieskalana wybranko spokoju,

Dziecię ciszy i czasu wolno płynącego...

Przeczytała te słowa na głos, zdumiona ich niezwykłym brzmieniem i melodyjnością wiersza. Czytała dalej - uparcie, powoli

i z namaszczeniem, jakby to było zaklęcie, mogące otworzyć przed nią okno czasu i sprawić by ujrzała na własne oczy opiewaną przez Keatsa urnę grecką.

To cały Gideon. pomyślała. Czyste piękno, ukryte w opasłej księdze przepisów i ustaw.

Z miłością przeczytała na głos ostatnie wersy poematu:

Piękno jest prawdą, prawda pięknem! -głosisz

I wszelka inna mądrość jest ci zbędna.

Powoli zamknęła książeczkę i złożyła ją na swych kolanach.

„Inna mądrość jest ci zbędna”.

Był kapryśny, niecierpliwy, irytujący! Usiłował zdławić najcenniejszą część swojej istoty! Każdą chwilę życia składał na ołtarzu przyszłości lichu wie, jak bardzo odległej! Dla niej jednak Gideon Cole był uosobieniem piękna i prawdy. I w tym momencie niczego więcej nie pragnęła i nie musiała wiedzieć.

Przymknęła oczy, by nie widzieć otaczających ją przedmiotów. Chciała być sama z prawdą, która jej się objawiła. Czowała się jak zawieszona w ciepłym, jasnym i świetle pomiędzy wzlotem... i upadkiem.

12

Dla L.M.

Oto plan zajęć na dziś:

10.30 Lekcja tańca

12.00 Drugie śniadanie i spotkanie z lordem Lindseyem

13.30 Lekcja dobrych manier

18.00 Obiad i przygotowania do podróży

Cały ranek będzie, poświęcony nauce walca, jako że moje wcześniejsze zobowiązania przeszkodziły nam podczas ostatniej lekcji. Wieczór zajmą przygotowania do podróży do Londynu. Obiad każde z nas zje w swoim pokoju.

Lily raz jeszcze przeczytała tę notatkę i dopiero wówczas pojęła, co ją czeka. Uniosła rękę do twarzy w przelotnym geście radości i niecierpliwego oczekiwania. Będą tańczyć walca przez cały ranek!

Znów poczuje rękę Gideona w talii i na swej dłoni. Jego oczy spojrzą na nią ciepło, odetchnie jego zapachem... Przetaną z sobą cały ranek!

W sali balowej czekali już na nią Gideon i Kilmartin - obaj w dalszym ciągu dość bladzi i z przekrwionymi oczyma po wczorajszej degustacji eliksiru McBride'a.

- Dzień dobry, panno Masters!

To powitanie dotarło do niej od strony fortepianu. Lily odwróciła się i ze zdziwieniem ujrzała pana Paula.

- O! Dzień dobry panu.

Dygnęła uprzejmie.

Zapadła dziwna, niezręczna cisza. Potem Gideon odchrząknął i wyjaśnił:

- Poprosiłem pana Paula, by zagrał dziś do tańca. Tym razem pani partnerem, panno Masters, będzie lord Kilmartin. Doszliśmy do wniosku, że powinna pani tańczyć z różnymi osobami. Te słowa zaparły jej dech.

- Ach tak? - powiedziała wreszcie, bardzo cicho.

Gideon zaczerpnął powietrza. Mówił dalej pośpiesznie, bezbarwnym głosem, jakby recytował wyuczoną lekcję.

- Mam do załatwienia pewną sprawę w posiadłości stryja. Spotkam się z panią i z lordem Kilmartinem po południu na...

Urwał i zerknął na pana Paula.

Nie mógł przecież wspomnieć o lekcji dobrych manier w obecności kogoś, kto nie należał do ich spisku!

- Spotkamy się po południu - powtórzył raz jeszcze.

Lily nie odpowiedziała.

Gideon złożył ogólny ukłon i, nie spojrzawszy nawet na Lily, wyszedł z pokoju.

Boleśnie zraniona odwróciła się, by nie patrzeć za nim, i spostrzegła, że Kilmartin spogląda na nią ze współczuciem.

- Czy zatańczy pani ze mną walca, panno Masters? - zaproponował przyjaznym tonem. - Ale nie tak szybko jak zwykle, panie Paul! Niech to będzie powolny walc.

Pan Paul się uśmiechnął.

- Jak pan sobie życzy, milordzie.

- Panno Masters?

Kilmartin wyciągnął do niej rękę, zapraszając ją tym gestem, by podeszła do niego bliżej.

Uczyli to bez protestu. Mieli przecież ćwiczyć walca przez cały ranek.

Obraz przedstawiający widok z okna sypialni barona był już ukończony. Lily podziwiała go ponad ramieniem lorda Lindseya, podczas gdy starszy pan zastanawiał się, którą kartą wyjść.

- Jesteś dziwnie milcząca, moje dziecko. Przebywasz już duchem w Londynie? - Baron wygrał pierwszą partię. Byli teraz w połowie drugiej. - Niedługo wyjedziesz, prawda?

- Jutro, milordzie.

- Ach! I bez wątpienia znajdziesz sobie tam milsze towarzystwo niż ja.

- Nieprawda! Nikt nie mógłby być milszy od pana, milordzie! Baron się uśmiechnął.

- Może i nie... Choć daję ci niezłą szkołę, Lily! Ostatnio ciągle przegrywasz. - Napił się herbaty i odstawił filiżankę na spodek. Brzęk porcelany był teraz dla niej dobrze znanym, kojącym odgłosem.

Ilekróć go usłyszę, pomyślę o lordzie Lindseyu, stwierdziła.

- Rada jestem, że nalegał pan na codzienne spotkania przy kartach, sir! Tyle się dzięki panu nauczyłam...

- Nigdy nie musiałem domagać się spotkań z tobą, Lily, choć z pewnością bym to zrobił, gdyby nie mój bratanek. Przysyłał cię do mnie dzień w dzień od naszego pierwszego spotkania!

- Rada jestem, że się o to postarał, milordzie.

Głos Lily był nieco zdławiony.

- Z pewnością zaręczysz się w Londynie, drogie dziecko. Odwiedzisz mnie jeszcze kiedyś?

Lily obawiała się, że głos odmówi jej posłuszeństwa.

- Tak, sir, oczywiście - skłamała wreszcie cicho.

Cóż znaczy jeszcze jedno kłamstewko w takiej powodzi nieprawdy?

Lily stawiała się na lekcję dobrych manier w nie najlepszym humorze, z Kilmartinem u boku.

Ileż obrzydzenia można czuć do siebie? - myślał z goryczą Gideon. Z pewnością nieskończenie wiele! Zachowywał się, jakby mu rozum odjęło. To był serdeczny i wesoły, to znów dąsał się jak dzieciak. Nic dziwnego, że Lily wydawała się taka przygnębiona.

- Słuchaj no, stary... Czy moja obecność jest konieczna? Przyznam, że wolałbym leżeć w łóżku z zimnym kompresem na czole.

Gideon spojrział na przyjaciela. Laurie rzeczywiście był niemal zielony. Chyba wirowanie w walcu niezbyt mu posłużyło po niedawnych kłopotach z powodu eliksiru McBride'a. Gideon poczuł wyrzuty sumienia.

- Jakoś się obejdziemy bez ciebie, Laurie. Tę ostatnią lekcję spędzimy ćwicząc prawidłowy chód. Panna Masters uparcie wysuwa brodę jak zadziorny bokser i biega, zamiast normalnie chodzić!

Zauważył, że Lily, słysząc te słowa, zadarła głowę jeszcze wyżej. W porządku! Lepiej niech będzie zbuntowana niż przygnębiona.

- Dziękuję, Gideonie! Nie zapominaj, że mamy jeszcze obejrzeć po południu klacz Cunningtona. A z panią, panno Masters, spotkam się dopiero jutro rano... wyjeżdżamy skoro świt!

- W takim razie do zobaczenia, milordzie!

Lily wdzięcznie dygnęła.

I tak oto Gideon został z nią sam na sam. Przez chwilę spoglądali na siebie, skrępowani. Lily nadal zadzierała głowę.

Mój Boże, ależ ona ma śliczną, długą szyję! - pomyślał mimo woli. Jak delikatnie wyłania się z dekoltu tej jasnej sukni... zupełnie jak łabędź!

Jak łabędź?!

- Proszę za mną, panno Masters!

Wykręcił się na pięcie i niemal biegnąc, opuścił salę balową. Słyszał za sobą szaleńczy tupot pantofelków Lily. Gideon sprowadził ją schodami na dół, po czym wyszli do ogrodu na tyłach domu. Zatrzymał się dopiero przy fontannie i wskazał trzy piękne białe łabędzie, pływające dumnie w basenie.

Niechże się pani przyjrzy tym łabędom, panno Masters. Suną po wodzie, unosząc głowy wysoko i dumnie, ale bez przesady! Stać panią na to, by poruszać się równie pięknie jak one! Pani broda sterczy pod

niebo... - Zadarł głowę, naśladując ją. Uśmiechnęła się lekko. - Trochę niżej, dobrze? Tylko troszeczkę! Niechże się pani postara!

Lily wyzywająco uniosła głowę do góry i ruszyła posuwistym krokiem przez trawnik, mocząc brzeg sukni w rosie.

- Jak było?

- Hm... Ramiona w porządku, ale głowę proszę opuścić troszkę niżej... i płynąć! Nie, nie tak szybko! Przecież się pani nigdzie nie spieszy ani przed nikim nie ucieka! Proszę sobie wyobrazić, że jest pani królową. Nikomu nie trzebi rzucać wyzwania, rządzi pani wszystkim i panuje nad wszystkimi! Oczy całego świata są zwrócone na panią.

Lily otrząsnęła się lekko, jakby zrzucała z siebie nieodpowiedni kostium i przybrała nieco inną pozę. A potem - z ramionami odchylonymi lekko do tyłu, z rękoma swobodnie opuszczonymi, z głową lekko uniesioną... popłynęła. Pełna wdzięku i majestatu. Nareszcie!

- O to właśnie chodziło, Lily! Wspaniale! Zupełnie jak królowa!

Głos mu się załamał. Wyglądała naprawdę po królewsku - szlachetnie, władczo i dumnie. Słońce zmieniło jej ciemnozłote włosy w błyszczącą koronę.

Zatrzymała się.

- Naprawdę wszystko było jak należy?

Jej szeroko otwarte oczy pełne były nadziei.

- Tak. - Uśmiechnął się do niej. - Po prostu cudownie!

Długi, jasny włos przylgnał jej do szyi jak złota nić. Gideon odruchowo ujął go w palce, muskając przy tym leciutko szyję Lily.

Znieruchomiła.

Na czole Gideona pojawiła się niewielka zmarszczka. Jeszcze przez chwilę dostrzegął to i owo z otoczenia - trzepoczącą koronkę przy dekolcie Lily, łabędzia rozpościerającego skrzydła, stare krzewy różane...

A potem oczy i usta dziewczyny przesłoniły mu cały świat.

Nie odrywając oczu od Lily, wziął ją pod brodę. Powoli, bardzo powoli gładził palce jedwabistą skórę na podbródku. Powieki jej zatrzepotały i opadły na oczy.

- Wybacz mi! – szepnął cichutko.

Pochylił się nad nią.

Było to raczej muśnięcie warg niż pocałunek. Ale tylko przez chwilę ograniczył się do tak subtelnej pieśczoły. Od tak dawna usiłował zdła-

wić w sobie pożądanie! Dotyk jej ust wydał mu się prawdziwym cudem – były takie miękkie i uległe. Wargi Gideona łagodnie naciskały, ocierając się o nie, aż wreszcie rozchyliła usta i pozwoliła, by jego język wślizgnął się do środka. A kiedy wydała cichy, tęskny, gardłowy pomruk, ręce Gideona zsunęły się z jej ramion i otoczyły smukłą talię. Dłonie Lily zawędrowały na jego pierś, by w końcu objąć mocnym uściskiem jego szyję.

A potem odchyliła głowę do tyłu, jakby otwierając się cała na jego pieszczoty.

W pocałunkach Lily nie było nic sztucznego, nic wyuczonego. Powodowały ją namiętność i odwieczny kobiecy instynkt. Oszołomiony z zachwytu i pożądania Gideon drapiecznie zaatakował jej usta. Wargi Lily, również zgłodniałe, wyszły mu na spotkanie. Ich języki splotły się, cofnęły i znów złączyły ze sobą, a palce Lily pieściły jego kark.

Była to rozkosz słodsza i bardziej przejmująca niż wszystko, czego zaznał do tej pory.

Wargi Gideona przesunęły się z ust Lily na jej szyję. Rozkoszował się delikatnością skóry, wyczuwał bijące pod nią tętno. Lily westchnęła i wymamrotała coś cichutko. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, przytulił tak, że poczuła, jak bardzo jest pobudzony. Pojęła, jak działa na niego bliskość i zapach jej ciała. Przyłgnęła twarzą do jego szyi i poczuł jej gorący oddech i dotyk rozpalonych warg. Przywierała do niego coraz mocniej, ocierała o niego biodrami i - spragniona rozkoszy - doprowadzała go niemal szaleństwa. Ona także mnie pragnie, powtarzał w myśli.

Ta świadomość go rozzuchwalała. Stał się bardziej natarczywy, impulsywny i żywiołowy. Jego usta ponownie zaatakowały wargi Lily, bardziej świadomie niż poprzednio. Podciągnął do góry jej suknię, pragnąc czym prędzej dotrzeć do wewnętrznej strony ud, do ognia tłącego się między nogami, zanurzyć palce w wilgoci, która z pewnością już się tam zbierała. Chciał sprawić, by Lily drżała w jego ramionach i w upojeniu powtarzała jego imię.

Mogę wziąć ją teraz, zaraz! Będzie moja tu, w ogrodzie...

Nagle zaskrzeczał rozzłoszczony czymś łabędź i Gideon oprzytomniał. Wrócił mu rozsądek. Oderwał natychmiast usta od jej ust i - jak pod wpływem szoku - znieruchomiał, trzymając dziewczynę w pewnej odległości od siebie. Lily oparła czoło o jego pierś. Stali tak przez

dłuższy czas, tak im się przynajmniej zdawało, oddychając z wysiłkiem, a letnie słońce prażyło ich swoim żarem.

W końcu Gideon uwolnił się z uścisku Lily i popatrzył na nią. Policzki miała zaczerwienione, wargi nabrzmiałe, ciemnoróżowe, a oczy półprzysłone, nadal gorejące.

Opadł na ławeczkę z kutego żelaza i siedział bez ruchu, z rękoma bezwładnie spoczywającymi na udach, wydawał się udręczony ponad miarę.

- Lily, ja nie mam prawa... Nie powinienem...

Usiadła na ławce w pewnej odległości od niego. W ciszy, jaka zapadła słycać było plusk wody, spływającej bez ustanku z fontanny do basenu w którym pływały łabędzie.

Zmysły Lily, rozbudzone pieszczotami Gideona, nadal były jak w ogniu. Jej palce, wargi i szyja zachowały wspomnienie niezwykłych przeżyć. Dotykała jego jedwabistych włosów i rozpalonej skóry, jego słodkie, natarczywe usta stapały się z jej ustami, czuła zapach jego ciała, słony i piżmowy... wszystkie te doznania były o wiele potężniejsze od dotychczasowych fantazji czy książkowych opisów.

- Ona jest uosobieniem wszelkich zalet - odezwał się w końcu Gideon, jakby do siebie. Spojrzał na Lily i pośpiesznie się odwrócił, jakby już sam jej widok sprawiał mu ból. - Mówię o Constance. Ma majątek i pozycję w świecie. Jest córką markiza.

Mówił to tak, jakby usiłował przekonać o tym fakcie nie tylko Lily, ale i siebie.

Milczała.

- Widzisz... - Gideon odetchnął głęboko. - Moja siostra, Helen... Jej mąż nie jest... dobrym człowiekiem. - Zamilkł na chwilę. - Pije.

- O! Papa też pił - powiedziała Lily, ale czuła, że chodzi o coś więcej.

Gideon pośpiesznie odwrócił się do niej.

- Czy on cię kiedyś... uderzył?

- Nie. Przepił tylko wszystko, co posiadaliśmy.

Uśmiechnęła się smutno. I nagle zrozumiała.

- Czyżby jej mąż?...

Gideon przymknął ze znużeniem piękne ciemne oczy. Kiedy znów je otworzył, wydawały się stare jak świat i udręczone. Jakimś bezradnym gestem przyłożył dłoń do policzka.

- Miała tu siniaki, Lily. Jakby ją ktoś uderzył pięścią. Nieraz je widziałem. Helen nie powiedziała mi nic otwarcie, ale jestem tego pewien. On się upija - stwierdził ponuro - a potem ją bije.

- Och, Gideonie!

Głos Lily się załamał.

- Widzisz, Lily, kiedy straciliśmy rodziców, zostało nam bardzo mało pieniędzy i masa długów. Ogromnych długów. A ja... No cóż, byłem chłopcem. I przyznaję, że się bałem. Sprzedaliśmy nasz dom, żeby spłacić długi. Zostały nam nędzne resztki. Rozmawialiśmy na ten temat i Helen postanowiła wyjść za człowieka, który się jej oświadczył, żebym mógł studiować za pieniądze, które jeszcze mieliśmy. Miała wtedy siedemnaście lat, ale zapewniała, że ma ochotę wyjść za mąż. Teraz jednak myślę, że gdybym zamiast wracać do Oksfordu, poszedł od razu do wojska.. Może z żołdu uzbierałbym na posag dla siostry i zapewniłbym jej lepszy los. Ale ja - dodał gorzko - chciałem dalej studiować. Chciałem odzyskać wszystko, co mój ojciec stracił. Zdobyc i zachować fortunę, uratować honor rodziny, o ile było jeszcze coś do uratowania. Helen wiedziała o moich marzeniach i częściowo z tego powodu wyraziła zgodę na małżeństwo. Nie przypuszczam, żeby jej mąż od początku był taki zły. Jednak pił coraz więcej i zachowywał się coraz bardziej brutalnie.

Lily przymknęła oczy i czuła, jak wzbiera w niej ból. Gideon Cole - obrońca słabych i bezbronnych, pogromca złoczyńców - przeżywał piekło na ziemi. Zadręczał się, gdyż nie był w stanie obronić własnej siostry.

- A stryj? Czy siostra nie mogła zamieszkać w Aster Park?

- Widzisz, Helen nazbyt się wstydziła. Stryj Edward był zdecydowanie przeciwny temu małżeństwu. Od samego początku. Zupełnie jakby wiedział z góry, co ją czeka. Pokłócili się okropnie i od tej pory nie zamienili ze sobą ani słowa. Helen nigdy by nie przyjechała do Aster Park! Ale jeśli ożenię się z lady Constance Clary, chyba zdołam skłonić Helen, by zamieszkała pod moim dachem. A w najgorszym wypadku będę mógł kupić dla niej jakiś domek...

Lily pojęła, co Gideon starał się jej wytłumaczyć. Był porządnym, dobrym, szlachetnym człowiekiem. Miał najlepsze instynkty i poczucie honoru. Ale nic w jego życiu nie uległo zmianie i ambitny plan nadal odgrywał w nim dominującą rolę. A lady Constance Clary stanowiła rękojmię lepszej przeszłości.

- Nie będę cię zatrzymywał, jeśli zechcesz opuścić Aster Pal Lily.
Wypowiedział te słowa, nie patrząc na nią. Głos mu się rwał.

Kocham go! Uświadomienie sobie tego było dla Lily takim szokiem, jakby ktoś ją uderzył kamieniem. Choć już od kilku dni podejrzewał jak wygląda prawda. Kochała Gideona. Był to niezwykły, rozkoszny ból - zwiastun narodzin, a zarazem śmierci. Wpatrywała się w profil ukochanego, ogarnięta dziwnym poczuciem nierealności. Uświadamiała sobie tylko jedno - coś, co wydawało się wręcz stworzone dla niej, nigdy, przenigdy nie stanie się jej udziałem.

Wysłuchana w plusk fontanny, Lily myślała: Taka właśnie jest miłość. Wypełnia cię po brzegi i musisz nią kogoś obdarzyć, bo inaczej cię zaleje...

- Pojadę do Londynu, Gideonie. Pomogę ci zdobyć Constance. - Włożyła w te słowa całe serce i miała nadzieję, że Gideon zdaje sobie z tego sprawę. - Zrobię wszystko, żeby zapewnić ci realizację planów.

Odpowiedział tym samym leniwym uśmiechem, na widok którego serce wrywało się jej z piersi.

- Dziękuję, Lily!

Nie wyglądał jednak na kogoś przepelnionego radosną wdzięcznością. Zdawało się raczej, że nęka go śmiertelny ból.

- Ale gdy zaręczysz się z lady Clary, odejdę - dodała cicho.

Gideon wpatrywał się w twarz Lily, jakby uczył się na pamięć jej rysów.

- Jeśli tego właśnie sobie życzysz...

Głos miał zdławiony.

Oboje wiedzieli, że Lily, dumna Lily, nie zgodzi się na nic innego.

„Nigdy nie zdawaj się na łaskę i niełaskę mężczyzny, Lily!”

- Tak, tego właśnie sobie życzę - odparła łagodnie, ale stanowczo. Skinął głową.

- Jak sobie potem dasz radę?

- Przeżyję, jak zawsze.

Starła się obrócić to w żart, ale głos się jej załamał, co zniweczyło końcowy efekt.

Znowu zaległa pomiędzy nimi cisza. Lily miała wrażenie, że rozdzielająca ich przepaść staje się coraz większa.

- Hej, Gideonie! Wybieramy się do Cunningtona obejrzeć tę klaczkę czy nie? - dał się słyszeć z drugiego końca ogrodu wesoły głos Kilmartina.

- Już idę, Laurie!

Gideon wstał, Lily poszła za jego przykładem.

- A więc... Do jutra, panno Masters?

- Do jutra, panie Cole.

Wykonała prześliczny dyg. Po ustach Gideona przemknął cień uśmiechu.

- Nie obawiaj się towarzystwa, Lily! Jesteś najprawdziwszą damą ze wszystkich, jakie miałem przyjemność poznać.

Skłonił się jej nisko, a jego włosy żarzyły się w słońcu jak płonące węgle, kiedy oddalał się, ponaglany niecierpliwym wołaniem Kilmartina.

13

Do pioruna! Jeszcze jedna krewniaczka, co?

Tymi słowami hrabina Avery powitała całą trójkę, gdy przybyli do jej londyńskiej rezydencji.

Ciocia Hester przyjrzała się uważnie Lily przez lorgnon. Zza szkieł wodnistoniebieskie oczy starej damy wydawały się ogromne. Soczewki uwydatniały też miliony drobniutek zmarszczek na twarzy hrabiny.

- Nie wdałaś się w nikogo z Mowbrych! Co prawda nie mogę być tego całkiem pewna, bo najbliżsi krewni Lawrence'a mnożą się jak króliki - stwierdziła bez ogródek, zakończywszy oględziny. - Zupełnie się już nie mogę połapać, jeśli idzie o tę gałąź naszej rodziny. Nieważne! Miło mi cię poznać, witaj, moja droga. A jeśli jesteś moją krewną, możesz mówić do mnie „ciociu Hester”. Zgodziłam się zostać twoją przyzwoitką i mam nadzieję, że potrafisz docenić moje poświęcenie. To cholerne nudziarstwo, żebyś wiedziała!

Z tym słowy ciocia Hester odwróciła się raptownie i opuściła pokój, mocno utykając i stukając energicznie laską o podłogę. Wszyscy troje otwartymi ustami spoglądali za odchodzącą.

- Twoja ciocia, Laurie, jest doprawdy czarująca - zdołał w końcu wykrztusić Gideon.

- Jest po prostu stara, rozumiesz? Nie przejęłaby się pewnie, gdybyśmy urządzili przyjęcie dla wszystkich aktoreczek z Druty Lane w salonie na parterze. Prawdę mówiąc, pewnie by nawet nie usłyszała, co się tam święci! Ale jest uosobieniem szacowności, a tego nam właśnie trzeba. Uważajcie na jej laskę! Nieraz nią oberwałem po nogach jako smarkacz... Cioteczka potrafi się zamachnąć!

- Mówi „do pioruna” i „cholerny”! - Lily pełna była najwyższej podziwu. - I ani razu nie dygnęła!

- Dawno temu skończyła z tym raz na zawsze - wyjaśnił Kilmartin. - Ludzie starzy i bogaci mogą sobie pozwolić na takie dziwactwa. Zresztą gdyby spróbowała dygnąć, pewno nigdy by się nie podniosła.

- Ona mi się podoba! - oświadczyła Lily.

- Niech pani tylko nie przyjdzie do głowy ją naśladować, panno Masters! - Gideon uśmiechnął się lekko. - Pani ma dygać i szeptać: „O mój Boże!”, zrozumiano?! Pora rozgościć się w przygotowanych dla nas pokojach. Gdzież są lokaje z bagażami?

Jak na zawołanie, cały zastęp lokajów - zdumiewająco młodych, przystojnych i krzepkich - wkroczył z kuframi, zawierającymi londyńską wyprawę Lily i ruszył po schodach na górę, wskazując gościom drogę do ich pokoi.

Gideon pokazał Lily stertę biletów wizytowych na tacy.

- Napomknąłem kilku znajomym, że wracam na łono londyńskie socjety. Laurie postąpił podobnie i wspomniał o pani przyjeździe. Ta powódź biletów wizytowych jest reakcją towarzystwa na te wieści. Wszyscy pragną panią poznać, panno Masters, gdyż każda nowa twarz budzi tu zainteresowanie. Dziś wieczorem zaczynamy na dobre naszą kampanię, weźmiemy udział w balu. To coroczna impreza u lady Braxton. Zniesie pani taką próbę, Lily?

Zgodnie z jego oczekiwaniami, Lily wyzywająco zadarła brodę. Gideon uśmiechnął się lekko. Stawianie czoła wyzwaniom było dla niej czymś równie naturalnym jak oddychanie.

- Uwaga na brodę! - szepnął jej. - Pomyśl o łabędziu!

Natychmiast pożałował, że to powiedział. Słowo „łabędź” kojarzyło się im obojgu z ogrodem, palącym słońcem i tym niezapomnianym pocałunkiem. Widział, jak policzki Lily pokrywają się czerwieńią. Sam też poczuł, że twarz go niepokojąco piecze. Postanowił poświęcić całą uwa-

gę lokajom. Dogonił ich na schodach i zasypał najrozmaitszymi poleceniami.

Bezsukutecznie usiłował wmówić sobie, że nie czuje na plecach spojrzenia pięknych oczu w kolorze wody morskiej.

Smakowite zapachy dotarły do pokoju Gideona. Ciocia Hester miała znakomicie wyszkoloną służbę i bynajmniej nie morzyła jej głodem. Zapewne opłacała ją równie dobrze. A może po prostu wszyscy obawiali się jej laski?

Gideon usiadł na łóżku i otworzył małe puzderko. Nie dotykał go od lat, toteż wieczko zaprotestowało skrzypinięciem. Ale naszyjnik - pojedynczy okrągły brylancik na złotym łańcuszku - nie stracił nic ze swego blasku. Gideon wziął błyskotkę do rąk i zawiesił łańcuszek na palcu. Klejnot kołysał się lekko, a mały brylancik połyskiwał w słońcu.

Naszyjnik należał do matki Gideona i był jednym z nielicznych przedmiotów, których jego ojciec nie przegrał ani nie zastawił. Matka bardzo lubiła ten klejnocik, a Gideon i Helen dobrze wiedzieli, że gdy mama wkłada brylant, to okazja musi być naprawdę uroczysta!

Lily powinna mieć prócz modnych sukien także coś z biżuterii. Gideon zamierzał niegdyś podarować tę rodzinną pamiątkę Constance, kiedy już będą po ślubie, ale potem zmienił zdanie. Z pewnością niepozorny brylancik sprawiłby obdarowaną w zdumienie i zakłopotanie. Mógłby podarować go Helen, ale bardzo możliwe, że mąż odebrałby jej klejnocik i go przepił.

Dlaczego jednak miałby dawać naszyjnik Lily? Znajomość z nią była nieistotnym epizodem w jego życiu. Lily zniknie, gdy ta komedia dobiegnę końca. A jeśli on sam przestanie rozmyślać o pocałunku w ogrodzie, nawet wspomnienie o niej wkrótce całkiem zblaknie.

Tylko że ani rusz nie mógł przestać o tym myśleć.

Ogarnęło go znowu -jak nagła słabość - gorące pożądanie, nieporównywalne z niczym, czego doświadczył w życiu. Ubiegłej nocy bezsennie myślał, że chyba umrze, jeśli nie zdobędzie Lily Masters. I to szybko!

Ale nie będzie jej nakłaniał ani nalegał. Chciał, żeby go wybrała dla niego samego, a nie z rozsądku, by zdobyć opiekuna. Jeśli więc nie przyjdzie do niego z własnej woli... No cóż, jego pragnienie nigdy się nie spełni.

Zwymyślał się w duchu od ostatnich. Opanuj się, na litość boską, Cole! A całą tę tragedię w byronowskim stylu pogarszał jeszcze fakt, że ugrzązł z nią i z Kilmartinem na głuchej prowincji, niczym w klasztorze! Stanowczo od zbyt dawna nie miał kobiety.

Nie do pomyślenia, by w stosunku do Constance mógł do tego stopnia stracić kontrolę nad sobą, by zdrzeć jej spódnice! Jak tylko znów zobaczą Constance, wróć do rozumu, pomyślał. Constance, arystokratka z krwi i kości, była po prostu wspaniała! A poza tym stanowiła gwarancje lepszej przyszłości, którą od lat usiłował sobie zapewnić.

Gideon postanowił więc, że zamiast zasiąść do obiadu w towarzystwie Lily i Kilmartina, uda się do White'a, a zabiorą go stamtąd, jadąc na bal, Naszyjnik przekaże Lauriemu z prośbą, by wręczył go Lily. Wolał nie spoglądać w jej roziskrzone oczy w chwili, gdy otrzyma od niego tę błyskotkę. Nie chciał też wzbogacać tym obrazem galerii wspomnień o Lily Masters.

Im mniej ich zachowa, tym mniej będą go dręczyły, gdy dziewczyna odejdzie.

- Gideon nie będzie nam towarzyszyć przy obiedzie, panno Masters - oznajmił Kilmartin beztróskim tonem. - Ale to i lepiej. Wszystkie przysmaki pozostaną dla nas! Zajedziemy po niego do White'a przed samym balem. Mój Boże! Wygląda pani jak marzenie!

Niepożądane wieści, przekazane tak pogodnym tonem, rozdrażniły Lily jeszcze bardziej. Była niemal w szoku.

- Dziękuję za komplement, milordzie - wykrztusiła w końcu.

W innych okolicznościach pochwała z ust Kilmartina sprawiłaby jej prawdziwą przyjemność. Wiedziała, że jego serce spoczywa w rękach lady Anne Clapham i że Laurie nie sili się na puste pochlebstwa. A zatem jego komplementy były absolutnie szczerze.

Ale gdzie się podziewał Gideon? Była rozczarowana jego nieobecnością. Miała na sobie suknię z błękitnego atłasu, jedną z tych toalet, w których - jak zapewniała madame Marceau - wyglądała jak gwiazda sezonu. Chciała więc wyczytać potwierdzenie tej opinii w oczach Gideona. Dodałoby jej to odwagi.

- A prawda! Zostawił coś dla pani. - Kilmartin wyjął pudełeczko.

- Naszyjnik. Powinniśmy byli już wcześniej o tym pomyśleć!

Przecież młoda dama potrzebuje odpowiedniej biżuterii dla podkreślenia uroku toalety. No więc ma pani ten drobiazg! I wręczył puzderko Lily.

- Och!

Wpatrywała się w nie przez chwilę bez słowa, po czym drżącymi rękoma uniosła wieczko. Serce w niej zamarło. Czyżby to był naprawdę brylant? Na złotym łańcuszku? Gideon dał jej brylant?

- Tak, to brylant - zapewnił ją Kilmartin. - Co prawda niewielki, należał, zdaje się, do matki Gideona. Mój przyjaciel pragnie, by teraz należał do pani.

- Och! - powtórzyła Lily słabym głosem.

- Czy zapiąć go pani na szyi?

Kilmartin miał niewyraźną minę. Nie ulegało wątpliwości, że woli nie mieć nic wspólnego z szyją Lily.

- Nie, nie! Dziękuję, sama sobie poradzę.

Lily ścisnęła w rękę pudełeczko tak nabożnie, jakby zawierało żywe, tętniące serce Gideona.

Jechali na bal do lady Braxton, w powozie panowała cisza. Wszyscy troje - Kilmartin, Gideon i Lily - byli spięci jak trójka opryszków, szykujących się do napadu na dylizans. Lily siedziała naprzeciw Gideona. Była ukryta w cieniu, a jedwabny szal osłaniał ją całkowicie. Gideon zastanawiał się, którą z kreacji madame Marceau postanowiła włożyć na ten niezwykle ważny występ. Czy nie byłoby lepiej, gdyby pomógł jej w wyborze toalety?

Ciocia Hester siedziała obok Lily, pochrapując cicho. Ze względów przyzwoitości zgodziła się towarzyszyć im, ale tylko tak długo, by wszyscy zauważyli, że matkuje pannie Masters. Potem zamierzała się wymknąć - na tyle dyskretnie, na ile groźna dama, odziana w czarną bombazyńkę, mogła to uczynić.

- Wygląda pani jak marzenie, panno Masters - odezwał się znów Kilmartin, chcąc dodać Lily otuchy.

Powtórzył to już co najmniej trzy czy cztery razy, tak że przypominało to raczej ataki nerwowej czkawki niż prawienie komplementów. Irytowało to Gideona.

Omówili dokładnie, jak wszystko powinno się odbyć. Lily wkroczyła na salę wsparta na ramieniu Kilmartina, ciocia Hester ruszyła zaraz za nimi. A Gideon zaczekał jakiś czas, po czym zmiesza się z tłumem i będzie obserwował pochód - oby zwycięski - Lauriego i Lily, by wreszcie spotkać się z nimi i na oczach wszystkich przywitać się oficjalnie z panną Masters.

- Musisz odparować każdą zaczepkę! - przypomniał jej Gideon szeptem.

- Historyjki! - dorzucił nerwowo Kilmartin. - Proszę nie zapominać o swoich historyjkach!

Lily uśmiechnęła się i jej uśmiech - niczym promyk słońca - rozjaśnił panujące w powozie ciemności. Miało się wrażenie, że dziewczyna dodaje odwagi towarzyszom, choć powinno być odwrotnie.

Zaczęło się od pozornie nic nieznaczącego incydentu. Kilmartin i Lily weszli na salę przez rzęsiście oświetlone łukowate drzwi, mijając przy tym zastęp lokajów. Gideon trzymał się z tyłu i obserwował, co będzie dalej.

Dostrzegł lorda Stanleya, który rozglądał się, zapewne szukając w tłumie znajomych. Nieuważne spojrzenie lorda zatrzymało się i rozbłysło na widok Lily.

Znieruchomiał.

Jego lordowska mość się zagapił.

W chwilę później oderwał wzrok od Lily i szepnął coś do towarzysza, lorda Jak-mu-tam Gideon nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska.

Lord Jak-mu-ram wlepił wzrok w Lily z równym entuzjazmem co lord Stanley. W miarę jak Lily i Kilmartin wolniutko torowali sobie drogę w tłumie, coraz więcej głów odwracało się w ich stronę.

Z grubsza przypominało to wędrówkę płomienia wzdłuż tłącego się lontu.

Olśniewająca Lily płynęła jak łabędź przez tłum, wsparta na ramieniu Kilmartina, zaczerwienionego z powodu tyłu oczu zwróconych w ich stronę, a także z satysfakcji, jaką poczułby każdy, wkraczając na bal w towarzystwie jednej z najpiękniejszych dziewcząt w Londynie. W blasku świec Lily dosłownie promieniowała - od ciemnego złota włosów po rąbek srebrzystobłękitnej atlasowej sukni, przesłoniętej zwiewną gazą. Przypominała mgiełkę ulatującą ku niebu o świcie.

Madame Marceau jest genialna, pomyślał Gideon. Lily cała jaśniej! Wygląda jak zjawisko nie z tego świata!

Ze wszystkich ludzi stłoczonych w sali balowej on jeden wiedział, jak bardzo ziemską z niej istota. Tylko on czuł pod wargami szaleńcze bicie serca...

Odetchnął głęboko. Powinien rozejrzeć się za Constance!

Ponieważ lady Clary należała do tych, których trudno nie zauważyć, odnalazł ją niebawem. Wyglądała jak uosobienie wiosny w haftowanej złotem jedwabnej sukni w kolorze wierzbowych listków. Otaczała ją grupa śmiertelników pomniejszego kalibru, między innymi jej damy dworu. Doprawdy zapierała dech w piersi, zupełnie jak Partenon, gdy spogląda nań po raz pierwszy.

Constance również obserwowała zwycięski przemarsz Lily przez zatłoczoną salę. Miała przy tym taki wyraz twarzy, jakiego Gideon nigdy jeszcze u niej nie widział - zmrużone oczy spoglądały czujnie i podejrzliwie.

Tłum pochłonął Kilmartina i Lily. Gideon stracił ich z oczu.

Constance poczuła na sobie wzrok Cole'a. Wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił. Uśmiechnęła się - pewna siebie, olśniewająca - i dyskretnie skinęła mu głową. Gideon odwzajemnił się leniwym, gorącym uśmiechem, który sprawiał, że wszystkie kobiece serca - a nawet i niektóre męskie - zaczynały bić na alarm. Skłonił się w odpowiedzi na lekkie skinienie głowy Constance. Potem zaś, zapominając o niej i o wszystkich wyciągających się do niego rękach i radosnych powitaniach, ruszył przez tłum w ślad za Kilmartinem i Lily.

To zupełnie jak jedna z moich historyjek! Znalazłam się w samym środku wymyślonej przez siebie bajki!

Lily postanowiła potraktować to wydarzenie jak uroczy sen. We śnie człowiek poddaje się rozkosznym marzeniom, raduje się ich urokiem i - co najważniejsze - budzi się potem, nie doznawszy żadnego szwanku. Serce Lily, które do tej pory tłukło się gwałtownie w jej piersi, zwolniło tempa i zaczęło się zachowywać, jak należy.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tylu pięknych i zadbanych ludzi, zebranych razem! Błyszczeli wprost od klejnotów, jakby żyrandole miały specjalnie podkreślać blaskiem zalety ich kosztowności - pierścieni

i naszyjników, bransolet i diademów. Jedna taka błyskotka wystarczyła żeby zapewnić jej i Alice utrzymanie do końca życia!

Lily przybyła tu jednak ze względu na Gideona i jego genialny plan, a nie po to, żeby zapewnić sobie dostatnią przyszłość.

Przystojni i wytworni młodzieńcy tłoczyli się, żeby ich przedstawiono. Ich zapał powściągały surowe reguły dobrego wychowania. Lord Jarvis, sympatyczny, uśmiechnięty jasnowłosy dżentelmen, zapewnił sobie u Lily walca. Kilku innym przyrzekła, że zatańczy z nimi reela, podsuwając im karnecik, żeby się wpisali. Kilmartin zachowywał się opiekuńczo, choć nieco nerwowo.

Gideon zjawił się w chwili, gdy Lily zdołała oswobodzić rękę z uścisku wielkiej łapy przystojnego, młodego George'a Willetta.

- Miło mi było poznać pana, panie Willett - powiedziała. - Już się cieszę na nasz wspólny taniec!

Oniemiały z zachwytu Willett kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, potem zrezygnował z odpowiedzi, ograniczył się do ukłonu i się wycofał.

- Witaj, Cole. Znasz chyba moją kuzynkę, pannę Masters? - wyrecytował Kilmartin, jakby czytał z kartki.

- Więcej naturalności, Laurie! - mruknął do niego Gideon. - Miło mi znów panią widzieć, panno Masters! - odezwał się głośno, na użytek każdego, kto chciałby ich podsłuchiwać.

Skłonił się, ujmując wyciągniętą ku niemu rękę. A potem wyprostował się bez pośpiechu i spojrzał jej w oczy.

Lily zorientowała się, że niezwykle długo stoją tak z Gideonem zapatrzeni w siebie, gdy dostrzegła wyraz konsternacji na twarzy Kilmartina. Wysunęła dłoń z uścisku Gideona i niemal bezwiednie dotknęła naszyjnika. Spojrzenie Gideona padło również na klejnot. Przez chwilę wydawał się naprawdę poruszony.

- Zanim do nas podszedłeś, Lily zawarła znajomość z lordem Jarvisem! - powiadomił go Kilmartin cicho, ale z wyraźnym podnieceniem. - Poprosił ją o walca!

- Doskonała nowina, Laurie! Zatańczy z Constance o jednego walca mniej. Czy i dla mnie zarezerwuje pani ten taniec? A może nawet dwa?

Spoglądał na nią z lekkim rozbawieniem.

Lily zdołała tylko skinąć głową. Uświadomiła sobie, że zadziera brodę i pochyliła głowę. Gideon obdarzył ją krzywym uśmiechem.

Nagle przyciągnęła jej wzrok jakaś ruchoma, barwna plama. Lily przyjrzała się jej uważnie i spostrzegła niepokojąco piękną kobietę - czarownicą wizję, spowitą w zieleń i złoto, która płynęła ku nim z leniwym wdziękiem szybującego w powietrzu liścia. Lily przez chwilę spoglądała na nią z nieukrywaniem podziwem. Było to jak... nadejście wiosny! Samo pojawienie się tej kobiety wydawało się czymś niezwykłym. Nie zdziwiłaby się, gdyby jej triumfalnemu pochodowi towarzyszył niebiański chór. I nagle Lily domyśliła się przerażającej prawdy. To była lady Constance Clary!

Koniec z udawaniem, że to wszystko jest pięknym snem. Każda uwaga Gideona na temat tej cholernej baby była niewątpliwie szczerą prawdą! Co więcej, rzeczywistość przewyższała wszelkie opisy, nagle Lily gorzko pożałowała obietnicy, że zrobi wszystko, by zaćmić lady Constance Clary. Jak, na litość boską, można rywalizować z boginią?! Dzięki znajomości mitów greckich Lily wiedziała, jaki był los śmiertelników, którzy zadarli z mieszkańcami Olimpu - zmieniali się w zwierzęta, drzewa i co tam jeszcze. Najwidoczniej pocałunek w ogrodzie zmaćcił jej rozum. Nie należy składać żadnych przyrzeczeń bezpośrednio po takich pocałunkach, myślała z desperacją Lily, a jej serce znów tłukło się o żebra. „Lepiej zmykajmy stąd od razu!” - nawoływało rozpaczliwie.

- Dobry wieczór, lady Clary - odezwał się Gideon do nowo przybyłej, jakby była zwykłą śmiertelniczką. - Czy mogę przedstawić pannę Lily Masters z Sussex, kuzynkę lorda Kilmartina?

Constance zwróciła na Lily chłodne szare oczy. Były piękne - wielkie, okolone jasnymi rzęsami, tak przezroczyste, że Lily przysięgłaby, iż dostrzegła w nich własne odbicie. Lady Clary dygnęła. Był to, rzecz jasna, bezbłędny dyg, pełen niewymuszonej gracji.

- Jak się pani miewa, panno Masters? - spytała.

Gdyby ton Constance był ciepły i miły, Lily skapitulowałyby ostatecznie. Wybiegłaby w ciemną noc, zdzierając z siebie kreację madame Marceau, siejąc strzępkami atlasu i wołając: „Ona jest zbyt doskonała! Nigdy bym nie zdołała jej pokonać!” Jednak w głosie, który wycedził: „Jak się pani miewa?”, były twardość stali i błysk miecza wyciągniętego z pochwy. Zaintrygowało to Lily. Jej wojowniczy duch znowu się zbudził.

Odpowiedziała jednym ze swych niezrównanych dygów i przybrała wyraz twarzy, który równie dobrze mógł oznaczać uprzejmość, jak i kompletny brak zainteresowania.

- A jak pani się miewa, lady Clary? Miło mi panią poznać.

Brwi Constance się uniosły, gdy zauważyła niezwykle tembr głosu Lily.

- Doskonale, panno Masters. Chyba nie weźmie mi pani za złe, jeśli powiem, że pani suknia jest... zdumiewająca! - wymruczała jak kotka, zabarwiając ostatnie słowo lekką ironią.

Gideon i Kilmartin równocześnie odwrócili głowy w stronę Lily.

- O! Dziękuję! A pani kreacja... - oczy Lily przesunęły się po całej postaci Constance, potem zaś, głosem umyślnie pozbawionym wszelkiego wyrazu, jakby łaskawie wybaczała rozmówcy popelniony nietakt, zakończyła: - .. jest również niezwykle oryginalna!

Głowy Gideona i Kilmartina odwróciły się błyskawicznie w stronę Constance.

Małeńka, prawie niedostrzegalna zmarszczka pojawiła się między brwiami Constance. Bez wątpienia spodziewała się, że rozmówcy zacznie się jąkać, straci głowę i zaleje się rumieńcem upokorzenia. Nie była przyzwyczajona do tego, że odpierano jej ataki.

- Wolno spytać, kto zaprojektował pani suknię, panno Masters?

- Ależ oczywiście, lady Clary. Spośród londyńskich modystek zdecydowanie preferuję madame Marceau.

Lily pogratulowała sobie w duchu. Udało ci się to sformułowanie. Spryciula z ciebie, Masters!

W uśmiechu Constance była odrobina politowania.

- Ach tak? Nie słyszałam o żadnej madame Marceau.

- Doprawdy? - spytała Lily z ogromnym współczuciem. - No cóż... rzeczywiście niełatwo się do niej dostać. Sama wybiera sobie klientki, nigdy odwrotnie! To prawdziwy honor szyć u niej stroje. Mam sporo jej uroczych kreacji. Zwłaszcza suknie biblioteczne jej pomysłu są doprawdy najpiękniejsze ze wszystkich, jakie widziałam!

Oczy Constance błysnęły na ułamek sekundy.

- Suknie... biblioteczne?

Lily zauważyła, że głowy Gideona i Kilmartina znowu zwróciły się ku niej.

- Tak, oczywiście. - Nagłe zrozumienie, a potem współczucie pojawiło się na twarzy Lily. - Och, czyżby moda na suknie biblioteczne nie dotarła jeszcze do Londynu? W Paryżu eleganci wprost za nimi szaleją!

Piękna twarz Constance na chwilę skamieniała.

- Ależ oczywiście! - odezwała się po sekundzie córka markiza. - Przepadam za sukniami bibliotecznymi. Moja modystka wspaniale sobie radzi pod tym względem! A czy ta... madame Marceau... jest bardzo droga?

Lily nie posiadała się z radości na wieść, że Constance „przepada za sukniami bibliotecznymi”.

- Droga? - powtórzyła ostatnie słowo Constance, marszcząc brwi. No cóż, przypuszczam, że ktoś mógłby tak to określić, jeśli liczy się z kosztami.

Uśmiechnęła się anielsko do Constance.

Ta odwzajemniła uśmiech. Nie miała innego wyjścia.

- Wiejskie powietrze wyraźnie ci służy, Constance. Wyglądasz jak okaz zdrowia! - odezwał się Gideon pogodnym tonem.

Lily omal nie wybuchnęła śmiechem. Bardzo wątpiła, czy komplement tego rodzaju sprawił przyjemność lady Constance Clary. Zwłaszcza w obecności tajemniczej panny Lily Masters z Sussex!

- Dziękuję, Gideonie - odpowiedziała z królewską godnością Constance.

Jej oczy pomknęły w stronę Lily. „Widzisz? - zdawały się mówić. - Jestem z nim po imieniu!”

Lily pozostała doskonale obojętna. Przynajmniej z pozoru.

- Panna Masters obiecała mi parę walców. Może i ty, Constance, ofiarujesz mi choć jednego? - wtrącił znowu Cole.

- Ogromnie mi przykro, Gideonie! - Głos Constance aż ociekał słodyczą. - Przyrzekłam wszystkim lordowi Janasowi.

Brwi Lily zbiegły się na jej czole. Zrobiła zdumioną minę.

- Doprawdy obiecała mu pani wszystkie walce? Ja również przyrzekłam lordowi Jarvisowi jednego i... O! Idzie tu właśnie, by upomnieć się o niego!

Constance poczerwieniała, a Lily uśmiechnęła się promiennie do lorda Jarvisa, który śmiało skłonił się Constance, Gideonowi i Kilmartinowi. Poprowadził dumnie Lily do tańca. Ona zaś odeszła, nie obejrzawszy się ani razu.

Gideon zdławił w sobie chęć pochwycenia jej za łokieć i odciągnięcia od Jarvisa.

- Jeśli chodzi o mnie, to zamierzam wszystkie walce przetańczyć z lady Anne Clapham! — oświadczył Kilmartin z dużym zadowoleniem,

Skłonił się i ruszył na poszukiwanie partnerki, pozostawiając Gideona sam na sam z Constance, która nadal płonęła rumieńcem i najwyraźniej nie mogła uwierzyć, że spotkała ją taka konfuzja.

Gideon nie sądził, że Jarvis jest aż tak podatny na uroki nowości, ale do tańca z Lily wprost się palił. Miał nadzieję, że nie spotka jej nic złego. Czy Jarvis okaże się dżentelmenem? Żeby tylko Lily się nie przestraszyła...

Zdławił w sobie głupie myśli i uśmiechnął się miękko. Lily okazała się po prostu zdumiewająca! Zawsze zresztą taka była. Bez wątpienia potrafi zadbać o siebie, przywykła liczyć tylko na własne siły.

Odwrócił się do pięknej, zarumienionej kobiety, która stała obok niego i poczuł wyrzuty sumienia. Pomyśleć tylko, jak prędko Constance posunęła się do kłamstwa - i to tak niezręcznego - byle uleczyć zraniona, dumę! No, ale do tej pory nic jej nie zagrażało. Pewnie był to dla niej prawdziwy szok.

Skorzystał ze sposobności, by odegrać szlachetnego bohatera.

- Byłbym zachwycony, gdybyś zechciała ofiarować mi walca, Constance. Lord Jarvis najwidoczniej zapomniał o waszej umowie.

Gorączkowy rumieniec na twarzy Constance nieco przybladł. Po chwili wahania z łaskawym uśmiechem przyjęła ramię Gideona. W odpowiedzi uśmiechnął się do niej. Była doprawdy olśniewająca! I szczerze ją podziwiał. Będzie z niej wspaniała żona.

Wprowadził Constance w krąg tańczących par i natychmiast wyciągnął szyję, rozglądając się za Lily.

Któż by przypuszczał, że orkiestra grająca walca może być wysłannikiem piekieł i zadawać takie męki? Wszystko układało się zupełnie inaczej, niż Lily sobie wyobrażała!

W każdym razie zmusiłam lady Constance Clary do uniesienia tych idealnych brwi! - myślała z triumfem, gdy Jarvis wprawnie, po męsku prowadził ją na parkiecie. Miała wrażenie, że udało się jej osłabić nieco pewność siebie Constance. Choć wiara w siebie u takich dam jak lady

Clary opierała się na fundamentach z litej skały, Lily była tego pewna. Trudno doprawdy wstrząsnąć czymś takim!

Na samą myśl o tym, że Gideon trzyma w tej chwili Constance w ramionach, Lily ścisnęło się serce. Obejmował ją w tali i wirował z nią w takt muzyki. Kto wie, czy nie śmiali się razem? A może obdarzył ją właśnie tym leniwym uśmiechem? Stanowili imponującą parę - oboje mogliby z powodzeniem być przybyszami z Olimpu!

Lady Constance Clary, przyszła żona Gideona Cole'a. O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem. Lily poczuła, że nienawidzi Constance.

Jarvis coś do niej mówił... Musi go oczarować, przecież właśnie w tym celu przybyła na bal!

- Można wiedzieć, z jakich stron pani pochodzi, panno Masters?

- Z Sussex, milordzie. Mamy dom w pobliżu Wilmington.

- Z Sussex.. .To doprawdy uroczy region. Czy bywa pani w Brighton?

- Mój ojciec zabiera nas tam co roku. Jak cudownie jest nad morzem!

- Istotnie. Rozumiem, że chętnie pani przebywa na świeżym powietrzu?

- O tak! Konne przejażdżki to jedna z moich ulubionych rozrywek. Mam słodkiego konika, wabi się McBride. Nazwałam go tak po stajennym mojego ojca, który miał taką długą, melancholijną twarz... zupełnie Jak mój koń!

Mimo woli Lily poczuła, że wciągają ta opowieść. Nie ma lepszego lekarstwa na smutki niż dobra anegdota.

Miał? Czyżby przytrafiło mu się coś złego? - spytał z niekłamanym zainteresowaniem Jarvis.

- Ożenił się z dziewczyną z miejscowej oberży i dorobili się dziewięciorga dzieci. No i kilka lat temu McBride zmarł z nadmiaru szczęścia. Tak przynajmniej utrzymuje mój papa!

Lord Jarvis roześmiał się głośno, a Lily obdarzyła go uśmiechem, bardzo z siebie zadowolona.

Panno Masters, gdzie się pani ukrywała do tej pory, że dopiero dziś panią zauważyłem?!

- O, milordzie, to dopiero mój pierwszy sezon! Papa doszedł do wniosku, że powinnam pojechać do Londynu. „Najwyższy czas pokazać się wreszcie londyńskim dżentelmenom, złotko!”, powiedział.

Lord Jarvis znowu wybuchnął śmiechem. Był nią zachwycony.

Udało się. Zdołała go oczarować!

A jednak serce ciążyło jej jak ołów. Aż dziw, że lord Jarvis mógł nią tak wywijać w tańcu!

- Jaka to radość znowu na ciebie patrzeć, Constance! Czy wolno mi zauważyć, że zieleń tej sukni wyprawia istne cuda z twoimi oczami?

- Prawda? - przytaknęła z ożywieniem Constance. - Moja modystka... - zaczęła i urwała. Najwyraźniej straciła nieco wiarę w nieomylność swojej modystki. Była to wina Lily. - Moja modystka zapewnia mnie, że zachowała ten materiał specjalnie dla mnie, ponieważ żadna inna dama z naszej sfery nie ma dość silnej osobowości, by ją wyrazić w tak śmiałym zestawieniu barw! zakończyła z nutką triumfu w głosie.

- Wiem, jak cię cieszą takie ambitne wyzwania - przytaknął Gideon,

- Może jednak powinnam zmienić modystkę?

Teraz najwyraźniej dopraszała się o komplementy!

- Zrobisz, co zechcesz, Constance, ale byłbym niepokieszony, gdybyś zmieniła się choć troszkę. Twoja modystka tak doskonale... pasuje do ciebie!

Constance nie była pewna, czy należy się cieszyć z tej wypowiedzi, Nie był to wszak stuprocentowy komplement. Zmieniła więc temat rozmowy.

- Od jak dawna znasz pannę Masters, Gideonie? - rzuciła od niechcienia.

- Od dwóch tygodni czy coś koło tego - odparł równie niedbałym tonem. - Spędzaliśmy ze sobą na wsi sporo czasu.

- Doprawdy? - Constance zamilkła na chwilę. - Chyba ją zaproszę na jeden z moich obiadów. Chciałabym poznać ją bliżej. Wydaje się bardzo. .. - zawahała się - ...sympatyczna. Tak, ogromnie sympatyczna.

- To prawda! Jest bardzo... - Gideon także zamilkł na chwilę, jakby w poszukiwaniu najstosowniejszego określenia. - Tak, jest bardzo... sympatyczna.

Zawiesił głos i pozwolił, by jego spojrzenie powędrowało gdzieś tęsknie ponad głowę Constance, jakby chciał dać do zrozumienia, że żadne słowa nie są w stanie opisać panny Masters, więc określenie „sympatyczna” musi wystarczyć.

- No cóż, byłoby cudownie, gdyby wszyscy nieznajomi okazywali się równie mili - kontynuowała gładko Constance. - Zwłaszcza gdy są to krewni naszych najbliższych przyjaciół! A jaka jest jej rodzina?

- O, jej ojciec to prawdziwy krezus.

- Krezus? - zapiszczała Constance nieswoim głosem.

- Jest bardzo bogaty - zapewnił ją Gideon. - Niezwykle bogaty! - fantazjował dalej dla własnej przyjemności. - Zagarnął dosłownie wszystko okolicy Wilmington: domy, ziemie, konie... Ma niezwykle szczęśliwą rękę, jeśli chodzi o inwestycje, rozumiesz.

- Ale nie ma tytułu! - domyśliła się trafnie Constance. W jej głosie brzmiała nutka triumfu.

- Rzeczywiście, nie ma.

Gideon zmarszczył lekko czoło, jakby zdziwiony, że ktoś może przywiązywać wagę do takiej drobnostki. Constance natychmiast zmieniła taktykę.

- Papa pytał dziś o ciebie, Gideonie. Ma dla ciebie wiele uznania.

- O, zechciej mu przekazać ode mnie wyrazy szacunku. Ja również ogromnie go podziwiam.

- Powiedział, że chętnie przedstawi cię kilku bardzo wpływowym osobom podczas obiadu u nas, jak tylko wróci ze wsi do Londynu. Mam wrażenie, że w Ministerstwie Skarbu podjęto już decyzję co do obsadzenia tego nowego stanowiska.

Po tych słowach ciasna obręcz, która zawsze krępowała Gideonowi pierś, ilekroć tańczył z Constance, rozluźniła się nieco. Pozwolił sobie na chwilkę triumfu po odniesieniu tego niewielkiego zwycięstwa. Uśmiechaj się ciepło do partnerki.

Przekaż, proszę, ojcu, że nie mam absolutnie nic przeciwko poznaniu kilku wpływowych osób. Ani przeciw dyskusji na temat stanowiska w Ministerstwie Skarbu!

Lily podskakiwała właśnie w reelu wraz z George'em Willettem i miała wrażenie, że wykonuje ten taniec z należytym zapałem i ożywieniem. W każdym razie George Willett był chyba tego zdania. Oświadczył, że pragnąłby znowu zająć jej trochę czasu, nieco później, jeśli jej to odpowiada. Biedak, ledwie zdołał wydukać tę propozycję.

- Będę zachwycona, panie Willett - odparła miłosiernie, by złagodzić jego męki.

Wachlowała się właśnie, gdy stanął przed nią Gideon z karnetem w ręku.

- To chyba nasz walc, panno Masters?

Popatrzyła na niego. Jak wspaniale się prezentował w wieczorowym stroju - surowa czerń i sztywna biel uwydatniały jego jasną cerę i ciemne jak noc oczy. Prawdę mówiąc, Lily wołała go w koszuli rozpiętej pod szyją, z podwiniętymi rękawami, z głową odrzuconą do tyłu i twarzą zwróconą ku słońcu! Lepiej by było, gdyby w pobliżu trzepotały motyle, a nie jedwabne wachlarze. Wiedziała, że w głębi serca on także by to wołał, i poczuła nagły przypływ irytacji.

- Jeśli będziesz tak wywijać wachlarzem, Lily, spowodujesz prawdziwą wicherę! Uważaj, bo wszystkie te muślinowe spódnice pofruną do góry!

- I może wreszcie zrobi się tu naprawdę wesoło - odparła bardziej, cierpkim tonem, niż zamierzała.

Gideon się roześmiał i podał jej ramię. Parę głów odwróciło się w ich stronę, sporo oczu zerknęło na Lily z ciekawością, potem zaś kilkoro plotkarzy stanęło razem, by wymienić uwagi na jej temat. Wiedziała, że tego właśnie życzył sobie Gideon, żeby zwrócono na nią uwagę. Przewyciężyła więc dumę i zniecierpliwienie, położyła okrytą rękawiczką dłoń na jego ramieniu i jak łabędź wypłynęła na parkiet.

Zataczali powolne kręgi i Lily czuła już tylko dotyk ręki Gideona na swoich plecach i jego palców, zaciśniętych na jej dłoni. Widziała tylko jego oczy, szukające jej oczu. Na policzki wypłynął jej zdradziecki rumieniec. Na szczęście, można go było uznać za dowód zmęczenia, a nie - broń Boże! - pożądania.

- Dziękuję za naszyjnik - odezwała się wreszcie szeptem, w obawie, że Gideon się w ogóle nie odezwie. Tylko się w nią wpatrywał.

- Słucham?

Miała wrażenie, że jej słowa wyrwały go z transu.

Podniosła nieco głos.

- Powiedziałam: „Dziękuję za naszyjnik”.

Lily czuła, że twarz pali ją jeszcze mocniej. Do diabła z taką wrażliwą skórą! Nie chcesz chyba, żebym wrzasnęła to na cały głos, panie Cole?!

- O! - odezwał się zażenowany Gideon. Na jego policzkach również wystąpiły różowe plamy. Czyżby się zarumienił?! - No, tak...

Zapadło niezręczne milczenie.

- Jak poszło? - spytała po chwili ze sztucznym ożywieniem, jako że naszyjnik okazał się nie najlepszym tematem do rozmowy. - Czy lady Clay uległa już twoim urokom? Zaręczyliście się?

Gideon uniósł brew.

- Tak ci spieszo do tego, żeby mnie ożenić? - Kiedy nic nie odpowiedziała, dorzucił: - Mam wrażenie, że przede wszystkim zwróciła uwagę na ciebie.

- Ona jest rzeczywiście imponująca - przyznała Lily - ta twoja Constance!

- Myślałaś, że przesadzam?

Uśmiechnął się.

Nie uśmiechaj się tak, okropny człowieku! - pomyślała Lily. Serce mi fika, kiedy się uśmiechasz do mnie!

- Ale nie mogę powiedzieć, żebym ją lubiła.

Lily była zaskoczona, uświadomiwszy sobie, że powiedziała to na głos.

- Nie musisz jej lubić - odparł po cichu Gideon.

Lily odwróciła od niego wzrok i spostrzegła Kilmartina. Przepływał obok nich w walcu, złączony uściskiem z milutką brunetką. Ani chybi, lady Anne Clapham! Gdyby przynajmniej połowa świata była tak szczęśliwa jak Laurie w tym momencie, mielibyśmy raj na ziemi!

- Prezentujecie się razem bardzo dobrze... ty i Constance - powiedziała słabym głosem.

- Dziękuję, Lily.

- Mówię prawdę. Rzeczywiście dobrze się razem prezentujecie.

- To nie było podziękowanie za komplement. Dziękuję ci za... - Gideon urwał i odchrząknął nerwowo. - Po prostu ci dziękuję.

Jego spojrzenie spoczęło na ustach Lily. Przez chwilę wydawało się, że nie zdoła oderwać od nich oczu.

Wspomina tamten pocałunek! Trzeba to przerwać!

- Cieszę się, że mogłam być pomocna - odezwała się rzeczowym tonem.

Gideon się wzdrygnął. Zdołała go ocalić od pogrążenia się w sentymentach! Uśmiechnął się ponownie.

Słyszałem, jak Jarvis wychwalał cię pod niebiosa! Powtarzał anegdotkę o stajennym nazwiskiem McBride, który dorobił się dziewięciorga dzieci i umarł z nadmiaru szczęścia.

Lily uśmiechnęła się mimo woli.

- Mam do tego dryg, co?

Gideon znowu spowaźniał.

- Zdaje się, że nasz plan ma szanse powodzenia.

Nasz plan? Z całą pewnością nie był to jej plan!

- Zainwestował pan we mnie trzydzieści funtów, panie Cole - powiedziała szeptem - więc przynajmniej tyle powinnam dla pana zrobić!

Raz jeszcze wybuchnął śmiechem i głowy znów się odwróciły, sprawdzić, z którą młodą damą Gideon Cole bawi się tak dobrze, mimo że nie jest to lady Constance Clary?!

14

Wiesz, jak ją nazywają, Gideonie? - Kilmartin był niesłuchanie podniecony. - „La Belle Lily!” Już jej nadali przydomek! Co za sukces! Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się czegoś podobnego!

- Rzeczywiście.

Był to wieczór następnego dnia po debiucie Lily w towarzystwie. Uczestniczyli w kolejnym balu, tym razem u lady Delloway, która bardzo pomysłowo poleciła rozstawić kryte aksamitem meble. Zebrała je razem w małe grupki, co stwarzało idealne warunki do pogawędek i plotek. Siedząca na brzegu kanapy Lily flirtowała z młodym Willettem. Choć machnięto już ręką na tego chorobliwie nieśmiałego młodziana, w obecności Lily George Willett wyraźnie rozkwitał.

Gideon poczuł nagłą irytację. Pomysłowo rozstawione meble lady Delloway budziły w nim odrazę.

- I co ważniejsze, Gideonie, u White'a poczyniono nowe zakłady co do tego, czy przeniesiesz uczucia z Constance na La Belle Lily i czy ogłosicie zaręczyny przed końcem sezonu. Wpisano też do księgi zakładów kilka pomniejszych, dotyczących liczby kobiet, które na wieść o tych zaręczynach rzucą się do rzeki albo wyskoczą z okna.

- Doprawdy? - mruknął Gideon z roztargnieniem.

Lily śmiała się właśnie. Widział, jak kręci główką i lekko uderza Willetta wachlarzem po ramieniu. Chłopak aż pokraśniał z zadowolenia.

- A Constance najbliższej jesieni urodzi jego królewskiej mości nieślubnego syna.

- Doskonale, Laurie, doskonale - odparł Gideon, myśląc o czymś innym.

- Słuchaj no, stary! - rzucił ostro Kilmartin.

Gideon odwrócił się do niego i zmarszczył brwi.

- Musisz mówić takim tonem, Laurie? O co ci chodzi, u diabła?!

- Nie słyszałeś ani jednego słowa z tego, co do ciebie mówiłem!

- Usłyszałem wystarczająco dużo. Lily cieszy się popularnością, reszta to zwykłe ple, ple, ple!

- Najwyższy czas udoskonalić jeszcze bardziej naszą strategię, jeśli chcesz mieć pewność, że zaręczysz się z Constance przed końcem sezonu! A przy okazji wygrać parę funtów, obstawiając pewniaki u White'a. Dobrze wiem, że przydałoby ci się parę funtów!

Constance? Gdzie właściwie była Constance? Gideon rozejrzył się nią.

Dostrzegł lady Clary w przeciwległym końcu pokoju. Obserwowała jego i Lily.

Gideon uśmiechnął się do niej zachęcająco, a Constance natychmiast zrewanżowała się uśmiechem tak niezłomnym i olśniewającym jak sznur brylantów. Trochę zirytowało to Gideona, choć Constance dotąd nie przyprawiała go o zniecierpliwienie. Czy ona musi być zawsze i pod każdym względem najlepsza?! Trzeba jednak przyznać, że była - jak zwykle - tak piękna, iż po prostu zapierało dech. W białej, fałdистой, przybranej złotem sukni i w wysokiej, kunsztownej fryzurze, pozwalającej podziwiać jej długą, gładką szyję, wyglądała olśniewająco. Gideon zerknął trochę niżej i...

Wielkie nieba! Pod tak cienką, że niemal przejrzystą tkaniną można się było dopatrzeć interesujących zarysów... Doprawdy, jeśli oczy go nie myliły, Constance zapomniała włożyć halkę!

Wydarzenia tego wieczoru przybierały wybitnie interesujący obrót, czyżby córka markiza żywiła jakieś... sekretne upodobania? Wiedzano ogólnie, że jest niezwykle śmiała, ale nigdy nie zachowywała się wyzywająco!

- A teraz, Gideonie, najlepsza ze wszystkich nowin - kontynuował Kilmartin, któremu brakło już tchu. - Grupa dżentelmenów u White'a

sporządziła wykaz najpiękniejszych panien w tym sezonie. I nasza jest na pierwszym miejscu! Constance na drugim. Wieść się, oczywiście rozniósł... Muszę przyznać, że sam przyłożyłem do tego rękę.

Ach tak! Gideon odetchnął z ulgą. Pozbycie się bielizny było ze strony Constance po prostu eskalacją działań wojennych. Sam pomyśl z halką świadczył jednak o tym, że uważa tę rywalizację za rodzaj zabawy. Tym lepiej!

- Przypuszczam, że Constance wolałaby się znaleźć w piekle niż zająć drugie miejsce. Wszystko jedno, pod jakim względem! - powiedział zgryźliwie.

- Myślę, że Jarvis poważnie się zadurzył w Lily, Gideonie. Jest na jej usługi.

- Co takiego?! - huknął Gideon, aż Kilmartin cofnął się o krok. Czy wielki świat stracił do reszty rozsądek?! Nie mogła przecież omamić wszystkich, co do jednego!

- Daj spokój, stary! Nie patrzysz na to pod właściwym kątem. Lily to prawdziwy cud! I stara się, jak może, nie da się temu zaprzeczyć. A jeśli w Jarvisie nie masz już rywala do ręki Constance, a ona sama wkłada niemal przezroczyście szatki, żeby zrobić na tobie wrażenie, zanosz się na to, że zanim się obejrzyysz, trafisz do Ministerstwa Skarbu, a na markiza Shawcrossa będziesz wołał „tato”! No, rusz się! Zatańcz ze swoją Constance! Ta jej toaleta z pajęczych nitek powinna ci poprawić humor!

Lily oblegał teraz tłum adoratorów. Biedny Willett musiał walczyć o jej względy. Gideon obserwował ich dyskretnie, chcąc się przekonać, czy przypadkiem któryś z flirtujących z Lily złotych młodzieńców nie zacznie czegoś szukać nerwowo po kieszeniach, spostrzegłszy brak zegarka. Ale nie, wszyscy wielbiciele Lily mieli rozanielone miny.

Jakby dla porównania, Gideon zerknął znów w stronę Constance. Ona także obserwowała Lily i to - ku jego zdumieniu - z wyjątkowo niemłym grymasem na twarzy. Można by niemal powiedzieć, że ma skwaszoną minę. Ów grymas znikł jednak błyskawicznie, jakby był tylko złudzeniem.

Lord Stanley, przystojny brunet, pochylał się właśnie ku Lily. Gideon przyglądał się, pełen napięcia, jak młodzieniec przysuwa się coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie dotknął niemal ustami jej ucha. Wówczas Stanley wyciągnął rękę i chwycił Lily za nadgarstek. Poruszał

przy tym ustami, jakby szeptał. Lily podniosła nagle głowę, poczerwieniała i zeszywniała. Usiłowała uwolnić rękę z uścisku, ale Stanley trzymał ją mocno.

Później Gideon nie mógł sobie przypomnieć, jakim sposobem pokonał dzielącą ich przestrzeń. W jednej chwili obserwował tę parę z pewnej odległości, a w następnej stał już groźnie nad nimi. Obie twarze – Stanleya i Lily - zwróciły się ku niemu. Stanley był rozdrażniony i zawzięty, Lily skonfundowana i oburzona.

- Puść ją, Stanley. Natychmiast.

Głos Gideona, cichy i groźny, zmusił do zamknięcia każdego mężczyzn, tłoczących się wokół kanapy, równie skutecznie jak wystrzał muszkietu. Stanley rozejrzał się dokoła. Na jego twarzy pojawił się niemily uśmiešek. Nadal trzymał Lily za nadgarstek.

- Gideonie! - rozległ się nad uchem Cole'a męski głos, stłumiony i ostrzegawczy. Cała uwaga Gideona koncentrowała się jednak na ręce, ściskającej przegub Lily. Powstrzymywał się z najwyższym trudem od zaciśnięcia pięści. Wiedział, że wówczas jego pięść sama trafi do celu.

- Jestem znakomitym strzelcem, Stanley - powiedział Gideon tonem łagodnej perswazji. - Chcesz się przekonać?

- Gideonie!

Ostrzegawczy głos przebił się wreszcie przez opary gniewu i dotarł do zmysłu Gideona. Odwrócił się. Tuż za nim stał Kilmartin.

- Przecież już z tym skończyłeś, raz na zawsze! - perswadował mu szeptem.

Stanley puścił rękę Lily i podniósł się nagle. Był w tej chwili błydy, podobnie jak wszyscy mężczyźni stojący w pobliżu.

- Przepraszam, jeśli kogoś uraziłem. Panno Masters... Panie Cole... - powiedział chłodno.

Sklonił się niedbale i z wyzywającą miną oddalił się spiesźnie. Lily bezwiednie rozcierała nadgarstek, wpatrując się w twarz Gideona. Jej oczy były rozszerzone i wciąż pełne oburzenia.

Rozległy się dźwięki walca. Rój tancerzy, dobrawszy się w pary, ruszył do tańca, puszczając w niepamięć incydent, który miał miejsce przed chwilą.

Gideon odetchnął głęboko.

- Dobrze się pani czuje, panno Masters?

- Doskonale, dziękuję.

Ich spojrzenia zwały się ze sobą.

Gideon pośpiesznie odwrócił się od niej. Czy to możliwe, że o mały włos nie wyzwiał na pojedynek Stanleya tylko za to, że dotknął ręki złodziejki? Czy istotnieomal nie stracił panowania nad sobą?

- Szkoda, że Constance tego nie widziała! Ale byś urósł w jej oczach! - mruknął Kilmartin. Brzmiało to jak żart, przyjaciel jednak mówił całkiem serio. - Mam nadzieję, że chłopaki od White'a pomogą mi w rozpowszechnieniu tej sensacji!

- Wszystko to część naszej komedii, Laurie.

Obdarzył Kilmartina uśmiechem, który miał uspokoić przyjaciela, ale prawdę mówiąc, Gideon sam był nieco wstrząśnięty.

Spoglądał na Lily, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Ona zaś wpatrywała się w niego, dopóki Willett niepewnym głosem nie przypomniał jej nieśmiało, że obiecała mu tego walca.

Gideon się skłonił i skierował kroki ku Constance. Z niejaką ulgą poprowadził ją do tańca w całej jej złościstej wspaniałości. Nie było obawy, że przyjdzie mu pojedynkować się z kimś w obronie Constance. Nikt nie ośmieliłby się jej uchybić!

- A więc, Constance, jak ci się wiodło od naszego ostatniego spotkania?

Tliła się w nim jeszcze resztkazłości. Walc z Constance pomoże mu się z tego otrząsnąć.

- Czyli od wczorajszego wieczoru? - Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego niewinny żarcik. - Znakomicie, jak zwykle. Przede wszystkim mój nowy koń przybył do Londynu. Papa kupił go specjalnie dla mnie od pewnego hodowcy. A poza tym postanowiłam wydać proszony obiad. Moja ciotka będzie na nim oczywiście obecna, jako że mama i papa bawią jeszcze na wsi. Pomyślałam, że zaproszę...

- Powiedz mi, Constance, jak ma na imię ten twój nowy koń? Constance zamrugwała oczami ze zdumienia.

- Mój koń, Gideonie? To gniada klacz. Kosztowała mnóstwo pieniędzy, wiem o tym od papy. Wywodzi się od...

- Ale jak się wabi? Jak ją nazwałaś?

Nie wiadomo dlaczego odpowiedź na to pytanie wydała się Gideonowi niesłychanie istotna.

Constance wyglądała na zmieszaną.

- To przecież koń, Gideonie, a nie człowiek! Po co mu imię? Wystarczy powiedzieć „mój koń”.

Wyraźnie męczyła ją ta rozmowa.

- Mój koń na przykład - kontynuował z uporem Gideon, a mówił takim tonem, jakby był na sali sądowej - nazywa się Horatio. Nadałem mu to miano na cześć admirała Nelsona, rozumiesz. Postąpiłem tak, bo to dzielny koń i mój wielki przyjaciel. Uważam, że koniom należy się, tak samo jak ludziom, imię starannie odnotowane w rejestrach. Jak więc nazwiesz swojego konia?

Jego głos zdecydowanie przybrał na sile. Constance aż otworzyła usta ze zdumienia; spoglądała na Gideona takim wzrokiem, jakby mu ni stąd, ni zowąd wyrosło trzecie oko. Nie mógł mieć o to do niej pretensji. Ale po prostu musiał się dowiedzieć, jaka jest Constance. O czym myśli? Jakie wybierze imię dla swego konia?

Zamknęła wreszcie usta i zacisnęła wargi. Myślała o czymś intensywnie. O czym? - zastanawiał się gorączkowo Gideon. - Czy ona w ogóle o czymś myśli?

- Porozmawiajmy na inny temat, zgoda? - poprosiła go uroczo Constance i zachichotała nerwowo.

Wyraźnie chciała go udobruchać. Stłumił westchnienie.

- Doskonale! Powiedz mi, jaki jest twój ulubiony kolor. Czy w ogóle masz ulubiony kolor, Constance?

- O mój Boże, Gideonie! Stanowczo spędzasz zbyt wiele czasu w sądzie. Potrafisz już tylko zadawać ludziom pytania! Ale nic nie szkodzi. Na to pytanie mogę ci odpowiedzieć: niebieski!

Gideon z zapalem rzucił się na zdobytą informację.

- Dlaczego niebieski?

- Bo mi w nim do twarzy! - obwieściła z triumfem.

No, oczywiście!

Mógłby zapytać o odcień. Błękit letniego nieba? Turkus morskich fal? Ciemny szafir nocnych niebios? A może kolor leśnych dzwoneczków? Nagle jednak to wszystko przestało mieć znaczenie. Pokonała go.

- Masz rację, Constance. Bardzo ci do twarzy w niebieskim. - Uśmiechnął się do niej tak, jak to lubiła, więc odetchnęła z ulgą. - Podobnie zresztą jak w sukni, którą masz na sobie - dodał. - Jest bardzo efektowna.

Uśmiechała się, całkiem już zadowolona, jak niemowlę, dopiero co nakarmione przez mamę.

- A teraz pomówmy o moim proszonym obiedzie, Gideonie! Zaproszę oczywiście lorda Kilmartina i lady Anne Clapham, są przecież nierozłączni...

- I tę jego kuzynkę - podsunął bezczelnie Gideon. - Pannę Lily Masters.

Nastąpiła niemal niedostrzegalna przerwa w konwersacji.

- Naturalnie - odparła ze spokojem Constance. - Zaproszę również pannę Masters. Pogramy w karty, może trochę potańczymy...

W ten oto sposób Gideon dowiedział się wszystkiego o planowanym obiedzie Constance, zanim walc dobiegł końca. Zauważył jednak, że jego partnerce nie przyszło nawet do głowy zapytać, jaki jest jego ulubiony kolor.

Lily czuła się swobodniej na zatłoczonych ulicach Londynu niż w Aster Park, otoczonym ze wszystkich stron rozległymi polami. Tu jednak, na londyńskich salonach, czuła się mała i zagubiona wśród tłumów, które ją otaczały. Większość ludzi tańczyła zapamiętałe, aż do siódmych potów! A te ich klejnoty... Trudno jej było powstrzymać się od oceniania nowych znajomych w dawny sposób, do którego przywykła od lat - jakby byli drzewami, obwieszonymi owocem dosłownie proszącym się o to, żeby go zerwać.

Stanowczo musi odetchnąć świeżym powietrzem!

Lord Jakiś-tam odprowadził ją po skończonym tańcu do Kilmartina i lady Clapham, ale Lily udało się wymknąć, nim zakochana para zorientowała się, że podopieczna jest już z powrotem. Na szczęście następny taniec miała wolny. Okłamała ze słodkim uśmiechem wszystkich wielbicieli, dopraszających się tego właśnie walca, że już go komuś obiecała. Owszem - sobie samej, żeby chwilkę odpocząć!

Przemykała się przez tłum w stronę podwójnych drzwi, prowadzących na balkon. Świadoma była jednak oczu, obserwujących ją przez cały czas. Przeważnie były pełne uwielbienia, ale zdarzały się i wścibskie. Lily oparła się pokusie podeptania wszelkich reguł, choć najchętniej wybiegłaby stąd co sił w nogach. Nigdy nie zależało jej na popularności. Jeśli ktoś rzuca się w oczy, nie ma dla niego miejsca wśród kieszonkowców!

Teraz jednak, jeśli plan Gideona miał się powieść, wszyscy musieli znać Lily Masters. Płynęła więc jak łabędź, przyciągając zachwycone spojrzenia. Dla Gideona!

Dla Gideona, który omal nie wyzwał tego paskudnego typu na pojedynkę tylko dlatego, że chwycił ją za rękę. Ścisłej rzecz biorąc, nie tylko chwycił za rękę, ale wyszeptał do ucha zdumiewającą propozycję. Nie było to dla Lily kompletne zaskoczenie, w końcu nie takie rzeczy słyszała w St. Giles! W innych okolicznościach zaprawiłaby go kolanem albo łokciem. Ale podczas balu... No cóż, pewnie dlatego młode panny potrzebują męskiej opieki, żeby miał kto zastrzelić winowajcę za niestosowne propozycje, pomyślała z niesmakiem. Raczej przesadna kara, ale w towarzystwie wszystko robi się na pokaz i z przesadą.

Morderczy wyraz oczu Gideona wydawał się jednak szczerzy. Powinna to wiedzieć, przecież i na nią tak spoglądał, gdy złapał ją za rękę, bo próbowała ukraść mu zegarek. Prawdę mówiąc, było to nawet podniecające! Oprócz Gideona Cole'a nikt się nigdy za nią nie ujął. W żadnej sytuacji.

W tej chwili jednak Gideon obejmował Constance i w takt muzyki wirował z nią po sali. Constance znajdowała się tak blisko niego, że z pewnością czuła jego zapach i mogła dostrzec pojedyncze srebrne nitki w jego ciemnej czuprynie o czerwonawym połysku. Lily zauważyła je, przegarniając palcami jego włosy w ogrodzie, zanim ich usta złączyły się w pocałunku...

Na litość boską! - skarciła się surowo. Co za sens dręczyć się wspomnieniami chwili, która nigdy się nie powtórzy?!

Dotarła wreszcie do podwójnych drzwi i odetchnęła pełną piersią. Londyńskie powietrze zalatywało końskim nawozem, kurzem, dymem i ludzkim potem. Ach, Londyn! Wielkimi haustami wchłaniała to dobrze znane powietrze.

Do miejsca, gdzie stała, doleciał niemądry kobiecy głosik:

- Meggie, Meggie! Tańczyłam z nim reela! Z panem Cole'em!
- W takim razie musiał cię dotknąć choć raz podczas tańca. A ty nawet nie zemdlałaś! - droczyła się z nią przyjaciółka.

Lily zajrzała do sąsiedniego pokoju. Grupa dziewcząt w jasnych, muślinowych sukniach stała w pobliżu drzwi. Z pewnością zamieniła choć kilka słów z większością z nich. Wszystkie miały pieszczotliwe imiona, które brzmiały zupełnie tak samo: Molly, Dolly, Polly...

- Tak, dotknął mojej ręki. O, tu! - oświadczyła z dumą ta Meggie czy jak jej tam.

Wyciągnęła dłoń, a przyjaciółki stłoczyły się wokół niej, chichocząc i udając, że szukają śladów pamiętnego dotknięcia.

- Jest boski! - westchnęła jedna z nich.

- O tak, niezmiernie! - zawtórowały jej inne.

Boże święty! Prawdę mówiąc, Gideon rzeczywiście był niezmiernie, ale mężczyzna otoczony taką adoracją po prostu musiał być nie do wytrzymania! Co prawda Gideon wcale taki nie był...

Lily wyobraziła sobie, że włącza się do tej głupiutkiej panińskiej rozmowy: „No cóż... jeśli oceniając go tylko na oko, uznaliście, że jest niezmiernie, to powinniście się dowiedzieć, że całuje wprost bosko! I ma ogromny... same wiecie, co! Poczulałam to wyraźnie, gdy mnie do siebie przyciągnął. W ogrodzie. Całowaliśmy się jak szaleni!”

Ciekawe, co też by na to powiedziały?

- Przysięgam, że spojrział na mnie - odezwała się inna z dziewcząt. - Prosto na mnie! I tak... z uznaniem! Tańczył wtedy z lady Clary.

- Nie pleć! Spoglądał ponad twoją głową na tamtą drugą. No wiesz, na kuzynkę lorda Kilmartina.

Serce Lily zabiło mocniej. Doprawdy? Gideon spoglądał na nią? A potem uprzytomniła sobie - oczywiście, że tak! To przecież należało do jego roli!

- Na kuzynkę lorda Kilmartina? Pannę Lily Masters? Słyszałam, że jest bardzo bogata.

- Mój ojciec powiada, że zna jej ojca. Dorobił się podobno na budowie statków, czy coś takiego.

Zna go? To ciekawe! - pomyślała Lily. Zwłaszcza że nawet ja nie miałam okazji się z nim spotkać! Chyba nie muszę nic dodawać do mojej bajeczki, najwyraźniej żyje już własnym życiem.

- Jest bardzo ładna - przyznała jedna z panienek. - I sympatyczna.

- O tak, bardzo sympatyczna! - zawołały chórem. Lily przygryzła usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Ale przez nią nikt nie zwraca na nas uwagi, jakbyśmy byli niewidzialne!

Pomyśleć tylko, Lily Masters, która doprowadziła do doskonałości sztukę znikania w tłumie, teraz sprawia, że inni stają się niewidzialni!

- Pan Cole i tak by na nas nie spojrział. On patrzy tylko na takie jak lady Clary i Lily Masters!

Gdybyż tylko wiedziały...

- Jak myślicie, czy pan Cole ożeni się z panną Masters zamiast z lady Clary?

- Lady Clary zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić!

Dziewczęta znowu zachichotały, ale jedna zaczęła je uciszać z takim niepokojem, jakby Constance była wszechwiedząca i mogła podsłuchać, co mówią.

No cóż, to raczej zabawne, pomyślała Lily. Ale mimo to zabolalo. Ogarnęło ją zniecierpliwienie na Gideona, któremu tak bardzo zależało na poślubieniu córki markiza, by móc żyć tak, jak niegdyś jego ojciec. Oczywiście bez tragicznego finału!

Lily poznała Gideona tak, jak nigdy nie pozna go żadna z tych niewinnych pańienek. Ciekawe, czy Constance znała go lepiej od nich? A może i w jej wypadku znajomość była jedynie powierzchowna? Może widziała w nim tylko dżentelmena, który śmieje się dość często, ale nie za często, który bywa czarujący, ale nigdy nie objawia gwałtownych emocji, który bywa dowcipny, ale sam się nie zbłaźni. Zna tego Gideona, który zawsze jest taki, jaki być powinien i stosuje się do wszelkich reguł z tej okropnej brązowej książeczki! Czy on naprawdę kocha Constance? Nigdy nie powiedział tego wyraźnie!

Może Gideon odsłonił przede mną prawdziwą twarz tylko dlatego, że jestem nikim? W głębi serca wiedziała, że to nieprawda. McBride wspomniał jej kiedyś, że zioła należy zbierać podczas pełni księżyca, bo wtedy mają największą moc. Księżyc sprawuje nad nimi władzę, podobnie jak nad przyływami i odpływami morza, i wydobywa z nich najistotniejsze właściwości. A w niej widocznie było coś, co ujawniało prawdziwe cechy charakteru Gideona. Może dlatego, że w gruncie rzeczy jesteśmy do siebie podobni? I pewnie to, rozmyślała Lily z żalonym uśmiechem, odstręcza Gideona ode mnie znacznie bardziej niż wszystkie skradzione przeze mnie zegarki!

Dotarły do niej pierwsze tony następnego walca. Pora znowu zatańczyć z „nieziemskim” Gideonem Cole'em! Wślizgnęła się z powrotem do sali, niedostrzegalnie jak cień. Pan adwokat w żaden sposób nie zdoła się wymigać od powinności!

- No, pora do łóżka! - Kilmartin ziewnął. - Jutro czekają nas kolejne przyjęcia. I pojutrze, i popojutrze, i tak dalej... - dodał pogodnym tonem. - Dobra robota, Lily! Zobaczysz, że raz-dwa ożenimy Gideona!

Żaden komplement nie sprawił Lily mniej przyjemności niż ten.

- Dobrej nocy, milordzie.

- Laurie! - zagadnął go nieoczekiwanie Gideon, gdy Kilmartin miał już wejść na schody.

- Słucham?

- Kiedy zamierzasz się oświadczyć lady Anne Clapham? Kilmartin skamieniał. W jego oczach odmalowało się przerażenie. Gideon uśmiechnął się szelmowsko.

Jest nieznośnie czarujący, kiedy się z kimś drażni! - pomyślała Lily.

- Zapomnij o tym, co powiedziałem, stary. Idź spać! Spotkamy się jutro rano.

Uśmiechnął się szeroko.

Kilmartin obrzucił go mrocznym spojrzeniem i pośpieszył na górę.

- Nie mam takich ambitnych planów jak ty, Cole, więc z niczym się nie muszę spieszyć! - rzucił na odchodnym.

- Ale co będzie, jeśli ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa, kiedy będziesz się namyślał?

Kilmartin przystanął na podeście schodów. Na jego twarzy malowały się lekkie rozbawienie i odrobina politowania.

- Nikt mi jej nie sprzątnie sprzed nosa. Jesteśmy stworzeni dla siebie!

I z tymi słowami, pełnymi niezachwianej pewności i spokoju ducha, Laurie skłonił się i zniknął im z oczu.

Gideon, milczący i zamyślony, wystukiwał bezwiednie palcami jakiś rytm na poręczy fotela. Uprzytomniwszy sobie, co robi, przestał bębnić.

Lily wstała, by w ślad za Kilmartinem udać się na górę, do swego pokoju.

- Dobrej...

- Tęsknisz za Alice? - spytał ni stąd, ni zowąd.

Lily obróciła się w jego stronę, zaskoczona pytaniem. Potem powoli opadła znów na fotel.

- Bardzo - przyznała. - Nie rozstawałam się z nią nigdy, odkąd się urodziła.

- Wrócimy wkrótce do Aster Park.

Lily skinęła głową. Pewnie chciał ją w ten sposób pocieszyć, ale kiedy tam wróca, Gideon prawdopodobnie będzie już zaręczony z Constance Clary. A ona i Alice opuszczą posiadłość. Rozstaną się z Gideonem na zawsze.

- Cóż... Alice z pewnością zbyt dobrze się bawi w Aster Park, by za mną tęsknić.

Uśmiechnęła się kwaśno.

Milczał przez chwilę.

- Trudno sobie wyobrazić... że ktoś mógłby nie tęsknić... za tobą. Głos mu się rwał.

I nagle Lily zrozumiała, że jego słowa mają podwójne znaczenie. Serce w niej podskoczyło z radości.

Nie spuszczał z niej oczu, płonących tęsknotą.

Powinam stąd wyjść. Natychmiast!

Pragnęła pochylić się nad nim i objąć dłońmi jego piękną twarz, gładząc wydatne kości policzkowe, dotknąć ustami jego ust i wypić z nich całą tę tęsknotę. Pożądanie, które nagle nią owładnęło, było tak gwałtowne, że zaparło jej dech. Gideon także oddychał z trudem. Jego oczy wydały się zupełnie czarne, nie odrywał ich od niej ani na chwilę. Domagały się, żeby podeszła bliżej. Nawet z miejsca, gdzie siedziała, wyczuwała siłę namiętności. Przejął ją dreszcz, gdy przypomniała sobie pieszczotę rąk na swoim ciele. O Boże, tylko go dotknę!

Spiesznie podniosła się z miejsca.

- Najwyższy czas powiedzieć sobie „dobranoc”!

Gideon, zaskoczony, znieruchomiał. Potem skinął głową i zwiesił ją, jakby zawstydzony. Podniósł się z fotela, pamiętając jak zawsze o dobrych manierach.

Skierowała się w stronę schodów.

- Lily?

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Nie ma drugiej takiej jak ty!

Słowa były ciche, ale przepełnione namiętnym uczuciem. Siła jego pożądania podniecała ją i przerażała równocześnie. Jej wargi wygięły się w lekkim uśmiechu.

- Wiem!

Gideon zaśmiał się boleśnie i odwrócił głowę. Z niezwykłym trudem Lily oderwała od niego wzrok i weszła na schody.

Jakaż była głupia! Myślała, że Gideon złamał jej serce i na tym koniec. Przypomniały się jej mity greckie. Teraz dopiero pojęła, ile wycierpiał Prometeusz, przykuty do skały i skazany na wieczne męki. Jak długo będzie przebywać w pobliżu Gideona, on raz po raz będzie jej łamał serce, a ból za każdym razem będzie równie dojmujący.

15

Lily równie gorąco pragnęła rozmowy w cztery oczy z Constance Clary, jak zesłania do Australii. Do tej pory ten wątpliwy zaszczyt ją ominą. Podczas spotkań towarzyskich była zawsze otoczona rojem wielbicie albo znajdowała się pod opieką Gideona i Kilmartina. Ani razu więc nie doszło do konfrontacji obu kobiet.

Tego wieczoru jednak - zaledwie dwa dni po balu u lady Delloway - Lily znalazła się na terytorium Constance, w londyńskiej rezydencji markiza Shawcrossa, gdzie honory domu podczas proszonego obiadu pełniły Constance oraz jej ciotka. Wówczas to właśnie lady Clary skierowała do niej następujące słowa:

- Panno Masters, czy zechciałaby pani udać się wraz ze mną do buduaru? Włosy mi opadają i trzeba je porządnie upiąć. Przydałaby mi się czyjaś pomoc.

Gideon był pogrążony w rozmowie z jakimś starszym dżentelmenem - Lily nie mogła sobie przypomnieć, kto to - a Kilmartin nie odstępował lady Anne Clapham.

Constance najwyraźniej miała ochotę pogawędzić sam na sam z panną Lily Masters.

Lily przypominała się *Encyklopedia historii naturalnej*, a zwłaszcza opis zachowania lwa, starającego się oddzielić od reszty stada zebra, którą upatrzył sobie na ofiarę. Lily poczuła się nagle jak ta nieszczęsna zebra.

- Ależ oczywiście, lady Clary - odpowiedziała, bo cóż innego mogła odpowiedzieć?

W każdym razie nie szczerą prawdę: „Za żadne skarby, lady Clary!”

Z rezygnacją, starając się płynąć wdzięcznie jak łabędź, a nie wlec niechętnie jak więzień, prowadzony do izby tortur, Lily podążyła za Constance. Mimochodem dostrzegła odbicie ich obu w wielkim lustrze ściennym - dwie urocze blondynki, jedna wysoka i dorodna, tryskająca zdrowiem i niesłuchanie pewna siebie, druga zaś drobna, wiotka i nieco zaniepokojona. Przyszedł jej na myśl komar, lecący z bzykaniem za rosnącą klaczą.

Lśniące złocenia w niewielkim buduarze omal nie oślepiły Lily. Lustro w pozłacanej ramie, złote nóżki krzesel, pozłocisty przybór na biureczko wszystko wypolerowane na najwyższy połysk, zapewne w tym celu, by Constance mogła we wszystkim przejrzeć się jak w lustrze. Cała reszta - obicia kanapy, taboretów i krzesel oraz zasłony - była ze srebrzysto-błękitnej satyny, mięsistej i połyskliwej. Także i ona błyszczała niczym lustro.

Constance siadła na wyściełanym taborecie przy toalecie i przyjrzała się swemu odbiciu, obracając głowę w tę i w tamtą stronę. Istotnie, pasemko włosów wymknęło się z upięcia. Constance zmarszczyła brwi na ok widok tej jawnej niesubordynacji.

- Tak się cieszę, że zechciała pani wziąć udział w moim przyjęciu, panno Masters!

- Za nic nie odmówiłabym sobie tej przyjemności, lady Clary! Czuję się niezmiernie zaszczycona, że zechciała mnie pani zaprosić. Dwóch większych obłudnic, pomyślała przy tym Lily, nie znalazłbyś w całej Anglii!

- Jakże się pani podoba Londyn?

- Bardziej niż to mogę wyrazić.

- Przypuszczam, że niektóre tutejsze rozrywki odpowiadają pani bardziej niż inne?

Lily omal nie westchnęła głośno. Doprawdy, Constance nie była wcale taka sprytna ani zręczna, jak sądziła!

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem... Co pani ma na myśli, lady Clary?

- Może jakaś jedna rozrywka dostarcza pani więcej satysfakcji niż wszystkie inne?

- Czy mówiąc o rozrywkach, ma pani na myśli przyjęcia i bale?

- Tak, oczywiście. A także, powiedzmy, taniec z tym czy innym parterem.. . albo coś w tym rodzaju.

- Ależ skąd! Cieszę się dosłownie wszystkim, co Londyn ma do zaoferowania - odparła beztrząsco Lily.

Zobaczyła, że Constance zamyka się w sobie, a jej twarz zmienia w maskę pozbawioną wyrazu. Zupełnie jakby jakaś silna ręka nałożyła pokrywę na garnek pełen kipiącej zupy... albo wzburzonych myśli.

Lily postanowiła zmienić temat rozmowy. Jej spojrzenie padło na imponujący klejnot na szyi Constance - łańcuszek ozdobiony szlachetnymi kamieniami, błękitnymi i białymi.

- Pani naszyjnik jest olśniewający, lady Clary!

- Dziękuję, panno Masters. Mam go od niedawna. - Constance z satysfakcją dotykała klejnotu. - Papa podarował mi go na urodziny. To bynajmniej nie imitacja! Trzy szafiry i dwa brylanty.

Szafiry i brylanty! McBride zemdlałby z wrażenia. Lily świerzbiała ręką, by chociaż dotknąć tych kamyczków.

- Mój papa nigdy mi nie kupuje równie wspaniałej biżuterii! Powiada, że to obowiązek mego przysiężnego męża.

Constance rzuciła się na tę informację jak lis na zająca.

- Doprawdy? Czyżby pani była zaręczona, panno Masters?

Lily zrobiła zagadkową minę.

- Chyba można tak powiedzieć...

Zauważyła, że Constance wciąga powietrze i powstrzymuje oddech w pełnym napięcia oczekiwaniu. Lily zwlekała z odpowiedzią, aż wreszcie uznała, że lepiej się odezwać, zanim rozmówczyni zsinieje, udusi się i spadnie z taboretu.

- To znaczy... mam nadzieję zaręczyć się niebawem. Od tego przecież jest londyński sezon, nieprawdaż?

Ich oczy znów spotkały się w lustrze. Constance wypuściła powietrze z płuc i zacisnęła usta. Jej szare oczy były teraz zimne jak lód.

W tej chwili Lily uświadomiła sobie, że wstąpiła nieodwołalnie na ścieżkę wojenną. W gruncie rzeczy całkiem jej to odpowiadało!

Lady Clary przyglądała się jej chłodno w lustrze, bez wątplenia zastanawiając się, dlaczego tak trudno zastraszyć Lily Masters metodami, które doskonale skutkowały w przypadku innych panien z towarzystwa. Lily bardzo chętnie wyjaśniłaby jej to dokładnie - żadnej z innych młodych dam nie przygotowano tak starannie na spotkanie z lady Constance Clary!

Czy tobie w ogóle zależy na Gideonie, ty... podle stworzenie?! Lily musiała mocno trzymać nerwy na wodzy, żeby nie zadać na głos tego pytania. Ale jeśli Gideon się tym nie martwi, dlaczego ona miałaby się przejmować?

Powściągnęła ciekawość i gniew, i przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Lady Clary, może poprawimy teraz pani fryzurę? Goście z pewnością odczują brak uroczej pani domu!

Constance - najwyraźniej przyzwyczajona do tego, że zawsze ktoś jej służy, nawet palcem nie ruszyła. Oczekiwała ze spokojem, aż Lily umieści zbląkaną pasemko włosów na właściwym miejscu i przypnie je starannie. Na twarzy Constance malowała się zaduma, gdy obserwowała Lily w lustrze. Nie była to jednak nieszkodliwa, pogodna kontemplacja.

Palce Lily musnęły w przelocie zapinkę naszyjnika. Miała wrażenie, że samymi opuszkami palców wyczuwa niezwykle piękno klejnotu.

Powoli! - upominała się w duchu Lily. - Nie spiesz się, jakbyś musiała czym prędzej wykopać za pomocą noża i widelca tunel na antypody!

Podniosła do ust ciężki srebrny widelec i skosztowała jakiejś marynaty. Zwalczyła naturalny odruch i nie skrzywiła się z obrzydzeniem. Może plaster wołowiny zatrze w ustach ten obrzydliwy smak. Zerknęła na talerz i przekonała się, że wołowina po prostu pływa w sosie. Niemal wszystko pływało w sosie! W gruncie rzeczy Lily nie miała nic przeciwko temu. Warstwa sosu dodawała potrawie tajemniczości. Lily chętnie witała miłe niespodzianki, ilekroć podnosiła widelec do ust.

Przy końcu stołu ustawiono intrygującą piramidę z małych kuleczek, ułożonych na czymś w rodzaju srebrnej platformy, wyglądało to na jakieś słodycze. Lily miała wielką ochotę sprawdzić, co to takiego. Może poprosić kogoś z całej armii lokajów - przypadał mniej więcej jeden na każdego biesiadnika - żeby podał jej kilka kulek do skosztowania? Lokaje byli odziani w niebieskozłote liberie, w tych samych barwach co obicia mebli. W blasku świec z pewnej odległości trudno było odróżnić służącego od krzesła.

Lily nie zdziwiła się wcale, że posadzono ją na szarym końcu. Po jej lewej stronie siedział jakiś skwaszony starszy jegomość, któremu co

chwila się odbijało. Lily była pełna współczucia. Dałaby głowę, że zaszkodziły mu te przeklęte marynaty! Kilmartin i lady Anne Clapham znajdowali się znacznie bliżej środka stołu, a Gideon wylądował niemal u jego szczytu Posadzono go, rzecz jasna, obok Constance. Lord Jarvis zajmował miejsce po jej drugiej stronie. Constance zadbała o to, by stanowić nadzienie w kanapce, jeśli można się tak wyrazić, i stać się przedmiotem uwielbienia i rywalizacji obu sąsiadów.

- Och!

Beztrouski szmer rozmów oraz brzęk stołowego srebra i porcelany ucichł nagle, wszystkie oczy zwróciły się w stronę, skąd doleciał ten okrzyk przerażenia.

Wydała go Constance, sądząc z jej rozszerzonych oczu i ręki przyciśniętej dramatycznie do serca.

- Z pewnością bym zauważyła, gdyby zsunął mi się z szyi! - mówiła bez tchu, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Wszyscy gapili się na nią, nie pojmując, o co jej chodzi.

- Mój naszyjnik! Zniknął! - wyjaśniła ze świętym oburzeniem. - Mój nowy naszyjnik przepadł!

Podniósł się gwar zaniepokojonych głosów i jak na komendę wszyscy biesiadnicy dali nurka pod stół, żeby sprawdzić, czy coś tam nie leży. Spowodowało to masę szmerów, szelestów, a nawet nieprzystojnych chichotów. Jedna po drugiej, głowy wynurzały się spod stołu. Zajmowano z powrotem miejsca.

Nikt nie odnalazł zaginionego naszyjnika.

- Znajdzie się z pewnością, Constance - pocieszał ją Gideon. - Bez wątpienia zsunął ci się z szyi i leży gdzieś w pobliżu. Pomożemy ci go szukać, nieprawdaż?

Ton Gideona, choć pozornie łagodny, nie dopuszczał żadnych sprzeciwów. Znów jak na komendę wszyscy kiwnęli głowami. Constance zniżyła nieco głos.

- Może ktoś ze służby...

- Gdyby ktoś ze służby znalazł naszyjnik, z pewnością nie ośmieliłby się ukryć go przed tobą, Constance. - Gideon także mówił zniżonym głosem. - Ale rozpatrzmy i taką możliwość. Na razie jednak wspólnie przeprowadzimy gruntowne śledztwo. Kiedy widziałaś ten naszyjnik po raz ostatni?

- Boja wiem... Chyba wtedy, gdy udałyśmy się z panną Masters do buduaru. Panna Masters ogromnie podziwiała mój naszyjnik - dodała Constance. - Powiedziała, że jej papa nigdy by nie kupił jej nic równie kosztownego. Uważał, że obsypywanie jej takimi prezentami to obowiązek przyszłego męża.

Gideon omal się nie uśmiechnął. Skąd też Lily brała te wszystkie anegdotki?!

- Wobec tego rozejrzemy się po buduarze - oświadczył, zwracając się do Constance. - Ale może najpierw opowiesz mi, coście tam robiły... nie zdradzając oczywiście waszych kobiecych sekretów! Może coś spowodowało uszkodzenie zameczka?

Constance przechyliła głowę na bok.

- No cóż... Włosy mi się wymknęły z upięcia, więc panna Masters pomogła mi doprowadzić je do porządku. Wtedy właśnie zwróciła uwagę na mój naszyjnik i powiedziała o nim tyle miłych rzeczy... A potem upięłyśmy moje włosy i wróciłyśmy do gości. Zameczek wydawał się dość luźny ale byłam przekonana, że nie jest uszkodzony.

Gideon wyobraził sobie tę scenę - dwie prześliczne kobiety przed lustrem, drobne paluszki Lily poprawiają uczesanie Constance...

Nagle podejrzenie sprawiło, że zabrakło mu powietrza w płucach.

„Jestem wyjątkowo zręczną złodziejką, panie Cole!”

Wszystko pasowało do siebie w przerażający sposób! Ich plan... jego plan powiódł się tak dalece, że nikomu nawet by nie przyszło do głowy, iż ta śliczna, dobrze wychowana panna Lily Masters z Sussex, La Bel-Lily mająca ojca krezusa, mogłaby ukraść naszyjnik! To on - Gideon Cole - zapewnił Lily bezkarność. Dzięki Constance zaś miała znakomitą okazję do popełnienia przestępstwa. Zręczne paluszki Lily przez całe lata zarabiała na życie dla niej i dla Alice, ale sprzedaż naszyjnika Constance pozwoliłaby Lily zerwać raz na zawsze z niebezpiecznym fachem.

To podejrzenie sprawiło, że Gideon czuł się niemal chory. Zapewne Lily nie przypuszczała, że Constance obwieści wszem wobec o zniknięciu naszyjnika. Gdyby jednak padł na nią choćby cień podejrzenia, to - mistrzyni w opowiadaniu wyspanych z palca historyjek - potrafiłaby z pewnością kłamać w żywe oczy.

Może omamiłaby nawet jego...

Co to, to nie! Nie da jej takiej sposobności!

„Jak sobie dasz radę?” - spytał Lily tamtego dnia w ogrodzie.

Jakby nie była w stanie żyć bez niego po tym pocałunku! Jakim czuł się teraz durniem...

„Przeżyję - odpowiedziała. - Jak zawsze”.

Po obiedzie goście Constance przeszli do salonu na karty i pogawędkę. Wysłano kilkoro z nich do buduaru. Ci zaś, którzy mieli najbystrzejszy wzrok, rozbiegli się, by przeszukać inne pomieszczenia. Ale naszyjnik uparcie pozostawał w ukryciu.

Mimo to Constance otrząsnęła się dość prędko z szoku. Ostatecznie każdy naszyjnik można zastąpić innym. A perspektywa otrzymania czegoś nowego zawsze niezmiernie ją radowała.

W salonie ustawiono dwa oddzielne stoły do gry w karty. Pozostali goście porozsiadali się na fotelach i kanapach, gawędząc o wszystkim i o niczym. Kiedy wreszcie Constance także zasiadła do kart, Gideon pojawił się u boku Lily.

- Jedno słówko, panno Masters.

Dyskretnym ruchem głowy wskazał sąsiedni pokój, po czym bez pośpiechu skierował się w tamtą stronę. Odczekawszy chwilę, Lily poszła w jego ślady. Gideon przystanął obok słupka, na którym stała rozłożysta paproć.

- Gdzie to schowałeś, Lily?

Żadnych wstępów. Od razu szybki, zdecydowany cios. Lily miała wrażenie, że ugodził w nią piorun.

Zaraz jednak zadarła wojowniczo brodę.

- I to wszystko? Nie spytasz nawet: „Czy to ty go ukradłeś, Lily?”

Gideon milczał. Twarz miał szarą jak popiół. Wlepił w Lily płonące oczy, jakby chciał przepalić jej duszę do głębi i wydobyć z niej prawdę.

- A może lepiej: „Podzielmy się po połowie, Lily!”, co? - syknęła.

Jak miała się bronić? Mogła przysięgać, że tego nie zrobiła, ale on i tak wierzyłby tylko w to, w co by chciał! A wierzył, jak widać, że to ona ukradła.

Była przecież złodziejką!

- Zachwycałaś się tym naszyjnikiem, Lily. I zaraz potem zniknął.

- Pewnie, każdy złodziej tak by postąpił! Najpierw ogłaszam, że coś mi się podoba, a potem to zabieram!

Gideon odetchnął głęboko.

- Wiem, że nie lubisz Constance. I mogę zrozumieć, jaką pokusę...

- Przestań! - Jej głos był cichy i pełny wściekłości. - Po prostu przestań! Nie próbuj usprawiedliwiać moich rzekomych postępów! Nie baw się w adwokata! Nie ukradłam tego naszyjnika, rozumiesz?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią tylko. Bez przerwy się w nią wpatrywał, jakby wierzył, że nieustannie śledzona Lily wyjawi mu w końcu całą prawdę o sobie.

Chciała rzucić się na niego, sprawić mu ból, uwolnić się od jego uroku!

- Nie ukradłam tego świecidełka, Gideonie! Ale czy mógłbyś mieć mi za złe, gdybym to zrobiła? Co się ze mną stanie, kiedy ta głupia przebieranka dobiegnie końca? Jak ci się zdaje, w jaki sposób zarobię na życie dla siebie i Alice? Może zacznę przyjmować klientów jak Fanny?

Aż się wzdrygnął. Dobrze mu tak! Ucieszyło ją, że jest w stanie zranić go albo przynajmniej zaszokować.

Z zapartym tchem czekała na jakiś znak, na dowód, że jej wierzy. Niechby się uśmiechnął do niej albo...

- Oddaj mi ten naszyjnik, Lily. - Jego głos był cichy, pełen napięcia. - Powiem Constance tylko tyle, że go znalazłem. Nigdy ci tego nie będę wypominał, przysięgam.

Lily przymknęła na chwilę oczy. Nie zdradzi przed nim, jak zabrała ją te słowa!

Odezwała się martwym głosem:

- Doprowadzę twoją grę do końca, Gideonie. Jeśli oczywiście ufasz mi na tyle, by pozostawić mnie pod dachem cici Hester. Nigdy nic nie wiadomo. Mogłabym jeszcze ukraść srebra stołowe i gzić się z lokajami!

Gideon otworzył usta w bezgłośnym krzyku, jakby ktoś kopnął go prosto w żebra. A potem stało się to, co przeraziło ją najbardziej. Jego oczy straciły tamten badawczy wyraz.

Były teraz całkowicie obojętne.

- Może pani pozostać u hrabiny Avery panno Masters. Za dalsze pani postęпки nie zamierzam ponosić żadnej odpowiedzialności. Wracam do swego mieszkania. A naszą grę doprowadzimy do końca, o ile nie chce pani wylądować w Newgate. Bez trudu mógłbym tam panią umieścić.

Sklonił się i bez pośpiechu wrócił do pokoju, w którym grano w karty. Constance powitała go promiennym uśmiechem.

16

W porządku, Stary, jeśli na tym polega Twoja strategia, to całkiem dobrze skutkuje. Constance pytała o Ciebie kilka razy z właściwą dla niej subtelnością i wydaje się coraz bardziej zaniepokojona. Powiedziałem jej, że musiałeś nagle wyjechać w interesach. Jarvis tymczasem jest coraz mocniej zakochany w Lily, choć nadal z przyjemnością zaprasza Constance po kilka razy do walca. Przyznam, że wolałbym być wtajemniczony i w tę część Twojego planu, to nadal jest Twój plan.

Pozdrowienia

Kilmartin

Po obiedzie u Constance Gideon zaszył się w swoim mieszkaniu na trzy dni, pławiąc się w mroku i samotności tak, że nie odróżniał już dnia od nocy. Pił, co mu się nawinęło pod rękę i kompletnie ignorował liściki od Kilmartina - niespokojne, potem pełne irytacji, w końcu zaś prawdziwego strachu. Nie bardzo wiedział, dlaczego jest tak cholernie, niewypowiedzianie nieszczęśliwy. Za każdym razem, gdy rozsądek zaczynał wynurzać się na powierzchnię, podpowiadając logiczne wyjaśnienia - z racji bolesnego zawodu, z pożądania, skutkiem zawiedzionych ambicji - topił go bezlitośnie w alkoholu. Pij i siedź cicho, nakazywał mu posępnie. Nic chciał wiedzieć, co mu dolega!

Krótko mówiąc, zachowywał się irracjonalnie. Infantylnie. Całkiem nie jak on!

Jednakże ostatnia wiadomość od Kilmartina potrafiła nową strunę w jego duszy. Gideon dosłyszał w tym przesłaniu głos wyczerpanej do ostatnich granic cierpliwości i bolesnej urazy. To przeniknęło przez grubą skorupę samoudręczenia i Gideon oprzytomniał na tyle, że zrobiło mu się wstyd.

Wziął się w garść, umył się, ogolił i ubrał. I w końcu pojawił się znowu w rezydencji cioci Hester.

- Patrzcie no, Gideon! - wycedził Kilmartin, ujrawszy gościa czekającego w salonie.

Gideon pokręcił głową tylko raz. Ostrzegawczo.

A Kilmartin - jak zawsze dobry przyjaciel - poszedł w jego ślady również pokręcił tylko głową.

- Przepraszam, Laurie - burknął Gideon, przyjmując obronną postawę.

- Chyba powinienesz przeprosić także pannę Masters - podpowiedział łagodnie Kilmartin.

Gideon zacisnął szczęki i nie odpowiedział.

Kilmartin nie naciskał. Westchnął tylko.

- Plan kampanii nadal aktualny?

- Jak najbardziej.

- Słyszałem, że Constance ma zamiar udać się dziś na przejażdżkę po parku. Może byś wybrał się tam faetonem? Z Lily?

Wobec tego Gideon wybrał się tam faetonem. Z Lily.

Lily siedziała obok niego i uparcie milczała. Wyglądała delikatnie i szykownie w niebieskiej spacerowej sukni.

Gideon nie miał pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Ciągłe trwał w przekonaniu, że Lily rzeczywiście ukradła naszyjnik. Pewnie dlatego obstawała przy tym, że znacznie łatwiej rozstać się ze złodziejką, która zawiodła zaufanie, niż z niezwykłą dziewczyną, z którą połączył go niezapomniany pocałunek.

Jednak najgłębsza, najważniejsza częśćka jego istoty była pewna, że Lily nie ukradła klejnotu. Albo prawie pewna.

Aż dziw, że Kilmartin nie powziął żadnych podejrzeń co do Lily! Na jego twarzy malował się tylko wyrzut pod adresem przyjaciela, kiedy ten zjawił się wreszcie. Jakby wyłącznie Gideon miał na sumieniu jakieś grzechy!

W końcu ostatnimi czasy kradzieże klejnotów w towarzystwie nie zdarzały się nagminnie, nieprawdą?

Problem polegał na tym, że odkąd Lily Masters pojawiła się w jego życiu, Gideon był coraz mniej pewny, kim naprawdę jest. A może odwrotnie - coraz wyraźniej dostrzegał, kim jest?

Nie miało to jednak nic wspólnego z tym, kim zamierzał zostać!

Na Rotten Row pełno było koni, ludzi i eleganckich ekwipaży ale odnalezienie Constance nie było trudne. Jej królewska postawa i doskonała piękność nie miały sobie równych. Otaczała ją aura

pogodnego zadowolenia z siebie. Constance siedziała na grzbiecie gniadej klaczy, zapewne nadal bezimiennej.

Gideon zauważył, kto towarzyszy lady Clary. Lord Jarvis.

- Niech to szlag!

Siedząca obok niego Lily poruszyła się niespokojnie, jakby ocknęła się właśnie ze snu. Jej oczy powędrowały w tym samym kierunku co spojrzenie Gideona. Na jej twarzy odbiło się zmieszanie, ale zaraz wrócił n nią obojętny wyraz.

- Nie martw się - powiedziała spokojnie. Były to pierwsze słowa, jakie wymówiła od godziny. Nie wiadomo dlaczego, wydały mu się własni dlatego aż boleśnie intymne. - Dotrzymuję obietnic!

Ostatnie słowa były wyraźnie zabarwione złośliwością. Kiedy jednak zerknął z ukosa na Lily, miała słodką, niewinną minkę. Gideon zatrzymał faeton tuż obok Constance.

- A, to ty, Cole! Jakże się miewasz?

Jarvis uśmiechnął się szeroko z grzbietu pięknego wierzchowca i uchylił kapelusza. Jego przyjacielskie zachowanie nieustannie zdumiewało Gideona. Jarvis zdawał się nie pojmować, że są rywalami. A może uważał po prostu, że polowanie na żonę to męski, szlachetny sport - coś w rodzaju polowania na kuropatwy - i żadnych pretensji na finiszu? Niech zwycięży najlepszy!

- Jak się masz, Jarvis! Dzień dobry, lady Clary!

Gideon także uchylił kapelusza, a Lily jak echo powtórzyła za nim słodkim głosikiem słowa powitania.

Constance skinęła głową. Pióro na jej cylinderku się zakołysało.

- Dzień dobry, panie Cole... panno Masters - powiedziała chłodno. - Właśnie rozmawialiśmy z lordem Jarvisem o wczorajszym balu u lady Pemberton. Orkiestra była znakomita!

- Doprawdy? Ogromnie żałuję, że straciłem okazję zatańczenia z tobą walca, Constance. - Gideon był rozbijającą szczery. - Niestety, zatrzymały mnie niecierpiące zwłoki interesy.

I obdarzył Constance uśmiechem, który odwzajemniłaby nawet nieboszczka. Lady Clary, której daleko było do trumny, wyraźnie odtajała.

- Rzeczywiście niecierpiące zwłoki! - powtórzyła Lily z zagadkowym uśmiechem, jakby owe interesy wiązały się ściśle z jej osobą.

Uśmiech Constance zgasł w jednej chwili.

- Pani była na balu, panno Masters! - odezwała się ostro. Gideon nigdy dotąd nie słyszał Constance przemawiającej takim toin. Jej głos zawsze był słodki i melodyjny.

Nareszcie! Coś wyraźnie zmąciło jej niezmienną, arystokratyczną pogodę ducha. Bez wątpienia kamyczki, które Lily Masters nieustannie rzucała do jej ogródka! Gideon od razu poczuł się lepiej.

- O tak! I miałam prawdziwą przyjemność spotkać tam panią, lady Clary - przyznała Lily. - Ale aż dziw, że ten bal nie sprawił mi tyle radości co wszystkie inne w tym sezonie. Czegoś mi widać brakowało!

Spojrzała tak słodkim i omdlewającym wzrokiem na Gideona, że poczuł się jak mucha więżąca w bursztynie.

Zimne szare oczy Constance spoglądały to na jedno, to na drugie. Cieniutkie zmarszczki niepokoju zarysowały się po obu stronach jej nosa.

Coraz bardziej interesujące, pomyślał Gideon.

- Wspaniałe zwierzę - stwierdził przyjaznym tonem - z tej twojej klaczy, Constance!

- Istotnie. To właśnie nowy koń, o którym ci opowiadałam. Zerknęła na Lily. Widzisz? Nadal miewam z nim poufne rozmowy!

- Jak ma na imię? - spytała żywo Lily.

- Nie ma imienia.

Constance była wyraźnie zaskoczona, że znów musi odpowiadać na takie bzdurne pytania.

- Wygląda mi na Ziębę... - zastanawiała się głośno Lily.

- Wygląda na konia! - poprawiła ją lady Clary niezbyt uprzejmym tonem.

- Constance jest wspaniałą amazonką! - wyrwał się z pochwałą lord Jarvis.

- Dzięki, Malcolmie! - Constance dobitnie i serdecznie wymówiła jego imię. - A pani jeździ konno, panno Masters?

Nastąpiła chwila ciszy.

- O tak, lady Clary! - Głos Lily był leniwy i aksamitny. - Bardzo lubię od czasu do czasu... pojeździć sobie!

I zerknęła przelotnie na Gideona.

Miał wrażenie, że nigdy jeszcze nie słyszał tak otwarcie erotycznej aluzji. Poczul, że się rumieni. Rzucił okiem na Jarvisa. On też był czerwony

i aż usta otworzył ze zdumienia. Pewnie się zastanawia, pomyślał złośliwie Gideon, czy go słuch nie myli!

Constance jednak zdawała się nie dostrzegać w słowach Lily żadnej dwuznaczności. Nic dziwnego. Nie pozostawała nigdy w bliskiej komitywie z prostytutką!

Przejechał obok nich powozik pełen młodych dam. Doleciały do nich strzępki wesołej rozmowy i chichoty. Gideon pochwycił słowa: „nieziemski” i „boska”, a także nazwiska „pan Cole” i „panna Masters”.

Cieniutkie zmarszczki na twarzy Constance się pogłębiły.

Lord Jarvis odzyskał wreszcie głos.

- Może panna Masters chciałyby sobie pojeździć... to znaczy... Może wszyscy razem wybierzemy się kiedyś na konną przejażdżkę? - poprawił się z pośpiechem.

- Być może - przytaknął Cole i uśmiechnął się w taki sposób, że widać było wyraźnie, iż nie planuje nic podobnego w najbliższej przyszłości.

- Panie Cole! Panie Cole! - Wszyscy się odwrócili, zaskoczeni. Żadne z nich nie zauważyło mężczyzny, który biegł za nimi, sapiąc, z kapeluszem w rękę, póki się prawie z nimi nie zrównał. - Byłem pewny, że to pan, panie Cole! Kawał chłopca z pana, więc mówię sobie, ani chybi, Wesley to pan Gideon Cole!

Mężczyzna, wysoki i barczysty, miał spieczoną słońcem twarz i ogorzałe ręce. Widać było, że większą część życia spędza pod gołym niebem. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do Gideona opaloną rękę. Gideon mocno ją uściskał.

- Dzień dobry, panie Wesley!

Był to syn hodowcy owiec, który zmarł i pozostawił mu osławione trzydzieści funtów. Nie ulegało wątpliwości, że jego syn także jest farmerem i rzadko bywa w Londynie.

Constance popatrzyła na rękę Gideona w eleganckiej rękawicze złożoną ze spracowanym łąpskiem pana Wesleya. A potem spojrzała Gideonowi prosto w twarz. Miała taką samą minę jak wówczas, gdy upierał się, że powinna nadać imię koniowi. Była zmieszana i zaniepokojona.

- Przyniesło mnie do Londynu na jeden ino dzionek, panie Cole. Ale jakem pana zobaczył, tom pomyślał, że jeszcze raz podziękuję za to, coś pan zrobił dla mego taty, świeć, Panie, nad jego duszą! Brakuje

go nam, ale radzim sobie nieźle. I to wszystko pańska zasługa. Jakbyś pan nie pomagał, i to nie raz, takim biedakom jak nie przymierzając my, i to całkiem za...

- Nie ma o czym mówić, panie Wesley! - przerwał mu pośpiesznie Gideon. Nie dodał nic więcej. Był pewien, że farmer lada chwila powie wyraźnie „za darmo”, a te dwa słowa mogłyby przyciągnąć uwagę Constance i skłonić ją do niebezpiecznych pytań w rodzaju: „Skąd masz pieniądze, Gideonie, jeśli pomagasz swoim klientom za darmo?”

A jedyną szczerą odpowiedzią na to pytanie mogło być tylko: „Jakie pieniądze, Constance?!”

Pan Wesley, zaskoczony lakoniczną odpowiedzią Gideona, spojrział uważniej na Constance i Jarvisa. Dostrzegł ich pełne niesmaku miny. Jego uśmiech znikł, a na twarzy odmalowało się zrozumienie... i przykrość.

Gideon poczuł nagły gniew, po raz pierwszy spowodowany zachowaniem Constance. Opanował się z trudem. Nie powinien brać jej tego za złe, pewnie nigdy dotąd nie zetknęła się z kimś w rodzaju Wesleya - człowiekiem lichy odzianym, wyrażającym się prostacko, może nawet niedomytym...

Jednym z tych, którzy trudzą się w pocie czoła, by wytwornym arystokratom nie brakło jadła.

Z drugiej strony, dzięki małżeństwu z Constance mógłby przyjmować wszystkich klientów za darmo, gdyby chciał... Mógłby uszczęśliwić cały batalion takich Wesleyów!

- Dostał pan legat, panie Cole? - spytał Wesley. - Dodge wręczył go panu, no nie?

- Dostałem, oczywiście - odparł ciepło Gideon. - Dziękuję!

I pomyśleć, na co wydałem te pieniądze, miał ochotę dodać, wskazując na Lily.

Nie odezwał się jednak.

- No to nie będę dłużej zwracał panu głowy - powiedział z godnością Wesley. - Jeszcze raz dziękuję i niech Bóg da panu zdrowie!

Uklonił się i odszedł, wkładając po drodze podniszczony kapelusz.

Niech pan zaczeka, miał ochotę zawołać za nim Gideon, ale nie zrobił tego. Spoglądał tylko za odchodzącym i było mu wstyd.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Constance ze śmiechem.

Zupełnie jakby pan Wesley popełnił niewybaczalne faux pas samym pojawieniem się.

Gideon poczuł znów falę gniewu, ale się opanował. Popatrzył na Lily. Spoglądała za Wesleyem, który był już tylko małą plamką na horyzoncie. Wyraz twarzy dziewczyny był znacznie łagodniejszy niż dotychczas.

- Doprawdy urocza suknia, panno Masters - zauważyła Constance z miną osoby podtrzymującej bohatersko konwersację.

Suknie. To wieczne gadanie Constance o sukniach!

- Dziękuję, lady Clary - odparła całkiem szczerze Lily, ujęta tym komplementem. - A przy okazji, powiadomiłam moją modystkę, że chciałaby pani skorzystać z jej usług. Zgodziła się przyjrzeć pani z daleka i ocenić, czy będzie pani odpowiednią klientką.

- Odpowiednią klientką?!

Koń Constance zatańczył nagle, jakby w gniewie szarpnęła zbyt mocno za cugle.

No, no... rozważał Gideon. Jeśli rozmowa o sukniach może doprowadzić Constance Clary do utraty panowania nad sobą, to może jednak warto rozprawiać na ten temat?

- Chciałam powiedzieć - prostowała Lily pośpiesznie - że madame Marceau chce zapoznać się z pani sylwetką, żeby mieć pewność, iż podkreśli wszelkie jej walory!

Constance zdołała uspokoić konia.

- Ach tak? No cóż, chętnie przekonałabym się, jak prezentują się te jej suknie biblioteczne. Nie widziałam dotąd żadnej z tych, które uszyła dla pani, panno Masters!

Lily zrobiła zaskoczoną minę.

- Istotnie, chyba nie. Ale któż by nosił taką suknię podczas przejażdżki faetonem, lady Clary? Albo ubierał się w nią na bal czy proszony obiad?

Constance przez chwilę spoglądała na Lily w milczeniu

- Oczywiście, że nikt - przyznała niechętnie.

Istny pojedynek na ukryte wśród kwiatów rapiery! - zachwycał się Gideon. W stosunkach między obiema paniami wyraźnie coś się zmieniło. Lily Masters przestała być traktowana przez Constance jako interesujący dziwoląg. Była teraz jej oficjalną rywalką. A rywalek lady Clary do tej pory nie miała.

Dokonałiśmy tego, zdumiewał się w duchu Gideon.

- Chyba czas ruszać w drogę! - rzucił jowialnie, przerywając ciszę. Czy państwo wybierają się na przyjęcie u Ryce-Martinów?

- Oczywiście! - odparł Jarvis z promiennym uśmiechem.

Constance ledwie skinęła głową.

- I nie zapomnij, Gideonie - dodała chłodno - że mój ojciec nadal pragnie porozmawiać z tobą o posadzie w Ministerstwie Skarbu. Mają nadzieję obsadzić to stanowisko do końca miesiąca.

Było jeszcze za wcześnie na ostateczny triumf. Niemniej jednak Gideon czuł radosne uniesienie.

- Z przyjemnością spotkam się z twoim ojcem w dogodnej dla niego chwili. I ogromnie się cieszę na przyjęcie u Ryce-Martinów.

Obrzucił Constance długim, wymownym spojrzeniem, które powinno złagodzić jej niepokój. I rzeczywiście, po chwili szczęki Constance nie były już zaciśnięte i mogła pokazać wszystkie zęby w uroczym uśmiechu.

Gideon trzepnął lejcami po grzbietach gniadych wałachów Kilmartina i faeton ruszył z miejsca.

- Jest bardzo miły... - dotarła do nich jeszcze przyjazna uwaga Jarvisa, zanim odjechali.

Ciekawe, co też odpowiedziała na to Constance?

Lily znów milczała. Jej twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu, jakby kurtyna zapadła po przedstawieniu. I cóż to było za przedstawienie! Suknie biblioteczne... Zięba... wyraźnie skutkowało! Constance omal nie wypadła z roli, to dosłownie zapierało dech w piersi! Sytuacja nadal była delikatna i w dalszym ciągu należało zachować ostrożność, ale jeśli tak dalej pójdzie, Gideon wcale by się nie zdziwił, gdyby Constance sama mu się oświadczyła, po prostu na złość Lily Masters.

Już chciał się odwrócić do Lily i podzielić z nią tym świetnym żartem, a potem wspólnie uczcić dzisiejsze zwycięstwo... Jednak tyle nabierało się pomiędzy nimi skrępowania, uraz i niedowierzania, że się powstrzymał. Nawet nie odwrócił głowy i spoglądał prosto przed siebie, na końskie zady. Lepiej nie burzyć tej bariery między nami, myślał. Stanowczo lepiej dla nas obojga!

Lily stała na chodniku i przyglądała się, jak faeton i zaprzęg Kilmartina - dwa konie tak piękne i tak idealnie dobrane, jak Gideon Cole i Constance Clary - oraz powożący nimi Gideon błyskawicznie znikają w od dali.

Gideon odwiózł ją do domu cioci Hester z taką troskliwością i szacunkiem, jakby była kubelkiem węgla. Pomógł jej przy wysiadaniu i natychmiast cofnął ręce, żeby broń Boże nie dotykać jej ani przez sekundę dłużej, niż było to konieczne! A potem uchylił kapelusza na pożegnanie. Z pewnością był zły, że się musi tak fatygować!

Doskonale, pomyślała, kipiąc z gniewu. Jeśli Gideon zaręczy się z tą odrażającą babą, to przynajmniej ona - Lily - będzie miała satysfakcję, że przechytryła lady Constance Clary, choćby tamta nigdy się tego nie domyśliła!

Ale była to, doprawdy, bardzo nikła satysfakcja.

Przez trzy niesłychanie męczące wieczory Kilmartin i ciocia Hester towarzyszyli jej wiernie na przyjęciach i balach. Przez te trzy okropne wieczory Kilmartin próbował niezręcznie usprawiedliwić przyjaciela. Zapewniał Lily, że to zniknięcie jest częścią strategii Gideona. Troskliwość Kilmartina przez te trzy wieczory była dla niej trudna do zniesienia, ponieważ stanowiła najlepszy dowód na to, że Laurie się domyśla, jak jej trudno. A Lily się wydawało, że radzi sobie doskonale i że nikt niczego nie podejrzewa! Jej duma cierpiała, ilekroć Kilmartin zwracał się do niej tym wyjątkowo serdecznym tonem.

A potem nastał ranek, kiedy Gideon zjawił się znowu w domu cioci Hester. Lily serce się krajało. Był taki blady, miał sińce pod oczami. Z wyrazu jego twarzy nic, oczywiście, nie można było wyczytać, ale nerwowo miętosił kapelusz w rękach. Na sam jego widok ostrze jej gniewu stępieło. Nie ulegało wątpliwości, że Gideon też cierpiał.

Dobrze mu tak!

Odgrodziła się od niego ścianą lodowatego milczenia. I to jej bardzo pomogło. Nie czuła prawie nic, gdy siedziała obok niego w faetonie. Znajdowała nawet przyjemność w dręczeniu lady Constance Clary. Dopóki nie zjawił się pan Wesley i nie ujawniło się drugie oblicze Gideona.

To był właśnie człowiek, którego kochała!

Poznała to z wyrazu twarzy Gideona. Jego rezerwa w stosunku do pana Wesleya nie była naturalna. Zmuszał się do tego! Musiał być

jednak przygotowany na tego rodzaju przykrości, jeśli ustawicznie dławił w sobie najszlachetniejsze odruchy.

Głupiec!

W pełni zasługiwał na to, by zdobyć to „szczęście”, do którego tak rozpaczliwie dążył! Lily była pewna, że osiągnąwszy cel, będzie cholernie nieszczęśliwy! Z trudem powstrzymała się od rzucenia kapelusza na podłogę i podeptania go w bezsilnym gniewie.

Jeden z niewiarygodnie przystojnych lokajów cioci Hester wyrósł przed nią całkiem nieoczekiwanie. Zawsze tak było - wszędzie leżały puszyste dywany, więc stąpali bezgłośnie jak koty!

- Ma pani gościa, panno Masters. Czeka w salonie. To niejaka madame Marceau. Pozwoliłem sobie podać jej herbatę.

- O! - To była dobra nowina. Szczerą wymianą myśli z madame Marceau pomoże jej zapomnieć o tej okropnej, fałszywej lady Constance Clary! - Bardzo dziękuję. Doskonale! Podałeś także ciastka?

- Tak jest. Podałem ciastka.

Lokaj się uśmiechnął. Cała służba знаła już dobrze słabość panny Masters do przegryzek wszelkiego rodzaju. Madame Marceau wstała na powitanie Lily. Modystka wyglądała jak zawsze niesłychanie elegancko w jednej ze swych kreacji - sukni w kolorze czerwonego wina, o prostym, nienagannym kroju, podkreślającym wytworną smukłość sylwetki.

Panna Masters! Jakże się cieszę, że panią widzę! Ma pani, doprawdy, fantastyczną suknię!

Lily uśmiechnęła się do madame Marceau i dygnęła.

- To zasługa mojej niezrównanej modystki. Służę jej nazwiskiem, gdyby chciała pani skorzystać!

Madame Marceau się roześmiała.

- Prawda, że jestem niezrównana? A teraz jeszcze niesłychanie zaintrygowana. I to z pewnością twoja robota, Lily!

- O Boże! Cóż to może być?

- Otrzymałam dopiero co pilną wiadomość za pośrednictwem agenta z Bow Street, wyobraź sobie! Chciał się koniecznie dowiedzieć, czy jestem tą modystką, która ubiera pannę Lily Masters, a jeśli tak, to czy zgodziłabym się uszyć, powtarzam dokładnie: „suknię biblioteczną dla lady Constance Clary. Tej znanej wszystkim lady Constance Clary,

Córki markiza Shawcrossa! I wielce mi się to opłaci, jeśli zabiorę się do tego od razu. Możesz sobie wyobrazić, jaka byłam zaskoczona! Lily zakryła ręką usta, nie chcąc parsknąć śmiechem.

- Och! - powiedziała z niejakim trudem. - Nie miałam pojęcia, że aż tak łatwo pójdzie!

- Panno Masters! Niechże mnie pani oświeci, o co tu chodzi?!

- To było tak, madame Marceau. Powiedziałam lady Constance, która jest po prostu nieznośna, że jest pani modystka, którą sobie szczególnie upodobałam. I że pani sama wybiera sobie klientki, a nie na odwrót. Dziś nawet wspomniałam, że zapewne madame Marceau przyjrzy się jej z daleka i oceni, czy będzie odpowiednią klientką!

Madame Marceau aż szczeka opadła ze zdumienia. Potem zaś odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła nieco chrapliwym śmiechem.

- Och, panno Masters... Lily, co za niesamowita historia! - Otarła oczy. - Tylko jak, na litość boską, wyglądają te suknie biblioteczne?!

- No cóż... to już zależy od pani. Wiem tylko, że to niezwykle kosztowne kreacje!

- Niezwykle kosztowne, powiadasz?

Oczy madame Marceau błysnęły jak złote gwinee.

- Niesamowicie kosztowne! - potwierdziła Lily z przekornym uśmiechem. - Coś mi się zdaje, że powinna pani uszyć kilka dla lady Constance!

- Chyba z długimi rękawami... - rozważała modystka.

- A może książka powinna zwisać u pasa... Albo gdzie indziej? Śmiały się obie do rozpuku.

17

Lily miała na sobie tego wieczoru jedwabną suknię koloru wody morskiej, a lord Jarvis i wielu innych mężczyzn zapewniali ją, że wygląda w niej wspaniale. Cudownie. Przepięknie! Prześcigali się w pochlebstwach przez cały wieczór. Najbardziej - jak dotąd - spodobało się jej porównanie koloru jej włosów do rzymskich monet. Pomyśleć tylko, nie do byle jakich monet, ale do rzymskich! Tym komplementem uraczył ją lord Ryce-Martin, gospodarz dzisiejszego balu. Trudno się

było nie cieszyć z tak wyszukanych pochwał. Gdyby nie Gideon i lady Constance, Lily naprawdę dobrze by się bawiła!

Siedziała na kanapie i słuchała, jak lord Jarvis opowiada jej o sobie, gdy Gideon stanął po przeciwnej stronie pokoju, rozmawiając z Constance. Słuchał jej z łagodnym rozbawieniem i z uwagą. Nagle jego oczy pobiegły ku Lily, podchwyciły jej spojrzenie i znów spiesznie umknęły.

Dlaczego to robię? - zapytywała się Lily po raz nie wiadomo który. Po co, u licha, uczestniczę w tej komedii?! Dlatego że obiecałam?

Dlatego że go kocham.

Ale czy tak było naprawdę? Kochała Gideona, który ukrywał się pod maską. Dobrego, szlachetnego człowieka, choć nieraz kapryśnego, porywczego i niecierpliwego. Gideona, który dostrzegał każdy szczegół, którego uczucia były głębokie, który zachwycił się pięknem liści...

Kochała człowieka, którego postanowił w sobie zniszczyć, żeby ożenić się z córką markiza!

Od pięciu dni znów mieszkał w swoim domu. Lily zaś od pięciu nocy prawie nie zmrzyła oka. Wsłuchiwała się w chrapanie cioci Hester, które rozlegało się w całym domu! Mimo wszelkich starań, świat stracił dla niej cały powab.

Kiedy Gideon zamierzał się oświadczyć Constance? Lily była pewna, że w tym momencie ozwie się w jej sercu żałobny dzwon. Pewnie będzie to jedyny sygnał, jaki od niego otrzyma. Zastanawiała się co prawda nad poślubieniem Janasa lub innego z gorących wielbicieli, ale żadnemu z nich nie dała wyraźnej zachęty. Może by ją nawet bawiło narzeczeństwo, gdyby nie to, że musiałyby przecież przedstawić kiedyś swego wybrańca ojcu, który istniał wyłącznie w jej fantazji!

- Panno Masters? Mam dla pani list.

Lily podniosła wzrok. Stał przed nią jeden ze służących lady Ryce-Martin i podawał jej złożony arkusik papieru.

- O! Bardzo dziękuję.

Panno Masters

Panienska Alice jest bardzo chora. Doktor uważa, że powinna Pani natychmiast wracać do domu. Wynajęty powóz czeka przed wejściem.

Z poważaniem

Ada Plunkett

Lily wpatrywała się w te straszliwe słowa i czuła, że zmienia się w bryłę lodu.

- Panno Masters, czy stało się coś złego?

Zupełnie zapomniała o lordzie Jarvisie! Lily próbowała uśmiechnąć się uprzejmie, ale wargi też jej zlodowaciały Jakims cudem zdołała nimi poruszyć i wypowiedzieć kilka słów.

- Bardzo dziękuję za troskę... Moja siostra jest chora. Muszę natychmiast wracać do domu. Pan wybaczy...

Wstała i dygnęła. Aż dziw, jak dobrze znany i pocieszający wydał się jej ten zwyczaj! Wymknęła się z pokoju jak dawna Lily, szybko i prawie niedostrzegalnie, śpiesząc do czekającego powozu.

- Naprawdę powinienes zaprosić gości do Aster Park, Gideonie! Cóż to za urocza posiadłość! Idealnie się nadaje do urządzania konnych wycieczek, pikników i zawodów łuczniczych. A wszystkie te piękne pokoje aż się proszą...

Constance urwała nagle.

Gideon nadstawił ucha. Czy to możliwe? Constance po raz pierwszy pozwala sobie na dyskretną aluzję!

- Aż się proszą o co? - zagadnął jedwabistym głosem.

„Żeby się w nich spotykać sam na sam" byłoby wymarzoną odpowiedzią, zwłaszcza gdyby wypowiedziała te słowa odpowiednio gorąco. Ale wystarczyłoby mu kokieteryjne zerknięcie spod złotych rzęs... Albo cokolwiek. Wszystko jedno co.

Constance nieco spochmurniała.

- Och, bardzo przepraszam! Nowa suknia Lydii Burnham przyciągnęła na chwilę moją uwagę. Ten kolor nie jest dla niej zbyt odpowiedni, prawda? Chciałam powiedzieć, że pokoje idealnie się nadają na proszone obiady, spotkania przy kartach i oczywiście wieczorki taneczne.

Gideon westchnął w duchu. Constance była dobrze wychowaną damą, pod wieloma względami prawdziwym niewiniątkiem... mimo przezroczywych sukien. Wymagała, bez wątpienia, gruntownej edukacji miłosnej. Ale może zdoła wykorzystać nawet w sypialni jej pragnienie wyróżniania się pod każdym względem. Już sobie wyobrażał, jak się do tego zabierze: „Wyobraź sobie, kochanie, lord Rawlston zwierzył mi się, że jego żona jest niezwykle biegła w..."

Constance nadal coś mówiła, zaczął więc przysłuchiwać się uważniej.

- Mógłbyś zaprosić także Kilmartina... i lorda Jarvisa, a ja bym zaprosiła kilkoro innych przyjaciół.

Udało się jej przemycić mimochodem nazwisko Jarvisa, zauważył Gideon i niemal się uśmiechnął. Pewnie chce mnie skłonić, bym jak najszybciej się zadeklarował!

Im dłużej Gideon o tym myślał, tym bardziej sensowny wydawał mu się pomysł zaproszenia gości do Aster Park. A co do oświadczyn, to niechże go Constance do nich zmusi! Miał już stanowczo dość tej komedii. Do Lily ostatnio prawie się nie odzywał, nie licząc zwykłych zwrotów grzecznościowych. Od pięciu dni, poczynając od jego zenującej ucieczki, sypiał we własnym mieszkaniu. Jego myśli stały się spokojniejsze i bardziej racjonalne, jak dawniej, zanim Lily wkroczyła w jego życie. Zapewne był to dowód, że jego uczucia do niej to tylko przelotne zauroczenie. Lily jednak nadal dochowywała wiernie przyrzeczenia. Zupełnie jakby na równie chciała czym prędzej doprowadzić sprawę do końca. Lord Kilmartin podszedł do Gideona i Constance. Twarz miał zaczerwienioną, jako że nie oszczędzał sił podczas tańca.

- Constance zaproponowała właśnie, żebym zaprosił gości pod koniec tygodnia do Aster Park. Co o tym myślisz, Laurie?

- Wyśmienicie! Zaprosisz, oczywiście, lady Anne Clapham? I moją drogą kuzyneczkę Lily.

Entuzjazm Constance nieco osłabł.

- Ależ oczywiście! Musimy zaprosić pannę Masters. Ciekawe, kiedy pańska uroczą kuzynka wraca do Sussex?

- No cóż... - Kilmartin spojrzał znacząco na Gideona. - Może nigdy?

Constance utkwiała w Gideonie spojrzenie tak przeszywające, że zdumiał się, iż pomiędzy jego oczyma nie pojawiła się wypalona dziura.

- Tak - odparł z całym spokojem Gideon. - Oczywiście zaproszę także lady Clapham i pannę Masters do Aster Park. Możesz być spokojna, Constance, że nie znajdziesz sobie równych... - Poczekał, aż na ustach Constance pojawi się uśmiech i dokończył perfidnie: - Jeśli urządzimy zawody łucznicze!

Uśmiech Constance w jednej sekundzie zakrzepł na jej ustach. Kilmartin rozkasłał się, zręcznie ukrywając śmiech.

Gideon poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Nie był dumny ze sposobu, w jaki próbował osaczyć i zdobyć arystokratyczną żonę. Niewątpliwie jednak okazał się on skuteczny. Podejrzał zresztą, że Constance zaaprobowałaaby jego taktykę, gdyż i jej metody w dążeniu do tego, czego chciała, nie były kryształowo czyste. Jemu jednak wszystkie te matactwa wydawały się okropnie męczące. Od bardzo dawna nie miał możliwości być po prostu sobą.

- A więc postanowione! - stwierdził z ożywieniem Kilmartin i właśnie w tej chwili lord Jarvis zbliżył się do nich z ukłonem. - Pojutrze wyruszamy wszyscy do Aster Park!

- Jarvis! - Gideon powitał entuzjastycznie nowo przybyłego tylko po to, by jeszcze bardziej zdezorientować Constance. - Chciałbym cię zaprosić na pojutrze do Aster Park, wiejskiej rezydencji mojego stryja. Kilmartin, lady Clary i panna Lily Masters przyłączą się do nas, no i jeszcze kilkoro innych... - Pomyślał o ludziach, których pewnie zaprosi Constance, i ponieważ nie bardzo wiedział, jak ich określić, posłużył się ogólnikiem: - ...przyjaciół.

Przypomniały mu się ni stąd, ni zowąd słowa Lily: „wszyscy dokoła wydają się przyjaciółmi, ale w gruncie rzeczy są sobie obcy”. Odruchowo zwrócił oczy w stronę kanapy, ale Lily tam nie było.

- Serdeczne dzięki, Cole! To brzmi niesłychanie obiecująco! - Jarvis uśmiechnął się do całej trójki. - Może siostra panny Masters wyzdrowieje do tego czasu.

Cóż on za bzdury plecie?! Gideon zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz, Jarvis?

- Kilka minut temu, gdy rozmawiałem z panną Masters, otrzymała list, wzywający ją do powrotu. Wiadomość o chorobie siostry. Wydawała się bardzo przejęta, panna Masters oczywiście, a nie jej siostra. Myślałem, że o tym wiesz, Kilmartin, to przecież twoja kuzynka! Bardzo mi jej będzie... To znaczy, wszystkim nam z pewnością bardzo jej będzie brakowało -jąkał się Jarvis.

- Wyjechała do domu? - Twarz Constance dosłownie promieniała. - Pannę Masters wezwano do Sussex? Jaka szkoda! Och! Gideonie, właśnie grają naszego walca! Gideonie! - powtórzyła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Wiesz, Constance... - Gideon prawie nie słyszał własnego głosu, tak szumiało mu w uszach. Czuł też na piersi jakiś ciężar, utrudniający

oddychanie. - Myślę, że... że twój pomysł z wyprawą do Aster Park jest znakomity. Od razu tam wyjadę, żeby wszystko przygotować na wasze przybycie. Rozumiesz, jak mi na tym zależy? Wybaczysz chyba, jeśli opuszczę ten jeden taniec? Jestem pewien, że czeka nas jeszcze wiele wspólnych walców!

Uśmiechnął się do niej. Wydawało mu się, że jego twarz zaraz pęknie na dwie połówki. Miał nadzieję, że nie wygląda aż tak okropnie, jak się czuje.

Kilmartin spoglądał na niego jak na wariata.

- No cóż... to trochę dziwne zachowanie... - Constance zmarszczyła lekko brwi. - Ale rozumiem cię, Gideonie. Gdyby Aster Park był moim domem, też bym chciała, żeby prezentował się jak najlepiej!

Jej słowa były bardzo znaczące.

Gideon jednak nie zwrócił na to uwagi.

- To doskonale! - odparł.

Uklonił się, odwrócił na pięcie i pośpiesznie opuścił rezydencję lorda i lady Ryce-Martin.

Był szybki jak złodziej!

18

Gideon rzucił garść banknotów podpitemu woźnicy, popędził do głównego wejścia i wtargnął do wnętrza Aster Park przez wielkie podwójne drzwi. Lamy w całym domu były pogaszone, podobnie jak ogień we wszystkich kominkach. Gideon pobiegł na górę po nieoświetlonych schodach.

- Lily!

Pędził korytarzem do pokoju obu sióstr Masters. Drzwi były otwarte, wewnątrz panował chłód. Ani Lily, ani Alice nie było.

Udał się więc piętro wyżej - do pokoju dziecięcego. Łagodne światło, padające z otwartych drzwi, świadczyło wyraźnie o tym, że na kominku palił się ogień. Znalazł je!

Lily wpatrywała się w płomienie. W migotliwym blasku widać było wyraźnie, jak bardzo pogniotła się jej suknia w trakcie wielogodzinnej podróży.

Na łóżku leżała drobna postać, okryta puchową kołdrą. Alice! Serce Gideona zaczęło bić niespokojnie. Przyjrzał się uważnie skulonej postaci i spostrzegł, że dziewczynka oddycha. Przymknął na chwilę oczy. Odczuł ogromną ulgę. Żyła!

Lily odwróciła się twarzą ku niemu, wydawała się nieco oszołomiona, ale niezaskoczona jego przybyciem. Bez wątpienia usłyszała już wcześniej kroki na korytarzu.

Gideon stał niepewnie na progu.

- Jak się czuje Alice?

- Doktor powiedział... że to poważna choroba... ale ona... - Głos Lily drżał. Odetchnęła głęboko, by uspokoić się choć trochę. - Silna z niej dziewczynka! Gorączka już opadła i widać, że jest z nią coraz lepiej. Śpi znacznie spokojniej. Doktor jej nie odstępował, ale teraz wrócił do domu.

Gideon miał ściśnięte gardło i nie był w stanie wyrazić swoich myśli. Spoglądali tylko na siebie, on i Lily, w ciszy aż gęstej od niewypowiedzianych słów.

- Ona... ona jest wszystkim, co mam.

Na wargach Lily pojawił się drżący, niemal wstydlivy uśmiech. W kilku susach Gideon znalazł się obok niej.

Chwycił ją w ramiona, objął mocno i przytulił do siebie. Bliskość Lily i ulga, że ma ją przy sobie, okazały się ponad jego siły. Lily przyłgnęła do niego, drżąc na całym ciele.

- Nic złego się nie stanie, Lily... moja Lily! - szeptał jej. - Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie.

Gładził ją uspokajająco po plecach, muskał czule wargami jej czoło, skronie, policzki, powieki... Trącał ją pieszczotliwie nosem, powtarzał jej imię, szeptał jakieś bezładne słowa pociechy. Lily nie płakała, tylko dygotała w jego objęciach, jakby obawiała się straszliwego ciosu, on zaś tulił ją do siebie, pragnąc ogrzać ciepłem własnego ciała.

Nie umiałby powiedzieć, jak długo to trwało. Jednak z wolna, po trochu, roztrzęsiona dziewczyna odprężała się pod dotknięciem jego rąk. Nie otwierając całkowicie oczu, przechyliła głowę tak, by mógł dosięgnąć jej szyi... policzka... warg.

Usta Gideona znalazły tak blisko jej ust, że niemal się z nimi stykały. Jego ręce znieruchomiały. Ostrożnie unióś głowę. Poczul, że ręce Lily błędzą nieporadnie po jego ciele. Gdy zerknął w dół,

ujrzał jak we śnie, że jej smukłe paluszki mocują się z guzikiem koszuli.

- Lily! Lily, nie powinnaś...

- Cicho bądź! - Przerwała rozpinanie koszuli i dwoma palcami zakryła mu usta. - Wiecznie mi dyktujesz, co mam robić!

Uśmiechnął się, dotykając wargami zamykających mu usta palców. Nie śmiał prawie oddychać, gdy Lily rozpięła powolutku następny guzik, potem jeszcze jeden, i jeszcze... Nie protestował. W końcu cała koszula była rozpięta i poczuł chłodne powietrze na nagim torsie.

Lily ostrożnie rozchyliła poły koszuli i przyłożyła chłodne rączki do jego skóry. Z dręczącą powolnością sunęły w górę po muskularnej klatce piersiowej. Czuł w całym ciele dreszcze pożądania, jakby tysiące ogni zapłonęło od jednej błyskawicy.

Ręce Lily znieruchomiały. Ucałowała pierś Gideona tam, gdzie biło serce.

- Kochaj mnie! - wyszeptęła.

Pojął, że na te właśnie słowa czekał całe życie.

Tym razem nie były to nieśmiałe pieścizoty. Obiema rękami objął jej głowę i odchylił ją do tyłu, by rozkoszować się słodyczą jej pocałunku. Lily zarzuciła mu ręce na szyję, ich języki splotły się niecierpliwie. Wodził drżącymi palcami po krzywiznie jej policzków i po smukłej kolumnie szyi aż do jej podstawy. Skóra Lily była niewypowiedzianie miękka.

Oderwał się na chwilę od pieścizot i chwyciwszy Lily za rękę, zaprowadził do niewielkiej izdebki, przeznaczonej dla służby. Było w niej chłodno, nie docierał tu żar ognia z sąsiedniego pokoju. Znów pocałował Lily - z powagą, niemal z nabożeństwem. Czułe dotknięcie warg świadczyło o tym, jak poważnie traktuje to, co robi. W tym pokoju mieli się kochać.

- Odwróć się, Lily! - polecił jej szeptem.

Usłuchała. Gideon drżącymi rękami rozsznurował cienkie tasiemki i górna część sukni opadła Lily z ramion. Przesunął wargami po jedwabistej szyi, pocałował miejsce, gdzie stykały się z nią ramiona. Lily przeszył dreszcz. Głowa opadła jej do tyłu. Objął dziewczynę w pasie i wodząc ustami po jej szyi, wyczuł puls. Pod dotykiem rąk Gideona oddech Lily stawał się coraz szybszy.

Delikatnie, lecz stanowczo ściągał coraz niżej i niżej rękawy jej sukni, aż wreszcie cała górna część kreacji z cichym szelestem opadła do pasa.

- O Lily, moja Lily! Jak bardzo cię pragnę! - szeptał jej do ucha.

Oddychała gorączkowo, co niezwykle go podniecało. Z zachwytem przesunął ręką po jej plecach i czuł, jak pod jego dotykiem na ciele Lily występuje gęsia skórka. Bez pośpiechu wodził rozpostartymi dłońmi po jej bokach, podziwiając linię bioder przechodzącą łagodnie w talię. Zatrzymał się na niej, nie dotykając piersi. Gdy wygięta w łuk Lily wsparła się o niego, szepcząc jego imię i zachęcając do dalszych pieszczot, napełniło go to triumfem. Nie uległ jednak naleganiom.

Zamiast tego zajął się swoją koszulą. Mimo że jego ręce stały się dziwnie niezręczne, wyciągnął ją ze spodni i zsunął z ramion. Upadła na podłogę.

- Odwróć się, Lily - polecił znów cicho.

Lily odwróciła się raz jeszcze, bez pośpiechu, zasłaniając rękoma piersi. Suknia nadal trzymała jej się na biodrach. Jasne oczy Lily błyszcząły w ciemności. Nagość wyraźnie pobudzonego ciała Gideona nie wywołała w niej skrępowania, tylko żywe zainteresowanie.

Drżąc z wysiłku, by utrzymać swą namiętność w karchach, Gideon pochylił się i ucałował rozchylone usta Lily. Ocierał się o nie wargami, czuł na sobie jej oddech. Rozgarniał palcami jej włosy, by uwolnić je od szpilek. Jedna po drugiej opadały na podłogę z cichym brzękiem. Oswobodziwszy w ten sposób wspaniałą, ciemnozłotą grzywę, odgarnął ją z twarzy Lily. Znów odchylił jej głowę do tyłu, całując dziewczynę niemal brutalnie.

Ręce Lily owinięły się wokół szyi Gideona. Przytuliła się do niego, odpowiadając na jego niepowściągnięty już zapach równie żywiołowo. Ich języki, wargi i zęby zwierzały się w namiętym, niekończącym się pocałunku. Piersi Lily ocierały się o klatkę piersiową Gideona, jej miękki brzuch o jego pobudzoną męskość.

Ogarnęła go niepohamowana niecierpliwłość. Ściągnął do reszty suknię z Lily. Jego ręce zamknęły się na jej drobnych, krągłych pośladkach. Uniósł ją do góry, by przekonała się, jak bardzo jest podniecony.

- Czujesz, Lily? - szepnął z ustami na jej ustach. - Czy i ty mnie chcesz?

- Chcę!

W jej niskim, aksamitnym, jakby zdyszonym głosem brzmiała szczerłość.

Odsunął ją na chwilę od siebie, żeby nacieszyć się jej widokiem. Lily była całkiem naga - z wyjątkiem pończoch i podwiązek. Jej skóra jaśniała w mrocznym pokoju jak księżyc. Kiedy na nią spoglądał, odchyliła ramiona do tyłu i uniosła dumnie głowę. Była taka piękna... Była po prostu sobą.

- O Boże!

Czy to on wypowiedział te słowa? A może ona? Nie sposób było odgadnąć. Stanowili jedność. Jego ręce wplątane w jej włosy, jej dłonie sunące po jego piersi... Całował ją tak, że kolana się pod nią ugięły i musiała usiąść na łóżku. A wówczas położył ją ostrożnie na wznak, z włosami rozsypanymi wokół głowy, z przykniętymi oczyma, pełnymi namiętności. W końcu i on położył się obok niej.

Jego dłoń musnęła jedną z drobnych, sterczących piersi. Lily wciągnęła raptownie powietrze. Gideon nachylił się i na przemian to pieścił językiem, to drażnił zębami jedwabisty sutek. Lily wczepiła palce w jego włosy i przyciągnęła go do siebie, wygięła się w łuk z cichym, namiętnym pomrukiem.

Pragnął jak najszybciej zaspokoić trawiące go pragnienie.

Chwycił Lily w ramiona, nakrył swoim ciałem i przesunął językiem od mostka między delikatnymi żebrami do kępki wilgotnych włosów, gdzie taił się nieznany mu dotychczas smak Lily. Wibrowała pod pieszczotą jego rąk i ust, powtarzając szeptem jego imię. Delikatnie rozchylił jej smukłe nogi w cienkich pończoszках i rozkoszował się jej smakiem. Biodra Lily zaczęły się poruszać w tym samym rytmie, jaki poddawał jego niezmordowany język, oddech jej stał się chrapliwy i gorączkowy. Wreszcie zaczęła powtarzać błagalnie jakieś niepowiązane ze sobą słowa, zaciskając kurczowo ręce na przykryciu.

Wówczas przesunął się znowu w górę i zamknął jej usta namiętnym pocałunkiem. Pragnął czuć pod sobą całe jej ciało, gdy będzie szczytowała. Ostrożnie zanurzył palec w jej gorącej wilgoci.

Otworzyła się przed nim z przeciągłym, cichym jękiem. Wygięła się w łuk, rozedrgana jak struna.

To musi być teraz, pomyślał. Inaczej umrę!

Rozsunął dłońmi jej kolana, dopasował się do niej i wszedł w nią pośpiesznie. Zaszokowana Lily wstrzymała dech, ale uniosła ku niemu biodra, by ułatwić mu zanurzenie się w niej. Oboje oddychali chrapliwie. Wniknąwszy głęboko, Gideon jęknął.

Miał już pewność, że jest jej pierwszym kochankiem.

- Lily... tak mi przykro... - szepnęła niezbyt mądrze.

- Nie bądź śmieszny! - odparła równie cicho.

Choć się starał, Bóg świadkiem, nie potrafił okazać większej powściągliwości. Jego pragnienie było zbyt wielkie i zbyt długo powstrzymywane. Poruszał się w niej i osiągnął swój szczyt bardzo szybko i bardzo gwałtownie. Odczuwał każdym nerwem zdumiewającą rozkosz. Rozłączył się ze swoim ciałem i słysząc własny ochrypły krzyk, miał wrażenie, że to głos kogoś innego.

Oszołomiony i wyczerpany zsunął się z Lily i ciężko dysząc, osłonił twarz ramieniem. Przez długą chwilę leżał obok niej, nawet jej nie dotykając. W pokoiku było zimno. Rozgorączkowane ciało szybko ochłodziło.

- Sprawilem ci ból? - spytał w końcu.

Chwila ciszy. A potem tylko jedno słowo:

- Nie.

- Kłamczucha!

Zaśmiała się cicho. Chwycił ją w ramiona i przytulił mocno do siebie, odgarniając jej z twarzy zwilgotniałe od potu włosy. Dotykał jej warg, brwi, podbródka z takim zdumieniem, jakby była niezemską istotą, z którą tylko on zdołał nawiązać kontakt. Uśmiechnęła się do niego.

- To może być takie cudowne, Lily... Słowo daję!

- To już było cudowne.

- Naprawdę?

O Boże, zachowuję się jak niedorostek, pomyślał. Czuł się onieśmielony, a zarazem taki dumny!

- Mhm... - potwierdziła leniwym pomrukiem.

- Powinienem być delikatniejszy...

- Bądźże cicho! To było... niezemskie, Gideonie! Nie miałam pojęcia. .. To znaczy...

Uśmiechnął się w ciemności. To ona była niezemska!

- Ale podejrzewałaś, co?

Zaśmiała się cichutko.

- Mam przecież tę książkę!

- Wiedziałem, że znacznie lepiej znasz francuski, niż się do tego przyznajesz!

Znowu się roześmiała i zmieniła nieco pozycję w jego ramionach. Ręce Gideona dotknęły jej brzucha. To wystarczyło, by poczuł, że znów jest pobudzony, wyciągnął rękę ku jej piersi, leniwie muskając atlasowe krągłości... Oddech Lily zaczął się rwać...

- Gideonie...

Tego się właśnie lękał. Mógłby zatonąć w niej jak w morzu i nigdy już nie wynurzyć się na powierzchnię. Obawiał się, że nigdy, przenigdy nie zdoła się nią nasycić!

W dalszym ciągu nie potrafili zwolnić tempa, choć Gideon obiecywał sobie, że się o to postara. Usiadł i przyciągnął sobie Lily na kolana. Delikatnie drażnił zębami jej jedwabisty karczek. Nakrył dłońmi jej piersi. Wniknął w nią, gdy siedziała okrakiem na jego udach. Zachęcał ją do wznoszenia się i opadania, póki z jękiem i drzeniem nie osiągnął szczytu. Potem trzymał mocno Lily, kiedy z kolei ona dygotała, powtarzając jego imię. Brzmiało to jak wołanie o pomoc.

W końcu osunęła się na niego, on zaś przygarnął ją i wtulił twarz w jej włosy, szepcząc: „Lily... Lily...” Czuł, jak jej pierś wznosi się i opada pod jego dłońmi. Nic jeszcze nie wydawało mu się równie cudowne... I co ja teraz pocznę?!

Nie myśl o tym, powiedział sobie. Liczy się tylko dzień dzisiejszy! Przez jakiś czas oboje trwali w sennym milczeniu. Słysząc było tylko ich oddechy.

- Nie ukradłam tego naszyjnika! - oznajmiła nagle Lily.

Gideon zeszczywniał.

- To nie ma znaczenia.

Odsunęła się od niego i oparła na łokciu.

- Przysięgam ci, Gideonie...

- Usiłuję ci powiedzieć, Lily, że wiem o tym. Chyba od początku wiedziałem. Ale nie miałyby znaczenia, nawet gdybyś to zrobiła. I tak przyszedłbym do ciebie.

Potem już żadne z nich nie mówiło nic więcej. Lily powróciła w jego ramiona, a on tulił ją do piersi jak najcenniejszy skarb.

Niebawem jednak - zbyt wcześnie - Lily wysunęła się z jego objęć. Puścił ją z żalem. Usiadła na łóżku, a on podziwiał biel jej ciała oraz kształtność talii i bioder, gdy upinała włosy w luźny węzeł. Podniosła z podłogi swoją suknię i włożyła ją przez głowę. Odwróciła się do niego.

- Muszę wracać do Alice! - powiedziała po prostu.

Przysiadła jeszcze na chwilę na brzegu łóżka. Gideon wyciągnął rękę i ich palce się splotły. Musnęła wargami jego kłykcie, a potem się nachyliła i pocałowała go w usta.

- Posiedzę przy Alice - zaofiarował się. - Możesz się przespać!

- Jesteś kochany, Gideonie, ale kiedy Alice się obudzi, to ja będę jej potrzebna!

Wiedział, że to prawda.

- Mnie też jesteś potrzebna - rzekł cicho. - Zawsze będziesz mi potrzebna!

Nic nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na niego przez chwilę, a po jej wargach przemknął lekki uśmiech. Potem raz jeszcze pocałowała go w usta i powoli wysunęła rękę z uścisku.

Gideon przez długi czas leżał na wąskim łóżku służącej, zatopiony w myślach. W końcu zmusił się, żeby się ubrać. Kiedy wszedł do pokoju chorej, ujrzał Lily klęczącą na podłodze, z głową opartą o łóżko siostry, którą obejmowała ramionami. Obie spały głęboko.

Gideon narzucił surdut na ramiona Lily i dotknął ostrożnie czoła Alice. Było chłodne, a oddech dziewczynki wydawał się spokojny.

Gideon Cole rzadko kiedy dziękował za coś Bogu, teraz jednak po cichu złożył mu dziękczynienie. Przepęniała go tak niezmierna wdzięczność, że na całej Ziemi nie byłoby dla niej miejsca. Pomyślał więc, że lepiej będzie podziękować. Choćby po to, by uwolnić się od małej części tego ogromnego długu.

Rozgarnął węgielki pogrzebaczem, podsycając dogasający ogień. A potem, po cichu, wyszedł z pokoju.

19

Kiedy Lily się ocknęła, było już całkiem jasno. Obudził ją dotyk lekkich paluszków, stukających ją po głowie.

- Bogu dzięki, Lily! Już myślałam, że nie żyjesz!

Lily się uśmiechnęła. Poczowała taką ulgę, że aż się jej zrobiło słabo.

- No, no! Widzę, że ktoś tu czuje się zdecydowanie lepiej!

Alice nadal była mizerna, ale oczy jej błyszczały. Nie z gorączki, Bogu dzięki, tylko z ciekawości. Zmarszczyła czoło, przyglądając się bacznie siostrze.

- Okropnie wyglądasz, Lily! Masz sińce pod oczami. I dlaczego jesteś ubrana w męski surdut?!

Zdumiona Lily dotknęła ramienia. Jakoś nie czuła ciężaru surduta, ale bijący od niego zapach Gideona omal nie przyprawił jej o omdlenie.

- Dziękuję bardzo za komplement! Ty również, Alice, nie wyglądasz dziś rano zbyt kwitnąco! Byłaś poważnie chora, gąsko, więc niepokoiłam się o ciebie. Jak się czujesz?

Alice się zastanowiła.

- Chce mi się jeść!

- Chyba doktor powinien cię przedtem zbadać... Nadal cię boli przy oddychaniu? Weź głęboki oddech, przekonamy się!

Alice odetchnęła głęboko.

- Nie. Już mnie nie boli. Ale i tak zaprośmy doktora, jest bardzo miły!

Lily się uśmiechnęła.

- Może pani Plunkett przyniesie ci trochę bulionu.

- I ciasteczka!

- Niech ci będzie. Bulion i kilka ciasteczek.

Lily wstała i się przeciągnęła. Całkiem zesztyniała! Czuła też pobołowanie między udami. Zdziwiło ją to, póki sobie nie uprzytomniła... Oczywiście! To po ostatniej nocy.

Nagle wezbraną falą napłynęły wspomnienia. Gideon podnosi ją i przyciska do siebie, pierwsze zetknięcie ich nagich ciał... „Chcesz mnie, Lily?” Zapierająca dech czułość i szorstka natarczywość jego ust, jakże wprawnych w całowaniu. Palce Gideona przesuwające się po jej skórze, jego ruchy wewnątrz niej. Gładkość jego pleców, kędzierzawe włoski na jego piersi...

Kocham go! Owładnięta nagłym niepokojem Lily stanęła na progu niewielkiej izdebki, sąsiadującej z pokojem dziecięcym. Jakież zdumiewające rzeczy wydarzyły się na tym wąskim, twardym łóżku tylko dlatego, że - jak ostatnia rozpustnica - po raz pierwszy w życiu powiedziała do mężczyzny: „Kochaj mnie!” Szukała pociechy i chciała

się wyzwolić od pożądania, które nękało ją od tygodni. Gideon dał jej i jedno, i drugie.

Uśmiechnęła się lekko, choć łyzy ścisnęły ją w gardle. Jakaż to nieopisana potęga, straszliwa w swej piękności. Z chwilą, gdy Gideon jej dotknął, nie było już mowy o zmianie decyzji. Gdyby wiedziała, jak straszliwie i jak cudownie wiążąca okaże się ta decyzja...

- „Chcę cię” - powiedziała mu ubiegłej nocy.

To samo powtarzała w duchu od tygodni. Gdyby wiedziała, co to naprawdę znaczy, może uciekłyby w popłochu?

„Nigdy nie zdawaj się na łaskę i niełaskę mężczyzny, Lily!” Jej matka dobrze знаła to gorzkie i słodkie zarazem niebezpieczeństwo.

- Pan Cole był tu dziś rano! - zawołała z łóżka Alice.

Serce Lily wywinęło koziołka.

- Doprawdy? - spytała, niby to od niechcenia.

- Nie miał pojęcia, że go widzę. Spoglądał na nas przez długą chwilę, a potem odszedł.

- On cię bardzo lubi, Alice.

- Ciebie też, Lily - odparła z dziecięcą naiwnością. Jeśli nawet było tak rzeczywiście, to niczego nie zmieni. Nie możemy dłużej tu zostać!

Gideon nie był w stanie zasnąć i tylko od czasu do czasu zapadał w drzemkę. W końcu zakradł się o świcie do pokoju dziecięcego, żeby popatrzeć na Lily i Alice. Uspokojony, że obie nadal żyją i oddychają, jakoś się powstrzymał od dotknięcia Lily.

Nie był jeszcze w stanie spojrzeć jej w twarz, toteż wymknął się z domu i w chłodnym, świeżym powietrzu wczesnego ranka udał się do stajni. Potrzebował rozległej przestrzeni, by ogarnąć i rozważyć pogmatwane uczucia i myśli. Zbadać je po kolei i wyciągnąć wnioski. Odesłał zaspanego chłopca stajennego z powrotem na stryszek i sam osiadł na Horatia. Wyjechał klusem ze stajennego dziedzińca, po czym puścił konia w cwał. Galopował po miękkiej trawie, zapuszczając się daleko poza dworski park.

Poranne powietrze było przesycone zapachem wilgotnej ziemi. Gideon wciągał tę woń w płuca wielkimi haustami w nadziei, że rozjaśni mu w głowie.

Jednak niespokojne myśli go nie opuszczały, toteż w końcu zsiadł

z konia i podprowadził Horatia do jeziora, poddając się potrzebie przemyślenia sprawy i podjęcia ostatecznej decyzji.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę kochał się z kobietą. Tak, kochał się z Lily. Nie były to jedynie zaspokojenie fizycznej potrzeby i związana z tym zwierzęca rozkosz. Ani wykorzystanie nadarzającej się okazji. Kochali się, ponieważ pragnął zjednoczyć się z tą kobietą, właśnie jej dać rozkosz i otrzymać ją tylko od niej.

To nowe uczucie - czymkolwiek było - okazało się groźne. Mogło pokonać zdrowy rozsądek, pokrzyżować plany, pozbawić go kontroli nad sobą...

Było jak chwast, rozrastający się w błyskawicznym tempie.

Gideon uśmiechnął się krzywo. Dobry Boże! Zwykle stwierdzenie faktu oblókł w taką kwiecistą formę! Poeta z bożej łaski, psiakrew! Zresztą, jaki tam chwast?! Lily nie była czymś, co niszczy życie! Ona była życiem!

Uświadomił sobie nagle, że jego stryj w ten sam sposób opisał swoją Therese.

O Boże!

„Omal mnie to nie zabiło”. To były również słowa stryja.

Gideon dobrze wiedział, co znaczy ból po stracie najbliższych. Wiedział też dość o dnie rozpacz, by spoglądać podejrzliwie na szczyty szczęścia. Dotąd jednak nie miał do czynienia z czymś aż tak... bezmiernym. Powinien pozbyć się Lily, zanim całe jego życie straci wszelki sens z powodu kilku tygodni, spędzonych razem z nią...

To przecież on sam - niechcący, oczywiście - przez swoje kaprysy, słabość i te przekłete trzydzieści funtów, ściągnął na siebie to wszystko! Chociaż, być może, Lily też była trochę winna. W końcu to ona próbowała ukraść mu zegarek! Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Na razie - dla dobra ich obojga - będzie się trzymał na dystans. Przez ostatnie dziesięć lat unikał wszelkiego ryzyka i gwałtownych emocji. Czy to takie trudne powstrzymać się od nich jeszcze przez tydzień?

Lily pozostała z Alice w pokoju dziecięcym przez cały dzień, czytając dziewczynce, drzemiąc, kiedy Alice zasnęła, i jedząc razem z nią. Cała służba - jedno po drugim - zaglądała do nich na chwilkę, żeby się przywitać i zobaczyć, jak się czuje panienska Alice. Zjawili się

nawet ogrodnik Boone i świniopas Dawson, obaj tak brudni od uczciwej pracy jak dwa kartofle, dopiero co wykopane z ziemi. Pani Plunkett nie była zachwycona ich obecnością na pokojach.

Wszystko wskazywało na to, że Alice zdobyła sobie mnóstwo przyjaciół w Aster Park. Ale ona z pewnością wszędzie znajdzie przyjaciół, przekonywała się Lily. To kwestia charakteru. Alice będzie równie szczęśliwa kiedy stąd wyjedziemy. Obie będziemy szczęśliwe!

Podróż do Londynu będzie kosztowała jakieś cztery szylingi. Może w ciągu kilku następných dni uda się jej wygrać tę sumkę w karty od lorda Lindseya. Zamiast wręczyć te pieniądze Gideonowi na pokrycie reszt długu, zatrzyma je dla siebie i wynajmie za nie jakiś powóz...

Liliowe cienie zmierzchu wypełniały już dziecięcy pokój i Alice pochrapywała cichutko. Taca z resztkami obiadu - zupy, mięsa na zimnej i chleba - stała na podłodze. Niebawem, bez wątpienia, przyjdzie po nie pani Plunkett. Obiecała czuwać przy Alice tej nocy.

- Niech się pani prześpi w swoim pokoju, panno Masters! Przyda się pani sen... bo jeszcze i pani gotowa nam zachorować!

Lily było tak przyjemnie, gdy inni troszczyli się o nią, że nawet nie protestowała.

Gideon nie pojawił się przez cały dzień.

Ucałowała delikatnie w czoło śpiącą siostrzyczkę i, zabrawszy świecę, pomaszerowała do swego pokoju. Zamknęła drzwi sypialni na zasuwkę i otuliła się szczerlnie kocami, jakby mogła w ten sposób odgrodzić się od wszystkiego. Od reszty świata. Od bólu.

Od miłości.

Koniak nie pomógł. Gideon pomyślał, że przzerwuci się chyba na whisky, potem jednak rozważył, jak po takiej kombinacji trunków będzie się czuł nazajutrz rano, i zrezygnował z tego pomysłu. O skutkach nadmiernego picia na prawie pusty żołądek wołał nie myśleć. Przyniesiono mu co prawda do pokoju obiad, ale zimne mięso miało smak popiołu. Groszku nawet nie tknął.

Udał się do biblioteki, wyciągnął kilka książek z półki i zabrał je do pokoju, żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że lektura ukołysze go do snu. Jednak poezja - dotychczas zawsze kojąca jak muzyka symfoniczna - tym razem jeszcze pogorszyła sprawę.

Wobec tego, chyba po to, żeby się ukarać, sięgnął po Plutarcha. Jednak treść tego, co czytał, nie docierała do jego umysłu, choć wertował ten sam fragment po wielokroć. Zrezygnował więc również z Plutarcha. Zastanawiał się nad kąpielą w jeziorze przy księżycu, ale odrzucił ten pomysł jako niezdanie teatralny.

Koce wydawały mu się zbyt szorstkie. Zdarł je z siebie z irytacją. Następną godzinę spędził wpatrzony w sufit, obserwując taniec cieni, padających od chybotliwego płomienia świecy.

Niewiele mu to pomogło.

Podniósł się wreszcie z łóżka i drżącymi nieco rękoma naciągnął spodnie i wetknął w nie poły koszuli. Wziął ze stolika świecę, osłonił dłonią płomyk i wymknął się z sypialni.

Stukanie rozległo się tuż po dwunastej. Lily słyszała przed chwilą, jeden z licznych w Aster Park zegarów wybijał północ. Serce w niej podskoczyło jak spłoszona ryba. Nie otwieraj drzwi. W żadnym wypadku!

Znów ktoś zastukał. Trzykrotnie. Tak cicho, że mogło to być zluzenie.

To byłoby głupie! Nierozważne! Nic dobrego nie mogłoby z tego wyniknąć!

Cisza. Serce niemal w niej zamarło.

A potem jeszcze jedno ciche stuknięcie.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi. Nim zdążyła się rozmyślić, jej ręka mocowała się już z zasuwką.

Gideon był w samych spodniach i koszuli rozpiętej pod szyją. Trzymał w ręku zapaloną świecę, która rzucała blask na jego twarz. Lily odsunęła się na bok, gdy wchodził do pokoju i ostrożnie stawiał świecę na jej toalecie. Zamknęła drzwi na zasuwkę i odwróciła się twarzą do niego.

Ręce Lily owinęły się wokół jego szyi w tej samej chwili, gdy Gideon chwycił ją w objęcia i jego usta dotknęły jej ust z rozdzierającą serce czułością.

Odsunęła się od niego i uniosła ramiona do góry, a Gideon ściągnął jej przez głowę nocną koszulę. Sfrunęła na podłogę jak zwiewny duch i Lily stała teraz przed ukochanym naga. Niecierpliwie pochwycił ją w ramiona i szukał znowu jej ust. Ich wargi złączyły się w długim,

oszołamiającym pocałunku, podczas gdy jego ręce błędziły gorączkowo po jej obnażonym ciele - głaszcząc piersi, obejmując pośladki, muskając delikatnie wewnętrzną stronę ud, aż wreszcie myśli i uczucia Lily stały się jednym cudownym doznaniem miłosnym. Wargi ukochanego błędziły po jej i ramionach, to znów w okolicy ust. Językiem badał zakamarki jej ucha. Lily oderwała wreszcie usta od jego warg i przylgnęła twarzą do ramienia Gideona. Drżała pod dotykiem ukochanego, nie tylko zezwalając mu na pieszczoty, ale zachęcając go do nich.

Oboje nie wypowiedzieli dotąd ani jednego słowa.

Gideon odwrócił Lily w stronę lustra nad toaletką i stanął tuż za nią. W blasku świecy ujrzała własną twarz - zaróżowioną, z ciężkimi powiekami i burzą potarganych włosów. Kreślił palcem na jej piersi jakiś zawity wzór, z początku muskając ją delikatnie, potem naciskając coraz mocniej. Lily odrzuciła głowę do tyłu, drżąc z rozkoszy. Nachylił się wówczas, pieścić wargami jej szyję. Lily widziała w lustrze, jak włosy opadają mu przy tym na twarz.

- Spójrz, Lily, jaka jesteś piękna!

Lily wpatrywała się w lustro jak urzeczona, a dłonie Gideona nakryły jej piersi, by ześlizgnąć się następnie po wypukłości jej brzucha do jedwabistego trójkąta włosów między nogami. Oddech Lily rwał się, choć Gideon tylko się z nią droczył. Jego palce ledwie muskały kępkę wilgotnych włosów i cofały się znów ku jej piersiom. Pojękiwała, domagając się pieszczot. W pewnej chwili Gideon oderwał się od niej, by rozpiąć spodnie. Lily poczuła napór pobudzonego członka.

- Chcę mieć cię teraz, zaraz!

- Tak! - szepnęła głosem pełnym napięcia.

Skłonił ją, by pochyliła się do przodu i kolanem rozsunął jej nogi. Lily zacisnęła ręce na toalecie. Wsuwał się w nią powoli, poruszając rytmicznie biodrami. Poczuła też dotknięcie jego ręki. Dokładnie tam, gdzie tego pragnęła! Wpatrywała się jak urzeczona we własne odbicie i w pięknego mężczyznę, złączonego z nią. Jego ciemne oczy, pełne namiętności, spotykały się w lustrze z jej oczyma. Objął jej piersi i poruszył się wewnątrz niej.

- Gideonie... proszę cię...

Dźwięk jej głosu go ponaglił. Rytmiczne ruchy bioder stawały się coraz bardziej gwałtowne, a w niej rosnęło pożądanie. Aż wreszcie

w eksplozji rozkoszy rozpadła się na tysiąc świetlistych odłamków, a jej przenikliwy, triumfalny krzyk złączył się w jedno z krzykiem kochanka.

Gideon pochwyił ją w ramiona, zanim nogi się pod nią załamały. Zaniósł ją do łóżka. Ściągnął spodnie i koszulę i położył się obok Lily, obejmując ją ramionami. Ich lśniące od potu ciała były ze sobą splecione. Pocałował ją delikatnie.

- Teraz nie będziemy się już spieszyć, Lily! Myślisz, że się nam to uda? - szepnął żartobliwie.

Wyswobodziła się z jego ramion.

- Nie ruszaj się - przykazała srogo. - Nie wolno ci nawet drgnąć!

Gideon oddychał z trudem i wcale nie wyglądał na to, by mógł się poruszyć, choćby nawet chciał. Uśmiechnął się słabo.

Lily wplątała palce w kędzierzawe włoski na jego piersi i pocałowała zagłębienie u podstawy szyi. Dotknęła językiem jego sutków. Gideon uniósł rękę, żeby pogładszyć ją po włosach.

- Mówiłam, żebyś się nie ruszał! - rzuciła ostrym szeptem.

Poczuła, że Gideon trzęsie się ze śmiechu, ale jego ręka posłusznie opadła.

Był taki ogromny, wysoki i barczysty! Lily przesunęła dłońmi po jego klatce piersiowej i po brzuchu - nie był idealnie płaski, ale tym bardziej rozbijający dzięki tej drobnej niedoskonałości. Dotknęła językiem jego pępka, czując smak soli i zapach piżma. Otarła się policzkiem o jego brzuch i poczuła, że oddech Gideona staje się coraz szybszy. Odkryła bliznę na nodze - długą, cienką i białą. Powiodła po niej paznokciem, jakby w ten sposób mogła odczynić dawny ból z powodu tej rany.

Następnie przesunęła palcami po jego twardych owłosionych udach, głaszcząc jedwabistą łysinę, gdzie włosy wytarły się od konnej jazdy. Gideon z sykiem wciągnął powietrze.

- Przyjemnie? - spytała szeptem.

Gideon parsknął zdławionym śmiechem. Ucałowała więc łysinę, a on jęknął i poruszył się niespokojnie, rozchylając uda. Jego członek wyraźnie urósł. Przejechała po nim językiem.

- Boże święty! - jęknął Gideon.

Roześmiała się cicho i powtórzyła to jeszcze raz. Gideon uniósł biodra.

- Nie ruszaj się! - ofuknęła go.

- Sadystka!

Zduszony śmiech.

Jakże ją radowało, że daje mu rozkosz! Pragnęła obdarowywać tak bez końca swego niedoskonałego, silnego, pięknego mężczyznę. Każde jej dotknięcie mówiło: Kocham cię! Pragnęła, żeby mógł wchłonąć jej miłość przez skórę, by dzięki tym igraszkom pojął, co do niego czuje. Że go kocha!

Gideon nagle przewrócił się na bok, chwycił ją w ramiona i przygar-
nął do siebie. Lily krzyknęła cicho.

- Jesteś taka... - powiedział, zastanawiając się nad każdym słowem -
..niewiarygodnie piękna!

Uśmiechnęła się. Jej włosy opadły mu na twarz. Dmuchnął potężnie
i odfrunęły

Czuła, jaki był pobudzony i skory do działania. Wiedziona odwiecz-
nym instynktem poruszyła biodrami.

- Czy jeszcze cię boli? - szepnął. - Czy mnie... przyjmiesz?

Tak, boli. Tak, przyjmę cię.

- Weź mnie!

Dawniej myślała, że takie rzeczy mówią tylko bohaterowie erotycz-
nych francuskich opowieści. Teraz już rozumiała, jaki to ma sens!

Gideon ostrożnie przewrócił ją na wznak i spojrzał jej w oczy.
Objęła go rękami i nogami i otworzyła się przed nim.

Wnikał w nią bardzo ostrożnie, ona zaś czuła to w całym ciele. Wy-
cofał się i wsunął znowu. Tym razem odbywało się to rzeczywiście
powoli - rozkoszna tortura. Rosło w niej napięcie i myślała, że dłużej
już tego nie zniesie, ale ono jeszcze się potęgowało. Nagle oboje rzucili
się na oślep, połączeni, a jednak samotni w tym wyścigu do osta-
tecznego spełnienia. Lily osiągnęła je w eksplozji oślepiającego białego
światła.

Potem dotarło do niej, że chyba ugryzła Gideona w ramię...

- Coś mi się zdaje, że mnie ugryzłaś - mruknął sennie po chwili.

Uśmiechnęła się. Była w tym momencie tak wyczerpana, że stać ją
było tylko na to.

- Trzynaćście, czternaście... piętnaście! - oznajmił Gideon.

Wydawał się całkowicie zaspokojony. Niemal ogłupiały ze
szczęścia.

- Czego jest piętnaście? - odezwał się sennie aksamitny głosik Lily.
- Pięć. Masz piętnaście pięć? Siedem po jednej stronie noska, siedem po drugiej. Już pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem, miałem ochotę je policzyć. A teraz... - Gideon dotykał ich palcem bardzo delikatnie, po kolei. - Udało mi się! Piętnaście malutkich złotych pięć. Zupełnie jak anielskie łezki!

Lily się roześmiała. Gideon udawał urażonego.

- Cóż widzisz zabawnego w anielskich łezach?!

- Znowu sięgasz po poezję, Gideonie!

Znieruchomiał.

- O czym ty mówisz?

- Widziałam książkę, która usiłowałaś ukryć przede mną w bibliotece. Wiersze Johna Keatsa. I poczytałam sobie trochę. To było cudowne! O greckiej urnie, piękności i prawdzie.

Gideon uśmiechnął się niezbyt mądrze.

- Lubię Keatsa.

- Kiedy znalazłam tę książkę, zrozumiałam, w jaki sposób... Pamiętasz, jak mi powiedziałeś: „Jesteś ptakiem. Ta muzyka to powiew wiatru, który cię unosi. Ja będę parą skrzydeł, którym powinnaś zawierzyć”? To było piękne, Gideonie. I poskutkowało, sam wiesz! Dzięki twoim słowom nauczyłam się tańczyć walca.

Gideon był wyraźnie onieśmielony.

- Zapamiętałaś to?

- Nigdy tego nie zapomnę! Ani tego: „Wyobraź sobie, że jesteś wierzwą, chyłącą się pod powiewem wiatru...” Masz duszę poety, Gideonie!

Zasłonił oczy ręką i się uśmiechnął, uradowany, ale i zakłopotany.

- To dzięki tobie, Lily. To ty wywołujesz we mnie podobne skojarzenia.

- Może i tak, ale myślę, że to zawsze w tobie tkwiło i tylko czekało, żeby ktoś to obudził! Z moimi historyjkami jest podobnie.

- Te twoje historyjki... - powiedział miękko i zamilkł na chwilę. - Byrona też bardzo lubię. I Wordswortha, choć poczucie humoru Byrona bardziej mi odpowiada.

- Nie czytałam Byrona.

- Z pewnością się nim zachwycisz! - entuzjasmował się Gideon. - Jest piękny, pełen namiętności i dowcipu. Zupełnie jak ty!

Lily zachichotała. Pomyślał, że ten właśnie dźwięk podoba mu się najbardziej ze wszystkiego w świecie.

- Poszukam w bibliotece jego poezji - dodał. - Poczytamy je wspólnie następnym razem, kiedy będziemy się kochać!

Lily nic na to nie odpowiedziała. Gideon jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że napomknął coś o przyszłości, ale miłosne igraszki sprawiły, że stracił całkiem kontrolę nad językiem.

Nie pozwoli Lily odejść! To był idiotyczny pomysł! Tylko czy ona zgodzi się na rolę kochanki, wiedząc, jak będzie wyglądało ich wspólne życie? Ukradkowe odwiedziny, kradzione chwile... I to, że będzie miał dzieci z inną kobietą. Z Constance.

A gdyby tak Lily zaszła w ciążę? Na samą myśl o tym poczuł ogromną radość. Chłopiec, dziewczynka - to nie miało znaczenia! Byle tylko dziecko było do niej podobne!

A jednak. Cóż to za życie dla dziecka? I co by się stało z Alice? Jakim byłby nędznikiem, utrzymując kochankę i jej siostrę za pieniądze żony!

Podobnych nędzników nie brak w towarzystwie! - pomyślał cierpko. Byłbyś zwykłym, słabym człowiekiem, i tyle!

Może i potrafiłyby prowadzić takie życie jak jego stryj. Zaznać namiętnej miłości z jedną kobietą, a zyskać pozycję towarzyską i majątek dzięki drugiej. Może mógłby mieć równocześnie żonę i przyjaciółkę - obie piękne i kochające. I byłby znacznie szczęśliwszy niż większość mężczyzn, którzy nawet nie śmiały marzyć o czymś podobnym!

Gdyby tylko zdołał to wytłumaczyć Lily i sprawić, by zrozumiała, jakie to rozsądne rozwiązanie! Przecież tylko w ten sposób mogli być razem. A o rozstaniu z nią po prostu nie mogło być mowy! Na samą myśl o tym ogarniała go panika.

- Musisz pozwolić, żebym się tobą zaopiekował, Lily! - Wstrzymał oddech. - Nie ma nic hańbiącego w korzystaniu z czyjejś opieki!

Zapadło krótkie milczenie.

- Naprawdę? - mruknęła z niedowierzaniem.

Parsknął śmiechem, aczkolwiek sprawa była wyjątkowo poważna. Wymagał od Lily, żeby wyrzekła się dla niego swej niezależności.

- Zgódź się, Lily! Pozwól, żebym się tobą zaopiekował! Obiecuję, że mnie nie opuścisz!

Głaskał niezwykle wrażliwą, wewnętrzną stronę jej uda. Czuł, jak Lily drży pod dotknięciem jego ręki. Widział, jak rozchyła nieco nogi, zapraszając go, by sięgnął ręką wyżej, i wbrew rozsądkowi poczuł rosnące żądanie.

- Powiedz „tak”! - Jego palce powędrowały w górę, by dotknąć drzemiącego pod kępką jasnych włosów żaru. Niby to od niechcenia rozgarniał kędzierzawe włoski. - Zgódź się!

Nawet jeśli to były nieuczciwe metody, wszystko jedno!

- Niech już będzie... Zgoda!

Głos Lily był słaby, ale słowa dość wyraźne, by go zadowolić.

Ich wzajemne pożądanie nie miało granic. Zdumiewało go to.

I wyczerpywało, bez wątpienia. Powieki coraz bardziej mu ciążyły, choć ręka nadal błądziła po ciele ukochanej.

- Powinieneś wrócić do swego pokoju! - szepnęła Lily, muskając jego pierś.

- Tak, powinienem - przytaknął sennie.

Były to jego ostatnie słowa, zanim zasnął.

20

Kap, kap, kap...

Nie całkiem jeszcze rozbudzona ze snu Lily uznała, że jest to odgłos wody, ściekającej z dachu domu pani Smythe. Czyżby w nocy padało?

Kap, kap, kap...

To kapanie mogło doprowadzić do szału! Lily sięgała już po poduszkę, żeby zakryć nią głowę, kiedy czyjś szept wyrwał ją ostatecznie ze snu.

- Lily! Ktoś stuka do drzwi!

Lily próbowała usiąść prosto, ale jej członki poplątały się z kończynami Gideona.

Gideon... To jego głos, zachrypnięty jeszcze od snu ją obudził!

Kiedy zwróciła w jego stronę niespokojne oczy, twarz Gideona zła-godniała. Pocałował ją delikatnie w usta, jedną ręką odgarniając jej z twarzy włosy, rozczochrane we śnie i w miłosnych potyczkach.

- Lepiej otwórz, kochanie! - szepnął.

Serce w niej podskoczyło. „Kochanie”, rzucone od niechcienia pieśzcotliwe słówko. Tak właśnie zwracali się wszyscy mężczyźni w tej francuskiej książce do nagich kobiet, które łądowały razem z nimi w łózk. A jednak...

Stuk, stuk, stuk...

Lily wyślizgnęła się z łóžka. Gideon, korzystając ze sposobności, przesunął ręką po jej plecach. Narzuciła koszulę nocną i zerknęła do lustra - włosy jak wronie gniazdo, policzki i wargi zaczerwienione od snu i pocałunków, wyglądała jak ostatnia rozpustnica. O ile osoba po drugiej stronie drzwi nie była niewinnym dziecięciem, z pewnością nie będzie miała żadnych złudzeń co do tego, czym się zajmowała panna Masters ubiegłej nocy!

Gideon za jej plecami zanurkował pod przykrycie.

Lily ostrożnie uchylila drzwi i wyrzwała na korytarz. Stała tam pani Plunkett, niewzruszona jak zawsze. W rękach miała tacę, na niej zaś o dziwo! - dwa talerze jajeczniczy i dwie filiżanki herbaty.

Pani Plunkett doskonale wiedziała, że Alice spędziła tę noc w pokoju dziecięcym!

Lily poczuła, że twarz płonie jej ze wstydu.

- Dzień dobry, panno Masters - powiedziała gładko pani Plunkett, jakby nie dobijała się bezskutecznie do tych drzwi przez dobrych kilka minut. Po czym, podnosząc nieco głos jak aktor, który chce, by jego kwestia dotarła do najdalszych rzędów na widowni, dodała: - Pomyślałam, panno Masters, że zainteresuje panią, iż goście z Londynu, zaproszeni przez pana Cole'a, zaczynają się już zjeżdżać. Niejaka lady Constance Clary poucza właśnie naszą służbę, jak należy wyładowywać bagaże z powozu. Towarzyszą jej inne młode damy. Wysłałam już pokojówki, by przygotowały dla nich pokoje.

- Jasna chol...!

Ten zdławiony okrzyk dobiegł wyraźnie od strony łóžka Lily. Twarz pani Plunkett nadal nie zdradzała żadnych uczuć. Lily była jednak pewna, że gospodyni doskonale się orientuje, co w trawie piszczy.

Gideon co do jednego miał rację. W krytycznej sytuacji zawsze można znaleźć oparcie w dobrych manierach.

- Bardzo pani dziękuję - zdołała w końcu wykrztusić Lily, odbierając tacę z rąk gospodyni. - To istotnie ważna wiadomość.

Pani Plunkett skinęła głową, dygnęła pośpiesznie i oddaliła się nieco człapiącym krokiem.

Lily ręce się trzęsły. Cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi ruchem biodra, a następnie postawiła z brzękiem tacę na toalecie. Wstyd i gorzkie rozczarowanie były tak dojmujące, że zbierało jej się na mdłości. Stała bez ruchu z rękoma skrzyżowanymi na piersi, jakby to mogło złagodzić ból.

A co gorsza, nie miała nawet prawa czuć się zawiedziona czy zboląta!

Jakaż była głupia! Dwie noce temu narzuciła się Gideonowi, który - jak każdy rozsądny mężczyzna - chętnie skorzystał z okazji. Zabawiał się z nią beztrudno, dobrze wiedząc, że lady Constance Clary, kobieta, z którą chciał się ożenić, przybędzie za kilka dni do Aster Park, bo sam ją tu zaprosił!

Czy dżentelmen zaciągnąłby damę do pokoiku służącej, żeby tam się z nią kochać? Dlaczego nie, jeśli owa dama w rzeczywistości wcale nie była damą, tylko - powiedzmy - złodziejką z St. Giles?! „Obiecuj, Lily, że mnie nie opuścisz!” Czego się spodziewała?! Że ich przygoda zakończy się jak jedna z jej nieprawdopodobnych opowieści? Że książe ostatecznie ożeni się ze złodziejką? On przecież tylko szukał kochanki!

- Lily?

Głos Gideona był cichy, niepewny, pełny napięcia. Słyszała, jak wstaje z łóżka, zrzucając przy tym pościel na podłogę. I jak człapie do niej na bosaka. Objął ją delikatnie od tyłu. Zacisnęła mocno powieki, broniąc się przed buchającym od niego ciepłem i piżmowym zapachem. Jej zdradzieckie, słabe ciało nadal go pragnęło.

- Uwierz mi, Lily, kompletnie zapomniałem o gościach! Dałbym nie wiem co, żeby wszyscy jak najprędzej się stąd wynieśli!

- Wszyscy?

Własny głos zabrzmiał w uszach Lily dziwnie słabo i ostro, jak brzęk rozbitego szkła.

Gideon nic nie odpowiedział. Jego milczenie przeszło ją jak ostrze miecza.

- Nie martw się - rzuciła tak lekkim tonem, na jaki mogła się zdobyć. Była jak odrętwiała; zdumiewało ją, że serce nadal jej bije i że jest

w stanie oddychać, wysunęła się z jego ramion. Opadły sztywno wzdłuż ciała. - Nadal będę ci pomagać, Gideonie. Obiecałam i dotrzymam.

Odwróciła się twarzą do niego. Miała wrażenie, że wstrzymywał oddech. Jak dwoje dzikich zwierząt, gotujące się do ataku, mierzyli wzrokiem w milczeniu przez długą, okropną chwilę.

Potem Gideon schylił się po spodnie. Szybko w nie wskoczył, narzucił na siebie koszulę, chwycił w rękę buty i jak szalony popędził do drzwi.

Na progu odwrócił się do niej.

- Lily... - powiedział błagalnie.

Pokręciła lekko głową, unikając jego wzroku.

W chwilę później drzwi za nim się zatrzasnęły.

- Z całą pewnością kazałabym usunąć te marmury. Może by tak zastąpić je mozaiką? Marmury są takie przestarzałe! - Constance mówili cicho, ale akustyka w starym domu była tak wspaniała, że do stojącego na podeście schodów Gideona docierało każde słowo. Zatrzymał się, pragnąc usłyszeć, jakie jeszcze zmiany zamierza tu wprowadzić Constance. - Albo ten zegar! Co za okropieństwo! I te wszystkie meble kryte zakurzonym aksamitem! Całkowita odmiana, oto czego ten dom wymaga! Trzeba go koniecznie unowocześnić!

Usłyszał szmer kobiecych głosów, potakujących z zapalem. Ani chybi, były to damy dworu Constance. I może jeszcze jej ciotka na dodatek.

Nagle Gideon uświadomił sobie, że to właśnie Constance taksowała zawsze Aster Park chciwym wzrokiem złodziejaszka, oceniającego wszystko według wartości materialnej.

Dla Lily natomiast Aster Park był po prostu czymś cudownym i bezcennym.

Gideon potarł policzek. Golił się z takim pośpiechem, że omal się nie skaleczył.

Na górze, za trzecim zakrętem korytarza, drugie drzwi na prawo, znajdowało się ciepłe jeszcze łóżko, pachnące ich miłością. Z całego serca pragnął do niego wrócić. Lily też tam była. Ubierała się. Z pewnością wynurzy się stamtąd piękna i niewinna jak kwiat...

O Boże, ten wyraz jej twarzy dzisiejszego ranka... Potem uleczy pocałunkami jej zranioną dumę! Oby noc zapadła jak najwcześniej!

Znowu przesunął ręką po policzku. Wydawał się dość gładki. Gideon sprawdził, czy koszula nie wylazi mu ze spodni. Poprawił krawat i ruszył schodach na dół, głośno tupiąc, żeby Constance go usłyszała. Zwróciła ku niemu rozpromienioną twarz.

- To ty, Gideonie? Jakże jestem ci wdzięczna, że nas wszystkich zarosiłeś!

„Nas wszystkich”? Zaprosił tylko parę osób. Dwie inne młode damy całkiem ładne, ale nie uderzająco piękne, gdyż Constance by sobie z pewnością tego nie życzyła - miały miny tak samo rozpromienione jak ona. Ciotka Constance, lady Musgrove (a może Mangrove?) kryła się z tyłu, grając raczej rolę służebnej niż opiekunki. Lady Anne Clapham przyjedzie osobno, bez wątpienia. Nigdy nie miała zadatków na kolejną damę dworu Constance.

- Witajcie w Aster Park, drogie panie! Pokoje dla was zaraz będą gotowe. Może miałybyście ochotę na śniadanie w...

W tym właśnie momencie do holu wpadł z impetem Kilmartin.

- Odsuń się, Gideonie! Przywiozłem ciocię Hester!

Istotnie, zza uchylonych drzwi wyraźnie dochodził miarowy stukot. To stara hrabina, pokonując frontowe schody, uderzała laską o każdy marmurowy stopień.

Kilmartin znikł znów za drzwiami, by pomóc ciotce. Do uszu wszystkich dotarł wyraźny okrzyk:

- Z drogi, smarkaczu! Nie jestem kaleką!

Wreszcie ciocia Hester we własnej osobie ukazała się na progu - groźna postać, spowita w czarną bombazyne.

Wszystkie damy wdzięcznie dygnęły, a ciocia przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądała się Constance i jej przyjaciółkom przez lorgnon. Potem powoli, bardzo powoli, nadal bez słowa, stara dama uniosła laskę. Wznosiła ją w nieco drżącej ręce coraz wyżej i wyżej. Młode panny wpatrywały się w nią z zapartym tchem, niczym zaczarowane przez fakira węże. A ciocina laska wznosiła się dalej, aż wreszcie zatrzymała się mniej więcej na wysokości pasa.

- Jeśli któraś z was choćby pomyśli o czymś niestosownym podczas pobytu tutaj - warknęła cioteczka - zapozna się z moją laską!

Jeszcze przez chwilę wymachiwała nią w powietrzu, po czym opuściła z donośnym stukiem i roześmiała się hałaśliwie.

- Szkoda, żeście nie widzieli swoich min! Przy akompaniamencie głośnego stukania laską hrabina weszła do wnętrza domu, śmiejąc się nadal z figła, jaki im spletała.

- Bawcie się dobrze, dzieciaki! Muszę się napić koniaku. Gdzie się podziewa baron? Kilmartin obiecał mi partyjkę kart, zakrapianą koniakiem!

Gregson wyrósł nagle jak spod ziemi i zajął się eskortowaniem ciotki Hester. Stukot jej laski cichł coraz bardziej, w miarę jak stara dama znikwała w czeluściach domu.

Kilmartin spojrział na Gideona i wzruszył ramionami.

- Constance przywiozła swoją ciotkę - zauważył Gideon, co niewątpliwie miało znaczyć: „Mamy już przyzwoitkę, po co nam druga?”

- A ja przywiozłem moją!

Kilmartin uśmiechnął się szeroko. Gideon odpowiedział uśmiechem i pokręcił głową. Miał na temat hrabiny podobną opinię jak Lily. Hester chwilami budziła lęk, ale mimo to raczej ją lubił. Jeśli zaś chodziło o względy przyzwoitości, to - choć ciotek było aż dwie - żadna nie nadawała się na cerbera. Ciotka Constance była na to zbyt łękliwa, a ciocia Kilmartina, acz niekiedy groźna, zbyt stara, no i miała zwyczaj drzemać w towarzystwie. Sytuacja zdawała się wymarzona dla wszelkich wybryków, gdyby któraś z młodych dam chciała sobie pofolgować.

- Cóż tam słyhać u panny Masters? - spytała Constance Kilmartina z wielką troską w głosie.

Niech to wszyscy diabli!

Kilmartin spojrział na Gideona, Gideon na Kilmartina i odezwali się równocześnie:

- Ona jest...

- Przyjechała...

Kilmartin i Gideon znów wymienili spojrzenia. Gideon uniósł brew. Kilmartin, na szczęście, połapał się, że to oznacza: „Gadanie zostaw mnie!”

- Zamierzałem właśnie powiedzieć paniom - oznajmił gładko Gideon - że siostra panny Masters czuje się już całkiem dobrze i nie wymaga opieki. Panna Masters dopiero co przybyła do Aster Park i właśnie odpoczywa po podróży. Niebawem spotka się z nami na oszklonej werandzie.

- No cóż - odezwała się Constance, jak należało tego oczekiwać. Ja też chętnie odpoczęłabym po podróży. Sądzę, że i wy również, moje panie?

Trzy głowy kiwnęły z zapalem, a chórek żeńskich głosów potwierdził jeszcze.

- Pokoje są przygotowane - odezwał się głos pani Plunkett, która zjawiała się w samą porę. - Zaraz tam panie zaprowadzę.

- Dziękuję, pani Plunkett. A zatem, może się wszyscy spotkamy za pół godziny na werandzie?

Trudno byłoby znaleźć w całej Anglii kolekcję dygów równie czarujących, jak te, którymi młode damy pożegnały Gideona i Kilmartina. Spoglądali za nimi, gdy płynęły jak stadko łabędzi po schodach na górę. Pochód zamykała ciotka Constance, która przy swej imponującej siostrzenicy robiła doprawdy wrażenie służącej.

- Jakże się czuje siostra Lily? - spytał Kilmartin, zniżając głos.

- Już całkiem dobrze, na szczęście!

- Bardzo ją lubisz, co?

Kilmartin bacznie przyglądał się przyjacielowi.

- Tak - odparł po chwili Gideon.

Nie był pewien, czy Kilmartin miał na myśli Lily, czy Alice, w każdym jednak wypadku odpowiedź była zgodna z prawdą.

Kilmartin już otwierał usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale Gideon go uprzedził.

- Kiedy możemy się spodziewać lady Anne Clapham?

Kilmartinowi oczy zwilgotniały.

- Niebawem... Ale nie tak szybko, jakbym chciał!

Dawniej Gideon wyróciłby oczyma albo pokpiwał sobie z Lauriego. Dziś jednak zazdrościł tej szczęśliwej parze i doskonale rozumiał uczucia przyjaciela. Poprzednie drwiny wydawały mu się głupie i niesmaczne.

- Nie dziwię ci się! - rzekł miękko.

Kilmartin spojrział na niego, zaskoczony. Zmarszczył czoło i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Gideon przeszkodził mu w tym.

- Do zobaczenia za pół godziny na werandzie, Laurie!

I ruszył po schodach na górę, by odwiedzić kogoś, kto był mu naprawdę drogi.

Lily się zastanawiała, czy warto schodzić na dół. Może się wymówić bólem głowy albo jakąś inną kobiecą przypadłością i nie brać udział w świętowaniu? Jadać posiłki w swoim pokoju i cierpliwie czekać, aż się wreszcie całe towarzystwo rozjedzie... podobnie jak się czeka na koniec niemiłej dolegliwości. Potem jednak uzmysłowiła sobie, jaką przyjemność sprawiłaby Constance takim zachowaniem, i doszła do wniosku, że nie ma o tym mowy! Zobowiązała się przecież do zatruwania życia tej damie, jak tylko zdoła. A zwłaszcza dziś uczyni to z prawdziwą przyjemnością!

Westchnęła i włożyła jedną ze ślicznych porannych sukien z muślinu, zapinając - nie bez trudu - guziczki na plecach. Rozczesała włosy i miała je upiąć, gdy jej uwagę przyciągnął ich zapach. Przytknęła je do nosa i wdychała piżmową, męską woń... bez wątpienia zapach Gideona! Ogarnęły ją wspomnienia i stara jak świat tęsknota za ukochanym. Lily przypomniała sobie, jak ubiegłej nocy całowała jego lśniące od potu ciało, a jej długie włosy się o nie ocierały. Odetchnęła głęboko tą wonią i przymknęła oczy.

Czy ktoś inny mógłby zwrócić uwagę na niezwykły zapach jej włosów? A jeśli nawet, to któż by się domyślił, że pachną Gideonem?

Wszystko jedno! Będzie siedziała w jednym pokoju z lady Constance Clary i udawała skromniśnię jak każda z tych młodych dam, chociaż jej włosy pachniały miłością!

Zwinęła je w węzeł, upięła tak, jak nauczyła ją madame Marceau, i sprawdziła ostateczny efekt w lustrze.

Spodziewała się ujrzeć twarz bladą i pełną zniechęcenia, a tymczasem policzki nadal miała zaróżowione, a wargi nabrzmiące od namiętych pocałunków. Prezentowała się znakomicie!

Ujarzmiwszy emocje, udała się tam, skąd dochodził nieustanny, wysoki świergot kobiecych rozmów. Wszystkie damy zebrały się na oszklonej werandzie.

Zmuszając się do żywych, sprężystych ruchów, Lily pośpieszyła w tamtą stronę. Dotarwszy do werandy, zatrzymała się zdumiona.

Constance i jej damy dworu rozłożyły się malowniczo na fotelach i kanapach. W tym jednak nie było nic dziwnego.

Zdumienie budziło to, że wszystkie miały na sobie suknie z długimi rękawami, zapięte pod szyję, obficie przybrane rüszkami. Z mankietów zaś zwisały...

Miniaturowe książeczki!

Lily ujrzała wreszcie obleczony w ciało wytwór swej wyobraźni - suknie biblioteczne!

- Ogromnie się cieszę, moja panno, że czujesz się znacznie lepiej. Co tak studiujesz?

Alice siedziała w łóżku z wielką księgą na kolanach.

- To książka o świnich - wyjaśniła Gideonowi z entuzjazmem. - Cała tylko o nich! Pani Plunkett znalazła ją dla mnie w bibliotece. Wielu słów nie rozumiem, ale jest tu mnóstwo obrazków!

- Biblioteka to coś wspaniałego - stwierdził z przekonaniem Gideon.

- Hodowla świń też! - zapewniła go Alice i dodała: - Minęliście się z Lily. Właśnie zeszła na dół, do gości. Ja już jestem zdrowa i też bym mogła zejść, ale Lily nie pozwala mi wstawać z łóżka.

- Obawiam się, że ma w tym wypadku całkowitą rację. Ja także muszę się zaraz przyłączyć do towarzystwa.

- Zjrzy pan jeszcze do mnie?

- Tak, wpadnę tu znowu, trochę później. - Uśmiechnął się do dziewczynki. - Może ci coś poczytam.

- O jakiejś bitwie?

- Zobaczymy - obiecał.

Constance, jak nietrudno się było domyślić, nalegała, by po śniadaniu zorganizować turniej łuczniczy. Tak więc całe towarzystwo zebrało się w parku, gdzie ustawiono tarcze strzelnicze. Jarvis zjawił się wkrótce po Constance, tak że była otoczona całą świtą. Właśnie miały się rozpocząć zawody, gdy uwagę zebranych rozproszyło przybycie jeszcze dwóch osób.

- Uparła się, że wyjdzie do parku - szepnął Kilmartin do Gideona.

- Nie mogłem jej powstrzymać!

Stali w zwartej grupie i przyglądali się w milczeniu, zafascynowani, jak ciocia Hester - przypominająca z daleka kopułę, osłoniętą kirem - zmierza ku nim, kuśtykając i dziobiąc murawę końcem laski. Choć to zjawisko już samo przez się było godne uwagi, znacznie większe wrażenie wywarła obecność lorda Lindseya, postępującego z namaszczeniem tuż za hrabiną i dzielnie dotrzymującego jej kroku.

Zupełnie jakby przez ostatnich pięć lat przechadzał się po parku każdego dnia, zamiast leżeć w zaciemnionym pokoju. Istne zmartwychwstanie Łazarza, w angielskim wydaniu!

Z tyłu za nimi dwóch lokajów postępowało bardzo, ale to bardzo powoli, taszcząc dwa fotele. Zamierzali widocznie posadzić na nich stuarszych państwa, gdyby któreś z nich zaczęło słać się na nogach.

- Pomyśleliśmy sobie, że warto pograć w tenisa na trawie! - zawołał do bratanka lord Lindsey.

Ostatnim razem stryj Edward obchodził swą posiadłość jeszcze za życia synów. Gideon pojął, że ta ogromna zmiana jest zasługą Lily. To ona jakimś cudem odsunęła kamień grobowy, którego nikt inny nie próbował nawet ruszyć z miejsca.

Nagle usłyszeli głos ciotki Hester:

- Nie podoba mi się ta Constance! Ogromniasta pannica! Wolę już małą Lily. Przyjemnie gościć ją u siebie!

- Constance nie jest taka znów ogromniasta, Hester. Po prostu wysoka. A poza tym to córka markiza - tłumaczył cierpliwie baron.

Gideon uśmiechnął się w duchu na ten dowód lojalności stryja wobec niego, mimo że starszy pan kilka tygodni temu sam określił Constance bardzo podobnie.

- Właśnie że ogromniasta! - obstawała przy swoim ciotka Hester. - Stanowczo jest jej za wiele, jakkolwiek by na to spojrzeć!

- Brawo, brawo! - szepnął zachwycony Kilmartin.

- Siedź cicho, Laurie! - syknął Gideon.

Przybycie hrabiny Avery zbulwersowało młode damy. Na szczęście nie dosłyszały wymienianych szeptem uwag obu przyjaciół. Gideon obejrzał się na Lily. Spoglądała na ciotkę Hester z wyrazem rozbawienia i wdzięczności na twarzy. Gideon wiedział, że jej duma wielce ucierpiała. Nie miał Lily za złe, że unika jego oczu. A jednak - z czysto egoistycznych względów - bardzo by chciał, żeby spojrzała na niego!

- Słuchaj, Hester... - tłumaczył cierpliwie towarzysze lord Lindsey, starając się mówić jak najciszej. - Wiem, że ci się wydaje, iż mówisz szeptem, ale niestety, wcale tak nie jest.

Hester spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Wcale się nie starałam mówić cicho!

Gideon zwrócił się do Constance, która trzymała łuk i strzałę z taką miną, jakby miała ochotę użyć cioci Hester w charakterze tarczy strzelniczej.

- Wyglądasz zupełnie jak Diana, bogini łowów, Constance - powiedział, podnosząc głos tak, by zagłuszyć wywody starej damy. - Mam wrażenie, że urodziłaś się z tym łukiem i strzałami w rękę!

Lily przewróciła oczyma. Jarvis był wyraźnie skonfundowany, że nie zdobył się na równie inteligentną uwagę, i zwrócił się z nadzieją w stronę Lily, jakby mogła przynieść mu natchnienie. Gorące rumieńce, które pojawiły się na twarzy lady Clary, gdy usłyszała słowa Hester, wyraźnie przybladły. Jeden komplement z ust Gideona sprawił, że świat Constance wrócił do normy.

- Dziękuję, Gideonie - powiedziała z królewską łaskawością. - Powiedz, jaka będzie nagroda dla zwycięzcy w naszym małym turnieju? Z fałszywą skromnością przechyliła główkę na bok.

- Poprosiłbym ciebie, Constance, żebyś obmyśliła tę nagrodę, ale ponieważ z pewnością zwyciężysz, nie byłoby to chyba w porządku wobec reszty towarzystwa. Każdy chciałby mieć w tym swój udział, nieprawdaż?

Uśmiechnął się, żeby było jasne, iż tylko się z nią przekomarza.

Constance pokazała w uśmiechu dołeczki.

- Dajże spokój! Postaram się być sprawiedliwa. Proponuję, żeby zwycięzca... - W zamyśleniu bębniła paluszkami po brodzie. - Mógł wybrać się na przechadzkę w towarzystwie osoby, którą sam wybierze!

Popatrzyła na wszystkich zebranych, przy czym Gideona i Jarvisa obdarzyła najbardziej przeciągłym spojrzeniem.

Jarvis, pomyślał Gideon, powinien stanowczo popracować nad wyrazem swojej twarzy. Ma minę tak pełną nadziei, jak pies siedzący w pobliżu suto zastawionego stołu!

- To, moim zdaniem, całkiem odpowiednia nagroda, Constance - ocenił głośno obojętnym tonem. - Czy ktoś ma do niej jakieś zastrzeżenia?

Po tym pytaniu zaległa absolutna cisza. Gideon spojrzał na Lily. Z wyrazu jej twarzy niczego nie można było wyczytać.

- Według mnie - odezwała się Constance, zarzucając łuk na ramię łucznictwo jest bardzo odpowiednim zajęciem dla młodych dam. Zgadza się państwo ze mną?

- Oczywiście! Jak najbardziej! Z całą pewnością! - potakiwały damy dworu Constance.

- Bardzo odpowiednim zajęciem? - zastanawiała się głośno ciocia Hester. - No pewnie, jeśli komuś potrzeba żony, żeby ustrzeżiła mu coś z dziczyzny na wieczerzę!

Lily zakasłała, by zamaskować śmiech. Gideon spostrzegł, że twarz Constance zastygła w kamienną maskę.

Z przesadną niemal dokładnością Constance napięła cięciwę i zmrużywszy jedno oko, spojrzała na tarczę, wyglądała bardzo efektownie, jej sportowa forma była bez zarzutu, a celność znana wszystkim. Gideon nieraz widział, jak przeszywa strzałą sam środek tarczy.

Constance odczekała chwilę, by napięcie wzrosło i żeby wszyscy obecni mogli ją należycie podziwiać.

Właśnie miała wypuścić strzałę, gdy ciocia Hester odkaszlnęła gwałtownie i niezbyt estetycznie.

Strzała Constance poszybowała z dala od celu, najprościej rzecz ujmując, w kierunku lokajów. Obaj padli plackiem na ziemię. Pozostali odruchowo osłonili głowy rękami.

- Dobry Boże! Teraz chce pozabijać lokajów! - sarknęła hrabina.

- Chybiłam - wymamrotała Constance, czerwona jak burak.

Gideon nie był pewien, czy wstyd jej tego, że nie trafiła do tarczy, czy też nie może odżałować, że nie ustrzeżiła cioci Hester.

Po chwili jeden z lokajów rozejrzał się ze strachem. Widząc jednak, że żadna inna strzała mu nie grozi, pośpieszył na poszukiwanie tej, która zboczyła z toru.

Constance odwróciła się nagle do Lily, która robiła, co mogła, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Może pani zechciałaby się popisać swoją celnością, panno Masters? Dzięki temu nasze zawody staną się znacznie bardziej interesujące!

- Jakim cudem mogłyby być jeszcze bardziej interesujące?! - szepnął Kilmartin do Gideona.

Lily zrobiła minę bardzo serio, ale Gideon dostrzegł złośliwy błysk w jej oku. Zorientował się od razu, że ma jakieś niedobre zamiary.

- O, bardzo mi przykro. Byłam kiedyś także zapaloną łuczniczką, lady Clary. Ale potem... musiałam z tym skończyć.

- Zraniła się pani?

Pytanie brzmiało współczująco, lecz oczy Constance rozbłyły nadzieją. Byłaby pewnie zachwycona, gdyby panna Masters ukrywała jakąś opną bliznę pod tą śliczną muślinową suknią!

- Ależ nie! - zapewniła ją Lily - Tylko... - zniżyła głos. - Czy nie słyszała pani, co się przytrafiło tym nieszczęsnym dziewczętom we Francji?

Kiedy Lily zaczęła mówić ciszej, Constance i jej damy dworu, jak na dany znak, przysunęły się bliżej. Constance również zniżyła głos.

- Jakim dziewczętom we Francji? - spytała zaintrygowana.

- Wszystkie były zapalonymi łucznikami. Zdobywały nagrody, ćwiczyły się w strzelaniu, ile tylko mogły. Łucznictwo stanowiło największą radość ich życia. I nagle... pewnego dnia...

Lily urwała i przygryzła dolną wargę, jakby nie była w stanie mówić dalej.

Młode damy przysunęły się jeszcze bliżej. Podobnie jak Kilmartin i Gideon, umierały z ciekawości, co też się przydarzyło francuskim pannom, wymyślonym przez Lily.

- No cóż... Okazało się, że wyrosły im... - Lily spuściła wzrok i wyszeptła ostatnie słowo ledwie dosłyszalnym głosem, jakby to było najstraszliwsze przekleństwo: - Garby.

- Garby?! - powtórzył trwożny chór cienkich głosików.

Równocześnie trzy damskie ramiona wygięły się do tyłu, by obmacać plecy, czy przypadkiem nie pojawiły się na nich wypukłości.

Lily zacisnęła mocno powieki i skinęła smutnie głową, jakby tragedia francuskich pań wzruszała ją do głębi.

- Tak. Wielkie garby! Obudziły się pewnego ranka... a te garby już tam były. Wyrosły przez jedną noc! Konsylium francuskich lekarzy orzekło, że stało się tak, gdyż kobieca figura nie jest stworzona do uprawiania takich sportów jak łucznictwo, więc przez zbytne naciąganie łuków naciągnęły sobie plecy, a te wygięły się w łuk! I teraz te biedactwa nie mogą nawet położyć się na wznak! I bardzo trudno uszyć dla nich suknie, które by dobrze leżały. Mają więc najwyżej jedną czy dwie, żadnego wyboru! To doprawdy bardzo, bardzo smutne.

Łuk wysunął się z ręki Constance i upadł na trawę.

Gideon również miał ochotę rzucić się na trawę i tarzać ze śmiechu jak rozbrykany żrebak. Lily była niezrównana! Nawet biedna lady Anne

Clapham dyskretnie obmacywała sobie plecy, czy przypadkiem nie rośnie na nich garb! Gideon zerknął na Kilmartina. Jego przyjaciel wpatrywał się w Lily z nieukrywanym podziwem.

Lily, skończywszy swą opowieść, zacisnęła usta z wyrazem ponurego triumfu.

- Co mówisz!? - huknęła ciocia Hester. - Nie słyszałam ani słowa!

Wielka szkoda, że nie słyszała. Bez wątpienia ubawiłaby się niezmiernie.

- Nie będzie więcej popisów strzelniczych? - spytał dobrodusznie lord Lindsey. Wydawał się nieco zafrasowany.

- Strzelanie z łuku to nudziarstwo, Edwardzie! Lepiej się zdrzemnąć - oświadczyła ciocia Hester.

Przymknęła oczy i najwyraźniej szykowała się do drzemki.

Constance powróciła do równowagi w błyskawicznym tempie, jak zwykle.

- Ponieważ nikt oprócz mnie nie zdobył się na wystrzelenie z łuku - stwierdziła - można mi chyba przyznać zwycięstwo w turnieju. Chyba że ktoś jeszcze ma ochotę postrzelać do tarczy?

Odpowiedzią była głucha cisza. Na zebranych padł blady strach. Najwyraźniej nikt nie chciał ryzykować i dorobić się garbu. Gideon był prawie pewny, że gdyby ktoś się jednak zgłosił, byłby to prawdziwy cios dla lady Clary.

- Doskonale! - ciągnęła dalej Constance. - Kogóż więc mam sobie obrać na towarzysza spaceru? Zróbmy tak. Wybiorę jakąś liczbę, powiedzmy od jednego do dziesięciu, a osoba, która trafnie ją odgadnie, uda się wraz ze mną na przechadzkę. Zgoda? Już mam!

- Pięć! - wyrwała się jedna z dam dworu, najwidoczniej nieświadoma zamiarów Constance.

- O, jak mi przykro! - Constance udała rozczarowanie. - Może ty spróbujesz zgadnąć, Malcolmie? - zwróciła się do Jarvisa.

- Trzy? - zaryzykował Jarvis.

- Niestety, nie - odparła z ubolewaniem. - A co powie Gideon? Wlepiła w niego szare oczy.

Serce zaczęło mu bić jak szalone. Wiedział, że to, co powie, nie ma najmniejszego znaczenia. Już został przez nią wybrany. Miał ochotę wykrzyknąć ni w pięć, ni w dziesięć: „Sześć i trzy czwarte!”

- Jeden - powiedział zamiast tego.

- Cudownie, Gideonie, odgadłeś! No cóż, w takim razie ty będziesz mi towarzyszył. - Constance zwróciła się do Lily: - Panno Masters, jakże mi przykro, że nie miała pani okazji pobawić się w zgadywanki!

- Niechże się pani tym nie kłopotce, lady Clary. Z przyjemnością obserwowałam, jak pani... korzysta z okazji.

Jej głos był pełen jadowej słodyczy.

Constance już otwierała usta, by odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła, raczej mocno zacisnęła i odwróciła się od Lily.

- Idziemy, Gideonie?

Gideon poczuł, że nie jest w stanie spojrzeć Lily w oczy, gdy oddalał u boku triumfującej Constance. Serce biło mu gwałtownie. Dobrze wiedział, na co się zanosí. Powtarzał sobie w duchu: „Constance, czy zechcesz mi wyświadczyć ten zaszczyt...”

- Widzisz, Gideonie? Dokładnie to mam na myśli, te nieporządne kępy cudzoziemskich drzew! - Constance wskazała na wielki dąb amerykański, otoczony grupą innych, równie starych i rozłożystych. - Drzewa winny stać w rzędzie, nie uważasz? Porządnie posadzone, na przykład wzdłuż granic posiadłości!

Drzewa miałyby stać rzędem jak kołki w płocie?! Gideon nigdy jeszcze nie słyszał równie głupiej uwagi!

- Mnie się zdaje, Constance, że drzewa wyglądają wspaniale tak jak teraz - odparł łagodnie.

Obejrzał się i zauważył, że Lily rozmawia z Kilmartinem. Stali nieco na uboczu. Laurie spuścił głowę i słuchał uważnie.

- Gideonie?

Nadal spoglądał na Kilmartina i Lily. Coś za długo rozmawiali ze sobą! Ogarnęła go absurdalna zazdrość. Gdzie się podziała lady Anna Clapham?! A, jest! Dobra z niej dziewczyna, zabawia rozmową stryja Edwarda, jako że ciocia Hester drzemała z głową odrzuconą na oparcie fotela.

- Gideonie! - powtórzyła Constance.

- Słucham, Constance?

- Nie uważasz, że pora już ogłosić nasze zaręczyny?

Dopiero po chwili dotarło do niego, co powiedziała. I każde z jej słów eksplodowało w jego mózgu.

Odwrócił głowę ku niej tak szybko, że omal nie skręcił karku.

- Pora ogłosić nasze zaręczyny?!

- Znakomicie! Tak się cieszę, że jesteś tego samego zdania co ja!

Uśmiechnęła się olśniewająco. Miała tak zadowoloną minę, jakby właśnie trafiła strzałą w środek tarczy.

Gideon wpatrywał się w nią oniemiały. Tak pokierowała sprawą, że nawet nie musiał się wysilać. Był pełen podziwu dla jej strategii.

- Ponieważ jesteście już zaręczeni, możesz mnie pocałować.

Gideon już miał się do tego zabrać, ale zagapił się na nią. Wydało mu się, że widzi Constance po raz pierwszy w życiu. Jej płowe brwi tworzyły doskonałe łuki nad pięknymi szarymi oczami. Usta o klasycznym kształcie też były piękne, oczywiście. Każdy portrecista zachwyciłby się czystością jej rysów. Ta twarz pasowałaby jak ulał do kolekcji rzeźb ogrodowych stryja Edwarda!

Może dlatego Gideon miał wrażenie, że całowanie Constance miało akurat tyle sensu, co całowanie posągu.

Constance zostanie jego żoną, zawsze tego pragnął. Oczywiście że chciał ją pocałować!

Miałby jej dotknąć? Wziąć ją w objęcia?

Jeśli chodziło o Lily, kierował nim instynkt. Ręce Gideona dobrze wiedziały, czego w danej chwili chcą dotknąć! Teraz jednak instynkt go zawiódł. Zerknął pośpiesznie na Kilmartina i Lily, żeby się przekonać, czy któreś z nich spogląda w jego stronę. Byli nadal pochłonięci rozmową.

Odwrócił się znów do Constance.

Wyraźnie oczekiwała pocałunku. Jeśli każe jej czekać jeszcze chwilę, utraci bezpowrotnie szansę!

Z rękoma skromnie opuszczonymi po bokach, Gideon powoli zbliżył twarz do twarzy Constance. Ujrzał z całą wyrazistością pory w jej skórze, delikatne włoski w nosie, meszek nad górną wargą. Wszystko to z upływem lat będzie mu dobrze znane. Jego żona... Constance zostanie jego żoną.

Dotknął ustami jej ust na tyle mocno, że można to było uznać za pocałunek, po czym się wyprostował. Constance wydawała się zadowolona, jakby dokonała czegoś ważnego - na przykład zdecydowała się na obstalowanie pelisy.

- A więc, *mon fiance* - powiedziała z ożywieniem - od razu zacznę planować nasze wesele! Papa powinien być zachwycony! Zobaczysz, że

to będzie najważniejsze wydarzenie w Londynie. Z wyjątkiem koronacji, oczywiście!

- Czy nie powinienem najpierw rozmówić się z twoim ojcem? Prosić go o pozwolenie?

Gideon sam nie pojmował, dlaczego szuka pretekstów, by odwlec Sprawę.

- Cóż, możesz dopełnić tej formalności, jeśli chcesz... Ale papa już mi powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, żebyś się oświadczył o moją rękę. Naprawdę cię lubi!

- Już mi to mówiłaś - odpowiedział Gideon słabym głosem.

- A co do tego stanowiska w Ministerstwie Skarbu, to możesz je już uważać za swoje.

- Jestem, doprawdy, prawdziwym wybrańcem losu, Constance!

W głowie mu się kręciło.

- Powiadomimy wszystkich o naszych zaręczynach?

Wzięła go zaborczo pod ramię. Słyszał wyraźnie słowa, których nie wypowiedziała: „A zwłaszcza pannę Masters!”

- Może jeszcze nie teraz... Niech to na razie pozostanie naszym sekretem!

Uśmiechnął się do niej z pewnym wysiłkiem. Pragnął w tej chwili pozostać ze swoimi myślami. Miał wrażenie, że wszystko się jakoś głupio pokręciło. Zaręczył się przecież, na litość boską! Powinien marzyć o sam na sam z Constance!

Na szczęście pomysł sekretnych zaręczyn jakoś trafił jej do przekonania.

- No, dobrze... - zgodziła się.

- To może lepiej nie wracajmy tak przytuleni?

Constance odsunęła się od niego z wyraźnym żalem. W drodze powrotnej szli obok siebie, ale nie pod rękę, a Constance paplała o weselu, które zawzięcie planowała. Gideon podejrzewał, że wszystko miała już od dawna obmyślane. Wszystko, z wyjątkiem nieistotnego szczegółu - nazwiska mężczyzny, którego poślubi. Tak więc Constance usta się nie zamykały, a Gideon zastanawiał się, kiedy wreszcie owładnie nim poczucie triumfu.

Może wtedy, gdy otrząśnie się z szoku, jakim były te nagłe zaręczyny?

Kiedy Constance i Gideon zbliżali się do gości, wszyscy spoglądali na nich wyczekująco. W końcu nawet Lily popatrzyła na niego i Gideon wiedział już, dlaczego poprzednio nie mógł spojrzeć jej w oczy.

Nie mógł, ponieważ w oczach Lily było wszystko: ból, duma i szczerą radość, tylko dlatego, że był blisko niej. Odkryła przed nim całą duszę. Wiedział, że wpatrywanie się w nią było głupotą, ale po prostu nie mógł oderwać od niej oczu. I wcale nie chciał!

Dobrze urodzony młody człowiek nie żeni się z kochanką!

Ogarnęła go chęć ucieczki. Potrzebował czasu i wolnej przestrzeni, żeby wszystko przemyśleć!

Za późno! Zauważył, że Constance obserwuje jego i Lily.

I uśmiecha się jakoś dziwnie.

- Słuchajcie wszyscy! Mamy dla was wspaniałą nowinę! - Brzmiało to jak triumfalny śpiew. - Gideon i ja się zaręczyliśmy!

Gideonowi pociemniało w oczach.

- Żeni się z tą wielką blondyną?!

Ciocia Hester była kompletnie zaskoczona.

- Wszystko na to wskazuje - starał się ułagodzić ją lord Lindsey. - Ona jest rzeczywiście wysoka i bardzo ładna.

Gideon spoglądał w osłupieniu na Constance. Uśmiechnęła się do niego triumfująco i nieco pobłaźliwie, jakby właśnie dokonała czegoś, co wyjdzie mu na dobre.

Może i tak...

Podchodzili do niego wszyscy: Kilmartin, damy dworu, stryj Edward, nawet ciocia Hester. Ściskali mu rękę i pogodnym tonem powtarzali utarte frazesy, jakie się zawsze mówi po ogłoszeniu zaręczyn. Do niego dotarł jednak tylko jeden głos - niski i aksamitny. Rozbrzmiewał mu teraz bez przerwy w głowie.

- Życzę ci szczęścia, Gideonie!

I mógłby przysiąc, że mówiła to szczerze.

Postanowiono, a raczej postanowiła tak Constance, uczcić to wydarzenie niewielkim przyjęciem. Goście wrócili do wnętrza domu. Kucharkę powiadomiono, że południowy posiłek należy wzbogacić o kilka dodatkowych elementów, może jakieś specjalne ciasto lub wyszukany sos. Damy udały się na górę, by zmienić suknie. Znowu!

Lily była rada, że podtrzymuje ją nieugięta duma. Nigdy nie pozwoli, by lady Constance się domyśliła, jakim bolesnym wstrząsem była dla niej wieść o zaręczynach Gideona! Będzie udawać, że nic jej to nie obchodzi.

Dowiaduję się coraz więcej o miłości, rozmyślała gorzko Lily. Przekonała się właśnie, że można kochać skończonego idiotę! Przecież tylko skończony idiota skazałby się dobrowolnie na całe życie z lady Constance Clary, nawet mimo jej bogactwa, piękności, pozycji i...

Lily nie dokończyła tej myśli. Wyliczanie zalet Constance nie podziałało na nią kojąco!

Jarvis przeniósł swe zainteresowanie na Lily. Miała ochotę trzepnąć go jak natrętną muchę, kiedy pochylał się ku niej troskliwie.

W tej chwili czuła jedynie pogardę dla całego rodzaju męskiego.

Z wyjątkiem lorda Kilmartina! Po raz drugi w życiu Lily zwróciła się do kogoś z gorącą prośbą - tym razem właśnie do niego. Prosiła, żeby pożyczył jej pieniędzy, aby mogła zapłacić za przejazd do Londynu. A potem za bilet na statek, płynący wszystko jedno dokąd. I - dziw nad dziwy - Kilmartin nie odmówił. Nie zadawał też niepotrzebnych pytań. Zrobił to z czystej dobroci. Na jego twarzy malowały się smutek i zrozumienie. Poprosiła go o to, gdy Gideon i Constance udali się razem na spacer. Już wiedziała, czym się to skończy.

Wcale nie uciekam! - mówiła sobie. Po prostu wyjeżdżam. To co innego!

Kilmartin obiecał, że pomoże jej wszystko załatwić. Natychmiast wysłał służącego do pocztowego zajazdu, by wynajął dla niej karetkę podróżną. Za trzy godziny woźnica miał zajechać na stajenny dziedziniec, na tyłach dworu, a lokaj na prośbę Kilmartina zgodził się wynieść kuchennymi schodami jej bagaż. Potem obie z Alice wsiądną do powozu. I już ich nie będzie!

Lily musiała tylko udać, że rozboleła ją głowa, wrócić do pokoju i spakować rzeczy - swoje i Alice.

Miała ochotę uciec na górę natychmiast, zanim emocje dojdą w niej do głosu. Postanowiła jednak pozostać na dole i rozmawiać o głupstwach, jakby nigdy nic, choćby miało ją to kosztować życie! Gdyby wycofała się od razu, sprawiłaby ogromną radość Constance. A gdyby skutkiem tego Constance jeszcze bardziej się nadęła, to by chyba pękła... i obrzygała piękne meble w salonie!

A poza tym było jeszcze coś, czego Lily musiała się dowiedzieć przed wyjazdem.

- Lady Clary? - Słyszała wyraźnie słodczy i szczerą troskę w swoim głosie i była z siebie bardzo zadowolona. - Czy odnalazł się pani naszyjnik?

Constance zwróciła na nią swe szare oczy. Błyszczące i zimne jak brylanty

- O tak, panno Masters. Jak to miło, że pani o to pyta! Był w dzbanku z herbatą, proszę sobie wyobrazić! Widocznie ześlizgnął mi się z szyi i wpadł tam. - Constance roześmiała się srebrzyście. Damy dworu jej zawtórowały

Lily czuła na sobie spojrzenie Gideona, jednak nie podniosła na niego oczu. Całkiem zrećcznie udawała, że jego zaręczyny wcale jej nie obchodzą. Ale patrzeć mu w oczy i udawać obojętność? To byłoby dla niej zbyt trudne!

Po południowym posiłku zstąpiła na zebranych błoga senność, spowodowana zapewne obfитоścią wszelkich frykasów. Lily wymówiła się bólem głowy i udała na górę, do swego pokoju. Reszta gości przeszła do salonu pograć w karty, pogawędzić lub poczytać. Słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi. Była to pora dnia, którą Gideon lubił najbardziej. „Słońce powleka wtedy wszystko złotem - powiedziała kiedyś Lily - i cały świat wydaje się piękny”.

Gideon poczuł nagle, że jego krawat zmienił się w stryczek. A może to spodnie były zbyt ciasne? Nie, to nie to! Miał jednak wrażenie, że się dusi. Gra w karty nudziła go, konwersacja również.

Może by tak pospacerować... z Constance?

Nie, to nie był chyba najlepszy pomysł!

Jestem zaręczony.

Czy nie należało się z tego cieszyć? Powinien radować się każdą chwilą, łowić każde słowo Constance, zapamiętywać każdy szczegół, by móc powrócić do tej chwili za jakieś dwadzieścia lat, kiedy oboje będą już starzy i siwi. W końcu zdołał przecież zrealizować swój wielki plan!

Miłość przyjdzie z czasem, powtarzał sobie w duchu. Tak jak przyszła do stryja Edwarda. Wspólnie przeżyte radości i smutki...

A na razie będzie spędzał z Lily każdą wolną chwilę. Może ich być wiele, ponieważ pracował w Londynie i tam też postanowił znaleźć dla niej mieszkanie. Czy dziś w nocy Lily utuli go w ramionach, kiedy do niej przyjdzie? Może zdoła pocałunkami ukoić jej zranione uczucia, uleczyć jej bolącą głowę pieśczołą kochającej dłoni, porozmawiać z Lily o tym, gdzie mogłaby zamieszkać w Londynie jako jego przyjaciółka. Starannie zaplanują sobie każdą chwilę, którą spędzą wspólnie już po jego ślubie z Constance. Będzie żartować z Lily, dyskutować z nią o poezji... całować jej słodkie usta... pieścić językiem jej drobne, sterczące piersi...

Czy to taki grzech, że czuje podniecenie na samą myśl o kochance, podczas gdy narzeczona siedzi naprzeciw niego i udaje zainteresowanie książką, choć w gruncie rzeczy interesuje się tylko tym, kto na nią zerka i ją podziwia? Z czystej uprzejmości posłał jej spojrzenie przez stół. Dziesięć lat? Dwadzieścia? Trzydzieści? Kiedy wzrośnie między nimi miłość? W świetle lampy Constance wydawała się taka jak zwykle - nieskazitelna i imponująca. Arystokratka w każdym calu! Aż dziw, że nadal nie miał ochoty jej dotknąć. Nie był nią wcale zainteresowany. Przestała być dla niego wyzwaniem.

Była jak... jak sprawa sądowa, którą już wygrał. Gideon wpadł w panikę. To porównanie wydawało się aż nazbyt trafne! I nagle niejasne podejrzenia i rosnący w nim niepokój połączyły się w konkretne, logiczne przesłanie. Popułnił straszliwą pomyłkę!

Poruszył się niespokojnie na krześle. Może po prostu brakuje mu żartowych rozpraw na sali sądowej? Wspaniale byłoby wrócić znów do pracy. Z ogromną przyjemnością doprowadziłyby do zwycięstwa sprawę madame Marceau! A może wystarczy przejechać się konno po posiadłości?

Potem jednak wpadł na jeszcze lepszy pomysł. Zajrzy do Alice, zobaczy, jak się czuje. Może zastanie tam również Lily? Potem tu wróci.

Od razu zrobiło mu się lepiej.

Wstał dość raptownie.

- Muszę wyjść na chwilę, wybacysz mi... - chciał dodać „najdroższa”, powinien przyzwyczaić się do tego, ale to słowo ani rusz nie chciało przejść mu przez gardło - Constance? Zaraz wracam.

Uśmiechnęła się łaskawie, zezwalając mu oddalić się na chwilę.

Starał się nie okazywać zbytniego pośpiechu.

Gideon wstąpił do kuchni po cytrynowe ciastka, zanim udał się do pokoju dziecięcego. Bez wątpienia, Alice zjadła dziś niejedyn przysmak, ale warto ją trochę podtuczyć! Zajrzał też do biblioteki, gdzie odszukał książkę o gadach. Coś w sam raz dla krwiozerczej dziesięciolatki!

Wdrapał się po schodach do pokoju dziecięcego, obładowany podarunkami.

- Panno Alice! - zawołał wesoło od progu. - Mam tu książkę o potworach, może cię zainteresuje!

Oczekiwał, że usłyszy w odpowiedzi entuzjastyczne „Hurra!” albo przynajmniej „Dobry wieczór, panie Cole!” Powitała go jednak cisza.

- Alice!

Gideon wszedł do środka. Łóżko było puste. Zmarszczył brwi. Czyżby Alice czuła się już tak dobrze, że przeniosła się z pokoju dziecięcego do wspólnej sypialni z Lily?

Zajrzał do pokoiku służącej. Dotknął wąskiego, twardego łóżka i załała go fala wspomnień. Lily szepcząca z ustami przytkniętymi do jego piersi: „Kochaj mnie!” Świetliste piękno jej smukłego, nagiego ciała. Jej piersi, ocierające się rozkosznie o jego skórę...

Jej śmiech... niski, aksamitny głos...

Nie było chwili, w której by jej nie pragnął. Teraz także!

Opuścił dziecięcy pokój. Czuł, że coś go nagli do pośpiechu. Zajrzy do sypialni Lily, spyta, czy głowa mniej ją boli. Pewnie zostanie tam również Alice. Spędzi z nimi kilka minut. Tylko kilka! - przykazał sobie surowo. A potem wróci do narzeczonej i reszty przyjaciół.

Powinien się przyzwyczać, bo takie przecież będzie teraz jego życie - kilka kradzionych chwil z Lily, a reszta czasu spędzona z kobietą, która siedzi w salonie na dole i przybiera malownicze pozy. Z kobietą, która zapewni mu bogactwo, wpływy, pozycję i bezpieczeństwo, gdy zostanie jego żoną.

I będzie dzielić z nim małżeńskie łóże, codzienne radości i troski, i wspólny dom - przez resztę życia.

- Nie dotykaj ciągle mojego czoła! - kaprysiła Alice, uchylając się przed ręką siostry. - Jestem zupełnie zdrowa! Czemu nie możemy wrócić do Aster Park? Będzie mi brakować pana Cole'a!

Powóz mknął po drodze ze zdumiewającą szybkością. Byli już na przedmieściach Londynu. Lily wiedziała o tym, bo zapach tego miasta, a ściślej mówiąc, woń londyńskich doków, przedostała się do wnętrza powozu.

- Pamiętasz, Alice, jak mówiłam, że będę przez pewien czas pracować dla pana Cole'a? No więc... ten czas już minął. Pora na nową przygodę. Słyszałam, że we Włoszech są wspaniałe pałace, a w jednym mieście zamiast iść ulicami, pływa się po wodzie...

Alice zaczęła cichutko płakać i mamrotać coś pod nosem. Brzmiało to jak: „Pani Smythe... czy mam teraz... zamieść podłogę?”

Lily też się chciało płakać. Nie była jednak beksą. Musi żyć w ciągłym ruchu, to zawsze pomagało. Kiedy się żyje z dnia na dzień, nie myśli o jutrze i nie siedzi na jednym miejscu, przyszłość pozostaje wielką niewiadomą i nie ma czasu, żeby zastanawiać się lub cierpieć.

Drzwi do pokoju Lily były lekko uchylone. Gideon poczuł, jak jeża mu się włosy na karku. Podejrzewał już, co tam zastanie. Z bijącym sercem pchnął drzwi i wszedł, żeby potwierdzić swoje najgorsze przecucia.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku i nadzieja znów w nim odżyła.

Potem jednak spojrzął na toaletkę. Książki Lily zniknęły. Została tylko *Rozważna i romantyczna*. Obok niej leżał naszyjnik, który podarował Lily. Naszyjnik jego matki.

Zabolało to Gideona tak, jakby ktoś ostrą krawędzią brylantu rozorał mu skórę.

W kilku susach znalazł się na drugim końcu pokoju i otworzył szafę. Pozostały w niej suknie balowe, dziwnie pozbawione życia i blasku, niczym panny siejące pietruszkę pod ścianą podczas tańca.

Dotknął atlasowej sukni morskiego koloru, którą Lily miała na sobie tego wieczoru, gdy kochali się po raz pierwszy. Suknia zwisała smętnie, straszliwie pognieciona. Ujął ją w palce, jakby wierzył, że wyczuje pod materiałem ciało Lily. Potem podniósł do twarzy i pochwycił smugę jej zapachu.

W końcu opadł na łóżko i siedział tak, wpatrując się w przestrzeń niewidzącymi oczyma. Czuł się wewnętrznie pusty; skóra mu złodowaciała.

Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że w jego wnętrzu rośnie jakieś mroczne uczucie, ale nie umiał go nazwać. Gniew, ból, utrata nadziei, wszystko razem.

Przecież mu obiecała, że zostanie!

Nie, to nie tak! wymógł na niej tę obietnicę, wykorzystał siłę jej namiętności, żeby to osiągnąć.

Dlaczego nie miała odejść? Jej duma była równie niezłomna, jak jego własna. A jednak Lily trwała - niewzruszona jak umierający bez skargi bohater - kiedy Constance ogłaszała ich zaręczyny! On sam, ze swą piramidalną dumą, nie zdobyłby się na to, chyba że...

Zrobiłby to dla kogoś, kogo kocha.

Jeśli Lily go kochała, to owa chwila musiała być dla niej nie do zniesienia!

Siedział na skraju łóżka - zziębnięty, pusty w środku i rozpaczliwie śmieszny. Głupi dzieciak, wdychający do tandetnej zabawki! To, czego pragnął przez całe życie, to, co miało zapewnić temu życiu sens, jemu zaś dać poczucie bezpieczeństwa, to wszystko okazało się niczym w porównaniu z miłością.

Gideon zerwał się na nogi.

Do diabła z tym wszystkim! Musi odzyskać Lily!

21

W porównaniu z pensjonatem pani Smythe Tygrysia Nora mogła się wydać niemal elegancka. Jednakże trudno byłoby nazwać ten lokal mile pachnącym.

Alice przestała płakać i okazała zainteresowanie, jak zwykle w zeknięciu z czymś nowym czy odmiennym. Statki w pobliżu kołysały się, skrzypiąc, na ciemnej, oleistej wodzie, a Lily poczuła przyptyw czegoś, co można by prawie nazwać nadzieją. Każdy z tych statków wkrótce odplynie w dal. I chociaż roilo się na nich od szczurów, załoga składała się z nieokrzesanych prostaków, a o marynarskim wikcie lepiej było nie wspominać, Lily zniosłaby wszystkie te niedogodności z ochotą, byleby tylko znaleźć się daleko stąd!

Jedyną rzeczą, jakiej nie zdołała znieść, okazała się miłość.

- Bardzo dziękuję - powiedziała nieco wyniośle do woźnicy.

W odpowiedzi uchylił kapelusza. Ten objaw szacunku - do którego Lily zdążyła już przywyknąć - jeszcze przed kilkoma tygodniami nie był jej znany. Dała woźnicy napiwek, co nappełniło go taką wdzięcznością, że wniósł jej kuferek do wnętrza Tygryskiej Nory i ze stukiem postawił na podłodze.

- Trzymaj mnie za rękę, Alice, i nigdzie nie odchodź! - szepnęła do siostry.

Dawniej nie zwróciłaby w tym zajeździe niczyjej uwagi. Ot, jeden z londyńskich oberwańców, którzy bez trudu potrafia zniknąć w tłumie. Teraz jednak wyglądała jak dama, podróżująca z małą dziewczynką. Była więc narażona na wiele niebezpieczeństw, jak choćby nieproszone umizgi albo próby kradzieży.

Potrzebna jej była odpowiednia historyjka, która odstraszy natrętów.

No cóż, z wymyśleniem bajeczki nie powinna mieć kłopotu!

Gwar rozmów, śmiech oraz brzęk kufla i kieliszków nie ucichły całkiem w momencie, gdy Lily weszła do zajazdu. Czowała jednak na sobie spojrzenia ciekawskich i spostrzegła skrzępowanie tych, którzy nadal prowadzili rozmowę. Mniej bym się rzucała w oczy, pomyślała, gdyby nie to okrycie z delikatnej niebieskiej wełenki, w dodatku uszyte przez tak zręczną krawcową jak madame Marceau, projektantka „bibliotecznych sukien”!

Lily zatrzymała się na progu, mocno trzymając za rękę Alice. Po sekundzie odwróciła się i zawołała przez ramię do kogoś za drzwiami:

- Mówiłam ci, kochany, że nikt tu nawet nie zauważy, jeśli się zjawisz ze swoją strzelbą! - Po czym, zwracając się do dwóch mężczyzn, którzy siedzieli najbliżej drzwi i spoglądali na nią podejrzliwie, podniosła nieco głos, jakby chciała usatysfakcjonować każdego, kto miałby ochotę jej posłuchać: - Ach, ci mężowie! - zwierzyła się z żartobliwym zniecierpliwieniem. - Mój ma ogromną strzelbę, a że i sam jest wyjątkowo postawny, wstydzi się pokazywać z nią publicznie. „To takie żenujące, Lii”, powiada, bo mówi do mnie „Lil”. „Dlaczego nie mam zwykłej strzelby i postury jak pierwszy lepszy?!” Tłumaczę mu, że wspaniale wygląda, rozumiecie, i że mnie zupełnie nie przeszkadza ta wielka strzelba, ale mi nie wierz! Wołałabym jednak, żeby naprawił w niej spust. To paskudztwo nieraz!

już wypaliło bez ostrzeżenia

Zwróciła się do właściciela zajazdu, który spoglądał niepewnie na frontowe drzwi, jakby się spodziewał, że w każdej chwili może w nich stanąć uzbrojony po zęby wielkolud.

- Chciałabym wynająć pokój. Na piętrze, jeśli można. Mój mąż przyłączy się do nas lada chwila.

- Ja... Już się robi, psze pani.

- I czy byłby pan tak dobry? Ten kuferek jest dla mnie za ciężki - dodała słodko.

- Ma się rozumieć.

Właściciel zajazdu chwycił kuferek i niemal pomknął po schodach na górę. Lily i Alice podążyły za nim.

- Teraz to już troszkę przesadziłaś! - szepnęła Alice.

Lily ścisnęła mocniej rękę siostrzyczki, żeby ją uciszyć.

- Laurie, mogę z tobą zamienić słówko?

Kilmartin oderwał wzrok od kart i spojrzał na Gideona.

- Oczywiście, stary!

Czekał, by przyjaciel wyjaśnił, o co chodzi.

Lady Anne uśmiechnęła się do Gideona znad wachlarzyka rozłożonych kart.

Gideon rzucił przyjacielowi mordercze spojrzenie i do Kilmartina dotarło wreszcie, o co mu chodzi. Szybko wstał od stolika i ruszył za Gideonem, który z nerwowym pośpiechem zmierzał do sąsiedniego salonu.

Gdy się tam znaleźli, Gideon zaczął krążyć po pokoju jak szalony, wicherząc sobie ręką włosy.

- Ona odeszła, Laurie! Lily i Alice zniknęły!

- Tak, wiem...

- Poszedłem na górę, bo chciałem zobaczyć się z Alice i...

Słowa przyjaciela dotarły wreszcie do świadomości Gideona. Nagle zeszytniał jak ktoś po otrzymaniu śmiertelnego ciosu, zanim się zwalił na ziemię. Po chwili odwrócił się wolno, jak we śnie, by spojrzeć Kilmartinowi w twarz.

- Wiedziałeś o tym?! - rzucił oskarżycielskim tonem.

Kilmartin z nieszczęśliwą miną skinął głową.

Gideon zacisnął mocno powieki i po chwili znów otworzył oczy.

- Laurie... jak... dlaczego?!

- Gideonie, ona była nieszczęśliwa. Zwróciła się do mnie o pomoc. No cóż, pomogłem jej.

Usta Gideona poruszały się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Ja też przywiązałem się do Lily, Gideonie. Nie w taki sposób, rzecz jasna, w jaki czuję się związany z lady Anne Clapham! - dodał szybko Kilmartin. - Ale nie jestem ślepy, rozumiesz? Widziałem, jak... jak stoją sprawy między wami. I coraz bardziej się o was niepokoiłem. Kiedy więc Lily zwróciła się do mnie, pożyczyłem jej pieniądze i wysłałem służącego, żeby wynajął dla niej powóz. Odjechały godzinę temu.

- Godzinę temu!

Gideon zaśmiał się nerwowo i opadł na kanapę. Przez jakiś czas obaj milczeli. W pokoju obok ktoś wybuchnął perlistym śmiechem.

- Widzisz... mnie na niej bardzo zależy, Laurie.

Słowa te były bardzo blade w porównaniu z tym, co Gideon naprawdę czuł.

Kilmartin usadowił się na wprost przyjaciela i pochylił się ku niemu.

- Wiesz, jak bardzo cię lubię, stary. Diabli wiedzą dlaczego! - dodał kwaśno. - Ale Lily chciała wyjechać stąd jak najszybciej, żeby oszczędzić bolesnego pożegnania tobie i Alice. Doszła do wniosku, że wypełniła swoje zadanie i spłaciła dług. Bardzo mi przykro... Gdybym wiedział...

- Skąd mógłbyś wiedzieć, Laurie? Ja sam nie byłem pewny!

- Gdybyś zobaczył wyraz jej twarzy, Gideonie - ciągnął dalej Kilmartin z desperacją. - Słowo daję, nie mógłbyś jej odmówić, tak samo jak ja! Zresztą teraz, kiedy wraz z Constance ogłosiliście swoje zaręczyny, pomyślałem, że tak chyba będzie lepiej.

- Laurie! - Głos Gideona był słaby a on sam czuł się chory. - Ona... ona może spodziewa się dziecka! Mojego dziecka!

Twarz Kilmartina poszarzała, jakby ktoś wypompował mu z płuc całe powietrze.

- Wielki Boże! - Jego głos również drżał. - Nie miałem pojęcia, że doszło już do tego!

- Owszem - odarł gorzko Gideon. - Doszło.

Kilmartin siedział bez ruchu, w milczeniu oswajając się z tą wiadomością.

- Wstydzisz się za mnie? - spytał z rozpaczą Gideon.

Po chwili Kilmartin pokręcił głową.

- Pomyśleć tylko, Gideon Cole podatny na ludzkie słabości! No cóż, zachowałeś się jak prawdziwy arystokrata i tyle.

Laurie próbował obrócić to w żart.

- Nawarzyłem piwa, co?

Kilmartin się zastanowił.

- Na to wygląda.

Gideon spojrzał na niego ostro, ale Kilmartin - niech mu Bóg da zdrowie! - uśmiechnął się tylko niewesoło.

- Dobry z ciebie przyjaciel, Laurie. Nigdy ci się nie zdołam odwdziżyć za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. A jednak...

Gideon urwał nagle.

- A jednak co? - ponaglił go szeptem Kilmartin.

Gideon przeżywał piekielne męki.

- Kocham ją, Laurie! Nie mogę bez niej żyć!

Kilmartin zrobił wielkie oczy. Usiadł prosto i odetchnął głęboko. Milczeli jeszcze przez chwilę. Za ścianą znowu ktoś się głośno roześmiał.

- No i co, Gideonie? - spytał Kilmartin łagodnie. - Czy wpłynie to na zmianę twoich wielkich planów?

Gideon znów przymknął oczy. Przez tyle lat żył nadzieją... by odkryć w końcu, że Lily Masters obaliła jego genialny plan.

- Tak! Boże, zmiłuj się... to zmienia wszystko!

Pomyślał o Helen. Trzeba będzie znaleźć inny sposób. Znajdzie go, z pewnością. Ale musi uwzględnić w nim Lily!

Kilmartin zaczerpnął gwałtownie powietrza, po czym on także zaczął krążyć po pokoju. W końcu zwrócił się znów do Gideona.

- Rozumiesz, jakie to może mieć konsekwencje dla ciebie? Może zniweczyć twoją karierę, zawodową i polityczną. Zachwiać twoją pozycją w towarzystwie!

- Nikt lepiej ode mnie nie zdaje sobie z tego sprawy, Laurie! Ale to wszystko... - Nie mógł uwierzyć, że wypowiada te słowa, a jednak była to szczerza prawda. - Ale to wszystko nie ma już dla mnie znaczenia.

Jakoś przeżyję. I dam sobie radę. A to, o czym mówisz, nie miałoby żadnej wartości bez Lily.

Jak będzie wyglądało jego życie? Skromniej, rzecz jasna. Obejdzie się bez wytwornych apartamentów, modnych ubrań, przyjęć i balów. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie będzie ich wcale żałował. Prawnik nieskrępowany rygorami mody ani wymaganiami eleganckiego świata może całkiem nieźle prosperować. Kto wie, czy nie zamieszka gdzieś w sąsiedztwie Dodge'a? Na tę myśl omal się nie roześmiał.

Nie musiał jednak planować od razu całej swej przyszłości. Najważniejsze, żeby była z nim Lily, a wtedy życie odzyska sens.

Kilmartin zaczął znów krążyć po pokoju, kręcąc od czasu do czasu głową w zadumie. Gideon poczuł lekkie rozbawienie. Chyba nigdy dotąd przyjaciół nie był tak poruszony!

Nagle Kilmartin się zatrzymał. Na jego twarzy malowała się rezygnacja.

- Prosiła mnie, żebym ci tego nie mówił, Gideonie. Zamierza jutro rano popłynąć do Włoch.

- Do Włoch?!

- Nie spodziewałaś się chyba, że Lily wróci do St. Giles?

- Tak... Nie! Ale skąd te Włochy?!

- Bo tam zawsze świeci słońce! - bronił decyzji Lily Kilmartin. - Sam jej to doradziłem. Ale przede wszystkim powinieneś wiedzieć, że jest taki zajazd w pobliżu londyńskich doków, nazywa się Tygrysia Nora. Lily też o nim wie.

Gideon zerwał się z kanapy i uściskał przyjaciela z całej siły, podnosząc go przy tym do góry. Na koniec puścił Lauriego i rzucił się ku drzwiom. Ale tam stała już Constance, z ręką na biodrze.

- Zachodziliśmy w głowę, gdzieście się obaj podziali! Wybieramy się na przechadzkę przy księżycu. Obejrzymy sobie kolekcję rzeźb w moim... naszym... to znaczy, w ogrodzie twojego stryja!

Damy dworu i Jarvis tłoczyli się za nią i całe towarzystwo wtargnęło do pokoju. Lady Anne Clapham trzymała się dyskretnie z tyłu.

Prosto z serca Gideona, bez zastanowienia, wydobyły się następujące słowa:

- Constance, nic z tego nie będzie! Bardzo mi przykro. Nie mogę się z tobą ożenić.

Constance skamieniała jak jedna ze wspomnianych ogrodowych rzeźb, a wszyscy obecni otworzyli usta ze zdumienia.

Prawdę mówiąc, Gideon był równie jak oni zaszokowany własnym postępkim. Mógłby, doprawdy, załatwić sprawę bardziej taktownie! Albo przynajmniej nie w obecności tylu świadków. Ale z jego serca opadły więzy i właśnie ono doszło teraz do głosu.

Pewność siebie Constance była zdumiewająco niezniszczalna.

- Nie bądź niemądry, Gideonie - odparła ze spokojem. - Oczywiście, że możesz się ze mną ożenić! Wcale mi nie przeszkadza, że nie masz tytułu. O to możesz się nie kłopotać! Czeka cię wspaniała kariera polityczna, mój papa tak twierdzi, a ja mam dość pieniędzy na wszelkie nasze zachcianki. No i będziemy mieli Aster Park! A teraz chodźmy wszyscy na ten spacer, dobrze?

Gideon uśmiechnął się do niej. Był to uśmiech olśniewający, gdyż wyraziło się w nim jego poczucie wyzwolenia.

- Nie, Constance! Nic nie rozumiesz. Ja cię po prostu nie kocham!

Uśmiech Constance zmienił się w grymas zniecierpliwienia.

- Och, Gideonie! Jakież to ma znaczenie? Nie pleć głupstw, bardzo proszę!

Jakież to ma znaczenie?! Słowa Constance zabrzmiały w jego uszach jak bluźnierstwo. A jednak kilka tygodni temu pewnie by jej przytaknął!

- Zrozum, Constance! - Ta cholerna baba zmuszała go, by przemawiał swoim prawniczym tonem! - To wszystko było niemądrym udawaniem, nie widzisz tego? Oboje udawaliśmy zakochaną parę, a w gruncie rzeczy wcale ci na mnie nie zależy. Chcesz po prostu, żeby wyszło na twoje! Wiem, że zachowuję się skandalicznie, ale kiedy się nad tym zastanowisz, przyznasz mi rację. Jak już mówiłem, nic by z tego nie wyszło!

- Ależ Gideonie... przecież wszyscy tak postępują! - Constance była szczerze zdumiona. - Nic nie rozumiem! Mamy przecież wyprawić wspaniałe wesele. Będą wszyscy z towarzystwa!

Gideon poczuł dla niej niemal litość. Nie był w tej chwili dumny z siebie, ale przekonał się już, że duma się nie liczy, kiedy chodzi o miłość!

- Bardzo mi przykro, Constance, ale nie jesteś we mnie zakochana, a ja kocham inną. Nie mam pojęcia, czy ona również mnie kocha, i muszę się tego dowiedzieć. Jeśli kocha, z całą pewnością ożenię się z nią. Jeszcze raz powtarzam, bardzo mi przykro.

- Ożenisz się z panną Masters?! - spytała Constance z niedowierzaniem. - To niemożliwe, żeby ze mną wygrała!

- O, panna Masters wcale z tobą nie wygra.

Na twarzy Constance pojawił się cień zadowolenia.

- Nie wygra - wyjaśnił Gideon - bo, prawdę mówiąc, nigdy nie było mowy o żadnym współzawodnictwie. Dla mnie istniała zawsze tylko Lily!

Wówczas Constance napuszyła się jak rozsierdzona indyczka. Wyprostowała się i ze swych królewskich wyżyn spiorunowała Gideona wzrokiem, jakim od niepamiętnych czasów królowie i królowe mierzyli zbuntowanych prostaków, zanim wydali na nich wyrok śmierci.

- Jeśli nie zaprzestaniesz natychmiast tych niesmacznych żartów, Gideonie, nigdy ci tego nie wybaczę! A papa, możesz być tego pewny, dowie się o wszystkim. Możesz się pożegnać ze swoją karierą.

- Nie spodziewałem się wcale, że mi przebaczysz, Constance - odparł spokojnie. - Ale odkryłem właśnie, że niewiele mnie to obchodzi. Przekaż papie wyrazy szacunku ode mnie.

Constance wpatrywała się w niego - co drasnęło nieco dumę Gideona, ale tylko troszkę - wyglądała raczej na gracza, którego ominęła główna wygrana, niż na osobę zawiedzioną w miłości. Z wyraźnym trudem oswajała się z myślą, że po raz pierwszy w życiu nie uzyska tego, czego pragnęła.

- Państwo wybaczą! - zwrócił się Gideon do zaszokowanych czy może tylko zeszywniałych z oburzenia świadków wydarzenia.

Rozstąpili się, by go przepuścić.

Zaraz potem Gideon puścił się pędem i gnał jak szalony przez labirynt korytarzy. Aż wreszcie wybiegł z domu, chwyciwszy po drodze płaszcz, podawany przez uśmiechniętego Gregsona.

Pędził do Lily.

22

Kiedy właściciel zajazdu wniósł jej bagaż do pokoju, Lily zarygłowała drzwi i podparła je kuferkami. Na wypadek, gdyby ktoś ze stałych

bywalców Tygryskiej Nory nie złął się potężnego małżonka z narowistą strzelbą.

Alice przede wszystkim wypróbowała łóżko.

- Wcale nie jest wygodne!

Masz ci los! Siostra stała się wybredna, jeśli chodzi o łóżka!

- W naszym życiu, Alice, napotkamy zapewne wiele różnych pomieszczeń i wiele rozmaitych łóżek!

Ze względu na Alice mówiła pogodnym tonem. Przestała się jednak krzątać po pokoju, gdy ogarnęły ją wątpliwości i poczuła lodowaty, paraliżujący strach.

Czy opuszczenie Aster Park było rzeczywiście słuszne? Przynajmniej ze względu na Alice? A na nią samą?

- Czy pan Cole też weźmie udział - Alice spojrzała na nią, pełna nadziei - w naszej nowej przygodzie?

Lily poczuła się tak, jakby siostra ugodziła ją nożem w samo serce.

- Obawiam się, że nie, kochanie.

Lily spojrzała Alice prosto w twarz. Ogarnęły ją rozpacz i wyrzuty sumienia. To z jej winy siostrzyczka cierpiała teraz w milczeniu. Sądząc z wyrazu jej twarzy, zamknęła się w sobie. Udawała, że ta ostatnia strata nic dla niej nie znaczy, choć w rzeczywistości zaszokowała ją i zraniła głęboko.

Lily uściskała siostrzyczkę z całej siły. Gdyby sobie pozwoliła na okazanie większej czułości, obie utonęłyby we łzach. A takie głupie postępowanie nie leżało bynajmniej w ich planach!

- Zapamiętaj, Alice, że nigdy cię nie opuszczę, choćby nie wiem co!

Łzy dławily Lily w gardle. Przysięgła w duchu, że nie pofolguje sobie pod tym względem. Wyprostowała się dumnie. Była i będzie panią swojego losu!

Wyciągnęła rękę, by dotknąć czoła dziewczynki, Alice znów się odsunęła.

- Mówiłam ci przecież, że nic mi nie dolega!

Lily westchnęła.

- Ciągle jeszcze pokaszujesz, Alice. Niebawem zejdem na dół i przyniosę ci z kuchni coś gorącego.

- Ciastka?

Alice powiedziała to jednak bez przekonania. Jakby z góry zakładała, że nie będzie już żadnych ciastek.

- Herbatę. Wskakuj do łóżka, opowiem ci coś, a potem przyniosę herbatę. I może trochę gorącej zupy albo gulaszu. Czuję wyraźnie, że w kuchni gotuje się coś pysznego!

Prawdę mówiąc, określenie „coś pysznego” było grubą przesadą, ale Lily powiedziała to tak przekonująco, że Alice nieco zmiękła.

Lily próbowała wymyślić jakąś historyjkę. Dla nich jednak zakończyła się właśnie najpiękniejsza w świecie baśń - o wspaniałym domu, o pawiach i o królewskim jedzeniu.

I o księciu z bajki.

Jak zdoła wymyślić opowieść, która byłaby równie piękna? Zmęczenie pozbawiło ją całkowicie daru krasomówstwa. Dlaczego uciekła, do licha?! Bo przecież uciekła. I to w popłochu. Tak wyglądała prawda. A dlaczego? Szczerze mówiąc, nie tylko ze strachu, ale przez poczucie dumy. A teraz, gdy ten gorączkowy popłoch nieco osłabł, poczuła się głupio. Kimże była, żeby los miał się dostosowywać do jej wymagań? Miała szczęście pokochać pięknego, niezwykłego człowieka, śmiać się razem z nim, dzielić jego myśli, radować się jego ciałem. Doznawać zdumiewającej rozkoszy pod jego dotknięciem. Dzięki Gideonowi czuła się piękna, bezpieczna i kochana po raz pierwszy w życiu. To więcej niż każdy mógłby sobie życzyć, myślała, a co dopiero złodziejka z St. Giles! I poza tym miała pewność, że - bez względu na to, co się wydarzy - Gideon zadba o wygodę i bezpieczeństwo dla nich obu.

A ona od niego uciekła! Tylko dlatego, że okoliczności nie były takie, o jakich marzyła. Dlatego, że nie miała dość odwagi, by mu zaufać, wyrzec się niezależności i uwierzyć, że nie została schwyтана w pułapkę, tylko była kochana!

Powinna się pogodzić z tym, że musi dzielić się Gideonem z inną kobietą.

W cierpieniu zakryła twarz rękoma. Cóż to za męka wyobrazać sobie Gideona razem z Constance! W łóżku z żoną, pieszczącego ją... O Boże!

Czy zdołałaby to znieść?

Jedno nie ulegało wątpliwości. Większa część jego serca będzie zawsze należała do niej. Nikt tego nie odbierze jej... ani Gideonowi!

Znieruchomiała, zaskoczona decyzją, jaką właśnie podjęła.

- Lily? - dobiegł do niej niespokojny głosik Alice.

Odwróciła się do siostry.

- Alice...

- Słucham, Lily?

Odetchnęła głęboko. Kiedy obwieści tę nowinę Alice, nie będzie już odwrotu. Nie może narazić Alice na coś takiego po raz drugi!

- Wracamy do Aster Park

- Hurra! - Alice podskoczyła na twardym, wąskim łóżku. - Na dobre?

Lily po kryjomu skrzyżowała palce, żeby nie zapeszyć.

- Być może.

Mniej więcej godzinę później, kiedy Lily zeszła na dół po herbatę, jej oczom ukazał się zdumiewający widok.

Pośrodku izby z szynkwasem stał bardzo zdziwiony Gideon i rozglądał się we wszystkie strony.

A mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą siedzieli przy kontuarze, nagle zniknęli. Co do jednego.

Po chwili Lily spostrzegła zaginionych - kulili się pod stołami. Zauważyła też czubek łysej głowy właściciela zajazdu, wystawała zza szynkwasu jak księżyc, który już niemal skrył się za horyzontem. Oberżysta wynurzał się zza kontuaru bardzo powoli. Najpierw pojawiły się oczy, potem nos... Dalej nie zamierzał się pokazywać.

- Psze pani - zagadnął ją uprzejmie, acz drżącym głosem. - Czy to paniny mąż?

- O tak! - potwierdziła od razu. - Ma wielką strzelbę.

Gideon odwrócił się do niej.

- Wielką... strzelbę? - spytał po cichu.

Oczy mu płonęły niepokojąco, ale kąciki ust unosiły się w lekkim uśmiechu.

Jak cudownie było usłyszeć znów jego głos!

Wpatrywali się w siebie, stojąc na przeciwległych końcach izby, podczas gdy kilkunastu mężczyzn kulilo się nadal pod stołami, pozostawiając na nich nietknięte kufle i kieliszki.

- Wiesz, mój kochany, ta twoja strzelba... - powiedziała Lily cicho, odzyskawszy głos. - Ta twoja ogromna strzelba z uszkodzonym spustem...

Gideon zmagał się z burzą najrozmaitszych uczuć. Rozbawienie było niewątpliwie jednym z nich.

- A, o niej mówisz, kochanie! Muszę ją w końcu zreperować.

Cóż za potężny piękny mężczyzna... Jakże go kochała!

- Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, Lily – oznajmił w końcu.

Zabrzmiało to jakoś sztywno i oficjalnie.

- Alice jest w pokoju na górze.

- Wolałbym pomówić z tobą w cztery oczy. Jeśli wyrazisz zgodę.

Nie zajmę ci dużo czasu.

- Nie chciałabym jej zostawiać długo samej.

- Wyjdź ze mną na dwór, tylko na chwilkę, dobrze?

W jego głosie była nutka desperacji.

Lily skinęła głową. Serce waliło jej tak mocno, że słyszała w uszach pulsowanie krwi. Po co przyjechał?!

Gideon otworzył drzwi i puścił Lily przodem.

Z westchnieniem ulgi mężczyźni wygramolili się spod stołów i zabrali się znów do picia.

Gideon wpatrywał się w wodę. Pызaty księżyc w pełni sprawiał, że wydawała się czarna i połyskliwa. Gideon miał wrażenie, że całe jego ubranie przesiąkło rybim odorem. Niesamowicie romantyczny zapach!

Choć w towarzystwie Lily wszystko było i będzie romantyczne.

- Mogą się tu kręcić jakieś rzezimieszki! - ostrzegła.

- Powystrzelam drani. Mam przecież wielką strzelbę!

Lily się uśmiechnęła. Bogu dzięki, potrafił ją jeszcze rozśmieszyć!

Poczuł się nagle skrepowany. Pragnął jej dotknąć... Dlaczego trzymała się z dala od niego? Nie, lepiej nie. Razem tworzyli substancję łatwopalną. Z pewnością zapomnieliby o wszystkim, gdyby się tylko dotknęli! Nie będzie się zbliżał do Lily, póki nie uzyska od niej wyraźnej odpowiedzi. Po to tu przybył!

Odchrząknął i się odezwał:

- Pewnie się zastanawiasz, po jakiego diabła tu przyjechałem? Przez chwilę spoglądała na niego w zamyśleniu.

- A ty pewnie nie możesz się domyślić, dlaczego ja tu jestem? - odpowiedziała ściszym głosem.

- Nie - odparł równie cicho. - Dobrze wiem, dlaczego tu jesteś. Woda pluskała, uderzając rytmicznie o pale. Lily odwróciła się plecami do niego. Ten odgłos wyraźnie ją urzekł.

- Widzisz, Lily... Jest tak, jak powiedziałem Constance. W obecności wszystkich wymknęło mi się po prostu, rozumiesz... Bardzo nieprzyjemna sprawa. Ale z tego naprawdę nic by nie wyszło!

- Nic by nie wyszło? - powtórzyła, marszcząc brwi.

- Właśnie. Zachowałem się okropnie!

Spojrzała na niego, zupełnie zdezorientowana.

- Ależ Gideonie, ty się nigdy okropnie...

- Wysłuchaj mnie, Lily, proszę cię. Byłem taki głupi! Przyjechałem tu, żeby ci powiedzieć... Boże, ależ to trudne! Gdyby moi przeciwnicy sądowi zobaczyli mnie teraz! - Odetchnął głęboko. - Po prostu... Kocham cię, Lily!

Lily znieruchomiała. Oczy miała wielkie i okrągłe, jaśniały jak księżycy.

- Kocham cię! - Kiedy już raz to wykrztusił, całkiem mu się spodobało. Miał ochotę powtarzać to raz po raz. - Kocham cię i powiedziałem o tym Constance. Wiem, że postawiła na mnie krzyżyk. Ona i całe towarzystwo! Dobry Boże, gdybyś widziała jej minę! Na pewno by ci się to spodobało: ta cholerna baba wyglądała, jakby ktoś jej zdmuchnął sprzed nosa pierwszą nagrodę, ale z pewnością nie ma złamanego serca!

Lily wybuchnęła śmiechem. Udzieliła jej się beztroška Gideona.

- Nawiasem mówiąc, nigdy jej się nie oświadczałem. Ale o tym opowiem ci później! Powiedziałem jej też bardzo wyraźnie, że nie chcę się z nią żenić. I że pragnę spędzić życie razem z tobą. Nie wiem, czy mi kiedykolwiek wybaczysz, że byłem takim głupcem, bezmyślnym i okrutnym. .. Bóg mi świadkiem, ja bym chyba nie wybaczył! Ale chcę się z tobą ożenić, Lily, mieć cię zawsze przy sobie, sprzeczać się z tobą i cię kochać. I dochować się z tobą dzieci. Nic poza tym nie ma dla mnie znaczenia. Błogosławię ten dzień, kiedy próbowałaś mnie okraść. I błogosławię te trzydzieści funtów i...

- Gideonie?
- Słucham, Lily?

Nie odpowiedziała od razu. Belki jednego z okrętów zaskrzypiały jakby statek przewracał się pod wodą z boku na bok.

- Ja... postanowiłam wrócić. Do Aster Park.

Zmarszczył brwi, zbity z tropu. A potem, kiedy dotarło do niego, co powiedziała, niepewny jeszcze uśmiech powoli wypełził mu na wargi.

- Ty byś... naprawdę wróciła?

Przytaknęła z powagą.

- Zrobiłabyś to... dla mnie? Choćbym był... z Constance?

Lily znowu skinęła głową. Czuły uśmiech rozświetlił jej twarz. Oczy napełniły się łzami i połyskiwały w blasku księżyca.

- No to chyba... - wydawał się zdumiony. - To chyba i ty mnie kochasz?

- Chyba tak - powiedziała zdławionym głosem.
- Powiedz to wyraźnie! - rozkazał, co prawda bardzo czule.
- Że... cię kocham?
- Tak. Ale bez tego znaku zapytania!

Lily zaśmiała się cicho.

- Kocham cię, Gideonie!
- Naprawdę?

W jego głosie był nieśmiały zachwyt.

- Ogromnie! Kocham cię... Po prostu cię kocham i już! Wystarczy?

Gideon uśmiechnął się tym samym leniwym, gorącym uśmiechem, od którego płonęły mu oczy i rozjaśniała się cała twarz. Ten uśmiech należał teraz wyłącznie do Lily, raz na zawsze.

Wyciągnął do niej rękę, a ona objęła go za szyję.

- Tak. To mi wystarczy! - szepnął Gideon. - Ale żeby wszystko było całkiem jasne: wyjdiesz za mnie?
- Mhm... Spróbuj mnie przekonać.

Jego usta dotknęły miękko jej ust pocałunkiem tak delikatnym, a równocześnie tak zaborczym, że sięgnął do samego dna jej duszy, owinął się wokół jej serca i złączył ich na zawsze.

Wystarczy powiedzieć, że Lily dała się przekonać.

- Powiemy o tym Alice? - spytała Lily, gdy mogła już zaczerpnąć tchu.

- Jak przestanę cię całować.

Po długiej, długiej chwili przestał.

A gdy otworzył drzwi Tygryskiej Nory, wszyscy mężczyźni, co do jednego, zanurkowali pod stoły.

23

Z pewnym trudem Gideon skłonił londyńskiego woźnicę, by zawiózł ich z powrotem do Aster Park. Przybyli tam o świcie i gdy Gideon wraz z dwiema zaspanymi dziewczętami wszedł do domu, w salonie czekał na nich - ku wielkiemu zdziwieniu przyjaciela - ziewający rozpaczliwie Laurie.

- Pogratuluj nam, Kilmartin! - oznajmił mu z całym spokojem Gideon. - Znasz chyba moją narzeczoną, pannę Lily Masters?

- Serdeczne gratulacje, Lily! - Kilmartin uśmiechnął się do obojga.

- I tobie też gratuluję, panno Alice! Masz teraz nowego brata.

Alice tylko ziewnęła i przetarła piąstką oczy.

Lily za to aż pokraśniała z radości.

- Bardzo dziękuję, milordzie!

I dygnęła.

- Do licha z tym milordem! - zaprotestował Kilmartin. Objął dziewczynę i ucałował w oba policzki. - Od tej pory jestem dla ciebie po prostu Laurie!

Gideon zwrócił się do narzeczonej.

- Lily... chciałbym porozmawiać przez chwilę w cztery oczy z Kilmartinem. Może wrócisz do pokoju i spróbujesz się choć trochę przespać?

Lily się uśmiechnęła i ruszyła na górę, ręka w rękę z Alice. Rzuciła jednak narzeczonemu przez ramię spojrzenie, które rozpałiło w nim krew, i to w niepokojącym stopniu.

Z tego powodu Gideon miał niezbyt przytomny wyraz twarzy, gdy zwrócił się do Kilmartina. Przyjaciel był tym wyraźnie ubawiony.

- Wynieśli się stąd zaraz po twoim odjeździe - relacjonował. - Constance i jej damy dworu, no i Jarvis. Całkiem miły człowiek, chociaż w gruncie rzeczy zero.

- A co z lady Anne?

- Nadal tu jest. Tak samo jak ciocia Hester. Opowiedziałem jej o twoim... wystąpieniu. Była ogromnie rozczarowana, że ominęło ją coś takiego!

Gideon uśmiechnął się lekko.

- Myślisz, że jestem skreślony w towarzystwie, Laurie?

- No cóż... - Kilmartin cedził słowa. - Ja nigdy nie zerwę z tobą stosunków. A co pomyśli o tym reszta, przekonamy się, jak tylko wieść się rozejdzie. Poza tym... jest jeszcze twój stryj.

- Prawda! Stryj Edward. Już wie?

- Wie, a jakże!

Gideon był zdenerwowany jak dziesięcioletek, którego właśnie przyłapano na smarowaniu poręczy jakimś paskudztwem albo na kąpieli na golasa. Stryj sprzął go za oba te wyczyny kilkanaście lat temu.

- Prawdę mówiąc, czeka na ciebie w swoim pokoju. Właśnie dlatego zostałem tu, na dole. Uważałem, że ktoś powinien cię ostrzec, gdybyś się tu zjawił dziś rano.

- Dobry z ciebie przyjaciel, Laurie!

Kilmartin się uśmiechnął.

- No i co, jesteś teraz szczęśliwy?

Zwykle „tak” stanowczo nie wystarczało, by oddać stan uczuć Gideona, ale Kilmartin wyczytał odpowiedź z jego twarzy.

- To dobrze! - powiedział miękko.

Gideon niezręcznie go poklepał, a Kilmartin odwzajemnił się tym samym, po czym uściskali się z całej siły.

Kiedy się już z tym uporali, wrócili do poprzedniego rzeczowego tonu.

- Oby ci się powiodło z lordem Lindseyem!

Gideon znów poczuł zdenerwowanie.

- Musiałeś mi przypomnieć?!

Ruszył na górę, słysząc za sobą cichy śmiech Kilmartina.

- A, to ty, Gideonie.

Stryj siedział w fotelu, świeżo ogolony i tak przytomny, jakby to był środek dnia, a nie świt.

- Dzień dobry, stryju Edwardzie - odezwał się Gideon nieco niepewnym tonem.

- Wyglądasz, jakbyś przez całą noc nie zmrużył oka, mój chłopcze!

- Bo nie zmrużyłem.

Stryj Edward milczał niezmiernie długo.

Gideon wpatrywał się w niego, usiłując odgadnąć jego myśli.

Lord Lindsey - nadal bez słowa - spoglądał w zadumie na Gideona.

- Buuu! - huknął nagle.

Gideon aż podskoczył. Jedną ręką chwycił się stolika, by odzyskać równowagę, drugą zaś złapał się za serce.

- Rany boskie, stryju Edwardzie!

Stryj się roześmiał.

- Dobry Boże, chłopaku! Nie mogę już zlać cię pasem, więc odpręż się, do diabła! O, jest Ada Plunkett z herbatą! Doskonale. Dziękuję, pani Plunkett.

Gospodyni ustawiła na stole błyszczący srebrny serwis i wymknęła się z pokoju równie dyskretnie, jak do niego weszła.

- Napij się herbaty, Gideonie, bo mamy ze sobą do pomówienia. Siadaj!

Gideon usiadł za stołem i ostrożnie uniósł imbryk, by nalać im obu napoju. Ręce mu się, na szczęście, nie trzęsły. W każdym razie nie bardzo.

- A zatem... wczoraj wieczorem miałaś jedną narzeczoną. A dziś masz drugą, całkiem inną?

- Tak, stryju - przyznał Gideon.

- Pannę Lily Masters?

- Tak, stryju.

Stryj Edward skinął głową.

- Lily nie jest córką markiza...

- Nie, stryju.

- A ty wczoraj wieczorem zerwałeś z córką markiza. I to przy świadkach.

- Tak.

Lord Lindsey milczał przez chwilę.

- Naprawdę oświadczyłeś się Shawcrossównie?!

Zaskoczony Gideon gapił się na stryja. Jak się domyślił? Honor jednak nie pozwalał Gideonowi zdradzić, że Constance usidliła go podstępem. Nie mogąc wyjawić prawdy, milczał.

Lord Lindsey skinął głową z satysfakcją. Jego podejrzenia się potwierdziły.

- Uderzyło mnie coś w wyrazie twojej twarzy, kiedy lady Clary oznajmiła wczoraj radosną nowinę...

Gideon nadal milczał jak głaz.

- Czy panna Lily Masters naprawdę jest kuzynką Kilmartina? Gideon się zawahał.

- Nie, stryju.

Stryj Edward pokiwał głową, bardzo z siebie rad.

- Tak też myślałem. Za wiele w tej dziewczynie ikry! Kim ona właściwie jest? Znasz jej rodziców?

- Nie, stryju.

- Czy ktoś w ogóle słyszał o jakichś jej krewnych?

- Nie. Ma tylko młodszą siostrę, Alice.

- To kim właściwie jest?!

- Ona... ona jest po prostu sobą, Lily Masters. Sierotą. Pochodzi... z Londynu.

Stryj nie wypytywał dłużej.

- Nie obchodzi cię, z jakiej rodziny pochodzi. Prawda, Gideonie? - spytał łagodnie.

Gideon się zastanowił.

- Nie.

Uśmiechnął się. Po prostu nie mógł się powstrzymać!

Stryj Edward uniósł brew.

- Narobiłeś niezłego bigosu... Prawda, chłopcze?

Gideon myślał nad tym przez chwilę.

- Tak.

Lord Lindsey uśmiechnął się szeroko.

- Znakomicie! Był już najwyższy czas!

- Słucham?! - zdumiał się Gideon.

- Najlepsze decyzje podejmuje się od ręki, nie zastanawiając się nad nimi bez końca, Gideonie! Widzisz, co zrobiłeś? Zdobyłeś szczęście, całkiem przez przypadek! A dzięki temu uszczęśliwiłeś także mnie i wszystkich, którzy cię kochają. Twój ojciec miał trochę racji, Gideonie. Od czasu do czasu warto zaryzykować!

Gideonowi zabrakło słów, ale stryjkowi nie.

- Należy ci się ślubny prezent. Mam coś dla ciebie.

- Stryjku Edwardzie, to bardzo miło z twojej strony, ale to całkiem niepotrzebne, będziemy równie...

- Daję ci Aster Park.

Gideon powoli, bardzo powoli odstawił na stół filiżankę z gorącą herbatą.

- Aster Park? Stryjku Edwardzie... ależ... nie możesz przecież...

- Właśnie że mogę. I zrobię to! Aster Park należy do ciebie. Wiem, że i tak miałeś odziedziczyć majątek po mnie, ale pozwól mi na ten wspaniały gest, dobrze? Cała posiadłość, ziemia, bydło, owce, służba; wszystko należy do ciebie i możesz z tym robić, co ci się podoba! Zamierzam zwiedzić trochę świata, zanim stanę przed Stwórcą. Może pojedę do Egiptu? Albo do Devon. W każdym razie coś w tym rodzaju. Wszystko pozostawiam tobie i pani Cole. A ty możesz dzielić swój czas pomiędzy Aster Park i Londyn. Może zdołasz uczynić ten majątek bardziej dochodowym? Wspominałeś, zdaje się, o jakichś owcach?

- O leicesterach długowłosych - uściślił słabym głosem Gideon.

- No właśnie! Kup trochę tych owiec. Nie rozplączesz się chyba, Gideonie?

Stryj Edward miał zaniepokojoną minę.

- Chyba nie, stryju.

- Myślisz, że przyszła pani Gideonowa Cole poradzi sobie z prowadzeniem takiego wielkiego domu?

Pani Gideonowa Cole... Gideon uśmiechnął się lekko. Nie było rzeczy, z którą Lily by sobie nie poradziła! Naucz się czego trzeba.

- Tak. Z pewnością sobie poradzi z Aster Park.

- To ona mnie wyleczyła - rozmyślał głośno lord Lindsey. - Ogromnie ją polubiłem.

- Sam się wyleczyłeś, stryжку Edwardzie.
- No tak, ale pod jej wpływem, rozumiesz?
- O tak! - Gideon się uśmiechnął. - Rozumiem.
- Lepiej pobierzcie się od razu, chłopcze. Zachowaj się jak należy wobec tej dziewczuszki!

Gideon zrobił skruszoną minę. Czyżby stryj Edward podejrzewał?

- Ani słowa więcej, synu! I, na litość boską, nie dziękuj mi bez końca! To byłoby piekielnie nudne! I bez tego wiem, co czujesz.

Tak więc Gideon po prostu uściśnął stryjowi rękę. On zaś odwzajemnił się zdumiewająco krzepkim uściśmieniem. Stryj Edward miał podejrzenie mokre oczy, gdy na koniec po męsku klepnął bratanka po ramieniu i puścił jego rękę.

Gideon uznał, że jak na jeden ranek ma dość objawów powściągliwych, męskich uczuć. Wolałby żeby okazała je kobieta. Czy byłby skończonym brutalem, budząc teraz Lily?

Co tam! Później ją przeprosi.

Wesele nie różniło się od innych, ale weselni goście z pewnością byli niezwykli! Prostyutka, aptekarz, radca prawny, modystka, baron, gospodyni i majordomus oraz doktor i wszystkie jego hoże córki zapełnili wnętrze małego kościółka w pobliżu Aster Park i byli świadkami tego, jak Gideon Cole i Lily Masters przysięgli kochać się i szanować do końca życia.

Prezenterem ślubnym od Lily dla Gideona był jego własny złoty zegarek. Spodobało im się to i postanowili utrzymać tę niecodzienną tradycję. Toteż żona wręczała Gideonowi ten szacowny czasomierz z okazji jego urodzin oraz innych większych świąt.

Kilmartin wiernie towarzyszył Gideonowi jako jego družba. Alice z ogromnym entuzjazmem sypała kwiatki pod nogi nowożeńców. A piękna, ciemnowłosa młoda kobieta, z twarzą osłoniętą woalem, siedziała cichutko w jednej z ostatnich ławek w kościele.

Helen Turner - siostra Gideona.

Brat zdołał ją namówić, by przeniosła się na stałe do Aster Park teraz, kiedy stał się panem tej posiadłości. Nie wszystko, niestety, układało się idealnie. Helen stroniła od ludzi i nie brała udziału w życiu towarzyskim, gdyż na kobietę, która opuściła męża, zawsze spoglądano nieufnie, nawet jeśli mąż wyraził zgodę na rozwód.

Helen pokochała jednak Lily oraz Alice i pogodziła się ze stryjem. Oboje zapomnieli o dawnych niesnaskach. A przede wszystkim czuła się wreszcie bezpieczna.

Teraz wszystkie trzy kobiety, tak bliskie sercu Gideona - Lily, Alice i Helen - mieszkały pod jednym dachem. Mógł okazać im swoją miłość i osłaniać je od złego.

I to było najważniejsze.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla Melanie Murray przede wszystkim za to, że kocha rocka; dla Billa Reitera i Davida Blackburna, którzy szczęśliwym trafem mieli akurat te książki, które były mi potrzebne i wielkodusznie pożyczyli mi je, gdy już zwątpiłam, że w ogóle istnieją; dla przyjaciół i najbliższych, którzy wierzyli, że wcale ich nie unikam, tylko jestem okropnie, okropnie, okropnie zapracowana, naprawdę; dla wszystkich tych uroczych ludzi, którzy napisali mi tyle miłych rzeczy na temat Uciekającego księcia. Wasza serdeczność i entuzjazm sprawiły, że zapagnęłam napisać Złodziejkę serc. Mam nadzieję, że ta książka spodoba się Wam tak samo jak poprzednia. Podziękowania dla Elizabeth Fulton za jej dobroć i mądrość. I wreszcie wielkie dzięki dla Cecila, który miał zwyczaj ze swej grzędy na moim biurku obserwować, jak rodzi się kaździutkie słowo. Tęsknię za tobą, Mój Drogi!